

John Coyne

Furia

Przekład: Beata Paluchowska

Nansey Neiman,
która pytała: „A co jeśli...?”

KSIĘGA PIERWSZA

Nie czułam się szczęśliwa ani zaniepokojona tym, o czym się dowiadywałam. Nie w ostatecznym rezultacie. Rzeczywiście był to pewien rodzaj wolności zrozumienia – uświadomienie sobie, że moje dzisiejsze życie jest efektem poprzedzających je istnień, że jestem produktem wielu egzystencji i będę jeszcze istnieć ponownie. To miało sens. Była w tym harmonia – jakiś cel – swoista kosmiczna sprawiedliwość, która dobrze wyjaśnia wszystkie zdarzenia w życiu – zarówno dobre, jak i złe.

Shirley MacLaine

Uświadomiłem sobie, że tracę kontakt z samym sobą. Przy każdym kroku mojego schodzenia w głąb odkrywałem nową osobę we własnym wnętrzu, którego imienia nie byłem już dłużej pewien i które nie było mi już dłużej posłuszne. A kiedy musiałem przerwać tę eksplorację, ponieważ ścieżka pod moimi stopami zaczęła zanikać, odkryłem bezdenną otchłań, a z niej dobywał się – wypływający sam nie wiem skąd – strumień, który się ośmielałem nazwać moim życiem.

Pierre Teilhard de Chardin

Rozdział I

– Pani Winters – odezwał się hotelowy recepcjonista – zdaje się, że mamy dla pani wiadomość. – Niski, czarny mężczyzna przesunął się wzdłuż kontuaru do klawiatury komputera, wpisał polecenie i czekał, aż tekst ukaże się na ekranie.

Jennifer rozejrzała się po hallu waszyngtońskiego hotelu i dostrzegła drukowaną wywieszkę, która głosiła:

**POZNAJ KATHY DART, ASTRALNEGO POŚREDNIKA
HABASZY.
PRZYŁĄCZ SIĘ DO NOWEJ ERY!
ZMIENŃ SWOJE PERSPEKTYWY W ŻYCIU, PRACY,
RELACJACH Z LUDŹMI.**

„Tego właśnie potrzebuję – pomyślała sarkastycznie Jennifer. – Zmiany, zwłaszcza

w życiu osobistym”.

– Proszę, oto wiadomość – powiedział pracownik recepcji. – Pokój numer 23 i 24. Jenny, mam spotkanie o drugiej. Zobaczymy się o czwartej. Podpisane: „T”. – Recepcjonista spojrział na kobietę. – Czy życzy sobie pani kopię?

– Nie, dziękuję. Pokój 23 i 24, prawda?

– Zgadza się. Czy mogę skasować wiadomość?

– Tak, bardzo proszę. – Pochyliła się i podniosła swój neseser.

– Każę wysłać pani bagaż na górę – dodał mężczyzna, wręczając jej kartę komputerową. – Pokój będzie gotowy za dwadzieścia minut, o drugiej.

Jennifer odetchnęła głęboko. Tom upewnił się, że jego spotkanie z ludźmi z Departamentu Sprawiedliwości zostało wyznaczone na najbliższy czwartek, więc będą mogli spędzić razem tę noc w hotelu w Waszyngtonie. Nie widziała go od trzech dni; nie spali ze sobą od tygodnia. Chciała się z nim kochać tak bardzo, że niemal czuła już przyszłą rozkosz. Czasami zdawało się jej, że udany seks był wszystkim, co ich łączyło. Z pewnością wiedzieli, jak to się robi.

Odwracając się od recepcji, pochwyciła swoje odbicie w lustrze wiszącym w hallu i zdziwiła się mile, widząc, jak szczupło wygląda w swoim nowym kostiumie od Calvina Kleina. Upewniła się, że słusznie wybrała ten francuski błękit. Pasował do jej jasnej karnacji i blond włosów o miodowej barwie. Nie była jednak zadowolona ze szminki. Zbyt pomarańczowy odcień powiększał wargi. Jej usta już bez tego były wystarczająco duże.

– Jenny! Jenny Winters! – Wysoki, ostry kobiecy głos zatrzymał ją w miejscu. Obejrzała się i zobaczyła Eileen Gorman machającą do niej z głębi salonu. – Jennifer, to naprawdę ty! – zawołała kobieta, spiesząc ku niej.

Jennifer odpowiedziała uśmiechem i ruszyła w jej kierunku.

– Eileen, nie mogę uwierzyć, że to ty! – Objęła ramionami niższą kobietę i uściśnęła ją krótko. – Tak dobrze znów cię zobaczyć! Co za niespodzianka!

– Jesteś tutaj na konferencji? – spytała Eileen.

– Tak, na konferencji fundacji. Z kim jesteś, Eileen?

– Fundacja? Nie. Jestem tu z powodu Kathy Dart. Będzie kontaktowała się z duchem Habaszy.

– Kto? Co? – Jennifer wypuściła dłoń Eileen i postawiła swój neseser.

– Nie wiesz, kim jest Kathy Dart? – spytała Eileen, otwierając szerzej swoje zielone oczy.

Uśmiechając się do przyjaciółki, Jennifer pomyślała, że Eileen ciągle wygląda jak dziewczyna w czasie dopingu na boisku sportowym.

– Eileen, wyglądasz cudownie! Mieszkasz tutaj, w Waszyngtonie?

– Nie, w dalszym ciągu na Long Island. – Głęboko zaczerpnęła powietrza i westchnęła, a potem, cały czas uśmiechnięta, powiedziała: – Co za wspaniała niespodzianka! Tak się cieszę, że cię widzę, Jenny. – Wyciągnęła rękę i ponownie objęła dawną koleżankę. – Pięknie wyglądasz. A teraz powiedz, co robisz? Gdzie mieszkasz? – dopytywała się.

– W centrum. W Nowym Jorku. Dokładnie Brooklyn Heights. Mieszkam tam od czasów szkoły prawniczej.

– Słyszałam, że przeniosłaś się do Kalifornii. Anita mi powiedziała. Pamiętasz

Anitę?

– Tak, oczywiście. Przeniosłam się do Los Angeles, ale...

– Jakiś facet?

Jennifer przytaknęła ruchem głowy i odwróciła dłoń kciukiem do dołu.

Eileen wybuchnęła śmiechem i zapytała, spoglądając na lewą rękę przyjaciółki:

– Mężatka?

– Nie, tylko... cóż, związana. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak to jest.

– Opowiedz mi! – westchnęła Eileen, ciągle się uśmiechając do Jennifer. Potem dodała: – Tak dobrze, że cię widzę. Co ty dokładnie robisz?

– Jestem prawnikiem w Fundacji Jamesa Thomsona. Dajemy pieniądze na dobre cele – – dochodzenie praw obywatelskich, tego rodzaju liberalne sprawy.

Przyjechałam tu na spotkanie. A kto to jest Kathy Dart?

– Och, musisz ją zobaczyć. Jest po prostu cudowna! – Eileen mówiła z ożywieniem, uśmiechając się promiennie. Ona jest pośrednikiem astralnym.

Wspaniałym pośrednikiem!

– Co takiego? – zapytała ze śmiechem Jennifer.

– Wiesz, kim jest pośrednik astralny, prawda?

Jennifer potrząsnęła głową, nagle poczuła się głupio.

– Przykro mi, aleja...

– Pośrednictwo astralne zostało opisane w magazynie „People”. Był tam artykuł o mocach psychicznych Kathy. Ona otrzymuje informacje od prehistorycznego człowieka, imieniem Habasza, który powrócił, żeby nam pomagać w naszym obecnym życiu.

– Jesteś w tym interesie? – zapytała Jennifer.

– To jedno z jej nielicznych wystąpień tej zimy na Wschodnim Wybrzeżu – ciągnęła Eileen.

– Wystąpienie? Czy ona urządza seanse? – Jennifer nie przestawała się uśmiechać do Eileen, rozbawiona jej ogromnym entuzjazmem.

– Nie! Ona jest pośrednikiem astralnym. – Eileen otworzyła różowy folder. – To specjalna sesja pod nazwą „Weekend z Habasza”!

– Z kim? – Jennifer wybuchnęła śmiechem, a potem dotknęła ramienia Eileen i powiedziała: – Przepraszam, byłam impertynencka.

– W porządku – odrzekła Eileen. – Nie mam ci tego za złe. Byłam taka sama, zanim go usłyszałam.

– Jego?

– Habaszę. Wiem, że to śmieszne, ale Kathy Dart jest tylko przekaźnikiem; rozumiesz, Habasza używa jej ciała, by do nas mówić. Coś w rodzaju opętania, ale to nie całkiem to samo. Ona jest pośrednikiem. Habasza mówi do nas za pośrednictwem jej ciała. Jedyne, co ona – to znaczy Kathy – robi, to pozwala sobie na odsunięcie swojej zaniepokojonej świadomości, by wiedza Habaszy – wiedza, która wymyka się świadomemu pojmowaniu – mogła napłynąć do jej umysłu i uzewnętrznić się mową.

– To oznacza medium?

– Tak, ale i coś więcej. Sama się przekonasz.

– Przekonam się?

– Tak, chodź ze mną posłuchać Kathy. Ma za chwilę sesję wprowadzającą. Wiesz,

dla małżonków, przyjaciół.

Chodź ze mną, Jenny, a potem możemy napić się kawy i porozmawiać albo zjeść obiad.

– Eileen, ja nie mogę...

– Masz jakieś plany?

– Jutro zaczyna się spotkanie fundacji.

– To tylko pół godziny – nalegała, pełna entuzjazmu.

– Dobrze, dlaczego nie? – zgodziła się Jennifer. „To może być zabawne – pomyślała – i będzie czas na rozmowę z Eileen”. – Jesteś pewna, że to potrwa tylko trzydzieści minut?

– To będzie trwało całe twoje życie, jeśli choć raz go usłyszysz – odparła Eileen, biorąc przyjaciółkę pod rękę. – Tak się cieszę z naszego spotkania. Nie widziałyśmy się od ukończenia szkoły, prawda?

Jennifer skinęła głową.

– Chyba tak. Zdaje się, że to było wieki temu. Chcę powiedzieć, iż tak wiele zmieniło się w moim życiu.

– Opowiesz mi?

Doszły do szeregu wind i Eileen nacisnęła guzik.

– Zaczyna się za pięć minut – powiedziała. – Kathy i Habasza nigdy się nie spóźnia... nie spóźniają.

– Kim ona czy on jest?... a może ono? – dopytywała się Jennifer, teraz naprawdę zmieszana.

– Pochodzi z prehistorii. Człowiek z Cro-Magnon.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Jennifer cofając się.

Eileen się roześmiała.

– Wiem, wiem. To brzmi głupio i dziwnie, ale to prawda. Poczekaj tylko. Miej otwarty umysł. Zachowywałam się tak samo, dopóki nie usłyszałam Kathy Dart. Zobaczysz.

Kiedy winda zatrzymała się, wyszły do niższej części hallu. Przez amfiladę otwartych drzwi Jennifer zobaczyła tłum zebranych już ludzi, zajmujących co najmniej sto składanych, metalowych krzeseł. Przypominało to dowolne posiedzenie, jakąś hotelową konferencję, jedną z tych, w których brała udział.

Na małej platformie w głębi pokoju znajdował się jednak fotel z wysokim oparciem obity zieloną satyną. Otoczony był kwiatami, bukietami jasnych, wiosennych pąków. Jennifer wydawało się, że całość wygląda trochę niestosownie. Piękna, kryształowa piramida zwieszała się z sufitu dokładnie nad fotelem, zdając się unosić w powietrzu niczym aureola. „Oczywiście” – pomyślała, przypominając sobie, co czytała o ruchu Nowej Ery. Kryształy kwarcu uważano za źródło energii psychicznej.

– To same kobiety – stwierdziła Jennifer, badając wzrokiem tłum.

– Tak, w większości. Naprawdę nie zwróciłam na to uwagi – odpowiedziała Eileen, kiedy weszły w przejście między rzędami i zajęły dwa kolejne miejsca.

Jennifer zauważyła, że większość kobiet jest podobna do niej. Przeważnie dobiegały trzydziestki, były dobrze ubrane, wiele z nich wyglądało na kobiety interesu – z aktówkami w rękach sprawiały wrażenie, jak gdyby przed chwilą wyszły z biura. Także nieliczni mężczyźni obecni na sali byli zadbani i równie starannie

ubrani.

– Czuję się dobrze, przychodząc na te konferencje – szepnęła Eileen swojej towarzyszce – ponieważ wszyscy wyglądają tak jak ja. Spójrz, nie możemy być szaleńcami. – Uśmiechnęła się do Jennifer. – Och, tak się cieszę, że się na ciebie natknęłam. To takie ekscytujące. – Zanim przyjaciółka mogła coś odpowiedzieć, Eileen dodała szybko: – To ona.

Jennifer spojrzała w stronę drzwi. Kathy Dart pojawiła się w wejściu i w pokoju pełnym ludzi natychmiast zapadła cisza. Jennifer wiedziała, że niegrzecznie byłoby się śmiać, ale te kwiaty, mały tron i cała ta pompa wprawiały ją w zakłopotanie. Zauważyła, że wszyscy wokół niej uśmiechali się, a niektórzy mieli łzy w oczach, wpatrując się w Kathy Dart wchodzącą do sali.

Kobieta medium kroczyła środkowym przejściem i uśmiechała się do zebranych. Miała ręce odwrócone dłońmi ku górze i zmierzając w kierunku sceny, sięgała, by pogłodzić policzek jednej kobiety, dotknąć ręki innej, by nawiązać fizyczny kontakt ze swoimi zwolennikami.

Była piękna, jak oceniła Jennifer. Piękna w jakiś delikatny, kruchy sposób. Bardzo wysoka i szczupła, miała spadziste ramiona, które tuszowały jej wzrost. Nie stosowała makijażu, a bardzo długie, proste czarne włosy podkreślały śnieżnobiałą cerę. Wyglądała jak kobieta, która potrzebuje ochrony, zbyt krucha dla tego świata. Gdy jednak wkroczyła do pomieszczenia, natychmiast wypełniła je siłą swojej obecności.

Kiedy Kathy Dart mijala ich krzesła, jej oczy prześliznęły się wzdłuż rzędu i wyłowiły twarz Jennifer; stanęła. Przez chwilę wbijała w nią wzrok, aż z anielskiej twarzy zniknął słodki uśmiech. Wyglądała na zdumioną, jakby została na czymś przyłapana. W tym momencie Jennifer poczuła, jak fala gorąca i bólu przepływa przez jej ciało, pozostawiając ją w płomieniach emocji.

Kathy Dart oderwała spojrzenie i odwróciła się gwałtownie w poszukiwaniu innej twarzy. Uśmiechnęła się ciepło do następnej osoby, jakby starając się szybko utwierdzić swoje porozumienie z audytorium. Jennifer opadła na siedzenie, cała drżąc po tej niemej wymianie.

– Ma prawie trzydzieści trzy lata – szepnęła Eileen. – Nie sądzisz, że to interesujące? Wiesz, wiek Jezusa Chrystusa.

Jennifer nie mogła złapać tchu. Kontakt wzrokowy z medium wprawił ją w zdumienie, a wyraz poruszenia na twarzy tej kobiety przestraszył ją. Odwróciła się, by spytać Eileen, czy widziała, w jaki sposób Kathy Dart patrzyła na nią, w tej samej jednak chwili zgromadzenie wydało cichy pomruk, który przetoczył się przez zatłoczoną salę, jakby tuziny matek cicho nuciły do snu swoim dzieciom.

Kobieta medium weszła na pokrytą kwiatami platformę i pomruk wzmógł się gwałtownym crescendo. Z uniesionymi rękami odwróciła się twarzą do widowni. Na szyi miała złoty łańcuch, w którym tkwił mały kryształ kwarcu.

– Dziękuję – odezwała się szeptem – za poświęcenie nam waszego obecnego czasu, za zaproszenie nas do waszego życia. – Mówiła powoli, uśmiechając się nieustannie do słuchaczy, a jej jasnyniebieskie oczy lśniły w świetle reflektora.

„Zanosi się na jedno z tych natchnionych przemówień” – uświadomiła sobie natychmiast Jennifer. Źle się czuła wśród ludzi poddających się silnym emocjom.

Zerknęła na zegarek. Było dwadzieścia po drugiej. Miała nadzieję odbyć swój popołudniowy jogging, zanim Tom wróci do hotelu. Zdecydowała, że poświęci jeszcze dwadzieścia minut, a potem wyjdzie.

– Jestem pewna, że wszyscy już coś wiecie – być może bardzo małe „coś” – o przekaźnictwie astralnym, o tym, kim jestem i jak ten nowy człowiek wszedł w moje życie – zagaiła prelegentka i publiczność się roześmiała.

„Z pewnością ma miły sposób mówienia” – zauważyła w duchu Jennifer, oceniając chłodno mówczynię.

– Mój Stary Człowiek, tak go nazywam. Bóg wie, że jest dostatecznie stary – powiedziała szybko, podnosząc głos w udanej powadze. – Ma co najmniej dwadzieścia trzy miliony lat, plus minusz kilkaset. Oczywiście może troszkę kłamać na temat swojego wieku – dodała, unosząc brwi. Potem wyrzuciła w górę obie ręce. – Ale któż by policzył! – Publiczność powitała to krótkimi oklaskami.

Eileen, siedząca obok Jennifer, wpatrywała się rozpromieniona w Kathy Dart.

– Wielu z was jednak nie wie nic o Habaszy i dlatego wygłaszam to krótkie przemówienie na początku weekendu, żeby dać wam i waszym przyjaciołom szansę spotkania mojego kochanka, mistrza, najlepszego przyjaciela. Jestem pewna, że niektórzy z tu obecnych wiedzą, iż Habasza był kiedyś moim kochankiem-wojownikiem; innym razem byliśmy piratami u wybrzeży Barbados, a w jeszcze innym czasie i miejscu był moim synem. Taka jest cudowna natura reinkarnacji. Wspaniała natura naszych duchów, nas samych, naszych dusz. Z pomocą Habaszy cofnęłam się do mojej odległej przeszłości i odnalazłam wszystkie poprzednie istnienia.

Przerwała i rozejrzała się po pokoju, ogarniając wzrokiem audytorium. Jej ogromne, porcelanowoniebieskie oczy przykuwały uwagę każdego.

– Reinkarnacja jest cudownym, dziwnym, a także pięknym aspektem naszej egzystencji. Jest podstawowym dogmatem wielu religii. Podlegam reinkarnacji! Ja wiem. I wy także wiecie w głębi serca, że w jakiś sposób żyliście już wcześniej, byliście innymi osobami, być może cierpieliście i umarliście, by potem żyć ponownie.

Znamy to z religii naszego dzieciństwa. Ja sama zostałam wychowana na katoliczkę i ucząc się pierwszego katechizmu, dowiedziałam się, jak święci z wierzeń pierwszych chrześcijan powracali po śmierci, żeby opowiedzieć zarówno o niebie, jak i o piekle. Dowiedziałam się, że pewnego dnia wszyscy staniemy przed naszym Stwórcą w wieczności.

Ściszyła głos, jak uświadomiła sobie Jennifer, żeby wywołać u słuchaczy wrażenie bliskości, zmusić ich do baczniejszej uwagi. Nawet ona pochyliła się, skupiając całą uwagę na Kathy Dart.

– Wspomniałam o reinkarnacji, bo ludzi denerwuje koncepcja, że odradzają się jakoś w innej postaci, w innym czasie. – Kathy zaśmiała się. – Przypuszczam, że gdybym myślała, iż odrodzę się ponownie z tymi wielkimi stopami, byłabym także rozstrojona, ale mam nadzieję i wierzę, że nie zdarzy mi się to następnym razem.

Publiczność wybuchnęła śmiechem. Jennifer pochyliła się do Eileen i szepnęła:

– Ma naprawdę miły sposób bycia, nieprawdaż?

– Ona jest wspaniała – przytaknęła Eileen z oczami mokrymi od łez.

– Skąd jednak wiemy, że żyliśmy już wcześniej? – kontynuowała Kathy. – Że mogliśmy być – tak jak ja – piratami na Barbados? Albo jak Shirley MacLaine, która powiedziała, że była kiedyś ciężko pracującą kobietą nocy. Wiemy – szeptała Kathy Dart – wiemy. – Przerwała i obrzuciła salę spojrzeniem swoich błękitnych oczu, uderzając się lekko w piersi małą piąstką. – Wiemy to w głębi naszych serc, prawda? Wiemy, że żyliśmy już kiedyś – szeptała, kiwając głową w stronę tłumu. Po chwili jej głos stał się silniejszy i nabrał pewności. – Wiemy, ponieważ doświadczaliśmy tego cudownego wrażenia, skręcając na rogu ulicy w jakimś obcym kraju lub patrząc na fotografię w starej, omszałej książce, że już tu byliśmy; spacerowaliśmy po tych starych uliczkach, żyliśmy w tamtych czasach. Każdy z nas mógł być metresą króla Jerzego, chrześcijaninem rzuconym lwom w Koloseum, amerykańską gospodynią, wiodącą trudne życie na naszych zachodnich rubieżach. Wymieniłam szczególnie te postaci, bo były to niektóre z moich poprzednich istnień. Żyłam i odchodziłam. Żyłam i odchodziłam znowu i znowu. Nigdy nie umieramy. Nasze duchy nie umierają. Wszyscy to wiemy, niezależnie od przekonań religijnych. Nasze dusze, my sami, nasze ego, możecie to nazwać, jak chcecie, zawsze będą istniały. Przerwała i omiotła spojrzeniem salę. Złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Wiemy to sami – ciągnęła wolno. – To tajemnica zamknięta w naszej podświadomości, ale skąd ją znamy? Oto jest pytanie.

– Właśnie – powiedziała głośno Jennifer.

– Szzzzz – Eileen szturchnęła ją łokciem. Siedziała na brzeżku metalowego krzesła. Jennifer zauważyła, że wszyscy pochylili się do przodu; wszyscy siedzieli na skraju swoich krzeseł, starając się nie uronić ani słowa.

– Pozwólcie, że powiem wam, skąd ja wiem – zaproponowała Kathy. Jej głos się wzmógł i audytorium się poruszyło. Chcieli to usłyszeć, poznać tajemnicę Kathy, Jennifer rozpoznała to wyczekiwanie. Wbrew swojemu sceptycyzmowi, ona także pragnęła poznać sekret poprzednich wcieleń Kathy Dart.

Prelegentka powróciła do swojego zielonego, krytego satyną fotela i usiadła. Nawet siedząc, zdawała się przyciągać do siebie słuchaczy. Niespiesznie poprawiła długą, białą spódnicę, pozwalając widzom oswoić się ze swoją nową pozycją.

Jennifer spojrzała na zegarek. Przebywała tu prawie dwadzieścia minut. Powinna wyjść teraz, kiedy w sali panowała chwilowa cisza, jednak zatrzymała ją na miejscu myśl, że jeśli wstanie, wszyscy będą się jej przyglądać. To błąd, iż pozwoliła Eileen Gorman namówić się do wzięcia udziału w tej dziecinadzie. Rozejrzała się i spostrzegłszy obrączkę na palcu przyjaciółki, przypomniała sobie, że zawarła ona małżeństwo zaraz po szkole średniej i nie podjęła studiów. Zdumiało to wtedy wszystkich. Było trochę plotek, że Eileen musiała wyjść za męża.

– Przypominałam każdego z was, jak sądzę – zaczęła ponownie Kathy Dart. – Po prostu godziłam się na swoją egzystencję, przeżywając ją dzień po dniu, próbując jakoś sobie radzić, być szczęśliwa, znaleźć kogoś, kogo mogłabym pokochać. Jestem pewna, że słyszeliście już coś na temat mocy kryształów kwarcu. Shirley MacLaine w swojej wspaniałej książce opowiada o kryształach i piramidach, i o tym, jak ważne były one przy odkrywaniu jej poprzednich wcieleń. Nie wiedziałam tego podczas mojego pierwszego zetknięcia z Habaszą, ale w całej historii media zawsze używały kryształów, żeby porozumieć się z duchami, wydobyć energię poprzednich istnień. –

Przerwała. – Byłam wtedy – to było w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym – na pierwszym roku anglistyki w College’u Świętej Katarzyny w St. Paul, w Minnesocie, gdy moja starsza siostra, Mary Sue, która pojechała do Etiopii z Korpusem Pokoju, przysłała mi kawałek kwarcowego kryształu. Znalazła go nad rzeką Hadar, dopływem rzeki Anaasz w południowej Etiopii. Być może niektórzy z was pamiętają, że w tym samym roku Don Johanson, paleoantropolog pracujący ze słynną rodziną Leakeyów, odnalazł szczątki samicy wczesnych hominidów i nazwał ją Lucy, od piosenki Beatlesów Lucy in the Sky with Diamonds. Lucy miała trzy i pół stopy wzrostu, mieszkała nad brzegiem płytkiego jeziora i zginęła w wieku dwudziestu kilku lat. To wszystko wydarzyło się niecałe trzy i trzy dziesiąte miliona lat temu. Lucy jest jednak bardzo ważna w naszym życiu – zwłaszcza w moim – ponieważ ona i jej przyjaciele, którzy obozowali i żyli wspólnie nad etiopską rzeką, dowiedli, że mężczyźni i kobiety zaczęli łączyć się w pary, dzielić wszystkim, pracować razem, doświadczać tego, co nazywamy ludzkimi uczuciami. Oczywiście nie wiedziałam o tym wszystkim. Liczyłam dopiero osiemnaście lat. Następnego dnia miałam obowiązkowy referat o Jane Austen i modliłam się w sekrecie, żeby wspaniały chłopak, którego poznałam na sobotnim wieczorku zapoznawczym, zadzwonił i gdzieś mnie zaprosił. Wiecie, jak to jest! – skruszona, pokręciła głową. Kobiety roześmiały się, zachwycone.

Jennifer także się uśmiechnęła, wspominając własne dorastanie.

– W każdym razie, próbowałam pracować nad moim referatem o Jane Austen, gdy razem z pocztą nadszedł mały kawałek kwarcu od mojej siostry – kontynuowała Kathy Dart, obracając w palcach jasny kryształ wiszący na jej szyi. – Trzymałam go w palcach i lekko pocierałam, bez zdenerwowania, jak przypuszczam, siedząc przy biurku w moim pokoju w akademiku. To był typowy jesienny dzień w St. Paul. Przez otwarte okno słyszałam głosy dzieciaków bawiących się na trawnikach i było mi smutno, że muszę siedzieć w domu i pracować, podczas gdy wszyscy dobrze się bawią – i wówczas usłyszałam szum w korytarzu. Obejrzałam się i w otwartych drzwiach zobaczyłam olśniewające, niebieskobiałe światło. Podniosłam rękę, żeby osłonić oczy, i wtedy, z wnętrza tego pięknego, białego światła usłyszałam głos Habaszy, który przemawiał do mnie. Przerwała na chwilę i spojrzała w dół, na swoje dłonie i mały kryształ kwarcu. W pokoju panowała cisza. Jennifer uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, czekając na dalszy ciąg historii.

– Odezwał się do mnie – mówiła cicho Kathy Dart, w dalszym ciągu utrzymując spuszczoną głowę. – Nie umiem powiedzieć, czy to były prawdziwe słowa, czy porozumiewał się ze mną telepatycznie, ale naprawdę go rozumiałam. Powiedział po prostu: „Czy jesteś gotowa mnie przyjąć?” Pamiętam, że potrząsnęłam głową. Byłam zbyt przerażona, żeby mówić. I on odszedł. „Wrócę, kiedy będziesz gotowa”. To było wszystko. Błękitnobiałe światło stopniowo gasło. Znowu usłyszałam głosy studentów, dobiegające z trawników kampusu. Habasza odszedł. Oczywiście nie znałam jego imienia. Nie wiedziałam, dlaczego mnie wybrał, ale byłam pewna, że zdarzyło mi się coś cudownego. Przerwała, spoglądając badawczo na audytorium.

– Nie widziałam go przez następne dziesięć lat. Czekał. Czekał, aż dorosnę i przygotuję się, by zostać jego gospodarzem w tym świecie. Czekał, żebym zgodziła się być jego łącznikiem. Kiedyś spytałam Habaszę, dlaczego czekał, zamiast wybrać

kogoś innego, a on wyjaśnił mi, że zostałam wyznaczona na jego ziemskiego gospodarza. Habasza i ja jesteśmy jak biegacze w nie kończącym się wyścigu – mijamy jedno drugie i zatrzymujemy się gdzieś, gdziekolwiek, by przeżyć okres kolejnego życia, a potem, po śmierci, płyniemy znowu w nieskończonych cyklach wszechświata. Oto dlaczego Kathy Dart z Rush Creek, w stanie Minnesota, córka właściciela farmy mlecznej, najmłodsza z ośmiorga dzieci, została medium Habaszy, który pierwszy raz pojawił się na ziemi u zarania cywilizacji, mieszkając na brzegu rzeki Hadar w południowej Etiopii. Habasza został zabity pewnego słonecznego popołudnia, kiedy jakiś mężczyzna uniósł się gniewem i powalił go ciosem pałki. Jego fizyczne ciało umarło w kraju, który znamy dziś jako Etiopię, tam gdzie moja siostra znalazła mały kawałek kwarcu i przysłała mi go do domu. Ten fragment Afryki, stanowiący kiedyś część świata Habaszy, związany z jego duchem, z czasem, w którym istniał na ziemi jako człowiek, zetknął się teraz ze mną. Kiedy tamtego dnia w moim pokoju dotknęłam kryształu, poprzez otchłań czasu przyciągnęłam do siebie jego duszę. Wtedy jednak nie byłam jeszcze gotowa. Nie byłam wystarczająco otwarta, by go przyjąć. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, już jako mężatka, mieszkałam w Glendora, w Kalifornii, i byłam matką kochanej, małej dziewczynki imieniem Aurora. Pewnego letniego ranka obudziłam się i zrozumiałam, że nie kocham już mego męża, nienawidzę mojego życia i muszę coś zrobić, żeby się ratować. Wstałam przed świtem, wymknęłam się do salonu i podeszłam do dużego okna, wychodzącego na cichą, podmiejską ulicę. Na dworze dniało. Widziałam długi szereg palm rosnących wzdłuż naszego zaułka, a kiedy usiadłam w fotelu przy oknie, zauważyłam mój afrykański kryształ. Aurora wyjęła go z pudełka na biżuterię, żeby się nim pobawić. Podniosłam kamień i zaczęłam delikatnie pocierać palcami gładką, czystą powierzchnię. Płakałam. Pamiętam widok łez, rozpryskujących się na moich rękach, a kiedy znowu wyjrzałam przez okno, zobaczyłam jego. Szedł do mnie pustą ulicą i tym razem czułam, że jestem gotowa, wycierpiałam dość, żeby stać się godną niego. W tamtej chwili wiedziałam, że zostanę jego medium. Mieszkam teraz z moją córką i kilkorgiem przyjaciół na starej, rodzinnej farmie we wschodniej Minnesocie. Właśnie tam produkujemy taśmy i książki, w których przedstawiona jest mądrość Habaszy. Stamtąd przyjeżdżam, by prowadzić te weekendowe sesje wspólnie z Habaszą. Również dzisiaj, dla tych wszystkich, którzy pragną go usłyszeć, będziemy mieli wieczorem sesję. Skontaktujemy się z nim i mam nadzieję, że weźmiecie w niej udział. Wiem, że to zmieni wasze życie. Teraz muszę kończyć, ale, używając słów Habaszy, „odchodzę tylko dla przyjemności powrotu”.

Zeszła z platformy, ujmując rękę wysokiej, szczupłej, pięknej dwunastoletniej dziewczynki, bardzo do niej podobnej i skierowała się do bocznego wyjścia. Słuchacze wstali i zaczęli klaskać. W drzwiach Kathy Dart zatrzymała się, pomachała ręką na pożegnanie i dramatycznie zniknęła.

– Och, Jennifer, czy ona nie jest cudowna? – powiedziała szybko Eileen, kiedy oklaski ucichły.

Jennifer zawahała się. Musiała przyznać, że Kathy Dart zrobiła na niej wrażenie, ale nie umiała jeszcze sprecyzować, jakiego rodzaju.

– Cóż, jest z pewnością inna. – Wzięła głęboki oddech.

– Ona jest wspaniała! – stwierdziła Eileen wstając.

– Tak. Myślę... – Jennifer podniosła się. Występ tej kobiety oszołomił ją. – Zdaje się, że nie wiem, co o tym sądzić. – Odwróciła się do wyjścia; chciała zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Przyjdiesz dziś wieczorem? Na sesję kontaktu z Habaszą?

– Chyba nie. To wystarczy, muszę przygotować się do mojego spotkania. Pomijając wszystko, co znaczy słowo „Habasza”? – spytała, by zmienić temat.

– „Habasza”? To jego imię. Kathy powiedziała nam, że znaczy ono „Spalona twarz”, to jest etiopskie imię. Sam je sobie nadał, bo kiedy przyszedł na świat jako kobieta, Lucy, hominidzi nie rozwinęli jeszcze mowy.

– Ale Kathy Dart oznajmiła, że on ma co najmniej dwadzieścia trzy miliony lat. Nie rozumiem. Lucy liczy sobie tylko cztery miliony lat.

– Tak, wiem. – Eileen skinęła głową. – Kathy powiedziała, że duch Habaszy pojawił się na ziemi „w ludzkiej postaci” cztery miliony lat temu, kiedy narodził się człowiek. Potem miał inne egzystencje, inne wcielenia. Tak jak my. Ale jego duch, czy dusza, jest starszy.

Jennifer potrząsnęła głową. Czar prysnął. Nie czuła się już onieśmielona przez Kathy Dart. Tylko krótką chwilę miała wrażenie pustki, ale teraz doszła już do siebie. Jennifer nie była podobna do Eileen Gorman. Nie znajdowała się pod tak przemożnym wpływem tamtej kobiety, by tracić poczucie rzeczywistości.

– Tak... Nie wiem, kim byłam kiedyś, ale z pewnością nie należałam do hominidów, protohominidów, czy jak się je nazywa.

– Ależ nie możesz tego wiedzieć, Jenny. Nie wiesz, kim byłaś. Właśnie dlatego to wszystko jest takie ekscytujące.

– Co jest takie ekscytujące?

– Komunikowanie się z Habaszą. On powie ci, kim byłaś kiedyś.

Jennifer zaczęła kręcić głową, zanim jej przyjaciółka skończyła mówić.

– To nie dla mnie. Mam dość złych wspomnień z jednego, obecnego życia. Nie muszę poznawać innych egzystencji.

– Och, Jenny, tylko spróbuj tego. Przyjdź zobaczyć, jak Kathy Dart porozumiewa się z Habaszą, a dowiesz się, kim byłaś w poprzednich wcieleniach.

Jennifer przypomniła sobie wyraz twarzy medium, kiedy ją spostrzegło, przypomniła sobie, jak jej ciało zapłonęło bólem i pasją.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie chcę wiedzieć.. – Naprawdę była zdecydowana. Nie chciała wiedzieć ani nie chciała nigdy więcej spotkać Kathy Dart.

– Przepraszam – powiedział jakiś młody mężczyzna, podchodząc do nich.

Jennifer i Eileen natychmiast przerwały rozmowę i obie spojrzały na niego.

Młody człowiek uśmiechał się. „Wygląda na studenta – pomyślała od razu Jennifer. – Być może na studenta piszącego pracę dyplomową”. Zauważyła natychmiast jego oczy. Były szare i miały migdałowy kształt, jak oczy jej brata.

– Nazywam się Kirk Callahan – przedstawił się szybko, jakby w obawie, że zaraz odejdą. – Przygotowuję dla magazynu „Hippocrates” artykuł o Kathy Dart. Chciałem zapytać, czy mogą mi panie poświęcić kilka minut, żeby porozmawiać o niej, o waszych doświadczeniach z mediumizmem. – Uśmiechał się bez przerwy, a całą uwagę skupił na Jennifer, która pokręciła przecząco głową.

– Nie ja! – broniła się, a potem zaśmiała. – Być może moja przyjaciółka

porozmawia z panem. Ja nic nie wiem o tej sprawie. – Spojrzała na Eileen i dorzuciła pospiesznie, bo właśnie przyjechała winda: – Zadzwoń do ciebie później. Cześć! – Zdażyła wejść do kabiny, w chwili gdy drzwi miały się zamknąć, szczęśliwa, że znalazła się daleko od tych wszystkich ludzi z Nowej Ery.

Rozdział 2

Jennifer opuściła hotel bocznymi drzwiami, po porośniętym trawą zboczku zbiegła w głąb Rock Creek Park i znalazła ścieżkę dla rowerzystów, o której wiedziała, że świetnie nadaje się do biegania. Skręciła w prawo i przejściem podziemnym pod Massachusetts Avenue skierowała się w stronę Georgetown i C and O Canal. Na ziemi leżało trochę śniegu, ale ścieżka była czysta i sucha.

Godzina spędzona z Kathy Dart wzburzyła ją, czuła, że bieganie może jej pomóc usunąć napięcie. Zawsze tak się działo. Na dróżce było tylko kilku biegaczy i Jennifer łatwo nabrała prędkości. Nie trenowała od kilku dni i zdumiewało ją, że mięśnie są tak rozluźnione. Rozsunęła suwak swojej goreteksowej bluzy i wydłużyła krok.

C and O Canal było najlepszym miejscem do joggingu w Waszyngtonie. Znajdowało się tam dość przestrzeni zarówno dla pieszych, jak i dla rowerzystów. Z łatwością mijała innych biegaczy, trzymając się blisko wąskiego pasa mętnej wody po swojej prawej stronie. Trasa ta była dawniej ścieżką holowniczą, używaną do ciągnięcia barek w górę i w dół kanału aż do Wirginii Zachodniej, ale teraz biegła tylko trzynaście mil do Marylandu.

Jennifer wiedziała, że nie potrafi pobiec tak daleko. Nigdy w swoim życiu nie przebiegła więcej niż trzy mile. Początkowo zajęła się tym sportem, bo był ważny dla Toma i dawał jej jeszcze jedną szansę, żeby być razem z nim. Teraz biegła, bo pokochała uczucie, jakie jej to dawało, wrażenie bycia w dobrej formie, sprawowania kontroli nad swoim życiem.

Wyprzedziła rowerzystę, pochylonego nisko nad przednim kołem. Był ubrany w obcisły, czarny strój kolarski, miał rękawiczki i czarny kask. Pochwyciła jego zdumione spojrzenie, kiedy przemknęła obok, ledwie dotykając stopami ubitej ziemi. Oddychał ciężko, posapując, a kiedy mijała go, uniósł się z siodełka i mocniej nacisnął na pedały. Uśmiechnęła się i przyspieszyła. Przez kilka jardów słyszała za sobą jego ciężki oddech i równy dźwięk kół, toczących się po twardym podłożu, ale stopniowo odgłosy cichły i kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła kolarza znikającego z pola widzenia.

Biegając starała się ustalić równy, lekki krok, jak uczył ją Tom. „Biegaj całą sobą” – nalegał zawsze. Jennifer nigdy nie była dość silna, by dorównać mu w szybkości i łatwości biegania. Teraz jednak Kathy Dart zdenerwowała ją i chciała wypalić swój gniew.

Utrzymywała tempo. Podążając wzdłuż Parkway, minęła już dawno Georgetown i zostawiła w tyle innych biegaczy, a nawet kilkunastu rowerzystów.

W końcu zdecydowała, że powinna wrócić do hotelu; robiło się ciemno, a ona nie знаła kanału w takim oddaleniu od Georgetown. Zwolniła kroku i stopniowo przeszła do marszu. Poczowała teraz ból i widząc znak drogowy przy ścieżce, wychyliła się, by

odczytać:

TRZYNAŚCIE MIL

Jennifer zerknęła na zegarek. Było po piątej. Biegała przez półtorej godziny.

– Co było potem? – – spytał Tom. Leżąc w łóżku, przewrócił się na bok, żeby popatrzeć na Jennifer.

– Cóż, próbowałam pobiec z powrotem, ale nie dałam rady, za bardzo bolały mnie mięśnie. Wyszłam znad kanału – była tam roгатka – przeszłam do Parkway i jakaś kobieta podwiozła mnie samochodem. Podrzuciła mnie do hotelu. Była wspaniała. To znaczy inna niż nowojorczy. – Z jękiem odwróciła się do Toma.

– Nie mogę uwierzyć, że pobiegłaś tak daleko – odparł mężczyzna. Uniósł się na łokciu. – Nigdy nie biegałaś więcej niż trzy mile, prawda?

Jennifer przytaknęła ruchem głowy.

– Myślę, że po prostu miałam ochotę pobiegać i na dodatek czułam się taka spięta po tym spotkaniu z medium.

– Co takiego?

– Nie chciałbyś o niej słuchać. – Jennifer znowu się poruszyła z wielkim wysiłkiem, oszczędzając obolałą prawą nogę, i wyciągnęła się na brzuchu. – Myślałam, że seks powinien odprężyć.

– Odpręża. Ale trzeba powtarzać terapię. – Przycisnął się do niej.

– Spokojnie – powiedziała.

– To twoje nogi są obolałe, kochanie.

– Wszystko jest obolałe. – Przytuliła się do niego pragnąc, by ją objął.

Czekał już na nią, kiedy wróciła z drugiego joggingu i razem wzięli prysznic, i kochali się stojąc pod strumieniami wody, z ciałami pokrytymi mydlaną pianą. Wolałaby zaczekać, aż będą w łóżku, ale on nie mógł się powstrzymać, nie chciał – i pozwoliła mu zrobić to, na co miał ochotę.

Skończył szybko, zanim była gotowa, potem podniósł ją, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, opłotła nogami w pasie. Zaniósł ją do szerokiego łóżka, gdzie przemoczyli prześcieradła i koce swoimi wilgotnymi ciałami i znowu się kochali; tym razem ona także doszła do końca – długi, rozkołysany orgazm wycisnął wszystkie siły z jej członków. Intensywność tego przeżycia doprowadziła ją do płaczu, a kiedy mężczyzna wyrzucił z siebie strugę nasienia, przeżyła drugi szczyt, tak samo gwałtowny i wstrząsający jak pierwszy. Nie pozwoliła mu wysunąć się z jej ciała. Obejmowała go mocno, jakby był sekretną nagrodą, którą chciała zatrzymać na zawsze w swoim wnętrzu.

Zasnęli objęci ramionami, a kiedy Jennifer się obudziła, poczuła ból w łydkach i udach i opowiedziała Tomowi o tym, co się zdarzyło.

– Co chcesz robić? – wyszeptał jej do ucha.

– Nic. Pragnę tylko przez resztę życia leżeć w twoich ramionach. – Naprawdę tak myślała. Nie chciała się nawet poruszyć. Czuła się szczęśliwa w objęciach Toma, kiedy trzymał ją i nie musiała nigdzie iść ani nic robić. Wyczuła jednak sens jego pytania. Tom nigdy nie prosił wprost, zawsze starał się postawić ją w takiej sytuacji,

żeby mógł robić to, na co ma ochotę.

– Jestem dziś umówiony na obiad – oznajmił.

– Cholera! – Uniosła się, żeby spojrzeć prosto na niego. Ciemne oczy, błyszczące nawet w przyćmionym świetle pokoju, zawsze mocno poruszały Jennifer. Nie widziała jego twarzy. – Teraz powtórz to – rozkazała.

– Skarbie, sam dowiedziałem się dopiero czterdzieści minut temu. Zostałem wiadomością, kiedy wróciłem do hotelu. DA chce, żebym porozmawiał z jedną osobą, którą zamierzają zatrudnić. Przecież to tylko obiad. Będę wolny przed dziewiątą i będziemy mogli wrócić i zająć się tym jeszcze trochę. – Poruszył się tak, że mogła czuć jego erekcję.

– Nie – poprosiła, ale wiedziała, że w jej sprzeciwie nie było stanowczości i że on nie przestanie. Właściwie ona także chciała się kochać. Nie nasyciła się nim jeszcze tego popołudnia i pożądanie sprawiało jej przyjemność. W Nowym Jorku byli zawsze w biegu, kochając się pospiesznie w krótkich chwilach, które zdolali skraść swojej pracy.

– Odwróć się – rozkazał. Kiedy usłyszała ostry ton w jego głosie, poczuła, jak twardnieją jej sutki. – W ten sposób – instruował ją, a ona pozwoliła, by podciągnął ją do góry w pasie. Klęczał już na łóżku.

– Nie, kochanie, to boli.

Tom nie odpowiedział. Jego dłonie obejmowały jej talię i gdy próbowała się cofnąć, przytrzymał ją. Jennifer nigdy nie lubiła, kiedy wchodził w nią od tyłu i nie mogła widzieć twarzy kochanka. Zgodziła się tylko dlatego, że tak bardzo się tego domagał.

– Kochany – wyszeptała, ale on nie odpowiedział. Wiedziała, że nie odpowie; nigdy nic nie mówił, kiedy się kochali.

Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni są tacy sami. Czy wszyscy uprawiają seks jak zwierzęta, cicho i celowo, bez czułych słów. A może to ona jest temu winna? Czyżby jakoś zmuszała mężczyzn do zachowywania się w pewien określony sposób?

Westchnęła. Znalazł się wewnątrz niej i opadła na mokre prześcieradła hotelowego łóżka. Jej twarz była przyciśnięta do materaca, uchwyciła jego brzeg, gdy twarda męskość mocno się w nią wbijała. To nie była pozycja, której pragnęła, ale kiedy przytrzymał ją za ramiona, wciskając się głęboko w jej wnętrze, poczuła napływający z zawrotną siłą orgazm. Wzbierał wciąż, zapierając oddech w piersi, aż jęknęła boleśnie, a ciało wstrząsnęło się i zadrżało, a potem odczuwała spełnienie znowu i znowu, kolejnymi falami słodkiej rozkoszy.

Obudziła się w ciszy wielkiego domu i usłyszała, że pokoje szepczą do niej. Jej pluszowy miś i szmaciana Ania także słuchały, dając dziewczynce poczucie bezpieczeństwa. Przyciągnęła bliżej obie zabawki i wśliznęła się głębiej między miękkie koce. Przez okno widziała księżyc i księżycowe cienie rozlewające się po dywaniku, równie upiorne jak jej sny.

Uwielbiała swój pokój. Był bezpieczny i przytulny, pełen zabawek, spędzała w nim długie godziny z Barbarą Anną, Sally i resztą swoich lalek. Mogła zrobić herbatę i kanapki i wydawać przyjęcia tylko dla siebie i swoich przyjaciółek – lalek.

Urządziła także przyjęcie dla Sama, kiedy wrócił do domu z internatu. Zamknęli drzwi na klucz, usiadła mu na kolanach i udawali, że nie ma żadnej wojny w Europie, że są całkiem sami w dużym domu, a mama i tata wyjechali gdzieś daleko, daleko. Nocą jednak, kiedy wszyscy już spali, bała się być sama. Bała się duchów i goblinów, nietoperzy i małych jaszczurek, mieszkających w kątach jej pokoju. Czekwały na nią także pod schodami i między krokwiemi strychu, i za kanapą w salonie – znikwały, kiedy tylko ktoś wchodził, ale nocą wypełzały, żeby pożreć wszystkich ludzi. Sam opowiadał jej tyle, szepcząc do ucha, a ona nie chciała w to wierzyć, lecz wiedziała, że to prawda i pragnęła znaleźć się w ramionach Sama, chroniona jego uściskiem. Pierwszy raz opowiedział jej o latających jaszczurkach i duchach pewnego ciepłego, letniego popołudnia, które spędzili na strychu, leżąc razem na stosie starych ubrań matki. Szukał swoich ochraniaczy futbolowych. Tego roku skończył czternaście lat i chciał zabrać ochraniacze ze sobą do prywatnej szkoły, przygotowującej do studiów. Przeszukiwali razem kufry i Sam powiedział jej, żeby zdjęła swoją białą bluzkę i szorty i przymierzyła kilka strojów mamy. „Dobrze” – uśmiechnęła się, podobał jej się pomysł zdjęcia ubrania. Na strychu było gorąco, słońce grzało przez małe okienko, a Sam już wcześniej widywał ją bez ubrania, zawiniętą w kąpielowy ręcznik. Tym razem było jednak inaczej. Miała już piersi, malutkie piersi i mama powiedziała jej, że będzie potrzebowała staniczka, zanim zacznie się szkoła. Zdjęła więc bluzkę i spodenki i przymierzała suknie, pozując przed Samem, krygując się przed lustrem opartym o ścianę strychu. On szukał dalej i znalazł roboczy komplet, który włożył do pudełka, żeby znieść go na dół. Nie chcieli jeszcze opuścić strychu, a ona znudziła się przymierzaniem starych strojów, więc położyła się na miękkim stosie porzuconych sukienek. Było ciepło i podobało jej się, jak brat patrzył na nią, dlatego się nie ubrała. Leżąc tak na stosie mięciutkich tkanin, zasnęła, a kiedy znowu się poruszyła, Sam leżał obok niej, obejmując ją, dotykając. Powiedział, że tęsknił za nią, przez cały rok tęsknił za domem, nienawidził szkoły z internatem. Zaczął płakać, a ona pocałowała jego miękki policzek, objęła go i obiecała, że będzie codziennie pisać. Potem zaczął całować jej usta tak, jak to robią w kinie. Kazała mu przestać, bo będą mieli kłopoty, ale odparł, że wszystko jest w porządku, a on nikomu nie powie. Spytał, czy ona też będzie milczała, a dziewczynka potrząsnęła tylko głową, zbyt przestraszona i podekscytowana, żeby mówić. Coś działo się między nimi, a ona nie rozumiała co ani dlaczego, ale wiedziała, że nie może – i nie chce – tego przerywać, czekała i obserwowała swojego brata, pozwalając mu robić wszystko, co tylko chciał. Zdjął jej majtki i odrzucił je, a potem sam zdjął spodnie i zaczęła chichotać. Spodobało jej się jednak, kiedy poczuła nagle, że jej ciało całe drży, a potem Sam pokazał, co robią chłopcy i co robią dziewczynki, i to było cudowne. Trochę bolało, ale powiedział, że to jest w porządku, nie będzie już więcej bolało, nie następnym razem. Była taka szczęśliwa, kiedy jej to oznajmił; wiedziała, że chce to zrobić jeszcze raz.

Po wszystkim cichutko leżeli razem na ciepłym, zatechłym strychu, a kiedy on powiedział, że ją kocha, odpowiedziała, że także go kocha. Ostrzegł, że nie mogą powiedzieć o tym rodzicom; potakując kiwnęła głową. Nie chciała im mówić. Wolą, żeby to był na zawsze ich sekret. Później, kiedy założyli ubrania, położył jej ręce na piersiach, a potem objął ją ramionami i przytulił, i całowali się jak w kinie.

Spytała, czy mogą zrobić to jeszcze raz, a on odparł, że tak, w nocy, kiedy mama będzie spała i cały dom będzie cichy. Przyjdzie do jej sypialni i będą spać razem każdej nocy, dopóki nie wyjedzie do szkoły. Uśmiechnęła się. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa jak wtedy.

Kiedy wyjechał do szkoły, pisała prawie codziennie. Gdy jednak następnym razem przyjechał do domu, był inny. Zaczął palić i ich matka krzyczała na niego. Oni płacili dwa tysiące dolarów rocznie za jego edukację, przypominała, a on wygląda jak jeden z tych młodych chuliganów, którzy włóczą się po ulicach.

Siostrzyczka uważała, że wygląda schludnie, ale kiedy przytuliła się do niego, zachował się śmiesznie, jakby już jej nie lubił, i poczuła się dotknięta. Później, w łóżku, płakała w poduszkę, tłumiąc szloch, żeby nie usłyszał.

Teraz zastanawiała się, czy powinna zakraść się na dół, do hallu, żeby go zobaczyć, ale bała się opuścić pokój. Wyjaśnił kiedyś, że w jej sypialni jest bezpieczniej, bo znajduje się na końcu korytarza, daleko od sypialni matki, położonej przy szczycie schodów.

Odrzuciła koc, podniosła się i stanęła przed okienną szybą, czując chłodne powietrze, które sączyło się z zewnątrz, i wpatrując się w śnieg na trawniku. Jutro będą mogli ulepić bałwana – pomyślała. Ona i Sam zrobią wielkiego bałwana. Miała nadzieję, że śnieg się będzie dobrze lepił. Może on ma dziewczynę. Wiedziała, że naprzeciwko jego szkoły była szkoła dla dziewcząt. Poczuła ukłucie zazdrości. Usłyszała skrzypnięcie drzwi i kiedy się odwróciła, zobaczyła Sama wślizgującego się do pokoju. Zamknął za sobą drzwi.

– Sam! – wyszeptwała, wskakując do łóżka.

– Szxxx, na Boga!

– Nie usłyszają nas! – nalegała. – Chodź tutaj, proszę.

Czekałam na ciebie.

Powoli usiadł na łóżku, a ona natychmiast zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta.

– Nie. – Odepchnął ją i nawet na nią nie spojrział. – O co chodzi? – Usiadła z powrotem, bliska łez.

Siedział na brzegu łóżka, pochylony do przodu tak, że drugie włosy opadały mu na twarz i nie mogła go widzieć. Schudł, od kiedy wyjechał do szkoły.

– Jesteś na mnie wściekły? – zapytała cichutko.

Pokręcił głową, potem spojrział na nią i odrzucił włosy do tyłu.

– Nie – przyznał. – Nie jestem wściekły.

– Brakowało mi ciebie.

– Mnie też ciebie brakowało, kochanie.

– Myślałam, że może przyjedziesz do domu na Święto Dziękczynienia.

Sam wzruszył ramionami.

– Nie mogłem. Byłem chory. Mama ci mówiła, prawda? – Wyciągnął się na łóżku i położył głowę na poduszce.

– Ale myślałam, że przyjedziesz, żeby się ze mną zobaczyć. – Przytuliła się do swojego dużego brata i objęła go. – Tak mi ciebie brakowało – powtórzyła.

Skinął tylko głową.

– Tęskniłeś za mną? – spytała.
– Jasne, że za tobą tęskniłem, głuptasku. – Odwrócił się i zaczął ją laskotać.
– Przestań! – roześmiała się szamocząc, by utrzymać jego ręce z dala od swojego ciała.

Przestał i leżeli razem, uśmiechnięci, patrząc jedno na drugie. Zapytała:

– Masz w szkole jakąś dziewczynę?

– Nie, głuptasku, ty jesteś moją jedyną dziewczyną. – Przycisnął ją do siebie, a ona pocałowała go w szyję.

– Mogę czasami wpadać, żeby odwiedzić cię w szkole? Wiesz, pytałam mamę i się zgodziła.

– Sam nie wiem. Gdzie byś się zatrzymała?

– Nie mogłabym mieszkać z tobą, w twoim pokoju?

– Nie, nie możesz mieszkać ze mną, na miłość boską. – Odwrócił się od niej i patrzył w sufit.

– O co chodzi, Sam? – Przytuliła się do niego i zarzuciła na niego jedną nogę.

– O nic nie chodzi. – Uwolnił się od niej i znowu usiadł na skraju łóżka.

– Dokąd idziesz?

– Słuchaj, Nora, nie możemy tego więcej robić.

– Sam, ja nie powiedziałam mamusi.

– Jezu, ale z ciebie dzieciak. Nie wiesz, o czym mówisz. Widzisz, to nie jest dobre.

– Wstał i podszedł do okna. Jego – twarz rysowała się ostro w świetle księżyca.

– Ale ja cię kocham, Sam. Poza tym to sprawia, że czuję się wspaniale. – Wstała z łóżka, podbiegła do okna i objęła go. Urósł od czasu swojego wyjazdu z domu. Objął ramieniem jej szczupłe barki i przycisnął do siebie. Przytuliła twarz do jego piersi i pocałowała bawełnianą piżamę. Uwielbiała jego zapach. Kiedy wyjechał do szkoły, przeszukała szuflady jego komody, zabrała jedną z letnich koszul brata i spała w niej przez całą jesień. Kiedy mama odkryła tę koszulę w jej pokoju, uśmiechnęła się tylko i pokręciła głową, potem pocałowała córkę w czoło. Była zadowolona, że są tak dobrymi przyjaciółmi.

– Czy mnie nie lubisz, Sam? – zapytała, spoglądając na niego.

Wzruszył ramionami.

– Masz dopiero trzynaście lat. Wiesz, że mógłbym pójść za to do więzienia albo coś w tym rodzaju.

– Nie mogą wsadzić cię do więzienia. Masz szesnaście lat. Nie wsadzają do pudła szesnastoletnich dzieciaków. A ja w przyszłym miesiącu skończę trzynaście lat. Czytałam w książce, że z powodu wojny dziewczęta w Europie wychodzą za mąż w wieku trzynastu lat.

– Nie za swoich braci, w każdym razie. – Wysunął się z jej ramion i ponownie położył na łóżku.

Poszła za nim.

– W końcu nie jestem twoją prawdziwą siostrą. Jesteśmy tylko przyrodnim rodzeństwem. Założę się, że możemy się pobrać. Muszę spytać mamę, czy możemy.

– Nic jej nie mów! – Sam chwycił ją za ramię.

– Nie powiem. Sam, puść mnie. To boli! – Jej oczy napełniły się łzami i odsunęła się od niego. – Nie powiedziałam mamie o niczym, ty frajerze!

– Szzzz – szepnął Sam, zasłaniając jej ręką usta.

Oboje nasłuchiwali czujnie.

– Nic nie słyszę – wyszeptła, wślizgując się do łóżka i odsuwając pluszowego misia i lalkę do ich rogu za poduszką. Sam słuchał przez kilka minut, obracając głowę tak, żeby mógł usłyszeć każdy hałas z korytarza, a potem się rozluźnił i z westchnieniem położył obok niej na łóżku.

– Jestem zmęczony. Chcę iść spać.

– Ze mną, proszę – błagała, przysuwając się bliżej, ale on nic nie mówił, tylko leżał koło niej z zamkniętymi oczami. – Możemy po prostu spać w moim łóżku – powiedziała. – Nie musimy nic robić. Proszę...

Nie odpowiedział. Po prostu odwinął koc, wsunął pod niego swoje długie nogi i przykrył ich oboje. Zadowolona, położyła się na łóżku i przysunęła blisko niego, potem wzięła jego rękę i położyła na swoim ciele.

Dotknął jej, a ona otworzyła oczy i wpatrywała się w blask księżyca, wpadający przez okno. Nie poruszyła się. Czekala, aż sam zacznie. Jego oddech stawał się cięższy, głębszy i ona także zaczęła zrównywać swój oddech z jego urywanym dyszeniem. Włożył rękę pod jej długą, wełnianą koszulę nocną i przesunął ją w górę, by dotknąć piersi. Przez chwilę ta ręka na jej ciele była lodowato zimna.

Szamotał się, żeby być bliżej niej, wsunąć drugą rękę między jej nogi. Oddychał ciężko, jakby biegł długo, żeby jej dosięgnąć. Kazała mu poczekać, wyskoczyła z łóżka i udało się jej szybko zdjąć koszulę przez głowę.

Poczuła nagły przepływ zimnego powietrza między nogami... i zapłonęły światła. Z koszulą nocną trzymaną wysoko nad głową odwróciła się od brata, leżącego między kocami jej łóżka, by ujrzeć stojącą w drzwiach matkę.

Rozdział 3

Kiedy Jennifer się obudziła, Toma już nie było, a pokój tonął w ciemnościach. Nie zdążyła jeszcze całkiem oprzytomnieć, gdy zadzwonił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, odchrząknęła i kilkakrotnie powtórzyła głośno „halo”, żeby jej głos nie zdradzał, iż spała o tak wczesnej porze.

– Jennifer? To ja, Eileen. Obudziłam cię?

– Ależ skąd! Przeglądałam raporty. Zawsze sprawiają, że wydaję się zaspana. – Jennifer usiadła. – Dzięki, że zadzwoniłaś. Potrzebowałam przerwy. – Starła się nadać głosowi różne brzmienie, właściwe osobie zajętej interesami.

– Cóż, nie chcę ci się naprzykrzać. Wiem, że jesteś tu w interesach...

Jennifer się uśmiechnęła. Nagle się ucieszyła z telefonu Eileen.

– Pomyślałam, że jeśli nie jesteś zajęta... To znaczy, jeśli nie masz teraz żadnego spotkania, mogłybyśmy zjeść razem obiad.

– Z przyjemnością, ale czy nie masz teraz sesji z Kathy Dart i jej przyjaciółmi?

– Dopiero o dziewiątej trzydzieści. Jennifer, jeśli jesteś zajęta, czy coś w tym rodzaju, wiesz, ja to rozumiem.

– Eileen, chciałabym się z tobą zobaczyć. Swoją drogą, która godzina? – Sięgnęła po zegarek.

– Siódma dwadzieścia.

– Dopiero? Czuję się tak, jakby była jedenasta w nocy. Biegałam dziś po południu.
– Uprawiasz jogging? Jennifer, jesteś innym człowiekiem.
– Tak... wiesz, myślę, że obie nie wiemy o sobie nawzajem wielu rzeczy. – Całkiem obudzona, poczuła się teraz głodna. – Eileen, muszę zmienić ubranie. Możesz dać mi dwadzieścia minut?

– Oczywiście. Spotkamy się na dole o ósmej.

– Świetnie.

– Zatem, do zobaczenia w salonie – powiedziała Eileen i szybko dodała: – Och, jeśli masz czas, może poszłabyś na dzisiejszą sesję Kathy Dart i Habaszy? Mam dodatkowy bilet.

Jennifer się roześmiała.

– Dziękuję, jednak nie. Wystarczy jedna sesja z twoim guru. Mam za to kilka pytań na jej temat. Do zobaczenia o ósmej. Cześć.

„Właśnie Eileen Gorman, spośród wszystkich ludzi” pomyślała, odkładając słuchawkę. Powoli wstała z łóżka i naga poszła do łazienki, w dalszym ciągu obolała po długim biegu i gwałtownym starciu miłosnym z Tomem.

– Pierwszy raz usłyszałam Kathy osiem miesięcy temu – mówiła Eileen. Rozmawiały o dzisiejszej prelekcji, przeglądając menu. Jennifer spytała, jak Eileen dowiedziała się o tym medium.

– Kiedy tylko zobaczyłam Kathy, porozumiewającą się z Habaszą, wiedziałam, że właśnie tego w życiu szukałam.

– Szukałaś? Co masz na myśli?

Eileen odłożyła obszerną kartę dań i westchnęła. Siedziała dokładnie na wprost Jennifer, ale spojrzenie miała nieobecne, utkwione gdzieś w przestrzeni.

– Byłam zagubiona. To znaczy byłam mężatką, ale Todd miał swoją pracę, a co ja miałam? Brydż? Mecze tenisa? Zakupy? Wiesz, mieszkałam na Long Island. Miałam – mam – wszystko, czego mogłabym pragnąć. Jestem szczęściarą, przyznaję, i nie było najmniejszego powodu, żebym czuła, że coś straciłam, ale tak to właśnie wyglądało. Naprawdę byłam zagubiona. Samotna. Chodziłam na deptak i po prostu spacerowałam, robiłam nie kończące się, bezużyteczne zakupy i nie przynosiło mi to żadnej satysfakcji. Nie noszę większości tych szmatek, którymi zapchałam nasze szafy. Zaczęłam nawiązywać romanse, po prostu, żeby coś robić, nadać jakiś sens mojemu życiu, czy coś w tym rodzaju.

– Eileen, myślałam...

– Słuchaj, Jennifer, nie jestem wyjątkiem. Połowa kobiet z Long Island żyje w podobny sposób. Wiesz, ty masz szczęście. Robisz wspaniałą karierę. Masz własne życie, interesujących przyjaciół.

– Eileen, ty też mogłabyś tak żyć! Jesteś atrakcyjna, inteligentna. To ty wygłaszałaś mowę pożegnalną w imieniu całego naszego roku.

Eileen potrząsnęła głową, przerywając replikę przyjaciółki.

– Wiesz, że wyszłam za mąż zaraz po skończeniu szkoły. Prawda jest taka, że musieliśmy się pobrać. To był ten facet, Tim Murphy – poznałam go w Jones Beach. Oboje byliśmy ratownikami wodnymi. Cóż, zaszłam w ciążę. – Wzruszyła ramionami, spojrzała na Jennifer i skrzywiła się, jakby chciała powiedzieć, że jej

życie przeminęło, wszystko się skończyło. Oczy jednak miała błyszczące. Pochyliła się i uśmiechnęła. – To nie ma żadnego znaczenia. Takie życie było mi przeznaczone. To była moja karma.

Jennifer zachnęła się.

– Eileen, sami decydujemy o własnym życiu. Mamy nad nim kontrolę. Jak myślisz, dlaczego kobiety walczyły tak ciężko o równe prawa? O co właściwie chodzi w całym Ruchu Wyzwolenia Kobiet?

– To nie jest sprawa kobiet, Jennifer. To jest poza „tu i teraz”, poza wszystkimi codziennymi problemami.

– Eileen, ruch feministyczny to nie były – nie są – codzienne, małe problemy.

– Jennifer, nie słuchasz mnie. Nie słyszysz, co próbuję ci powiedzieć.

– Przepraszam, ale... Eileen przerwała jej.

– Kathy Dart jest najbardziej godną uwagi kobietą, którą kiedykolwiek spotkałam. Być może najwybitniejszą z obecnie żyjących.

– Eileen, proszę. – Jennifer spuściła wzrok na menu.

– Tak uważam! Ty jej nie znasz. Nie podlegałaś temu. – W jej głosie zabrzmiał gniew.

– Przepraszam. – Jennifer starała się ułagodzić koleżankę. – Masz rację. Spytałam o Kathy Dart i nie dałam ci szansy nic wyjaśnić. Jest kelnerka. Złożmy zamówienie i będę już cicho. Obiecuję. – Uśmiechnęła się do Eileen i przez chwilę próbowała skoncentrować się na przesadnie rozbudowanej karcie dań, stwierdziła jednak, że jest zbyt zdenerwowana. Kiedy podeszła kelnerka, poprosiła o specjalność wieczoru.

– Pierwszy raz zobaczyłam ją w telewizji – zaczęła Eileen. – To był show Dziś rano, było tam troje czy czworo ludzi, media, osoby obdarzone zdolnościami parapsychologicznymi. Nigdy w życiu nie myślałam o niczym takim. Miałam po prostu włączony telewizor i patrzyłam, siedząc przy kuchennym stole... Zabijałam czas, próbując się zdecydować, co zrobić na obiad. To było siódmego września, pamiętam, było zimno i dżdżyście, więc nie mogłam grać w tenisa, ale myślałam, że może mimo to powinnam pójść do klubu. Wtedy pojawiła się Kathy Dart i jakoś zaczęłam słuchać. To było tak, jakby mówiła właśnie do mnie. Opowiadała historię swojego życia, to co się jej wydarzyło w dzieciństwie, i stwierdziłam, że słuchając jej, płacząc. Wiesz, ona opowiadała o mnie, o tym jak przegapiłam swoje życie, o moim uczuciu wyrzucenia poza nawias, pozostawiania w tyle, we wrogim tłumie.

– Ależ, Eileen, ty nie byłaś w tyle. Najzdolniejsza osoba w naszej klasie.

Bystrzejsza nawet od Marka Simona! Byłaś kapitanem naszej drużyny koszykarskiej.

Eileen zaczęła się śmiać.

– Jennifer, nie mogę uwierzyć, że jeszcze pamiętasz te wszystkie głupstwa.

– To dlatego, że byłam o ciebie zazdrosna.

– Och, nie bądź głuptaskiem. Chodziłaś z Andym Portfieldem, a każda dziewczyna na Long Island chciała wyjść za niego.

– Dzięki Bogu, ja nie chciałam. Mówiono mi, że ma już drugą żonę.

– Trzecią. Widujemy go czasem w klubie. Ale próbuję ci wyjaśnić, że dobrze spędzałaś czas w szkole średniej. Ja nie – i tylko dlatego zaczęłam grać w koszykówkę, że pan Donaldson wciągnął mnie do zespołu po tym, jak usiłowałam popełnić samobójstwo.

– Samobójstwo? – powtórzyła szeptem Jennifer, przypominając sobie teraz wszystkie dawne pogłoski na temat Eileen.

– Przepraszam, oczywiście nie wiedziałaś o tym. – Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Jennifer. – Byłaś bardzo towarzyska. Wszyscy byli twoimi przyjaciółmi. Ja, już jako nastolatka, czułam się udreńczona moim życiem i dopiero Kathy Dart – lub właściwie Habasza – wyjaśnili mi, dlaczego byłam taka nieszczęśliwa, dlaczego moje ciało nie było dopasowane do życia duchowego. Dlatego pojechałam do niej. Miała konferencję, taką jak ta tutaj, w San Francisco, i polecałam na nią.

– Polecałaś do Kalifornii tylko po to, by ją zobaczyć?

Eileen skinęła głową.

– Musiałam wiedzieć – powiedziała w zamyśleniu i utkwiała wzrok w przestrzeni.

Jennifer przestała jeść i przyglądała się przyjaciółce. Jakże spokojna i zadowolona wydawała się ta kobieta, jakby zwolniono ją z wszelkiej odpowiedzialności.

– Nigdy nie byłam osobą religijną. Zostałam wychowana jako unitarianka, a to nie ma wiele wspólnego z religią, ale kiedy Kathy zaczęła przemawiać jako Habasza...

– On nie jest Kathy Dart.

Eileen przytaknęła ruchem głowy.

– Oni są ze sobą związani, jak powiedziała Kathy. Był kiedyś jej kochankiem-wojownikiem. Zajmowali się razem korsarstwem. Kathy mówiła mi także, że kiedyś miała jego dziecko, w innym życiu. Są duchowymi partnerami, należą do tej samej duchowej wspólnoty. I on przez nią przemawia.

– Więc nie sypia z nią; zamiast tego używa jej ciała.

– Dobrze, bądź cwany osiołkiem – powiedziała Eileen z pobłażliwym uśmiechem. – Jeśli tylko dasz Habaszy szansę, sama się przekonasz.

– O czym się przekonam?

– Zobaczysz, że on może ci pomóc – powiedziała miękko Eileen, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Nie sędzę, żeby była mi potrzebna pomoc – odpowiedziała Jennifer, rozdrażniona.

– Wszyscy potrzebujemy pomocy, Jennifer – odparła Eileen spokojnym głosem. – Uważam, że jeśli dałabyś im szansę, mogliby ci wyjaśnić, dlaczego ty i Kathy tak bardzo się przyciągałyście podczas dzisiejszego spotkania.

– O czym mówisz? Co masz na myśli? – Jennifer odchyliła się na oparcie krzesła i patrzyła uważnie na rozmówczynię.

– Kathy Dart pytała o ciebie – brzmiało wyjaśnienie.

– Tak? Co to znaczy, pytała o mnie? – mówiła podniesionym głosem i czuła, że zaczynają jej drżeć ręce.

– Rozmawiała ze mną po tej popołudniowej sesji. Powiedziała, że silnie zareagowała na twój widok.

Jennifer skinęła głową.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Kathy prosiła o przekazanie ci, że jej się wydaje, iż cię zna, oczywiście z jakiegoś poprzedniego życia, i uważa, że powinnaś porozmawiać bezpośrednio z Habaszą.

– Nie wygłupiaj się! – odparła natychmiast Jennifer.

– Kathy kazała ci powiedzieć, że masz w tym życiu wielkie możliwości, a także że

jesteś zaangażowana w jakąś sytuację uczuciową, która nie jest dla ciebie korzystna pod – względem duchowym.

– Co takiego?! – Jennifer poczuła się znieważona, ale była też przerażona tym, co mogła wiedzieć Eileen.

Jej przyjaciółka pokręciła głową.

– Powtarzam ci tylko, co powiedziała Kathy. Chciała, żebym cię specjalnie zaprosiła na jej dzisiejszą sesję. – Przerwała na chwilę. – Prosiła także, żebym ci powiedziała, iż Danny ma się dobrze. Ma teraz inne, szczęśliwe życie i że nie cierpi.

Jennifer rzuciła serwetkę. Nie mogła jeść.

– Nie chcę więcej słuchać tych bzdur. Nie jestem zainteresowana twoimi seansami i bytami duchowymi. – Była wściekła, że Eileen wspomniała o jej zmarłym bracie. Kończyła szkołę podstawową, kiedy Danny zginął w Wietnamie.

Nagła furia przyprawiła ją o zawrót głowy. Bezskutecznie próbowała odszukać kelnerkę, żeby zapłacić rachunek. Kiedy się rozglądała po sali, zauważyła kulę błyszczącego światła. Znajdowała się za oknem; Jennifer pochyliła się bliżej w stronę chłodnej szyby i z napięciem wpatrywała się w ciemność.

Ktoś – lub coś – spacerował wokół basenu. To był mężczyzna – niski, krótkonogi mężczyzna, poruszający się niezdarnie, jak człowiek z Cro-Magnon.

– Spójrz! – wykrzyknęła. – Co to?

– O co chodzi? – spytała Eileen.

Jennifer wyjrzała ponownie, lecz tym razem nic nie spostrzegła. Widocznie zwiódła ją gra świateł. Wstała, rzucając swoją serwetkę na krzesło.

– Wybacz mi, nie mogę znieść dłużej tych metafizycznych bredni. – Jeszcze raz spojrzała w okno. Migotliwe światło zniknęło z tarasu.

– Nie obawiaj się – powiedziała miękko Eileen. – Wszystko się wyjaśni. Kathy uprzedzała, że tak będzie. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Jennifer.

– Nie boję się – odparowała Jennifer. Otworzyła torebkę i wyjęła dwudziestodolarowy banknot. – Kelnerka może zatrzymać resztę – oznajmiła, rzucając pieniądze na stół.

– Jennifer, wściekasz się bez powodu. Przykro mi, że cię zdenerwowałam.

– Nie zdenerwowałam mnie, Eileen. Po prostu żal mi ciebie, że dałaś się całkowicie omotać tym ludziom. Zawsze uważałam, że jesteś zbyt mądra na takie... gówno. – Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z restauracji.

Przeszła przez hali i zatrzymała się przy ladzie recepcji, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niej jakiejś wiadomości. Wiedziała, że Tom zadzwoni, żeby uprzedzić ją, kiedy wróci do hotelu.

– Po obiedzie idziemy na drinka z chłopakami z Yale. Wrócę późno. T. – przeczytał pracownik recepcji i spojrzał na Jennifer. – Czy życzy sobie pani kopię?

– Nie, dziękuję – powiedziała odwracając się i poszła do swojego pokoju, sama.

Rozdział 4

Jennifer podniosła z wycieraczki egzemplarz „New York Timesa” i cofnęła się do mieszkania. Był sobotni rano, poprzedniego dnia wróciła z Waszyngtonu.

Zamykając drzwi, rozpostarła gazetę i przejrzała ją, idąc przez hali do kuchni.

Nie było jeszcze ósmej i w całym budynku panowała cisza. Rozkładając pismo na kuchennym stole, zauważyła nagłówek:

DUCHOWY PRZEWODNIK DLA YUPPIES

Nachyliła się, żeby przeczytać kilka początkowych akapitów.

Mediumizm, metafizyczne poszukiwanie prawdy i mądrości, rozprzestrzeniające się z Kalifornii, znalazło już drogę na Wschód. Pani Phoebe Fisher, doktor Uniwersytetu Metafizycznego z San Jose, rozdziela astralne prawdy ze swojego apartamentu na West End.

Jak twierdzi pani Fisher, „źródłem prawdy” jest duch imieniem Tancerz, będący „bytem szóstego stopnia z Dorran, siódmej z siostrzanych gwiazd w systemie Plejad. Żyje on o osiemset lat później w stosunku do nas” – mówi piękna, jasnowłosa pani Fisher.

Jennifer przysiadła na kuchennym stołku i szczerzej otuliła się szlafrokiem. W kuchni było chłodno i miała ochotę na swoją poranną kawę, ale najpierw musiała przeczytać ten artykuł.

Ankieta, przeprowadzona ostatnio przez Radę Badania Opinii Publicznej Uniwersytetu w Chicago, wykazała, że sześćdziesiąt siedem procent Amerykanów wierzy, iż doświadczyło w przeszłości jakichś zjawisk paranormalnych. Wielu z tych ludzi szuka pociechy i rady w świecie duchów, używając mediów albo pośredników astralnych, którzy nawiązują kontakt z „istnieniami” z przeszłości. Czasem te „istnienia” przenikają z przestrzeni kosmicznej, jak Tancerz, „byt szóstego stopnia” pani Fisher.

„To było pewnego gorącego, niedzielnego popołudnia w sierpniu tego roku. Spacerowałam po Owczej Łące w Central Parku – wspomina pani Fisher. – Kiedy spojrzałam na zachodnią stronę nieba, ujrzałam tę wysoką, elegancką sylwetkę, spowitą blaskiem niezwykłego światła. Przerwałam moją wędrówkę i na samym środku Owczej Łąki, między opalającymi się ludźmi, powiedziałam głośno «Tak». Tak, ponieważ wiedziałam, że on przyszedł do mnie. A on przekazał mi przez całą szerokość łąki «Phoebe, jesteś piękna. Jesteś piękną osobą». Poczułam, jak uderza we mnie niezwykle zimny strumień powietrza. Niemal zbił mnie z nóg, ale udało mi się skinąć głową na znak zgody. Nie mogłam mówić. Wiedziałam jednak, że on, czy też ona – istoty z gwiazdozbioru Plejad nie różnią się płcią – pragnie użyć mojego ciała. Chciał, żebym zaniósła naszemu światu przesłanie pokoju i miłości, a ja zgodziłam się użyczyć mu swojej ludzkiej postaci. Nie musieliśmy mówić. Dowiedziałam się tego wszystkiego telepatycznie. Poczułam kolejny podmuch, ale tym razem był on palący. Uświadomiłam sobie, że właśnie usadowił się w moim ciele”.

Jennifer potrząsnęła głową, uśmiechając się do siebie. Postanowiła wyciąć ten

artykuł i posłać go Eileen Gorraan.

Od czwartkowego wieczoru, kiedy jak burza wypadła z restauracji, Jennifer czuła się winna. To może się okazać miłą propozycją zawarcia pokoju i sposobem ponownego nawiązania kontaktu ze starą przyjaciółką. Ześliznęła się z wysokiego stołka i podeszła do kuchenki, żeby zagotować wodę na kawę. Z sąsiedniego pokoju usłyszała Toma, człapiącego do łazienki. Spojrzała na zegar. Była dopiero ósma. Dlaczego wstał tak wcześnie? W sobotę? Rzadko opowiadał jej o swoich planach i w pierwszych dniach ich związku próbowała żartować z tej tajemniczości mówiąc, że powinien podać do wiadomości „niezbędne minimum”. Wtedy jej się wydawało to zabawne. Szybko się jednak pozbyła tego wrażenia.

Postawiła czajnik na kuchence i wsypała do młynka kilka łyżek świeżych ziaren kawy. Małe urządzenie zabrzęczało w cichym pomieszczeniu; kiedy tylko wsypała do filtra drobno zmieloną kawę, zorientowała się, że Tom wszedł do kuchni. Stał przy stole, przeglądając gazetę. Gdy nie podniósł oczu i zdawał się nie zauważać jej obecności, odezwała się chłodno:

– Miłego dnia.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Przepraszam. Sprawdziałem, czy Giuliani złożył jakieś oświadczenie. Wczoraj chodziły u nas słuchy, że ma zamiar oznajmić, iż będzie się ubiegać o fotel senatora. – Uśmiechnął się do niej, próbując zatrzeć złe wrażenie.

– Byłoby miło, gdybyś powiedział chociaż „cześć”. – Zaczęła nalewać wrzątek do filtra.

– Wiesz, że rano nigdy nie mam wiele do powiedzenia.

– Nie sądzę, żeby zwykle „dzień dobry” to było wiele dla takiego wielkiego zastępcy prokuratora generalnego, jakim jesteś ty. – Dołała więcej wody.

– Widziałas ten kawałek o nowej modzie yuppie? – zagadnął Tom, żeby zmienić temat.

– Uważaj, co mówisz o yuppie. My też do nich należymy.

Spojrzała na niego. Miał na sobie tylko spodnie od pizamy i stojąc przy stole, pocierał swoją pokrytą gęstymi włosami pierś.

– Może ty, ale nie ja. – Podniósł wzrok znad gazety. – Dostanę trochę kawy?

– Za chwilę, sire.

– Tylko pytam, Jenny. Tylko pytam. – Chwycił sportowy dział „Timesa” i podszedł do śniadaniowego stolika, siadając w miękkim, zamglonym świetle bladego, zimowego słońca, żeby przejrzeć wyniki meczów koszykówki.

Skończywszy robić kawę, Jennifer nalala Tomowi filiżankę i dodała odrobinę mleka zmieszanego ze śmietanką. Zniosła filiżankę na stół i postawiła koło mężczyzny.

– Dziękuję – powiedział.

Jennifer usiadła po przeciwnej stronie stołu, rozkoszując się przez chwilę smakiem kawy i delikatnym ciepłem zimowego słońca. Obserwowała czytającego Toma. Widziała tylko jego prawy profil – jego lepszą stronę, jak lubił mawiać; kiedy jeszcze był w podstawówce, złamał nos podczas gry w hokeja, a potem został on źle złożony. Tego ranka tę lepszą stronę ocieniał całonocny zarost. Długie czarne włosy opadały

mu na czoło i oczy, wiły się wokół uszu. „Wygląda jak nie posłane łóżko” – pomyślała z czułością.

Popijała kawę i spoglądała na zaśnieżoną ulicę Brooklyn Heights, gdzie nieliczni o tej porze przechodnie z trudem brnęli przez biały puch. Zastanawiała się, czy jest to odpowiedni moment, aby powiedzieć Tomowi, że chce albo wyjść za niego, albo zerwać ich związek. Jej przyjaciółka, Margit, ostrzegła ją przed mężczyznami takimi jak Tom, obawiającymi się zobowiązań. Wiedziała, że nie może dłużej żyć z nim połowicznie. Poza tym chciała mieć dziecko, zanim będzie na to za późno.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, podnosząc wzrok znad gazety. Jego chłodne, szare oczy wpatrywały się w nią ze współczuciem nie większym, niż mógłby okazywać tablicy z rozkładem jazdy pociągów.

– Nie jestem pewna – odparła szczerze, patrząc na śnieg pokrywający ulicę niczym stwardniały lukier powierzchni tortu z poprzedniego dnia.

– Twoja praca? – zapytał.

Jennifer pokręciła głową.

– Moje życie.

– Twoje życie, tak? – Skinął głową w stronę kolumny „Timesa”. – Może powinnaś poszukać duchowego przewodnictwa, jednego z tych jak-im-tam...

– Proszę, Tom, ja nie żartuję. – Przerwała mu. Nigdy nie przepadała za błązującymi ludźmi.

– Masz na myśli nas?

– Tak, i nie tylko.

– Co to znaczy „nie tylko”? – W jego głosie brzmiał gniew. W końcu zajęła bez reszty jego uwagę, co sprawiło jej pewną satysfakcję.

– Mam na myśli nas, moją głupią pracę w fundacji i to wszystko! – Machnęła ręką w stronę pokrytej śniegiem ulicy. Wszystko to. Tę dzielnicę, Brooklyn Heights, Nowy Jork. Dopiero teraz uderzyło ją, że ma już dosyć Nowego Jorku, dosyć codziennego życia.

Tom odepchnął od siebie gazetę. Powtarzał ten gest zawsze, gdy był zdenerwowany, jakby oczyszczał biurko na przyjęcie nowego problemu.

Zaczęła się bać. Zawsze ogarniał ją lęk, kiedy stawał się zły. To był jeden z ukrytych problemów ich związku. Nie była wystarczająco uczciwa wobec Toma, bo w głębi serca bała się go utracić, bała się zostać zupełnie sama.

– Dobrze, co zatem jest przyczyną twojego niezadowolenia z życia?

– Wiesz co.

– Na miłość boską, Jennifer, spałem z tą kobietą tylko raz i byłem takim przeklętym głupcem, że powiedziałem ci o tym.

– Nie powiedziałeś, Tom, ty się chełpiłeś. Popisywałeś się, robiłeś z siebie durnia i wszystko po to, żeby twoi głupi koledzy wiedzieli, jakim jesteś ogierem – wybuchnęła.

– Nie wracaj do tej gównianej sprawy – powiedział cicho, mieszając swoją kawę.

– Sam jesteś gówniarzem! – Jennifer znowu wyjrzała przez okno. Była zdumiona, że nie płacze. Stwierdziła, że w ciągu ostatnich kilku lat stała się twardsza.

Na wigilijnym przyjęciu w Departamencie Sprawiedliwości Tom upił się i przechwalał przed innymi mężczyznami, że spał z Helen Taubman, prezenterką

telewizyjną, jesienią, właśnie wtedy, kiedy Jennifer zaczęła się z nim poważnie spotykać.

Zakreśliła jej się wtedy w głowie, starała się przepchnąć przez zatłoczoną restaurację do damskiej toalety, zanim zwymiotuje. Składała to na karb wypitego szampana, ale i tak jej przyjaciele wiedzieli, że kłamie. Wyznanie Toma zaszokowało wszystkich.

– Chcesz o tym rozmawiać? – spytał. Skupił na niej całą uwagę, ale potem zauważyła, że zerka na ścienny zegar.

– Spieszysz się? – zapytała, próbując go przyszpilić. – Wybierasz się do biura? O co chodzi? Dlaczego patrzysz na zegar?

– Jezu, przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie wchodził ci w drogę wczesnym rankiem. – Wstał i obrócił się na pięcie.

– Tom! Posłuchaj mnie! – Odstawił filiżankę na stół i szedł dalej. Zaczekała, aż znajdzie się w drzwiach, i wtedy zawołała za nim: – Myślę, że powinniśmy przez jakiś czas odpocząć od siebie.

Te słowa zatrzymały go. Zobaczyła, jak napięły się mięśnie jego ramion, kiedy stanął w wyjściu. Obserwowała dramatyczny, powolny zwrot. Starał się zyskać na czasie, dawał sobie szansę przemyślenia odpowiedzi. Znała wszystkie jego gesty i zwyczaje niczym swoje własne.

– Sympiasz z kimś innym? – zapytał.

Jennifer rozpoznała tę taktykę. Zmuszał ją do obrony. Nie dała się złapać na tę przynętę i odwzajemniła spojrzenie. Kiedy wolno wszedł do kuchni, wciąż patrząc jej w oczy, stężała. Zaciśnęła palce na ciepłej filiżance kawy.

– Mam rację? Tego właśnie dotyczy cała ta zagmatwana rozmowa? – Podeszedł do stołu, ale nie usiadł. Wiedziała, że lubi spoglądać na ludzi z góry.

– Nasz związek zmierza donikąd – powiedziała mu.

– Nie wciskaj mi takiego gówna! Kto to jest? Jeden z tych dupków z fundacji? Handingham, tak?

– Dawid? – Spojrzała na Toma, zaskoczona tym podejrzeniem. – Myślisz, że zainteresowałabym się Dawidem? – Teraz czuła się urażona.

– Jest twoim szefem, prawda? Ma wiele do powiedzenia.

– Och, na miłość boską. Myślisz, że mogę mieć romans z Dawidem Handinghamem tylko dlatego, że jest prezesem oddziału?

– Nie byłabyś pierwszą kobietą, która robi swoją karierę w łóżku.

– To, to obrzydliwe! Nie mogę uwierzyć, że tak uważasz. Czasami nie wiem, czy ty mnie w ogóle znasz.

– Czasami myślę, że masz rację. – Usiadł na wprost niej.

Uświadomiła sobie, że jest wytracony z równowagi i sprawiło jej to przyjemność. Jeszcze raz wyjrzała, przez kuchenne okno. Nagle zrobiło się dużo jaśniej. Słońce oświetlało ulicę, skrząc się na zamarzniętym śniegu. Jennifer wpatrywała się uparcie w lśniącą powierzchnię, aż rozboleły ją oczy.

– W porządku, pomówimy o tym później. – Spojrzał na zegar, potem przeniósł wzrok na Jennifer. – Zadzwoń do ciebie, dobrze?

Chciała powiedzieć „nie”, ale to byłoby nieuczciwe w stosunku do Toma, nieuczciwe w stosunku do samej siebie. Zainwestowała w ten związek już ponad

sześć miesięcy.

– Będę tutaj – powiedziała.

Tom skinął głową, potem westchnął.

– W porządku – rzekł, bębniąc palcami o blat stołu. Podniósł się. – Zadzwoń przed czwartą. Zjemy razem obiad, dobrze? – Kiedy skinęła głową na znak zgody, dodał pośpiesznie: – Zarezerwuję stolik.

Jennifer wiedziała, że jest to ukłon w jej stronę. Zwykle to ona robiła rezerwacje, pisała kartki z podziękowaniami i zajmowała się tymi wszystkimi drobnymi domowymi sprawami.

Tom poszedł do sypialni, żeby się przebrać. Nalała sobie jeszcze kawy i usiadła przy oknie patrząc, jak zimowe słońce wznosi się coraz wyżej.

Kiedy wrócił do kuchni, miał na sobie ubranie, które zostawił poprzednio w jej szafie – niebieskie spodnie w prążki, grube półbuty i śliczny, czerwony sweter, który podarowała mu na trzydzieste urodziny. Założył parkę i trzymał już w ręce neseser z aktami. Kiedy pocałował ją w policzek, poczuła zapach kremu po goleniu, szamponu i zapragnęła kochać się z nim tutaj, na podłodze w kuchni, ale nie miała odwagi powiedzieć mu o tym.

Nie poruszyła się. Siedziała, doskonale nieruchoma, przy kuchennym stole i wpatrywała się w słońce i śnieg. Nie miała siły wstać i ubrać się.

Zadecydowała, że wróci do łóżka. Zawinie się szczelnie w koce i zaśnie. Pozostanie tak, w bezpiecznych i ciepłych ciemnościach, dopóki nie odkryje, co jest nie w porządku z jej życiem.

Rozdział 5

Czekając na Toma, Jennifer patrzyła na słońce, stado mamutów, które zdominowało afrykańskie wzgórze w muzeum. To Tom nalegał, żeby się umówili na drinka w tak nietypowym miejscu. W tych dniach zajmował się głównie przygotowaniem oskarżenia przeciw handlarzom narkotyków, a krótko przed tym, zanim zaczęli się spotykać, ktoś próbował go zabić. Teraz nosił pistolet i nie chciał, żeby widziano ich razem. „To głupota z jego strony – pomyślała Jennifer. – Gdyby handlarze chcieli sprzątnąć któregoś z nas, już by to zrobili”. Była zorientowana, że kontrolowali to miasto.

Zatrzymała się przed ekspozycją Gemsboka i przyglądała się modelom zwierząt z pustyni Kalahari. Upozowane we wspaniałej dioramie Muzeum Historii Naturalnej, wyglądały niemal jak żywe. Pomyślała, że kiedyś żyły naprawdę, wędrowały po wielkich sawannach. Czowała niemal, że wystarczy zrobić krok za grube szkło i znajdzie się wśród wysokich traw i drzew akacjowych, w gorącym sercu Afryki. Chciałaby być tam teraz. Chciałaby być gdziekolwiek, tylko nie w Nowym Jorku, czekając w mroźne, piątkowe popołudnie na opieszałego kochanka.

Przeszła do następnej dioramy, przedstawiającej grupkę hipopotamów, kozłów wodnych i antylop sitatunga, i odczytała tabliczkę informującą, że wszystkie okazy zostały zebrane nad brzegiem jednej z małych rzeczek tworzących dorzecze Nilu. Zwierzęta stały wśród gęstej trawy i zarośli papirusu. Jennifer wpatrywała się w upozowane figury; chociaż nigdy nie studiowała nic na temat Afryki, czuła, że coś

jest w tej scenie nie w porządku. Spostrzegła własne odbicie w grubej szybie. Przyszła prosto z pracy i miała na sobie ogólnie tam przyjęty strój: szyty na miarę ciemnoszary kostium i białą, jedwabną bluzkę ze sznurem pereł, który dostała od Toma na święta Bożego Narodzenia, ich pierwsze wspólne święta. Podniosła rękę, żeby dotknąć pereł, i poczuła ciepłe łzy, płynące po policzku. To źle. Dlaczego płacze? Szybko starła łzy wiedząc, że nie może tak wyglądać. Nie może płakać, kiedy przyjdzie jej ukochany.

Odwracając się od dioramy Nilu, aby poszukać damskiej toalety, wpadła prosto w ramiona Toma.

– Cześć, kochanie, przepraszam za spóźnienie. Pada śnieg. Całe przekłete śródmieście jest zablokowane. – Stał, strząsając mokry śnieg z ramion i z gęstych, czarnych włosów.

– W porządku – powiedziała zadowolona, że nie zauważył jej łez. – Przyjechałam przed chwilą.

– Ślicznie wyglądasz. – Skupił na niej całą uwagę i podszedł bliżej, żeby ją pocałować w policzek. – Spójrz, na dworze jest strasznie zimno. Czy jest tutaj jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy napić się drinka? Albo przynajmniej kawy?

– Tak, jest tu bar, pod wielkim wałem błękitnym, na parterze. Ale najpierw chodź ze mną, rozejrzemy się. Nie byłam tu od wieków.

– Dokąd chcesz pójść?

– Och, po prostu pospacerujemy. Pojedziemy windą na drugie piętro, a potem zejdziemy na dół.

Kierowanie ich wędrowką dawało jej poczucie władzy. To był właśnie jej problem z Tomem. Kiedy była z nim, zawsze czuła się manipulowana. Teraz chciała tylko, żeby zrobił to, co ona powie, chciała udowodnić samej sobie, że może nim sterować, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Na najwyższym piętrze wyszli z windy i zobaczyli strzałkę kierującą do nowej wystawy.

– Świetlane sny, świetlane wizje – przeczytał Tom. – Co to jest?

– Nie mam pojęcia – odparła Jennifer.

Pchnęli szklane drzwi galerii i weszli do ciemnego wnętrza.

– Wspaniale – mruknął, czytając podpis pod pierwszym eksponatem. – Człowiek prehistoryczny. Właśnie to sobie pomyślałem, wstając rano: Chciałbym dowiedzieć się trochę więcej o prehistorycznym człowieku.

– Chcę obejrzeć tę wystawę, Tom! – Ostro podniosła głos.

– W porządku – szepnął – w porządku. – Dotknął jej ramienia. – Spokojnie.

Jennifer rozejrzała się, zmieszana własnym wybuchem, ale galeria była niemal pusta. Zauważyła tylko starszą kobietę z laską, kilka matek z dziećmi w wózkach i dwie strażniczki w niebieskich uniformach, stojące razem przy wejściu.

– Hej, popatrz! – Tom wskazał ekspozycję umieszczoną w środku sali.

W centrum dioramy znajdował się model prehistorycznej chaty, zbudowanej z kości, kłów i skór mamutów. Olbrzymie kości żuchwy odwrócono dolną częścią ku górze i dopasowano niczym fragmenty układanki tak, że tworzyły koło. Łukowate sklepienie wykonano z wielkich, wygiętych kłów, na których rozpięto zwierzęce skóry, tworzące dach.

– To model jednej z ich chat – oznajmił Tom, czytając tabliczkę informacyjną. – Z Ukrainy.

– To nieprawda – stwierdziła szeptem, wpatrując się w dioramę.

– Co jest źle, kochanie? – spytał Tom, obchodząc eksponat dokoła, żeby zajrzeć do środka.

– To zupełnie nie tak! To szałas Nari. Wiem o tym! – Podniosła głos, przyciągając powszechną uwagę.

– Skarbie, o czym ty, do diabła, mówisz?

– Nie wiem.

Zaczął się śmiać, ale przestał natychmiast, zaskoczony wyrazem jej oczu.

– Jennifer?

Drżała. Wziął ją pod ramię, ale trzepnęła go po palcach.

– Do cholery, Jennifer. To boli! – Potrząsnął głową. Zauważyła spojrzenie strażniczki. Poruszała się wokół dioramy i szła w ich kierunku.

– Chodźmy stąd – zaproponowała. Dopiero w jasno oświetlonej Galerii Gadów wzięła głęboki oddech i zwolniła.

– Jennifer, co się z tobą, do diabła, dzieje?

Potrząsnęła głową i szła dalej. Jej obcasy stuknęły na marmurowej podłodze.

– Co to za głupota z tym szałasem? – Wydłużył krok. Wyszli do korytarza i zaczęli schodzić na dół.

– Nie wiem.

– Uderzyłaś mnie w rękę.

– Proszę, Tom, dosyć! Jestem zdenerwowana, to wszystko. Martwię się o nas. – Znalezli się na parterze, nie zatrzymując się, minęli pomnik Teodora Roosevelta i wkroczyli do Galerii Bezkregowców.

– Cóż, zrób z tym coś, do cholery!

– Mam taki zamiar.

– Słucham. – Jego głos stał się twardszy. – Co zamierzasz zrobić?

– Zamierzam się napić czegoś. – Weszła do sali poświęconej życiu w oceanie, gdzie masywny wał błękitny zwieszał się z sufitu, dominując nad dwoma piętrami galerii. – Tu jest bar.

Zeszli na niższą kondygnację, na której ustawiono kilka przykrytych białymi serwetami stolików, stwarzając mały koktajlbar. Przyćmione światła przywodziły na myśl dno oceanu, a ogromny, plastikowy wieloryb kołysał się nad nimi, przytłaczając pomieszczenie swoim rozmiarem. Nie było to miejsce, gdzie ludzie przychodzą na drinka w piątek wieczorem, po pracy. Wszyscy tutaj byli turystami spoza miasta.

Pozwoliła Tomowi złożyć zamówienie przy barze, zajmując w tym czasie stojący nieco na uboczu stolik. Kiedy wrócił, usiadł blisko niej, ale przesunęła się, by zachować dystans.

– Lepiej się czujesz?

– Powiem ci za chwilę. – Wypiła łyk szkockiej z wodą, odchyliła się na oparcie krzesła i skinęła głową.

– O co w tym wszystkim właściwie chodziło? – Zdjął płaszcz i usiadł.

Jennifer pokręciła głową. W dalszym ciągu wstrząsały nią dreszcze.

– Nie wiem – szepnęła. – Po prostu miałam takie niesamowite wrażenie, że byłam

już kiedyś wewnątrz tej dioramy. Wszystko było dla mnie żywo realne. – Pociągnęła łyk ze szklaneczki.

– Mówiłaś coś, mamrotałaś. – Tom potrząsnął głową. – Może widziałas tę makietę w książce, czy coś w tym rodzaju. – Rozejrzył się, obrzucając wzrokiem pomieszczenie.

– Tak, być może – wyszeptała Jennifer.

– Zdaje się, że miałaś napad złego humoru. – Poruszył szklanką, mieszając swoją whisky.

– Coś się ze mną działo. – Wzruszyła ramionami czując, że robi się jej zimno. Przestraszyło ją własne zachowanie na wystawie. – Nie chcę o tym rozmawiać – oświadczyła.

– Dobrze, a o czym chcesz rozmawiać?

– Nie bądź taki oskarżycielski. Wpatrywał się w nią uporczywie.

– Czy to będzie jeden z takich wieczorów?

Pokrzepiła się kolejnym łykiem. Tom nie spytał, na co miałyby ochotę, tylko po prostu poszedł i zamówił szkocką z wodą sodową. Zupełnie tak, jakby byli starym małżeństwem.

– Tom, nie mogę ciągnąć tego dalej. Nie mogę dłużej cię widywać. Uważam, że zmierzamy donikąd, czy nie mam racji?

Obejrzał się.

– Wciąż jestem żonaty, Jennifer.

– Zatem zrób coś z tym. Jesteście w separacji od trzech lat. Kiedy się spotkaliśmy, twierdziłeś że bierzesz rozwód. – Mówiła coraz głośniej. – Nie powinieneś zaczynać ze mną, jeśli ciągle jesteś zakochany w swojej żonie.

– Nie jestem zakochany w Helen. – Rozgniewał się.

– To się rozwiedź! Nie macie dzieci. Co cię powstrzymuje? Tom, zasługuję na pewne odpowiedzi i zasługuje na trochę szacunku.

Rozejrzył się, a ona zaczęła płakać, tak cicho, jak tylko było możliwe, bojąc się zwrócić na siebie uwagę pozostałych gości baru. Pochyliła się i łkała, i ukrywając twarz w dłoniach, tłumiała łzy futrem zimowego palta.

Kiedy trochę się uspokoiła, Tom pochylił się nad nią przez szerokość małego stolika i szepnął:

– Jennifer, kocham cię. Chcę się tobą opiekować. Chce cię poślubić. Pragnę zostać na zawsze w twoim życiu. Dobrze? Daj mi tylko trochę czasu. To śledztwo ciągnie się dłużej, niż przypuszczałem. Nie chce podejmować żadnego ryzyka – narażać cię na niebezpieczeństwo – pokazując się z tobą publicznie i informując tych wszystkich tłuściochów o twoim istnieniu. Rozumiesz to, prawda?

– Kochasz mnie, Tom? – zapytała. Przestała już płakać.

– Tak, kocham cię. Jasne, że cię kocham. – Spoglądał na nią i tym razem jego szare oczy naprawdę błyszczały uczuciem.

Jennifer wzruszyła ramionami.

– Nie boję się. Chcę być częścią twojego życia, Tom. Chcę dzielić z tobą ryzyko. Pokręcił głową, zanim jeszcze skończyła.

– Nie pozwolę ci.

– Wiesz, ja także mam coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Skarbie, ty tego nie znasz. To są szaleni Kolumbijczycy. Zabijają jedni drugich. Zabijają gliniarzy. Mordują nawzajem swoje rodziny. Czytasz o tym w gazetach. Matka i dziecko zabici strzałami w twarz, kiedy ich samochód zatrzymał się na światłach. – Mówiąc kręcił głową. – Nie zrobię tego. Nie będę cię narażał na całą tę przemoc. Skarbie, już prawie skończyliśmy. Przed końcem zimy będziemy mieć za kratkami resztę tych szumowin.

– Gównu! Przed końcem zimy będzie następna sprawa. Jeśli będą chcieli mnie zabić, zrobią to. Nie wciskaj mi takich bzdur, Tom. To nonsens.

Przez chwilę oboje milczeli. Jennifer wysiąkała nos i otarła łzy. Przyglądało im się kilkoro turystów, więc przesunęła krzesło tak, żeby nie widzieli jej twarzy.

– Przepraszam – szepnęła. – Zdaje się, że wzbudziłam sensację.

– Niech się odpieprzą – odparł Tom. Odchylił się, kołysząc na tylnych nogach metalowego krzesła.

Kiedy się wściekał, zaczynał postępować brutalnie. Zawsze ją to ekscytowało. Lubiła balansować na krawędzi jego gniewu, ale obawiała się, że pewnego dnia może się zdarzyć, iż sprawy się wymkną spod kontroli. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że jego gwałtowność pociągała ją, zwłaszcza w łóżku.

– W porządku, co chcesz zrobić? – zapytał, jakby podsumowując służbowe zebranie.

– Mam zamiar pójść na obiad do Margit i Dawida – powiedziała, nie odrywając oczu od swojej szklaneczki.

– Świetnie! Więc zrób to! – Odepchnął krzesło i wstał. Nie próbował nawet ściszyć głosu.

Słuchając jego oddalających się kroków pomyślała, że oboje przypominają postaci z taniego dramatu. Nie miała odwagi podnieść oczu, lękając się, że turyści znowu będą się jej przyglądać. Czuła się wystawiona na niebezpieczeństwo i bezbronna. Odczekała jeszcze kilka minut i kiedy była pewna, że Tom już wyszedł, także opuściła muzeum.

Na Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy przybyło śniegu i maszerując na wschód Jennifer wiedziała, że będzie miała trudności ze złapaniem taksówki. Brnąc w mokrym śniegu, pochyliła głowę, zmagając się z porywistym wiatrem.

Kierowała się w stronę West End Avenue. Znowu zaczęła płakać, ale tym razem pozwoliła łzom płynąć. Chciała wypłakać swój ból.

Przebiegła Columbus Avenue, zatrzymała się przed Museum Cafe i spojrzała w głąb Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Śnieg zasypał już jezdnię i oba chodniki były opustoszałe. Jennifer mieszkała w górnej części West End, kiedy chodziła do Szkoły Prawniczej Stanu Kolumbia i szczyciła się umiejętnością radzenia sobie w mieście. Uczęszczała nawet na zajęcia samoobrony w YWCA, żeby poczuć się pewniej, ale od czasu ukończenia uczelni i przeprowadzenia się do Brooklyn Heights coraz bardziej obawiała się być sama na West Side. Wiedziała, że to głupio z jej strony, zwłaszcza teraz, gdy ta dzielnica stała się modna. Ciągle jednak nie mogła opanować niepokoju.

Zatrzymała się jeszcze przez chwilę przy Columbus Avenue, rozglądając się za wolną taksówką, ale nieliczne pojazdy poruszające się w śródmieściu były już zajęte.

– Cholera! – mruknęła, rozczulając się nad sobą. Miała wrażenie, że wszystko w jej życiu idzie źle. Zbuntowana, ruszyła uliczką, robiąc sobie wyrzuty, że nie poprosiła Toma, żeby odprowadził ją do Broadwayu. To był właśnie jej kłopot. Tak ciężko walczyła o niezależność, a kiedy tylko zaczynała się bać, pragnęła mieć przy sobie jakiegoś mężczyznę. Świadomość tego doprowadziła ją do furii. Wyprostowała się i celowo wystawiła twarz na poddmuchy zimnego wiatru, jak gdyby chciała zamrozić ból trawiący jej serce.

W pewnym momencie poczuła na ramieniu czyjąś rękę i zatrzymała się. Tom musiał iść za nią. Odwróciła się do niego. To nie był Tom. Ten mężczyzna był wyższy, większy. Zdawał się blokować całą ulicę. Ledwie widziała jego twarz, ukrytą w cieniu kaptura kurtki, ale wiedziała, że jest niebezpieczny.

– Precz! – krzyknęła. Próbowała cofnąć się i uciec, ale buty nie znalazły oparcia na śliskim śniegu i potknęła się w momencie, gdy mężczyzna brał zamach.

– Ty suko! – wrzasnął, rzucając się na nią i przewracając ich oboje między zaparkowane samochody.

Znalazł się na niej, zadzierając jej palto i sięgając do ciała. Czowała jego ręce na swoich piersiach, grube wargi na swojej twarzy. Przeklinał, obrzucając ją plugawymi wyzwiskami, a potem wcisnął jej do ust swój gruby, mokry język.

Kiedy zerwał przód jej białej, jedwabnej bluzki, zaatakowała go. Wyciągając obie ręce, rozorała mu policzki paznokciami. Chciała go zranić i wrzask mężczyzny dodał jej odwagi. Nie uderzyła nikogo od czasu, gdy była małą dziewczynką, a teraz oddanie ciosu dało jej dużo zadowolenia.

Z zaciekłością zapędzonego do rogu psa chwyciła napastnika za gardło i zatopił paznokcie w grubej szyi. Poczwała, jak skóra pęka i paznokcie rozrywają tkanę. Ciepła krew spłynęła jej po palcach. Zamachnął się na oślepa, ale uchyliła się przed ciosem. Potem, poruszając się jak zwierzę, zaatakowała, uderzając kolaniem w krocze napastnika. Zatoczył się, chwytając ręką jądra, i upadł twarzą w dół, w głęboki śnieg.

Nie pobiegła do Columbus Avenue, skąd dochodziło trąbienie samochodów. Zamiast tego, oblizwała kąciki krwawiących ust, rozkopując się tym smakiem. Chwyciła zderzak zaparkowanego samochodu i podniosła się. Biorąc zamach jak do rąbania drewna, z całej siły uderzyła mężczyznę w kark napiętkiem prawej dłoni. Wielkie ciało osunęło się ciężko po metalowej osłonie chłodnicy samochodu i legło w rynsztoku.

Nie mogła pozwolić mu odejść. Nie pozwoliła. Chwyciła go za włosy i opierając stopę na łopatkach leżącego, szarpnęła głowę przeciwnika do tyłu, aż usłyszała chrzęst łamanych kręgow.

Przez chwilę Jennifer klęczała nad ciałem, z trudem łapiąc powietrze. Zebrała garść śniegu i – używając go niczym mydła – zmyła krew z twarzy. Spokojniejsza, poruszyła się wolno i zobaczyła, że napastnik jest martwy. Zabiła go. Uśmiechnęła się.

Miała na imię Shih Hsui-mei. Była Chinką, żoną czeng-k'uana.

On był młodym mężczyzną, mieszkał w miasteczku na Srebrnym Wzgórzu. Działo się to w latach górniczego boomu i przybył z ojcem na zachód z St. Louis, żeby

wypełnić rządowe zamówienia. Dostarczał towary dla Czung-k'uana ze składu swego wuja i widywał Shih Hsui-mei siedzącą na werandzie, twarzą do Żółtych Gór, czesząc swoje włosy. Była w jego wieku – miała szesnaście, może siedemnaście lat – i przyjechała z Chin, żeby zostać małżonką starego Czung-k'uana.

Miała długie czarne włosy, bardzo długie i bardzo czarne – kiedy czesała je, rozkładały się wachlarzem po jednej stronie jej doskonałej, okrągłej twarzyczki, jak skrzydło kruka.

Potem robiła pomadę z rabarbaru i wczesywała ją we włosy, aż leżały prosto i nieruchomo, a później wiązała je.

Nie nosiła nigdy zachodnich sukien, lecz ubierała się zawsze w jedwabne spodnie, obcisły, prześlicznie haftowany kaftan i maleńkie srebrne klapki. Miała takie drobniutkie stopy. Nigdy nie wydawała dźwięku, idąc po podłodze górskiego szałasza Czung-k'uana. W jednej chwili widział ją, a w następnej już znikła niczym tropikalny ptak.

Nigdy nie mógł nasycić wzroku jej widokiem. Powracał do chińskiego osiedla, żeby tylko ujrzeć młodą Shih Hsui-mei, ponieważ ona nie przechodziła przez strumień do części miasta, w której mieszkali biali.

Widział jak obsługiwała mężczyzn w palarni opium, przynosząc im świeże fajki pełne narkotyku. Mężczyźni pozostawali tam całymi dniami, straceni dla świata, pogrążeni w prywatnym piekle każdego z nich.

Piekłem tego chłopca była Shih Hsui-mei. Pragnął tej dziewczyny. Jej stary mąż śmiał się z niego, kiedy siedział przyglądając się, jak czesze włosy w blasku porannego słońca. Ten starzec stroił sobie żarty z chłopca i urywanym głosem mówił po chińsku do Shih Hsui-mei pytając, czy chce poczuć żądło białego mężczyzny. Chłopak przychodził do palarni i płacił, żeby się odurzać w małych klitkach. Chodził tam, bo wtedy ona podchodziła do niego, przynosząc fajkę pełną słodko pachnącego opium. Patrzyła na niego wilgotnymi, ciemnymi oczami, a on przyglądał się bez słowa jej okrągłej, doskonałej twarzyczce. Potem odchodziła na zaplecze, a on palił słodki narkotyk i kaszlał w brudne koce. Po pewnym czasie zapominał o niej, o swojej udreće, a gdy w zamglonym umyśle jej postać pojawiała się ponownie, nie wiedział, czy się to działo na jawie, czy tylko w snach.

Należała do niego – jak tego zawsze pragnął – w miejscu, gdzie mogli być tylko we dwoje, razem, z dala od całego świata. Jeśli nawet było to tylko narkotyczne marzenie, żyła z nim, a on uśmiechał się do niej i widział, jak odpowiada mu uśmiechem, jak przywołującym gestem zachęca do wchodzenia coraz dalej w świat opium i snów.

Kiedy się budził, a światło dnia i odzyskana przytomność wybuchały wściekłym bólem, nie chciał dłużej żyć. Pragnął tylko więcej opium, więcej snów o ukochanej, przychodzącej z głębi palarni, widoku jej jedwabnych spodni i rozkosznego, małego ciała. Musiał jednak opuszczać spelunkę, schodzić potykając się po zaśnieżonej ścieżce i po wąskiej kładce przechodzić na drugi brzeg zimnej rzeki. Czasami chwytaly go tam torsje i zwał się do kamienistego potoku, zwracając nocną udrećkę na rzeczne głązy. Ojciec wyrzucił go z domu. Nie był mu już potrzebny, nie nadawał się do pracy. Opium zniszczyło mu umysł. Nie mógł zapisać w księdze handlowej prostego zamówienia ani pomagać swemu wujowi. Chciał tylko Shih Hsui-mei. Nie

miał jednak pieniędzy na opium, nie mógł spędzać nocy obserwując ją, jak prześlizguje się w swoich jedwabnych spodniach przez gęstą mgłę, jak obsługuje bezwartościowy tłum chińskich górników i jego, białego chłopca o beznadziejnie bladej twarzy. Ukradł ojcu pistolet z długą lufą, w który wyekwipowano go podczas wojny, i poszedł po Shih Hsui-mei. Miał pewien plan.

Szalony plan. Zabierze ją od starego Czeng-k'uana. Starzec nie ma żadnych praw. Jest tylko marnym żółtkiem. Chińczyków zabijano tuzinami w kopalniach Idaho. Ukradnie konia i zabierze dziewczynę na drugi brzeg Rzeki Łososiowej, do Oregonu, gdzie ma rodzinę: kuzynów matki.

Kiedy podszedł do Czeng-k'uana i powiedział mu o swoim zamiarze, starzec roześmiał się i napluł mu w twarz. Strzelił Chińczykowi w głowę. Kula zrobiła małą, schludną, czarną dziurkę w czole żółtego mężczyzny, a krew i mózg prysnęły na bieloną ścianę. Stary człowiek obrócił się, zataczając ciasne koło niczym kurczak z odrąbaną głową. Dotarł do ściany, potem przestał się poruszać i osunął się, zostawiając na białym tynku smugę krwi. Chłopak przestąpił martwe ciało i poszedł po wrzeszczącą Shih Hsui-mei. Nigdy przedtem nie słyszał wrzasku Chinki.

Nie mógł jej uciszyć. Jego ręce podarły pięknie haftowany jedwabny kaftan. Powtarzał jej, żeby była cicho, mówił do niej jak do dziecka, ale ona nie przestawała krzyżeć. Rozdarł jedwabną bluzkę i widok malutkich, rozkosznych piersi oszołomił go.

Pojawili się Chińczycy, nadciągali z kopalni, biegnąc przez późnowiosenne błoto i śnieg zalegający wciąż pod werandami chat. Nigdy jeszcze nie widział tylu Chińczyków. Chwycił Shih Hsui-mei, obejmując ją w pasie ramieniem. Myślał, że poniesie ją całą drogę do Wężowego Potoku. Dotarli jednak tylko do małego strumyka, który przepływał nie opodal szałasów Czeng-k'uana. Chłopiec biegł przez zimną wodę, ślizgając się na gładkich kamieniach, i myślał, że jeśli tylko uda mu się przekroczyć potok i dotrzeć do białej części miasta, będzie bezpieczny. Żaden biały nie będzie mu szkodził z powodu zabicia żółtka. Jej ludzie pochwycili go w rzece. Było ich zbyt wielu. Wyrwali małą Shih Hsui-mei z jego objęć i jeden z nich podciął mu gardło, jak przeciąga się ostrzem po szyi kwiczącej świni. Tryskająca krew zabarwiła purpurą wodę potoku. Potknął się na gładkim kamieniu, upadł, chwytając się za gardło, i umarł szybciej niż Czeng-k'uan.

Biali nadbiegli z miasta. Znaleźli go zimnego i sztywnego, bez kropli krwi. Na jego ciele nie było żadnego śladu, z wyjątkiem cienkiego, delikatnego cięcia przez całą długość gardła. Oczy chłopca miały pewny, niewzruszony wyraz, jakby tam, w śmierci, znalazł w końcu sens swojego młodego życia.

Rozdział 6

– O mój Boże! – wykrzyknęła Margit na widok Jennifer. – Co się stało? – Wyciągnęła ręce i objęła przyjaciółkę.

– Zostałam napadnięta – stwierdziła Jennifer i w ciepłym i bezpiecznym uścisku ramion Margit Engle zaczęła płakać.

– Dawidzie! – krzyknęła Margit ponad jej ramieniem. – Dawidzie, chodź szybko! Jenny została napadnięta.

Jennifer uwolniła się z objęć przyjaciółki i otarła łzy z oczu. Czowała swoje obolałe kości policzkowe.

– Jennifer, nic ci nie jest? – zapytał Dawid. Wręczył żonie swoją szklanę, podchodząc do gościa. – Co się wydarzyło?

– Ktoś ją napadł! – Głos Margit zdradzał zdenerwowanie. – Musimy wezwać policję.

– Nie. Nikogo nie wzywajcie! – wybuchnęła Jennifer. Zauważyła swoje odbicie w lustrze, znajdującym się w salonie, i znowu się rozplakała, tym razem pozwalając łzom płynąć. Dawid podprowadził ją do sofy i ułożył jej pod głowę poduszkę.

– Pójdę po torbę i zajmę się tymi otarciami. Nic ci nie będzie, Jennifer, nie bój się.

Skinęła głową, ale poruszenie wyzwoliło między oczami ukłucie przenikliwego bólu. Podniosła rękę i pod palcami wyczuła startą skórę. Domyślała się, że minie wiele dni, zanim wszystkie ślady znikną, i ta myśl kolejny raz doprowadziła ją do płaczu.

– Uważam jednak, że powinniśmy zawiadomić policję – oświadczyła Margit. Stała na środku salonu, nerwowo wyłamując palce.

– Nie! – powtórzyła Jennifer. Próbowwała usiąść, ale nie miała dość sił.

– Jennifer ma rację – powiedział Dawid, wkraczając do salonu. – Miała już dość kłopotów. A co właściwie może znaleźć policja? Ktokolwiek to zrobił, już dawno uciekł. – Ukląkł przy sofie. – Podaj mi ręczniki i ciepłą wodę – polecił żonie. – Chcę oczyścić te otarcia.

– Dziękuję, Dawidzie – próbowała wyszeptać Jennifer, ale opuchnięte wargi z trudem formowały słowa.

– Szsz – uciszył ją z uśmiechem. – Nie musisz nic mówić, po prostu wypoczywaj. Zamknij oczy, jesteś już bezpieczna.

Usłuchała go, zadowolona, że wszystko to wydarzyło się przy West End Avenue i wdzięczna, że Margit i Dawid zaopiekowali się nią. Usnęła w przekonaniu, że na ulicach tego miasta nikt jej nie zagraża. Ciągłe jednak przerażało ją to, co zrobiła.

Kiedy się obudziła, usłyszała stłumione głosy, dochodzące z sąsiedniego pokoju. Ostrożnie poruszyła głowę, nie odrywając jej od poduszki w obawie przed przenikliwym bólem, który towarzyszył każdemu gwałtowniejszemu ruchowi. Spod opuchniętych powiek spojrzała na zamknięte drzwi jadalni. Leżała w salonie, przykryta teraz ciężkim kocem. Ktoś zdjął jej buty i rozluźnił spódnice. Światła były wygaszone.

Zastanawiała się, czy nie powinna wstać i powiedzieć im, że nic jej nie jest, ale nawet rozważając tę możliwość wiedziała, że nie ma na to dość siły. Jak mogłaby opowiedzieć im o tym, co się naprawdę wydarzyło: że zabiła tego mężczyznę! Nikomu nie może wyznać prawdy, nigdy. Kiedy ponownie zamknęła oczy, pragnęła nie obudzić się, by nie stawać już twarzą w twarz z koszmarem swego czynu.

Ocknęła się ze snu z krzykiem, szamocząc się, by zrzucić rękę spoczywającą na jej ramieniu. Chwilę później do jej świadomości dotarło, że to Dawid ją trzyma.

– Miałaś jakiś koszmarny sen, Jennifer. To wszystko – uspokajał ją szeptem.

W świetle pojedynczej lampy zobaczyła pochylającego się nad nią Dawida i Margit stojącą w nogach kanapy. Oboje wyglądali na przejętych i zdenerwowanych. Jennifer odprężyła się i zapadła w miękkie poduszki.

- Przepraszam – wymamrotała.
- Nie masz za co przepraszać. Po prostu przyśnił ci się zły sen.
- Przepraszam, że sprawiłam wam tyle kłopotów. Naprawdę powinnam już pójść do domu. – Zaczęła się podnosić, ale Dawid położył jej rękę na ramieniu.
- Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz u nas na noc, a jutro odwiozę cię do domu, jeśli będziesz miała na to ochotę. Jeśli nie, będziesz naszym gościem przez kilka dni.
- Dziękuję wam obojgu, niestety, nie mogę. Muszę jechać na służbowe spotkanie do Bostonu.
- Cóż, możemy o tym porozmawiać jutro. Masz mnie słuchać, to ja jestem lekarzem. – Uśmiechał się cały czas, podnosząc ją na duchu swoją delikatnością.
- Dziękuję ci, Dawidzie – szepnęła Jennifer. Jego propozycja sprawiła jej ulgę. Myśl o tym, że ma zostać sama, napęłniała ją przerażeniem.
- Miałabyś ochotę coś zjeść? Co powiesz na bulion? – zaproponowała Margit.
- To byłoby wspaniale, Margit. Umieram z głodu. – Próbowała się uśmiechnąć. Kiedy Margit wyszła z pokoju, Dawid zapytał:
- Jennifer, nic więcej się nie stało poza tym, że zostałam pobita, mam rację?
- Co masz na myśli?
- Nie zostałam zgwałcona, prawda?
- Och, nie – Jennifer westchnęła, przestraszona, że Dawid mógł odgadnąć prawdę.
- Udało mi się uciec.
- Czy chcesz o tym porozmawiać? Jennifer pokręciła głową.
- Przepraszam – powiedziała. – Tak mi głupio, że zostałam napadnięta. Rozumiesz, powinnam to była przewidzieć. – Zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Oczami duszy zobaczyła jeszcze raz atakującego ją mężczyznę, szaleństwo i głód w jego twarzy, a także siebie rzucającą się na niego z gołymi rękami, jak zwierzę.
- Jutro poczujesz się lepiej – uspokajająco powiedział Dawid.
- Przytaknęła ruchem głowy, ale wiedziała, że nazajutrz będzie się czuła jeszcze gorzej, nie z powodu siniaków, ale ze względu na to, co zrobiła.
- Oto jestem – zaanonsowała się Margit, wchodząc do salonu z miską zupy, podkładką pod talerz i płócienną serwetką, zwiniętą pod pachą.
- Jennifer spróbowała usiąść i znowu poczuła między oczami ukłucie bólu.
- Ostrożnie – ostrzegł Dawid. Wziął ją pod rękę.
- Może nie powinniśmy próbować – zasugerowała Margit.
- Nie, uważam, że ciepły posiłek zdziała cuda. Czy możesz usiąść prosto? Jeśli nie, Margit cię nakarmi.
- Och nie, wolę usiąść, proszę. – Jennifer zmusiła się do spuszczenia nóg z wygodnej kanapy. Zdumiało ją, że nagle znalazła dość sił, by przezwyciężyć dotkliwy ból. Coś się z nią stało. W jakiś sposób zmieniła się. Była innym człowiekiem. Nigdy dotąd nie umiała znosić bólu.
- Margit stała nad Jennifer ze splecionymi rękami.
- Trochę włoskiego chleba do rosółu? – zapytała.
- Pozwólmy Jennifer odetchnąć – zaproponował Dawid, odstepując od sofy i siadając przy stoliku do kawy. Margit usiadła na kanapie obok Jennifer.
- Nie jestem pewna, czy będę w stanie jeść. Nie czuję warg.
- Wyglądasz jak po kilku rundach z Tysonem.

– I tak się czuję. – Podniosła do ust łyżkę zupy i zauważyła, że dreszcze ustały. Słabo uśmiechnęła się do przyjaciół.

– No, tak już lepiej – powiedziała z westchnieniem Margit i wyciągnęła rękę, dotykając nogi Jennifer. – Czy chciałabyś porozmawiać o tym, co się stało? – spytała miękko.

– Margit, zostaw Jennifer w spokoju. – Dawid wstał i podszedł do barku.

– Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli Jennifer wyrzuci to z siebie, to wszystko – odparła.

– Wiem, czego chcesz – głos Dawida przycichł, kiedy schylił się, żeby wydostać z dolnej półki butelkę szkockiej. – Chciałabyś usłyszeć te wszystkie okropne szczegóły. A ja uważam, że Jennifer zasługuje na odrobinę prywatności.

Mówili o niej, nie zwracając na nią uwagi, jakby była dzieckiem.

– Nie ma żadnych okropnych szczegółów – odezwała się Jennifer – a ja nie mam nic przeciwko mówieniu o tym. – Odwróciła się w stronę Margit i próbowała zmusić posiniaczoną twarz do uśmiechu. – Nie straciłam nawet torebki. On właściwie nie zrobił mi krzywdy. Rzecz jasna, poza tym, co widać. Uciekłam, ot i wszystko.

– Gdzie to się stało? Tutaj, na West End Avenue? – Margit, z rozszerzonymi oczami, przysunęła się bliżej.

– Nie, nie tutaj. To było przy... – Jennifer powstrzymała się w ostatniej chwili, zanim wypowiedziała nazwę Columbus Avenue. – To było przy Broadwayu.

– Broadwayu? Tam jest duży ruch. Na Broadwayu zawsze są jacyś ludzie. Nikt nie przyszedł ci z pomocą? Mój Boże, co za miasto! – Patrzyła na swojego męża, jakby był za to w jakiś sposób odpowiedzialny.

– Dziś wieczorem nikogo nie było na ulicy, Margit – odrzekła Jennifer, wracając do swojej zupy. Jedząc, poczuła się lepiej.

– Masz rację. Cały wieczór padał śnieg – zgodził się Dawid.

– W dalszym ciągu jestem zdania, że powinniśmy zadzwonić na policję – powtórzyła Margit.

– Dlaczego? Słyszałaś, co powiedziała Jenny. Nie została obrabowana. Uderzono ją parę razy, ale w tym mieście nie uważa się tego nawet za wykroczenie.

– Nie możemy tak po prostu pozwolić mu uciec – Margit przenosiła wzrok z przyjaciółki na męża, zaskoczona zarówno zachowaniem Jennifer, jak i Dawida. – Żadna kobieta nie jest bezpieczna.

– Margit została zaatakowana w zeszłym tygodniu – pospieszył z wyjaśnieniem Dawid – i ciągle jest poruszona.

– Nie jestem poruszona i nie zostałam zaatakowana. Ktoś – jakiś czarny dzieciak – próbował wyrwać mi torebkę w Centrum Spożywczym. Straż go złapała. Mam wrażenie, że gdziekolwiek się człowiek obróci, tam motłoch, wszyscy ci bezdomni i biedacy wyłażą ze swoich nor – czy gdzie tam oni śpią w nocy – żeby nas zaatakować. To вина burmistrza, jego i tych wszystkich liberałów.

– Kiedyś sama do nich należałaś, kochanie – zauważył chłodno Dawid. – A burmistrz z całą pewnością nie jest liberałem.

Margit wstała i zaczęła przechadzać się po salonie.

– Margit, może pójdziesz do łóżka? – zasugerował miękko Dawid. – Jenny prawdopodobnie też będzie chciała trochę się przespać.

– Nie usnę. Jestem zbyt zdenerwowana. – Margit przemierzała pokój niespokojnymi krokami.

– Kochanie, to Jenny została napadnięta, a nie ty.

– Wiem o tym – odrzekła, dobitnie wymawiając słowa – ale to mogłam być ja. Cały czas jestem na Broadwayu.

– Och, jeśli zaczniesz tak mówić, równie dobrze możesz od razu wyprowadzić się z miasta.

– Nie wyprowadzę się sama – ucięła Margit.

Dawid spojrział na Jenny i uśmiechnął się przeprasząco.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego, ale zastałaś nas w środku długiej sprzeczki. Margit chce wyprowadzić się z miasta, przenieść się gdzieś w górę rzeki Hudson...

– Albo do New Jersey.

– ...a ja nie chcę. Nie zamierzam dojeżdżać do pracy, nie w moim wieku – sączył powoli swoją whisky.

– Nie mam ci tego za złe, Margit. Być zaatakowaną w ten sposób to straszne. – Jennifer skończyła zupę i próbowała obetrzeć usta, ale kiedy tylko dotknęła warg serwetką, jęknęła. – Będę się jutro fatalnie czuła – westchnęła – a muszę jechać do Bostonu.

– Bogu dzięki, że nic poważnego ci się nie stało. – Dawid podniósł się. – Margit, skończyłaś już spacerować? Jesteś gotowa pójść spać? – Uśmiechnął się do żony ponad głową Jennifer. Był dużym, niedbale ubranym, otyłym mężczyzną, ale kiedy uśmiechał się, wyglądał jak olbrzymia, urocza panda.

Został lekarzem Jennifer, kiedy jeszcze chodziła do szkoły prawniczej, potem poznała jego żonę i zaprzyjaźniła się z nią. Jennifer zawsze czuła, że Margit traktuje ją jak córkę, której nigdy nie miała.

– Jennifer, przygotuję ci pokój Dereka. Możesz tam dzisiaj spać. Chłopcy są w szkole. – Margit wydawała się spokojniejsza.

– Och, dziękuję. Doprawdy, przykro mi, że sprawiłam wam tyle kłopotów. – Z trudem wykuśtykała zza stolika do kawy, wiedząc, że sama nie będzie w stanie dojść do sypialni.

– Jeśli chcesz, Jennifer, dam ci coś uspokajającego. To pomoże ci usnąć.

– Dzięki. Zdaje się, że będę potrzebowała czegoś takiego. Całe ciało mam obolałe.

– Pójdź z Margit, a ja przyniosę ci pigułkę.

Kiedy wyszedł, Margit odezwała się szeptem do Jennifer:

– Przepraszam, że tak się posprzeczailiśmy. Przechodzimy oboje trudny okres, Dawid i ja.

– Wszystko w porządku, rozumiem – znów próbowała przywołać uśmiech.

– Nie, jestem pewna, że nic nie rozumiesz – odparła Margit. – To nie jest to, o czym myślisz. Nie walczymy o to, gdzie mieszkać. Dawid... cóż, Dawid znalazł sobie jakąś inną, młodszą kobietę i... – Margit rozplakała się. Objęła Jennifer, kiedy tak szły razem do sypialni.

– Och, Margit, jest mi tak... Ja nie...

– Oczywiście, oczywiście. Skąd mogłaś wiedzieć? On dopiero mi o tym powiedział. – Margit wyprostowała się i zapaliła światła w pokoju syna. Był

zapchany typowymi rzeczami nastolatka, a na ścianie wisiał poster przedstawiający półnągą Madonnę.

– Myślisz, że będziesz mogła usnąć, kiedy ona będzie wlepiła w ciebie oczy? – próbowała zażartować Margit.

– Zgaszę światło – Jennifer opadła na wąskie łóżko.

– Proszę, Jenny – powiedział Dawid, wracając z pigułką i szklanką wody. – Możesz zażyć to, kiedy tylko będziesz chciała. Będzie działało co najmniej sześć godzin. – Nachylił się i pocałował ją w czoło. – Dobranoc. Rano obejrzę jeszcze raz te siniaki.

– Dziękuję, Dawidzie, dziękuję za wszystko – uśmiechnęła się do niego.

Kiedy znowu zostały same, Margit odezwała się:

– Nie powinnam zawracać ci głowy swoimi troskami. Masz już dość, jak na jeden wieczór. Jak się ma Tom? Chcesz, żebym do niego zatelefonowała?

Jennifer pokręciła głową. Podniosła wzrok na Margit i jej oczy napęłniły się łzami.

– Sama nie wiem. Widzisz, to wszystko jakoś nie wychodzi.

Margit skinęła głową.

– To rzadko kiedy wychodzi, czyż nie? – westchnęła.

– Wszystko się ułoży, Margit... Nam obu.

– Przez dwadzieścia trzy lata miałam najlepszego męża na świecie, a teraz on mi mówi, że jest zakochany w jakiejś trzydziestosześcioletniej kobiecie, jednej ze swoich pacjentek, mogłabym dodać, która pracuje w banku na Wall Street i zarabia więcej pieniędzy niż on. Mój mąż twierdzi, że ona kocha go do szaleństwa. Jak myślisz, co ja po tym wszystkim czuję? – Potrząsnęła głową. – Nic dziwnego, że nienawidzę tego miasta. Wiesz, Jennifer, lepiej by było, gdybym to ja, a nie ty, została napadnięta. Pozwoliłabym temu mężczyźnie, żeby mnie zabił.

– Margit, nie wolno ci mówić w ten sposób! Nie wolno ci myśleć...

– Uwierz mi, Jennifer. To mogłoby przydarzyć się tobie. Kiedy już skończysz czterdziestkę, puszczają cię na zieloną trawkę. – Głos tej drobnej kobiety wezbrał gniewem. – W każdym razie, jeśli mnie porzuci, zmuszę go, by za to płacił.

– Margit, chce mi się płakać. Proszę.

– Przepraszam. Połóż się spać. Nie martw się o jutrzejszy dzień – Odwiozę cię do Brooklyn Heights. Okazuje się, że Dawid będzie musiał iść do biura albo przynajmniej taką ma wymówkę. – Wstała i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Śpij dobrze, skarbie – dodała i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając przyjaciółkę samą.

Jennifer siedziała bez ruchu, trzymając w jednej ręce szklankę wody, a w drugiej tabletkę nasenną. Na chwilę zapomniała o swoich własnych problemach i rozmyślała o Margit i Dawidzie; całe życie razem, długie i szczęśliwe, a teraz Dawid znalazł sobie inną kobietę. W tym momencie nienawidziła go, mimo że był jej lekarzem.

Poczuła falę złości zalewającą jej ciało. Powstała gdzieś w koniuszkach palców i rozchodziła się gwałtownie, jak pożar lasu w podmuchach gorącego wiatru. Jej oddech stał się szybki i ciężki; w rozpaczliwym wysiłku zachowania kontroli nad własnym ciałem połknęła proszek, popijając go łykiem wody. Mimo to była wściekła. Podniosła się, zapominając o bólu. Chciała go dopaść. Chciała unicestwić Dawida.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Światła były zgaszone i mieszkanie tonęło w ciszy. Jej bose stopy, poruszające się po grubym dywanie, nie wydawały żadnego

dźwięku, kiedy podążała w stronę światła, sączącego się spod drzwi sypialni.

Jennifer zorientowała się, że sypiają oddzielnie, kiedy zobaczyła światło pod drzwiami sypialni Matthew. To, że mąż zostawił Margit samą w ich wspólnym łóżku, podsyciło jeszcze jej furię. W tym samym momencie poczuła podmuch zimnego powietrza i zadrżała. Fala krwi wezbrała w jej żyłach.

Gwałtownym pchnięciem Jennifer otworzyła drzwi sypialni. Dawid był w łazience. Miał na sobie tylko dolną część piżamy i jego ciężki, biały brzuch przelewał się nad paskiem spodni. Szczotkował właśnie zęby i na jej widok tylko wytrzeszczył oczy. Wydawał się stary i bezużyteczny.

– Jenny – wymamrotał z ustami pełnymi białej piany.

– Ty! – Ruszyła w jego stronę z wyciągniętymi rękami, sięgając palcami do gardła. Wiedziała już, jak go zabije – rozrywając paznokciami tkanki jego szyi. Nagle jednak obraz przed jej oczami zasnuła mgła, poczuła się oszołomiona i zatoczyła się w przód. Podtrzymał ją, zanim upadła na podłogę.

– Wszystko w porządku, Jennifer. W porządku. – Ostrożnie położył ją na dywanie i zawołał żonę.

– Co się stało? – zapytała Margit, spiesząc z sąsiedniej sypialni.

– Straciła przytomność z powodu lekarstwa. Obawiam się, że dawka była zbyt duża. Zapomniałem spytać, czy nie piła wcześniej alkoholu. W każdym razie nic jej nie będzie. Pomóż mi.

– Nic jej się nie stało?

– Nie, ale jutro będzie miała diabelny ból głowy.

– Cholera, nie mogłeś bardziej uważać?

– Uważałem. Nie powinna była zareagować w ten sposób. Coś musi być nie w porządku z jej metabolizmem.

Wynieśli ją na korytarz, trzymając między sobą bezwładne ciało jak worek ziemniaków.

– Co ona właściwie tu robiła? – spytała Margit, zmagając się z nogami Jennifer.

– Nie mam pojęcia. Podniosłem wzrok i zobaczyłem ją w lustrze. Szła prosto na mnie – odpowiedział Dawid, skonsternowany. – Myłem zęby. Byłem bez okularów. Patrzyła dziko, jakby straciła rozum. Nie wiem, czy po prostu tu zawędrowała, czy przyszła – sam nie wiem – po mnie.

– Po ciebie? – Margit obejrzała się na męża. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Patrzyła tak, jakby chciała mnie zabić – odparł Dawid, delikatnie kładąc Jennifer na łóżku.

Rozdział 7

Jennifer przystanęła i pozwoliła się wyminąć innym przechodniom, spieszącym do pracy w środę rano. Wpatrywała się w wydrukowany dużymi literami nagłówek w „New York Post”:

MORDERCA-GORYL ROBI Z MANHATTANU DŻUNGLE

Kilkoro ludzi popchnęło ją w zatłoczonym przejściu, więc wyszła

z nieprzerwanego strumienia pieszych i zbliżyła się do stoiska z gazetami, żeby odczytać drobniejszy druk:

Znaleziono mężczyznę z pokruszonymi kośćmi. Lekarz mówi, że „zrobiło to zwierzę”.

Jennifer podeszła do stoiska i kupiła gazetę ukradkiem, jakby obawiała się, że może być obserwowana. Stała w stosunkowo spokojnym kącie i przekartkowała artykuł. Była tam fotografia ulicy, na której strzałka wskazywała miejsce, gdzie znaleziono ciało wciśnięte pomiędzy zaparkowane samochody.

Jadąc z Brooklynu na Manhattan, przejrzała tekst w poszukiwaniu szczegółów, które mogłyby wskazać na jej związek z tą śmiercią. Nikt nie widział mordercy. Mieszkaniec pobliskiego domu znalazł ofiarę w poniedziałek rano, podczas spaceru z psem. Przez cały weekend padał śnieg, przykrywając ciało dwunastocalową warstwą, ale pies poczuł zapach krwi. „Jedna ze stóp ofiary sterczała w górę jak podniesiona flaga” – wyjaśniał mężczyzna. Dlatego wezwał policję. Zamieszczono jeszcze zbliżenie znoszonego męskiego buta.

„Nieludzkie – powiedział właściciel psa reporterowi «Post». – Zabójca musiał być jakimś King Kongiem. Dokąd zmierza to miasto?”

Dalej był opis sposobu, w jaki skrecono zamordowanemu kark, i spekulacje na temat wymiarów napastnika. „Ponad dwieście pięćdziesiąt funtów wagi – szacował detektyw Coles Phinzy – i jakieś sześć stóp i sześć lub siedem cali wzrostu. Szukamy człowieka takiej postury, kogoś, kto mógłby pokonać Hulka Hogana”. Identyfikację ofiary wstrzymano do czasu odnalezienia najbliższych krewnych, ale osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji o tym morderstwie proszono o zawiadomienie Dwudziestego Komisariatu.

Rozejrzawszy się ostrożnie, Jennifer wydarła artykuł i wyrzuciła gazetę. Powrócił strach, a właściwie wcale jej nie opuścił, ale do tej pory potrafiła go stłumić.

We wtorek wzięła wolny dzień i z pomocą kolejnej tabletki nasennej przespała większość nocy. Kiedy obudziła się, pamiętała napaść, ale zaczęła wierzyć, że tylko zbyt ostro zareagowała. Nie było to tak brutalne, jak zapamiętała. W końcu wmówiła sobie, że nikogo nie zabiła.

Biorąc poranny prysznic, studiowała w lustrze swoją twarz, szukając jakichś złowrogich znaków, nowo rosnących włosów, jakiegoś powiększenia się mięśni, jednak na jej ciele nie było żadnych śladów, żadnych oznak przemiany. Teraz zalała ją fala lęku. Nie był to strach przed aresztowaniem. Policja nie będzie szukała białej kobiety, blondynki, o wzroście pięciu stóp i siedmiu cali, ważącej sto dwadzieścia sześć funtów.

Jej strach był dużo głębszy i bardziej tajemniczy. Zabiła człowieka siłą swych własnych rąk i nie miała pojęcia, skąd się ta siła wzięła.

Przepchnęła się przez Penn Station na ulicę i owionął ją chłód nowojorskiego poranka. Wybierała się na spotkanie z członkami pobliskiej parafii katolickiej, która ubiegała się o fundusze na budowę schroniska dla bezdomnych. Spiesząc ulicą, Jennifer uświadomiła sobie, że nie jest w stanie wziąć udziału w żadnym spotkaniu. Zdecydowała, że zamiast iść do kościoła, pojedzie taksówką do biura i poprosi Joan,

żeby zatelefonowała i umówiła ją na inny termin.

Śnieg został już uprzątnięty z ulic i zepchnięty do rynsztoków, gdzie utworzył wysokie zwały, już ciemniejsze od sadzy i wydeptane w miejscach, gdzie przechodnie utorowali sobie śliskie przejścia na jezdnię.

Na wprost niej zatrzymała się taksówka, z której wysiadł mężczyzna z neseserem, przeskoczył przez zwał śniegu i pomaszerował w stronę Penn Station.

Jennifer natychmiast skoczyła do taksówki. Kątem oka dostrzegła innego mężczyznę, który także zmierzał do pojazdu, i zaczęła biec. Przyspieszyła, znalazła ścieżkę wydeptaną w zaspach i wybiegła na jezdnię. Zbliżyła się do samochodu od tyłu, kierowca nie mógł jej widzieć.

Postanowiła, że dostanie tę taksówkę i oddychając ciężko, popędziła, rozchlapując topniejący śnieg. Zapomniała o swojej sytuacji, o zamordowanym mężczyźnie, o własnym strachu. Potrzebowała tej taksówki.

Mężczyzna, pędząc jezdnią, dotarł do samochodu od przodu. Kiedy ją zobaczył, zaczął krzyczeć:

– Hej, proszę pani, ona jest moja!

Jennifer otworzyła tylne drzwi i wśliznąwszy się do środka, zatrasnęła je za sobą.

– Róg Broadwayu i Pięćdziesiątej Ósmej – powiedziała do kierowcy, pochylając się, żeby usłyszał ją przez grubą szybę. Docierał do niej głos mężczyzny, który krzyczał przez boczne okienko. Wyciągnęła rękę i zablokowała drzwi, a kiedy pojazd włączył się do ruchu, opadła z ulgą na poduszki siedzenia. Nie spojrzała na pozostawionego rywala, który trzasnął pięścią w bok oddalającego się samochodu.

Kierowca zaklął, rozglądając się dokoła.

– Proszę się nie zatrzymywać! – zawołała Jennifer. Cała drżała.

– Zwierzęta! – wrzasnął taksówkarz. – Przeklęte zwierzęta! – Przyspieszył, ciągle klnąc, tym razem pod adresem ulicznego ruchu.

Jennifer spojrzała na nazwisko kierowcy, widniejące na jego licencji. Było niemożliwe do wymówienia, pełne spółgłosek. Wyjrzała przez okno, jakby rozglądanie się mogło ją uchronić przed dalszymi konfrontacjami.

– Zwierzęta! – wykrzyknął znowu szofer.

– Tak – szepnęła Jennifer. – Zdaje się, że jestem zwierzęciem.

– O mój Boże, co ci się stało? – krzyknęła Joan na widok posiniaczonej twarzy Jennifer.

– Nic mi nie jest. Wszystko w porządku – zapewniła swoją sekretarkę. – Joan, chodź ze mną. Chcę, żebyś odwołała pewne spotkanie. – Jennifer przeszła przez zewnętrzne biura fundacji i wkroczyła do swojego własnego, małego gabinetu, którego okna wychodziły na północ.

– Masz ochotę na filiżankę kawy? – zaproponowała Joan, idąc za nią.

– Tak! – odpowiedziała Jennifer, zdejmując wełniany płaszcz i kładąc go na biurowej sofie. – I połącz mnie z Dale'em Forsterem. Muszę odwołać naszą partię squasha. – Jennifer osunęła się na krzesło. Nie podnosząc wzroku wiedziała, że sekretarka weszła do pokoju z filiżanką kawy. – Chciałabym, żebyś zadzwoniła do ojca Merrilla i przeprosiła go, że nie mogę spotkać się z nim dziś rano. Proszę cię także, abyś odwołała wszystkie moje spotkania zaplanowane na dzisiejsze

popołudnie. – Przyciągnęła kalendarz na swoją stronę szerokiego biurka i spojrzała na kartkę dotyczącą środy. – Co mamy na dzisiaj?

– O jedenastej jesteś umówiona z Dawidem Meyerem w sprawie jego projektu filmu. Zorganizowano wszystko w sali konferencyjnej. Chce ci pokazać swój film o Dolinie Słońca. On już tu jest. Potem masz lunch z Even Konechy, na górze, w jadalni. Jeśli, oczywiście, nie chcesz, żebym zarezerwowała miejsce gdzieś indziej. Po południu jest prezentacja przezroczy dotyczących projektu z St. Louis, pamiętasz? – Sekretarka ostrożnie postawiła filiżankę kawy i przysiadła na brzeżku krzesła stojącego przy rogu biurka.

– Cholera! Zapomniałam o St. Louis. – Jennifer odchyliła się na oparcie swojego wysokiego skórzanego fotela, który dostała od Dawida i Margit, kiedy zaczęła pracować w fundacji.

– Jennifer, dobrze się czujesz? – zapytała Joan. – Powiedz mi, co się stało.

– Tak, już nic mi nie jest. – Kiedy zadzwoniła do pracy poprzedniego dnia, zawiadamiając, że jest chora, nie wspomniała o napadzie. Teraz starała się zbagatelizować cały incydent. – Zostałam napadnięta przed moim mieszkaniem, to wszystko.

– Och, biedactwo! Nawet nie wspomniałaś o tym! Czy nic ci się nie stało? Musiałaś iść do szpitala?

– Nie, musiałam tylko pójść... na policję – skłamała, unikając spojrzenia Joan.

– Oglądałaś fotografie rabusiów? – dopytywała się sekretarka. – Janet Chan – wiesz, ta, która zaczęła pracować w Fundacji Świata Kobiet – została obrabowana zeszłej jesieni i musiała przejrzeć kartotekę przestępców. To było w Scarsdale.

– Cóż, nic nie wiem o kartotece. Nie widziałam tego mężczyzny. – Jennifer otworzyła skózaną teczkę i wyjęła z niej akta, próbując zapobiec dalszym pytaniom. – Ktoś dzwonił?

– Tak, kilka osób... Tom... dwa razy. – Joan nie podnosiła oczu znad żółtych kartek z notatkami o telefonach. – Telefonowali także z biura przewodniczącego. Doktor Handingham chce z tobą porozmawiać o mowie, którą ma wygłosić na obiedzie u Silbersacka w poniedziałek. Jennifer nagle poczuła się przytłoczona swoją pracą. Na jej biurku spoczywało kilka grubych plików akt dotyczących projektów. Należało je dokładnie przejrzeć. Były jeszcze te wszystkie spotkania. Ona jednak nie mogła się skoncentrować. Nie mogła oderwać myśli od tego, co się wydarzyło.

– Dobrze się czujesz, Jennifer? – zaniepokoiła się ponownie Joan.

– Tak, jestem tylko zmęczona, to wszystko. – Wskazała ręką stosy papierów. – Mam trochę pilnej pracy. Czy możesz przez małą chwilkę trzymać wszystkich z dala ode mnie? – Uśmiechnęła się do Joan, próbując powstrzymać się od płaczu.

– O nic się nie martw, kochanie. – Joan Corboy wstała. – Wypij swoją kawę, a ja zamknę drzwi i zostawię cię na chwilę w ciszy i spokoju.

– Dziękuję, Joan, że tak o mnie dbasz. – Uśmiechnęła się do wychodzącej sekretarki, a kiedy drzwi się zamknęły, sięgnęła po telefon i wykrciła numer biura Toma.

– Czy Tom Oliver jest osiągalny? – zapytała sekretarkę.

– Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

– Jennifer Winters. – Czekaając kręciła w palcach sznur od telefonu, w końcu

odwróciła fotel do okna. Widziała długi, wąski pas parku ciągnący się spod jej okien do zachodniej części Central Parku i dalej na północ aż do muzeum. Czekała, aż Tom podejmie do telefonu, zatrzymała wzrok na masywnej bryle muzeum pobudowanego w romańskim stylu. Nie mogła stąd widzieć Columbus Avenue, gdzie zabiła mężczyznę.

Usiłowała przekonać siebie, że to się nie stało. Nie mogło się stać. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Tysiące razy przeżywała to morderstwo. W wyobraźni zabiła tego człowieka tysiąckrotnie.

– Jennifer!

– Tak, Tom – szepnęła do słuchawki.

– Gdzie się podziewałaś?

– Muszę się z tobą zobaczyć.

– Ja także muszę się z tobą zobaczyć, kochanie. – Usłyszała jego westchnienie. – Boże, dzwoniłem do ciebie. Ale twoja automatyczna sekretarka...

– Tom – przerwała. – Muszę z tobą pomówić. – Osłoniła dłonią mikrofon telefonu.

– Słucham? Kochanie, źle cię słyszę.

– Muszę z tobą pomówić!

– Dobrze! Dobrze! Kiedy i gdzie?

– Możesz zjeść ze mną lunch?

– Skarbie, nie dam rady. Muszę być w śródmieściu.

– W porządku! – Obróciła fotel i zajrzała do kalendarza. – Jesteś wolny później, po czwartej?

– Będę. Gdzie chcesz się ze mną spotkać?

– Przyjedź do Brooklynu, proszę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, kiedy Tom podejmował decyzję.

– Dobrze, ale nie spóźnij się. Nie chciałbym włączyć się po ulicy.

– Masz klucz.

– Nie mam go ze sobą.

– Będę w domu wcześniej. Tom, potrzebuję twojej pomocy. Coś się zdarzyło. – Płakała; wyciągnęła rękę i wyjęła garść chusteczek higienicznych z pudełka stojącego na biurku.

– O czym mówisz?

– To nie to, o czym myślisz. Ze mną wszystko w porządku. – Wiedziała, że Tom obawia się nieustannie, aby nie zaszła w ciążę. – Nie mów nic. To znaczy, nie mów nikomu w biurze, że masz się ze mną spotkać.

– Nigdy tego nie robię, skarbie, wiesz o tym.

– Mówię poważnie, Tom, to jest ważne!

– Tak samo jak moje dochodzenie.

– To, o czym muszę z tobą porozmawiać, dotyczy tylko mnie. Wyłącznie mnie.

– Kochanie, po prostu cię nie rozumiem.

– Przeglądałeś rano „Post”?

– Jasne, że nie!

– Spójrz na nagłówki.

– Daj spokój, co tam jest? Za piętnaście minut mam rozprawę.

– Tytuł brzmi: Morderca-goryl robi z Manhattanu dżunglę.

– Aha... Zatem?

– Muszę z tobą pomówić o tym „mordercy-gorylu”. Wiem, kto to jest! – Potem, niezdolna wymówić ani słowa więcej, rzuciła słuchawkę. Co się jej stało? Wstała, obeszła biurko, kiedy otworzyły się drzwi pokoju. Joan trzymała w ręce jaskrawoczerwoną teczkę.

– To na twoje spotkanie z Meyerem o jedenastej – powiedziała, wręczając jej dokumenty.

– Proszę, zadzwoń pod ten numer – powiedziała Jennifer, wychodząc z biura. – Do Eileen Gorman. Dowiesz się, czy może dziś zjeść ze mną lunch w śródmieściu. Powiedz, że to bardzo ważne. I zadzwoń do Even Konechy i odwołaj spotkanie z nią.

Joan podążyła za Jennifer na korytarz i stanęła obok niej przed drzwiami windy.

– Na pewno dobrze się czujesz, Jennifer? – przyglądała się szefowej spod okularów.

Jennifer spojrzała na swoje odbicie w wypolerowanych, mosiężnych drzwiach. Dostrzegła własną twarz o groteskowych i zdeformowanych rysach. Odwróciła się od tego obrazu.

– Nie jestem pewna – szepnęła. Drzwi otworzyły się i weszła do wnętrza pustej kabiny. Odwracając się nacisnęła przycisk piętra, na którym znajdowała się sala konferencyjna, i spojrzała na Joan. Sekretarka wciąż jej się przyglądała z twarzą ściągniętą niepokojem.

– Możesz mi powiedzieć – zaproponowała Joan. Jennifer zdobyła się na nieszczerzy uśmiech.

– Dziękowałabym Bogu, gdybym mogła – szepnęła do siebie, kiedy drzwi zasunęły się płynnie, zamykając ją na krótko w bezpiecznym wnętrzu zjeżdżającej windy.

Rozdział 8

Jennifer nie mogła jeść swojego lunchu. Siedziała naprzeciwko Eileen Gorman i przysłuchiwała się jej słowom. Zaprażyła zobaczyć się z Eileen jak najszybciej, gdy się zorientowała, że wszystkie kłopoty zaczęły się po tym, jak spotkała ją w Waszyngtonie. Wymieniły dziwne spojrzenia z Kathy Dart, a następnie przebiegła trzysta mil. Zgadywała, że wszystko to było w jakiś sposób związane z osobą Eileen Gorman.

Zamierzała także porozmawiać z przyjaciółką o tym, jak zabiła mężczyznę, który ją zaatakował. Teraz jednak nie umiała jej tego wyznać. W głębi serca Jennifer ciągle wierzyła, że nie jest zdolna do tak okropnego czynu.

Spędziła lunch, słuchając Eileen, która rozprawiała o filozofii Nowej Ery, mediumizmie, aurach psychicznych i innych metafizycznych sprawach, w które wierzyła. Coś mówiło Jennifer, że powinna się więcej dowiedzieć o nowych formach spirytyzmu, jeśli zamierza odkryć, co jest nie w porządku z jej ciałem.

– Nie wierzyłam w medytację ani w nic, co miałyby jakiś związek z piramidami czy kryształami kwarcu – kontynuowała Eileen – nie od razu. Potem jednak zaczęłam zauważać, że w moim życiu – w jego zdarzeniach – istnieje jakiś porządek. Zaczęłam czytać, badać wszystko, wiesz, nie wyjaśnione zdarzenia. I to w końcu doprowadziło mnie do nauk Kathy Dart i Habaszy.

Jennifer czekała, aż jej rozmówczyni sama wyjaśni, co ma na myśli.

– Po prostu uznałam, że musiałam podlegać reinkarnacji. – Eileen wzruszyła ramionami. – To znaczy, reinkarnacja była jedyną rzeczą, która nadawała sens mojemu życiu. Życiu każdego. – Zamachała ręką. – Życie nikogo z nas nie ma sensu, chyba że istnieje jakaś przyczyna tego wszystkiego.

– Przyczyna istnieje – odrzekła Jennifer. – Niektórzy ludzie nazywają to niebem i piekłem. Inni ewolucją. – Nie mogła jeszcze zaakceptować tego, o czym mówiła Eileen, ale też nie mogła podważyć jej rozumowania.

– Słuchaj, ja nie jestem prawnikiem, jak ty – powiedziała Eileen, pochylając się w kierunku oponentki – ani nie skończyłam uniwersytetu w Chicago. Właściwie w ogóle się nie uczyłam, od kiedy skończyłam szkołę średnią. Ale sama dowiedziałam się mnóstwa rzeczy, czytając materiały ruchu Nowej Ery. To niewiarygodne, naprawdę, to co poznasz, kiedy już dostrzeżesz związki, korelacje między bytami. Plan tego, co robimy tu, na Ziemi.

Jennifer uniosła brwi.

– Posłuchaj, tego jeszcze o mnie nie wiesz. Wysłałam za tego ratownika, Tima Murphy’ego. Mieliśmy dziecko. Nasze pierworodne. Dziewczynkę. Daliśmy jej na imię Adara, żyła tylko tydzień.

– Nie wiedziałam, Eileen.

– Jasne, że nie. Byłaś wtedy w college’u. To był poród kleszczowy i biedne maleństwo miało głębokie ślady na czole.

– Och nie – szepnęła Jennifer.

– Nie, nie to ją zabiło. Była zbyt mała. Jej płuca były jeszcze niedojrzałe. Być może dzisiaj, przy wszystkich osiągnięciach medycyny... ale ona nie przeżyła. I z tego powodu a także oczywiście z wielu innych, Timmy i ja po prostu oddaliliśmy się od siebie. Wydaje mi się, że tak naprawdę nie łączyło nas nic z wyjątkiem plaży w Jones Beach. Po rozpadzie naszego związku trochę zdziczałam – mówiła z grymasem. – Próbowałam narkotyków, nawiązywałam liczne romanse. Zdarzały się poranki, kiedy budziłam się i nie wiedziałam, gdzie się znajduję i z kim jestem. To było ohydne. Wydaje mi się, że próbowałam się zabić – wzruszyła ramionami. – Zrobiłabym to, gdybym nie spotkała Todda. On właśnie przechodził okropny proces rozwodowy i my dwoje w jakiś sposób odnaleźliśmy się nawzajem – uratowaliśmy jedno drugie. Oto był on, człowiek sukcesu, wielki kierownik ubezpieczeń z Nowego Jorku, z olbrzymim domem w Old Westbury. Rozumiesz, nie mogłam uwierzyć, że mam takie szczęście. I on mnie kochał. Pewnej nocy uklęknęłam przy łóżku, jakbym znowu była małym dzieckiem, i dziękowałam Bogu, że zesłał mi Todda. Ale to nie Bóg mi go dał. To było tylko wypełnienie mojej karmy. W każdym razie pobraliśmy się czternastego września, a nasz syn, Michael, urodził się tego samego dnia dwa lata później. Dokładnie pięć lat wcześniej straciłam moją małą Adarę. Michael przyszedł na świat bardzo łatwo, bez kleszczy. Kiedy jednak zobaczyłam go, kiedy lekarz położył mi go na piersiach, miał dwa ślady po obu stronach czoła, tak jak Adara. I ja wiedziałam. Wiedziałam.

– Eileen, proszę.

Eileen skinęła głową.

– Tak, jestem tego pewna, Jennifer. Michael i Adara to ta sama dusza. To nie jest

takie dziwne. Pewien psychiatra w Bostonie, doktor Susan Zawalich, zbiera informacje o tego typu przypadkach. Czytałam jedno takie doniesienie. To zdarzyło się w Irlandii. Dwóch chłopców, jeden miał jedenaście, a drugi sześć lat, zginęło w zamachu bombowym IRA. Zaraz po tym ich matka zaszła w ciążę, ale tym razem bliźniaczą. Urodziły się dwie dziewczynki i miały na ciałach znamiona dokładnie takie same, jak ich starsi, nieżyjący bracia. Ten sam rodzaj znamion, w identycznych miejscach, taki sam kolor oczu, sposób mówienia, wszystko.

– Eileen, pozwalasz ponosić się wyobraźni.

– Uważasz, że to moja wina? – zasugerowała Eileen.

– Cóż, wszystko możliwe – odparowała Jennifer, zdumiona pewnością siebie Eileen.

– Myślałam o tym, że, być może, usiłuję przenieść na Michaela cechy wyglądu Adary. Zrobiłam kilka sprawdzianów. Przejrzałam dokumenty Adary. W papierach ze szpitala znalazłam mały odcisk stopy, taki jaki robią wszystkim noworodkom. Wzięłam odciski stóp Adary i Michaela i dałam je do porównania jednemu z przyjaciół Todda, który jest zastępcą szeryfa w Garden City – Zrobiła dramatyczną pauzę. – One były takie same, Jennifer. Dwoje moich dzieci miało identyczne odciski stóp. One są tą samą duszą.

Jennifer rozejrzała się. Nie uwierzyła, ale być może Eileen potrzebowała wiary w coś takiego. Pomogło jej to odnaleźć jakieś usprawiedliwienie tego, co się stało z jej pierwotnym dzieckiem.

– Nie wyjaśnione, Jennifer, to właśnie to. Leży poza granicami naszego rozumowego poznania. Wychowuje się nas i uczy tak, żeby racjonalnie wyjaśniać wszystkie działania. Prawda jednak jest taka, że są zjawiska, które nie pozwalają się tak prosto wytłumaczyć. Zawsze istnieje jakaś przyczyna, ale czasami wymyka się ona naszemu pojmowaniu. A niektórzy ludzie, tacy jak Kathy Dart i inni obdarzeni zdolnościami mediumicznymi, mają pewien dar – dar od Boga. Nie ma w tym nic satanicznego. Ich dar polega na pokazywaniu nam, że przypadkowość zdarzeń ma swoją logikę, ale jest to logika wyższej siły.

– Mówisz jak telewizyjny kaznodzieja – zareplikowała Jennifer.

– Nie jestem religijna, mówiłam ci już. Todd i ja nie chodzimy do kościoła. Ale wierzę w Boga i wierzę, że wszyscy jesteśmy częścią jakiegoś planu, systemu życia. Pozwól, że dam ci jeden przykład. – W podnieceniu pochyliła się nad stołem, wyliczając na palcach „dowody”. – Dwaj nasi zamordowani prezydenci wiedzieli wcześniej, że zostaną zabici. Lincoln miał sen, w którym zobaczył siebie ubranego w strój pogrzebowy. To było dzień czy dwa przed zamachem. A Kennedy powiedział do Jackie, że jeśli człowiek wyglądający z okna będzie chciał go zastrzelić ze strzelby, nikt nie zdoła go powstrzymać. Ale to nie wszystko. Obaj zginęli w piątek. Obaj zostali zabici strzałem w tył głowy, kiedy siedzieli obok swoich żon. Zabójcy obu prezydentów nosili dwa imiona: John Wilkes Booth i Lee Harvey Oswald. Urodzili się dokładnie sto lat jeden po drugim i obaj zostali zamordowani, zanim stanęli przed sądem. Booth zastrzelił Lincolna w teatrze i uciekł do magazynu. Oswald strzelał do Kennedy’ego z okna magazynu i zbiegł do teatru. Kennedy miał sekretarza nazwiskiem Lincoln. Sekretarz Lincolna nazywał się Kennedy. Do Lincolna strzelano w Teatrze Forda. Kennedy jechał lincolnem, wyprodukowanym

przez Forda. Następcy obu prezydentów nosili nazwisko Johnson. – Eileen usiadła swobodnie. – To nie przypadek, Jennifer. Jest w tym plan. Boski plan. Nie tylko ja uważam, że Lincoln i Kennedy to ta sama dusza, reinkarnowana.

Przez chwilę obie milczały, zmęczone drugim popołudniem, wypełnionym rozmową. Do uszu Jennifer dobiegały stłumione odgłosy ulicznego ruchu i brzęk talerzy i garnków z głębi kuchni. Był już najwyższy czas wracać do biura. Zerknęła na zegarek.

– Nie wierzę w reinkarnację – oświadczyła.

– Nie wiem dlaczego. Wszystkie religie ją uznają, w ten czy inny sposób. Czym jest życie po śmierci, jeśli nie reinkarnacją? Cała przyroda jest cykliczna. Kropla, która spada z nieba do oceanu, z niego pochodzi. To ta sama kropla. Ta sama dusza. Zostajemy powołani do istnienia tylko raz, potem odradzamy się w różnych odstępach czasu. Nasza dusza jest domem wszystkich naszych dobrych, bezinteresownych, szlachetnych aspiracji. Kiedy staramy się otoczyć opieką bezdomnych, zapobiec cierpieniu, przyjść z pomocą sąsiadom, wtedy właśnie działa nasza dusza.

Jennifer pomyślała o mężczyźnie, którego zatłukła na śmierć. Próbując wyzwolić się spod władzy tego wyobrażenia, spytała:

– Dobrze, a jak się z tym wiąże twoja karma?

– Karma jest prawem przyczyny i skutku – zasług i przewin, jak mawiają buddyści. To rodzaj sprawiedliwości, którą wymierzamy sobie sami – ilość dobra i zła w następnym życiu zależy od tego, co robiliśmy w tym istnieniu. W pewnym sensie jesteśmy skazani na płacenie za to, co uczyniliśmy w poprzednich istnieniach, zmieniając kolejne egzystencje dopóty, dopóki cała zła karma nie zostanie zastąpiona dobrą.

– Co się wtedy dzieje?

– Wówczas osiągamy stan, w którym się znajdowały nasze dusze, zanim pierwszy raz przyszedły na świat; wieczny pokój i szczęście. Tak przynajmniej mówi Kathy, czy raczej Habasza.

Jennifer skinęła głową. Wiedziała już wystarczająco dużo o naukach okultystycznych i zjawiskach paranormalnych, więc mogła nadażyć za wywodami Eileen, ale co właściwie stało się z nią tak nagle w muzeum? Dlaczego tam? Dlaczego wtedy?

– Muszę wracać do biura – oznajmiła, zbyt znużona, by kontynuować rozmowę.

– Oczywiście, Jennifer, ale wiesz: jestem w domu, kiedy tylko będziesz chciała porozmawiać.

Uśmiechnęła się i Jennifer po raz kolejny zdumiał spokój na twarzy przyjaciółki. Nie widziała na niej ani śladu tego napięcia, które oglądała każdego ranka we własnym lustrze. Być może powinna kupić cały ten stek nonsensów tylko po to, żeby osiągnąć pełnię zadowolenia. Pomyślała żarliwie, że spokojny sen w nocy byłby tego wart.

– Śnieg pada – zdumiała się Eileen, kiedy wyszły z restauracji.

Jennifer odprowadziła Eileen do miejsca, gdzie zaparkowała ona samochód.

– Przepraszam, że musiałaś przyjeżdżać do centrum. O tej porze jazda autostradą do domu będzie koszmarem.

– Nigdy nie martwię się takimi sprawami, teraz już nie – odpowiedziała Eileen. – Zanim związałam się z Kathy i Habasza, drobiazgi takie, jak prowadzenie samochodu podczas śnieży, wydanie obiadu dla gości czy poznawanie nowych ludzi denerwowały mnie do szaleństwa. Teraz już nie. – Pokręciła głową, uśmiechając się porozumiewawczo.

– W jaki sposób? Jak ci się udało przestać się denerwować?

Jennifer przystanęła i odwróciła się do Eileen. – Chciałabym wiedzieć – nalegała. Była zmęczona ogólnym mówieniem o miłości, umiejętności rozumienia własnych emocji, o medytacji i używaniu kryształów kwarcu do zdobycia mądrości i przewodnictwa. Chciała odpowiedzi i efektów. – Powiedz mi, jak żyć w tym mieście, nie tracąc człowieczeństwa, a wtedy uwierzę w twojego Afrykanina. – To nie takie proste, Jennifer. Musisz być otwarta.

– Jestem otwarta. Wierz mi, jestem otwarta.

– Spróbuj, Jennifer, spróbuj. Otwórz się. – Eileen uśmiechnęła się, a jej oczy zaszyły łzami z zimna. – Proszę! – powiedziała, wyciągając z kieszeni kryształ kwarcu. – Weź to i noś ze sobą. Ten kryształ zaopiekuje się tobą, dopóki nie będziesz miała okazji porozmawiać z Kathy lub innym medium. Po prostu myśl o nim, o tym, że masz go w kieszeni. – Pochyliła się i lekko pocałowała Jennifer w policzek. – Uważaj na siebie – szepnęła i dodała – tiru no.

– Słucham? – Jennifer cofnęła się, marszcząc brwi.

– To powiedzenie Habaszy, znaczy „To jest dobre”. Ty jesteś dobra. My jesteśmy dobre. – Pomachała ręką na pożegnanie i poszła w kierunku wejścia na parking, gdzie stał jej samochód.

Jennifer szła pieszo na wschód, w kierunku swojego biura. Śnieg padał mocniej i samochody przed nią utknęły w korku, próbując przedostać się przez mokre jezdnie śródmieścia. Pomyślała z poczuciem winy, że Eileen chyba nigdy nie dotrze do domu.

Przeszła na drugą stronę ulicy, przemykając się między samochodami i sięgnęła do kieszeni futra, gdzie namacała kwarc. Spoczywał tam ciepły jak mały piecyk, a sama świadomość, że ma go przy sobie, w jakiś dziwny sposób poprawiła jej samopoczucie. Zastanawiała się dlaczego.

Po wejściu do budynku fundacji, Jennifer pojechała windą na swoje piętro i ruszyła w kierunku damskiej toalety. Kątem oka zauważyła kobietę czekającą na windę. W chwili gdy otwierała drzwi łazienki, nieznajoma odwróciła się raptownie i ruszyła za nią. Jennifer zatrzymała się przy wejściu, zaniepokojona. Była to niska, szczupła biała kobieta, której nigdy przedtem nie widziała w tym budynku ale po chwili pomyślała, że potrafi o siebie zadbać, i wkroczyła do toalety. Znajdowała się tam czarna posługaczka sprzątająca pomieszczenie. Jennifer podeszła do umywalki, położyła torebkę na półce pod lustrem i zaczęła poprawiać makijaż. Tylko raz zerknęła na masywną Murzynkę, kiedy ta wyszła z jednej z kabin. Poruszała się powoli, kołysząc się jak wielki statek stojący na kotwicy w porcie.

– Na dworze pada śnieg, proszę pani? – zapytała.

– Tak, obawiam się, że pada – odparła Jennifer, malując usta szminką.

– Och, nie znoszę śniegu. Zima to tylko kłopoty. – Włożyła swoją szczotkę do

wiadra z mydlinami i podeszła do Jennifer, która zorientowała się od razu, że wielkie cielsko zablokowało ją w rogu.

– Okay, złotko – powiedziała Murzynka miękko, prawie tak, jakby szeptała do dziecka – dlaczego nie opróżnisz torebki na ten blat? – Jej melodyjny głos rozbrzmiewał słodko w cichym pomieszczeniu.

Jennifer odsunęła się od lustra i oparła plecami o wyłożoną glazurą ścianę. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie była w stanie wydobyć z siebie dźwięku ani nawet pomyśleć o tym, w jaki sposób uciec. Gdy drzwi toalety otworzyły się, przemknęło jej przez głowę „Dzięki Bogu”, na widok kobiety, która szła za nią od windy. Potem jednak dostrzegła, że spojrzenie wchodzącej nieruchomieje na jej skórzanej torbie.

– Nie! – poruszyła się, kiedy drobna kobieta pochwyciła jej torbę. – Proszę, nie – błagała.

– Odsuń się, ty biała suko! – Potężna napastniczka uderzyła Jennifer w ramię tak, że dziewczyna zachwiała się, potem Murzynka złapała torebkę i wysypała jej zawartość do umywalki. Przeszukiwała rzeczy krótkimi, grubymi palcami.

Jennifer obserwowała swoją reakcję. Czuła, jak odpycha się od pokrytej szarymi kafelkami ściany i rzuca na ogromną kobietę. Złapała ją za gardło. Przez chwilę trzymała napastniczkę w górze jedną ręką niczym afrykańska lwica popisująca się swoją zdobyczą. Potem z trzaskiem otworzyła metalowe drzwi kabiny i, wciąż trzymając ofiarę jedną ręką, wepchnęła twarz Murzynki do muszli klozetowej. Masywna kobieta próbowała wyrwać się jej z rąk, rozchlapując wodę z sedesu, ale Jennifer pochyliła się, przyciskając jej barki całym swoim ciężarem i stopą wdusiła przycisk spłuczki. Spuszczała wodę dopóty, dopóki kobieta nie przestała się szamotać. Jennifer oparła zwaliste ciało pokonanej o tylną ścianę kabiny i zostawiła ją z twarzą zanurzoną w błękitnej wodzie, wypełniającej muszlę.

Wycofała się, próbując uspokoić oddech, odwróciła do umywalki i pozbierała zawartość swojej torebki, zgarniając wszystko do dużej, skórzanej torby. Popatrzyła w lustro i ujrzała odbicie swojej zaczerwienionej twarzy i płonących oczu, a także szczupłej białej kobiety, która nie uciekła. Została, a teraz z pałką w ręce podchodziła do Jennifer.

Bez chwili zastanowienia skoczyła ku kolejnej napastniczce i zadała jej cios. Uderzyła solidnie w nasadę nosa. Jennifer poczuła kości pękające pod jej ręką i zobaczyła błysk bólu w ciemnych oczach przeciwniczki, zanim krew obfitymi, czerwonymi strugami trysnęła jej z obu nozdrzy. Lekko stuknęła ją w czoło i martwa kobieta w ciszy osunęła się na wilgotne kafelki podłogi.

Jennifer przestąpiła leżące ciało, poprawiła spódnicę swojego kostiumu i wyszła z toalety. Odwróciła się od sali konferencyjnej i skierowała w stronę szeregu wind, gdzie nacisnęła dolny guzik. Strach spłynął z niej, pozostawiając dreszcze. Modliła się, aby nikt nie odkrył, że to ona zabiła.

Wsunęła ręce głęboko w kieszenie płaszcza i dotykiem wyczuła kryształ Eileen. Zaciskając palce na twardym kawałku kwarcu, poczuła jego dziwne ciepło i od razu zrobiło się jej lepiej. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na minerale, pozwalając, by jego dziwnie kojące wibracje uspokajały jej stroskaną duszę.

100 DOLARÓW NAGRODY

Zbiegła niewolnica z mojej plantacji, w hrabstwie Calhoun, Alabama, czarna kobieta imieniem Sara, w wieku siedemnastu lat, 5 stóp i 3 lub 4 cale wzrostu, skóra koloru miedzi, prosta sylwetka; zęby w dobrym stanie, zgryz lekko otwarty. Dziewczyna ma kilka blizn na plecach, pod łopatkami po uderzeniach biczem; zgrabna jak na Murzynkę, z miłym uśmiechem. Ostatnio widziano ją w hrabstwie Williamsburg, w Karolinie Południowej i tam stracono jej ślad. Powyższą nagrodę dam za schwytanie jej przez łapacza niewolników.

Charles B. Smythe

„Norfolk Times”

6 października, 1851

Stał z dala od pokrytego pyłem nabrzeża, z dala od tłumów i obserwował handlarzy niewolników ładujących na pokład uciekinierów. Z osłoniętej od wiatru drewnianej werandy nadbrzeżnego baru wypatrywał kobiet, ale bardzo mało niewolnic odpływało na południe i nie chciał żadnej z tych, które do tej pory widział. Były stare i zniszczone upływem czasu i ciężką pracą. Czekał. Chciał tylko jednej: dwie to byłoby więcej niż niespodzianka. „Byłoby to błogosławieństwo” – pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Mimo chłodu zimowego dnia zebrane w nieliczną grupkę kobiety miały na sobie tylko skromną bieliznę, cienkie sukienki lub spódnice i wszystkie były bose. Małe kulki śniegu przyczepiały się do wystrzępionych brzegów ich ubrań. Wyjął papierośnicę, potarł zapałkę o słup i zapalił coronę, przeszukując wzrokiem ruchliwy rzeczny port.

Niewolników wprowadzano na parowiec, żeby byli już bezpiecznie zamknięci w ładowniach, kiedy pasażerowie zaczną wchodzić na pokład. Widział łańcuch siedemdziesięciu czarnych – mężczyzn, kobiet i dzieci popędzanych uderzeniami bata – z których każdy niósł małe zawiniątko ze swoimi osobistymi rzeczami. W mroźnym powietrzu poranka okrzyki poganiaczy niosły się daleko. Ci niewolnicy byli zbiegami, zabierano ich na południe, gdzie zostaną sprzedani na aukcji lub zwróceniu za nagrodą właścicielom. Murzyni szli ze spuszczoneymi głowami, nie protestując, gdy uderzenia bata spadały na ich grzbiety. Chociaż zauważył, że kilkoro z przechodzących maluchów szlochało cicho, domyślał się, że płaczą raczej ze zmęczenia niż ze strachu. Uświadomił sobie, że te dzieciaki nie odczuwają strachu, bo nie wiedzą, co czeka je na Starym Południu. Dużo dalej inna grupa niewolników, ładujących towary na prom, zaczęła śpiewać, a ich silne głosy górowały nad trzaskiem bicia i krzykami poganiaczy.

Biedna Ros-y, biedne dziewczę,
Biedna Ros-y, biedne dziewczę;
Ros-y złamała moje biedne serce,
Niebiosa będą moim domem.

Uśmiechnął się, z przyjemnością słuchając pieśni spiritual. Słyszał już kiedyś, jak

śpiewali ją niewolnicy na Sea Island. Przypuszczał, że na całym świecie nie było lepszych głosów niż proste głosy Murzynów. „Bóg daje każdemu ze swoich stworzeń jakiś niewielki dar – pomyślał – nawet swoim czarnuchom”.

Potem zobaczył tę kobietę i zapomniał o śpiewie. Wstał i podążył za nią w stronę przycumowanego parowca. Widział ją już raz, kiedy spędził noc na plantacji majora, a teraz nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat. Rozpoznał ją natychmiast, a jego serce zabiło szybciej. Była w kajdanach i zdawało się, że jest jedyną własnością pewnego łapacza niewolników. To była Sara. Wieziono ją do hrabstwa Calhoun, do Charlesa B. Smythe'a. Powiedział sobie, że ona nie dotrze tam, jeśli tylko będzie mógł temu zapobiec. Łapacz, który prowadził Sarę, wyglądał na biedaka, białego śmiecia z Georgii. Był to niski mężczyzna o ziemistożółtej cerze, prostackich rysach i ogłupiałym spojrzeniu człowieka rozczarowanego życiem. Jego głowa wyglądała, jakby w młodości kopnął ją muł. „Biedak nie będzie robił kłopotów” – pomyślał z satysfakcją, czując już w ramionach obnażone ciało pięknej Murzynki. Zszedł z werandy i utorował sobie drogę przez zatłoczoną przystań do miejsca, gdzie łapacz stał ze swoją cenną zdobyczą.

Chciał odkupić ją od mężczyzny za sumę równą obiecanej nagrodzie, zaoszczędzając mu tym samym podróży do Calhoun. Jeśli handlarz będzie się z nim spierał, powie po prostu, że jedzie właśnie na południe, by odwiedzić majora. Wiedział jednak, że biedaczyna nie będzie protestował. Nie zrobi tego z setką dolców w kieszeni. Polecą poganiaczowi zaprowadzić kobietę do swojej kabiny i przykuć do mebli. Dzięki temu nikt go nie przechytrzy i nie zobaczy razem z dziewczyną. Ślina napłynęła mu do ust na myśl o tym, jak ją posiadzie, i ruszył żwawo, spiesząc się nagle, żeby kupić swoją nagrodę.

Począł, aż parowiec odbije, i dopiero wtedy zszedł do kabiny. Gdy otworzył drzwi, nie zobaczył jej. Serce zabiło mu w piersi na myśl, że handlarz mógł go oszukać, uciekając z pieniędzmi i niewolnicą, ale po chwili dostrzegł ją, przykutą do nogi łóżka, siedzącą w ciemnym kącie małego pomieszczenia.

Światło świec, sączące się z korytarza, wydobywało z mroku tylko odbłask jej brązowych oczu. Zatrzasnął za sobą drzwi, zamykając się wraz z nią w ciemnościach kabiny.

– Witaj, Saro – powiedział, żeby ją uspokoić. – Nic ci nie grozi, dziewczyno. Nie będę cię bił.

Nie złągodził szorstkiego tonu. Nigdy nie traktował niewolnic pobłaźliwie, nauczył się, że zawsze źle rozumiały jego intencje i wydawało im się później, że mają jakieś prawa do jego uczuć. Traktował wszystkie tak samo, bez względu na to, czy spał z nimi, czy nie.

– Rozkuję cię, Saro, i chcę, żebyś zdjęła te swoje brudne łachmany. Potem weź miskę i wodę z toalety i umyj się, zwłaszcza swoje intymne okolice.

Mówił spokojnie, nie pozwalając, żeby podniecenie ujawniło się w głosie. Bardzo cenił sobie to, że niewolnice nie rozumiały pożądanego, jakie w nim budziły.

Dziewczyna drżała, ale nie próbował uśmierzyć jej lęku. Wiedziała wystarczająco dobrze, czego od niej chce i nie miało dla niego żadnego znaczenia, co czuje obiekt jego żądzy. W ciemnościach maleńkiej kajuty zapalił następne cygaro i przyglądał się

dziewczynie. Podeszła do umywalni, ochlapała zimną wodą twarz i umyła ręce.

– Zdejmij te szmaty – rozkazał, gdy zauważył, że nie spieszyła się z wypełnieniem poleceń.

Ściągnęła przez głowę cienką bawełnianą sukienkę, robiąc to tak, żeby nie patrzeć na niego.

– Wszystko – dodał widząc, że pozostała w halce.

Gdy zdjęła bieliznę, zaczęła płakać.

– Przestań! – wykrzyknął i jednym szybkim ruchem zerwał się z koi i spoliczkował ją.

Sara osunęła się na podłogę, obejmując jego nogi i szlochając. Kopnął ją, ale ponieważ w dalszym ciągu trzymała go za nogi, zatoczył się na ścianę kabiny.

Zaklął, schylił się i chwytając ją za ramiona, podniósł na wysokość swojej twarzy.

Prawie nic nie ważyła. Wielkie ręce z łatwością trzymały ją nad podłogą. Jej twarz znajdowała się kilka cali od jego. Czuł jej przerażony oddech, zapach ciała.

Poskręcane włosy pachniały dymem, a ciało czuć było rzeczonym mułem i jej własnym zwierzęcym potem. Uwielbiał zapach czarnych kobiet, bardziej nawet niż ich ciała.

Pocałował dziewczynę, rozgniatając jej wargi swoimi, wciskając język w zasapane usta. Próbowła się uwolnić, ale szybko oplótł ją ramionami, przyciskając do siebie nagie ciało. Krzyknęła, lecz słaby głos utonął w głośnym łomocie obracających się kół parowca i w rzeczonym hałasie.

– Wrzeszcz – powiedział ze śmiechem, rozkoszując się jej bezsilnością i wiedząc, że nikt jej nie usłyszy. Odepchnął Sarę od siebie i przez chwilę studiował rysy jej twarzy. Pomyślał, że jest niemal tak piękna jak biała kobieta, z delikatnymi rysami, drobnymi ustami angielskiej damy i z dużymi, świetlistymi, czekoladowobrązowymi oczami. Jej gładka skóra miała kolor miedzi. Pomyślał, że ta suka musi mieć domieszkę białej krwi, i poczuł dotyk jej małych piersi.

Jęknęła, a on uśmiechnął się znowu, zgniatając zębami cygaro. – Lubisz to, co? – zapytał. – A to? – złapał ją prawą ręką za krocze i podniósł do góry.

Wrzasnęła i rzuciła się na niego, ale uderzył pierwszy, odrzucając ją przez całą szerokość niewielkiej kajuty.

– Wstawaj, ty dziwko! – krzyknął – i do mnie.

Odwrócił się w stronę wąskiego łóżka i zdjął surdut, potem usiadł i rozkazał:

– Zdejmij te buty, dziewczyno. – Sięgnął ręką i wyjął z cholewy prawego buta niewielki pistolet, który odłożył na miękką narzutę zaścielającą łóżko. – Pospiesz się!

Bez słowa podpełzła do niego, ciągle płacząc po uderzeniu, chwyciła prawy but i ściągnęła go.

– Dobrze – powiedział – tak już lepiej.

Wyciągnął lewą nogę, a ona zdjęła mu drugi but. Pozostając na drewnianej podłodze kabiny, starannie ustawiła obuwie, a potem powoli, obolała, podniosła się. Była tak niska i szczupła, że całe jej ciało nie zajmowało prawie żadnego miejsca w malutkim pokoiku. Mężczyzna górował w nim. Napierał na nią.

– Zapomnij o swoim majorze Smythe, Saro. Nie mam zamiaru wysyłać cię z powrotem na bawełniane pola. Mam lepsze plany. Moje własne plany, dziewczyno, jeśli będziesz miała dobry temperament. Chciałabyś odwiedzić Nowy Orlean?

Zdejmował marszczoną koszulę, odkładając na tacę perłowe guziki, a ona wyciągnęła rękę i jak głodne dziecko sięgające po jedzenie, schwyciła pistolet.

– Dziwka! – wrzasnął, próbując złapać jej ramię. Wypaliła natychmiast, nie celując, rozwrzeszczana i przerażona. Strzał był oddany na oślep, ale mężczyzna właśnie się pochylał i kula trafiła go w lewe oko, strzaskała oczodół i wbiła się w mózg. Krew spryskała nagie ciało Murzynki, a kiedy konający zatoczył się, rozbijając umywalnię, rozlewając wodę i tłukąc porcelanowy dzban, krew bryzgnęła na ścianę i sufit kajuty.

Nikt nie słyszał wystrzału. Nikt nie słyszał, jak krzyknęła ze strachu, i dziewczyna nie wiedziała, czy krzyczała naprawdę, czy wściekłość i przerażenie tkwiły tylko w jej głowie. Drżąc usiadła w rogu i patrzyła na mężczyznę przez całą szerokość kabiny. Nie ruszał się już, a krew, niczym odchody, rozpląnęła się po podłodze wokół ciała, wsiąkając w drewno. Nad ranem, kiedy pierwsza pieśń niewolników rozbrzmiała z głębi parowca, dziewczyna obudziła się. Głosy wzywały ją, przychodziły do niej z przestronnego wnętrza statku. To była pieśń pogrzebowa. Jakis czarny zmarł w ładowni.

Och, cmentarz, och, cmentarz,
Idę przez cmentarz,
Złóż w ziemię to ciało.
Twoja dusza i moja
Spotkają się w tym dniu,
Złóż w ziemię to ciało.

Sara wstała i, poruszając się tak, żeby uniknąć oglądania zwłok i podchodzenia do nich zbyt blisko, odszukała swoją sukienkę i halkę i ubrała się, odwrócona plecami do mężczyzny, którego zabiła. Spojrzała na niego tylko raz, żeby się upewnić, że nigdy wcześniej go nie widziała, i otworzyła drzwi kabiny, wymykając się na pusty korytarz.

Na pokładzie przeszła natychmiast na rufę parowca, wiedząc, że w każdej chwili może zostać zauważona i biali podniosą krzyk. Było jeszcze wcześniej i na rzece panowała cisza. Sara widziała zielone brzegi i spokojną wodę. Podchodząc do koła łopatkowego pomyślała, że zapowiada się piękny dzień. Ktoś krzyknął, obejrzała się i zobaczyła czarnego mężczyznę, który poprzedniego dnia pomagał załadowywać partię niewolników. Zamachał ręką, gestem nakazując odejść od obracającego się koła. Sara uśmiechnęła się myśląc, że jest teraz wolnym człowiekiem, kocha Boga w niebiesiech i rada jest, że zabiła białego mężczyznę, zanim ją zgwałcił. Potem skoczyła – tak jak mogłaby skoczyć każda młoda, pełna życia i energii dziewczyna – w kipiela pod gigantycznym kołem i zniknęła w spienionej bieli śmiertelnie wzburzonej wody.

Rozdział 9

– Myślę, że je zabiłam – powiedziała Jennifer do Toma, trzymając w trzęsących się rękach filiżankę herbaty. Gorący napój niósł pocieszenie. Popijała herbatę małymi łykami, pozwalając, aby ciepło rozchodziło się po całym ciele. Siedziała w rogu

skórzanej kanapy, w apartamencie Toma. Zadzwoiła do niego, prosząc o natychmiastowe spotkanie w jego mieszkaniu.

Tom siedział w fotelu po drugiej stronie szklanego stolika do kawy. Słuchał cierpliwie, jak opisywała zdarzenia, które rozegrały się w toalecie fundacji. Co pewien czas przerywał jej pytaniami i zapisywał coś w służbowym notesie, kiedy ciągnęła swoją opowieść, jakby była jego klientką, a nie kochanką.

– Nie – powiedziała.

– Co „nie”? – zapytał, nie przerywając notatek sporządzanych złotym piórem marki Gross, które dostał od niej w prezencie.

– Nie notuj. Czuję się wtedy jak kryminalistka.

– Nie jesteś kryminalistka dopóty, dopóki nie zostaniesz oskarżona. – Skończył zdanie, odłożył notes, usiadł wygodniej w miękkim jasnobrązowym fotelu i obserwował ją. Wiedziała dobrze, co miało się za chwilę zacząć. Układał sobie plan wypowiedzi starając się, żeby brzmiała mniej groźnie, ale zanim zdążył się przygotować, ona wstała i podeszła do okna, patrząc na drugą stronę rzeki Hudson, na pępele przemysłowe wybrzeża New Jersey. Przejaśniło się. Przestał padać śnieg i ponownie ukazał się ciemno obramowany skrawek błękitnego nieba.

– Musimy porozmawiać z policją – oznajmił, starając się, żeby zabrzmiało to swobodnie.

– Nie! – Poczła falę ogarniającej ją paniki i dotknęła dłonią okiennej szyby, jakby chciała, żeby gładki chłód szkła uspokoił ją. – Nie – szepnęła.

– Mamy tu do czynienia z dającym się usprawiedliwić zabójstwem – ciągnął, przemawiając tym samym spokojnym, odmierzonym tonem.

Pierwszy raz zobaczyła go podczas procesu przed wielką ławą przysięgłych i przypomniała sobie, jak oczarował ją wtedy swoim sposobem przesłuchiwania świadków. Był jak drapieżny ptak, ciemny, łowczy sokół wiszący w powietrzu, kołujący, krążący. Powoli, łagodnie, nie podnosząc głosu i nie wydając się natrętnym, zapędzał każdego biednego świadka do rogu i obnażał jego kłamstwa.

– Nie! – krzyknęła Jennifer. – Nie zrobię tego.

– Kochanie, Jennifer, proszę cię – mówił Tom. – Właśnie mi o tym opowiedziałaś. Dwoje, być może troje ludzi jest martwych. Musimy rozważyć tę sytuację. To, co ci się przydarzyło, musi mieć jakiś związek z narkotykami. Kolumbijczycy dybią na twoje życie. Jeśli tak nie jest, jeśli mamy do czynienia z prostym napadem, jesteś w porządku. To znaczy, będziesz uważana za żeński odpowiednik Bernharda Goetza. Nikt nie chce cię posłać do więzienia. Posłuchaj. Pójdziemy na policję. Rozpoczniemy kampanię informacyjną. Żaden sąd...

– Ale ja nie jestem Goetzem!

– Jennifer, przyznałaś mi się, że zabiłaś człowieka. Być może zabiłaś dwie następne osoby. – Skinieniem głowy wskazał centrum miasta. – Jestem urzędnikiem sądu, na miłość boską. Nie mogę...

– Proszę! Proszę! – podeszła do krzesła, na którym położyła płaszcz. – Przykro mi, że tu przyszłam. Przykro mi, że skompromitowałam twoją przeklętą pozycję. – Podnosząc swój płaszcz płakała.

Tom skoczył na równe nogi z przekleństwem na ustach i złapał ją za ramię.

– Usiądziesz tutaj, Jennifer, przygotowujemy linię obrony. Jesteś poszukiwana. Nie

mam zamiaru pozwolić ci, żebyś zniszczyła sobie życie i karierę. – Odciągnął ją od drzwi, ale wyszarpnęła się z jego uchwytu.

– Zostaw mnie w spokoju, Tom. Sama, muszę sobie z tym poradzić.

– Jennifer, moja słodka, tracisz rozsądek – ruszył w jej kierunku z wyciągniętymi ramionami, jakby chciał ją objąć.

Cofnęła się.

– Nie dotykaj mnie.

Ton, jakim to powiedziała, zatrzymał go. Zobaczyła w jego oczach nagłą obawę i strach i to sprawiło jej przyjemność.

– Proszę, Jennifer, potrzebujesz pomocy – nalegał, nie zbliżając się jednak zbyt blisko.

Jennifer uświadomiła sobie, że już nie kontroluje własnego ciała. Jej serce waliło, czuła nagły przypływ sił. „Mój Boże – pomyślała. – Jestem potworem”. Podniosła wzrok na lustro wiszące nad kanapą Toma i przyjrzała się swojemu odbiciu. Jej brązowe oczy wyglądały na przestraszone, a nie ogarnięte szaleństwem. Twarz była popielata, a poranny makijaż już się z niej starł. Włosy potrzebowały wyszczotkowania. Przestraszył ją własny zaniedbany wygląd, ale twarz nie wydawała się zdeformowana. Nie wyglądała na potwora. Wzięła głębszy wdech.

– Dobrze się czujesz, Jennifer? – szeptem zapytał Tom, zaalarmowany wyrazem jej twarzy.

– Nie wiem – przyznała.

– Co się wtedy stało?

– Nie mam pojęcia. Poczułam gniew, wściekłość, a potem... – Zaczęła gorzko szlochać, tym razem jednak Tom podszedł do niej i objął ją ramionami. W jego uścisku załamała się i pozwoliła, by ją pocieszał.

– Położę cię do łóżka – powiedział w końcu, kiedy jej płacz osłabł. Pochylił się nad nią i podniósł bez wysiłku. Umieścił ją w swoim łóżku i nakrył grubym kocem. – Czy jest ci wystarczająco ciepło? – zapytał, otulając jej ramiona. Jennifer przytaknęła ruchem głowy i podciągnęła nogi. Przytuliła się do poduszki i chwyciła palcami jego dłoń.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła błagalnie.

– Nie zostawię cię – szepnął, siadając na skraju łóżka. Pocałowała jego palce i położyła policzek na ciepłej dłoni, a potem zasnęła, ciągle nie wypuszczając ręki ukochanego.

Kiedy Jennifer się zbudziła, pokój pogrążony był w ciszy i ciemnościach. Świadomość powracała powoli, jakby wypływała na powierzchnię życia. Potem zaczęła poznawać otoczenie, uświadomiła sobie, że znajduje się w mieszkaniu Toma i natychmiast stała się czujna. Usiadła spuszczać nogi z łóżka.

Usłyszała jakieś głosy. Lub przynajmniej jeden głos. Nie zakładając butów, cicho i szybko podeszła do zamkniętych drzwi sypialni, przycisnęła do nich czoło i zastygła nasłuchując. Cisza. Ostrożnie otworzyła drzwi. Pusty salon, zalany czystym, żółtym światłem zachodzącego słońca, błyszczał jak na obrazie Yermeera.

Zorientowała się, że Tom jest w swoim biurze, znajdującym się za salonem. Widziała jego cień, kiedy przechadzał się po małym pokoju. Spacerował zawsze, kiedy rozmawiał przez telefon. Przemknęła przez pokój, bezszelestnie stawiając

stopy na pokrytej dębowym parkietem podłodze. Zatrzymała się przy drzwiach gabinetu i zerknęła do środka.

Stał przy biurku, spoglądając przez okno na rzekę Hudson. Zachodzące słońce oświetlało go z profilu, łagodząc ostre rysy. Słuchał kogoś, potem wyszeptał swoją odpowiedź. Kiedy odwrócił się, żeby przejść na drugą stronę pokoju, stanęła za drzwiami, chowając się w cieniu. Serce podeszło jej do gardła.

Podszedł do progu i zatrzymał się, patrząc przez całą długość ciemniejszego już pokoju w stronę drzwi swojej sypialni.

– Nie – odezwał się do kogoś – jeszcze śpi. Tak, rozumiem. Tak, pozwolę jej wypocząć. – Cofnął się od otwartych drzwi. Usłyszała, jak skórzane obicie zatrzeszczało, kiedy siadał. Odważyła się zerknąć do środka i zobaczyła, że położył nogi na brzegu biurka i odchylił się do tyłu razem z krzesłem, przeczesując palcami włosy. Ten jego nerwowy nawyk zawsze ją drażnił. Po takich manipulacjach miał okropnie nastroszone włosy.

Zmuszając się do zachowania spokoju, chyłkiem wymknęła się z ciemnego kąta za drzwiami salonu. Podniosła z krzesła swój płaszcz i torebkę i chwyciła buty, które zostawiła przy frontowych drzwiach.

Szybko ruszyła przez salon, popchnęła wahadłowe drzwi i weszła do ciemnej kuchni. Wiedziała, że jest tam tylne wyjście, a za nim kuchenne schody i winda. Korzystała już z nich, chodząc do pralni mieszczącej się w suterenie.

Odpięła łańcuch i wyszła na oświetloną klatkę schodową. Serce trzepotało jej w piersiach. Drżącymi rękami zamknęła za sobą drzwi. Wyobraziła sobie, że słyszy kroki Toma, który biegnie za nią, żeby udaremnić ucieczkę. Nacisnęła guzik przywołujący windę, a potem, zbyt przestraszona, żeby czekać na kabinę, zbiegła po betonowych stopniach, nie czyniąc najmniejszego hałasu swoimi nie obutymi stopami. Dotarła na parter i zatrzymała się na schodach, żeby założyć płaszcz i buty. Otworzyła ciężkie, stalowe drzwi i zajrzała do pustego hallu. Zobaczyła portiera, pomagającego jakiejś kobiecie wysiąść z taksówki, która zatrzymała się przed osłoniętym markizą wejściem do budynku. Stała dostatecznie daleko w głębi hallu, by móc zauważyć, że kabiny frontowych drzwi wind nie poruszają się. Tom nie odkrył jeszcze jej zniknięcia. Podbiegła do wyjścia, żeby złapać zwolnioną taksówkę, potracając po drodze starszą kobietę i portiera, wśliznęła się na tylne siedzenie i zatrasnęła drzwi.

– Do centrum! – krzyknęła.

– Dokąd, proszę pani? – kierowca ujął w rękę notes, żeby zapisać adres.

– Centrum. Proszę się pospieszyć. – Obejrzała się na wejście do budynku, obawiając się, że zobaczy tam pędzącego Toma.

– West Side czy East Side? – dopytywał się taksówkarz, czekając na odpowiedź i obserwując ją w lusterku.

– Śródmieście! East Side. – Jennifer drżała – niech się pan pospieszy! – Obejrzała się ponownie. Portier i staruszka powoli się posuwali w stronę szklanych drzwi. Nigdzie nie dostrzegła Toma.

Pojazd w końcu ruszył. Kierowca prowadził jedną ręką, a drugą odkładał na bok notes.

– Musi mi pani podać adres. East Side to duży obszar. – Zaśmiał się, próbując

żartować z jej niezdecydowania. Samochód wydostał się z zaułka i skręcił w przecznicę.

Jennifer zapadła się głębiej między poduszki siedzenia, wyczerpana strachem. Była wdzięczna losowi, że udało jej się uciec od Toma, ale nie wiedziała, co ma powiedzieć taksówkarzowi. Gdzie w Nowym Jorku poszukiwana przez policję kobieta może być bezpieczna?

Otworzyła torebkę, żeby wyjąć chusteczkę i obetrzeć łzy, i dostrzegła, wciśnięty między nieporządnie ułożone rzeczy, wycinek gazety, który zamierzała dać Eillen, ten o Phoebe Fisher, medium. Wyciągnęła go z torebki i przejrzała, szukając adresu, a potem pochyliła się w stronę kierowcy.

– Zmieniłam zdanie. Proszę zawieść mnie na West Side. – Wiedziała już gdzie ma jechać i kto może jej pomóc.

Rozdział 10

Na rogu siedemdziesiątej dziewiątej i Brodwyu Jennifer wysiadła z taksówki i zadzwoniła do informacji telefonicznej, pytając o numer doktor Fisher. Potem, w porywach wiatru wiejącego znad rzeki, wykręciła podane cyfry. Wiatr przenikał ją do kości, więc przytupywała nogami, starając się zachować ciepło.

Dochodziła dopiero szósta i trotuary były zatłoczone, ale Jennifer czuła się ciągle narażona na atak. Kiedy pod światłami skrzyżowania zatrzymał się radiowóz, odwróciła się twarzą do wnętrza budki, była jedna pewna, że policjanci zauważyli ją, że rozesłano już portrety pamięciowe i gliny szukają białej, jasnowłosej kobiety o wzroście pięciu stóp i siedmiu cali, ubranej w długie futro, wełniany żakiet, spódnicę i wełniany półgolf. Podniosła kołnierz, osłaniając nim twarz i wsłuchiwała się w sygnał w słuchawce.

– Proszę, dobry Boże, proszę, spraw, żeby była w domu – modliła się głośno. Gdy w końcu odezwał się kobiecy głos, gwałtownie zaczęła mówić. Wyjaśniła, że przeczytała artykuł w gazecie, opowiedziała o swojej dziwnej reakcji na wystawie poświęconej epoce lodowcowej. Wspomniała o spotkaniu z Kathy Dart i o trzynastomilowym joggingu wzdłuż kanału. Powstrzymała się przed powiedzeniem o swoim ataku na gwałciciela w pobliżu muzeum i o dwóch kobietach w fundacji.

Kiedy skończyła, była bez tchu i płakała. Nie mogła powstrzymać łez, nie mogła przestać szlochać do słuchawki.

– Przyjedź do mnie natychmiast – powiedziała kobieta, podając Jennifer swój adres.

– Dziękuję – wyszeptła Jennifer, ocierając łzy z twarzy. – Już jadę. – Kiedy w końcu odwiesiła słuchawkę, światła już się zmieniły i policyjny samochód dawno odjechał. Wybiegła z budki i skręciła na północ, w stronę Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, do mieszkania Phoebe Fisher.

– Witaj – powiedziała drobna kobieta, otwierając skrzydło żelaznej bramy strzegącej wejścia do mieszkania, które znajdowało się w suterenie. – Byłaś bardzo blisko mnie, kiedy telefonowałaś. Czułam twoją obecność. Jestem doktor Fisher. –

Cofnęła się i Jennifer mogła zobaczyć, że Phoebe Fisher kuleje i opiera się na cienkiej srebrnej lasce.

– Biegłam – odparła zasapana, podążając za gospodynią w głąb ciepłego apartamentu.

Kobieta była ubrana jak nastolatka: w ciasny czarny trykot i obcisłą czarną spódniczkę, a wokół szczupłej, długiej szyi miała zawiązaną jaskrawoczerwoną apaszkę. Była bardzo drobna i bardzo piękna, z gęstymi, jasnymi włosami, przetykanymi już pasmami siwizny. Jej czysta, jasna skóra miała kolor białej porcelany. Jennifer czuła się u jej boku wielka i niezgrabna w nisko sklepionych pomieszczeniach.

– Masz kominek! – wydała okrzyk podziwu, wchodząc do salonu. Na widok płonącego ognia poczuła się dużo lepiej.

– Tak, zrobię ci filiżankę herbaty i porozmawiamy. – Phoebe Fisher uśmiechnęła się do niej. Jej delikatnie rzeźbione wargi rysowały się zgrabnie na drobnej twarzy. Układające się w uśmiechu usta czyniły ją młodszą. Jennifer polubiła ją od razu. Czuła się tu bezpiecznie. Być może ta kobieta będzie w stanie jej pomóc. Strach, który się rozpanoszył w jej ciele i narastał przez całe popołudnie, teraz odpłynął, pozostawiając ją oszołomioną i bardzo zmęczoną.

– Proszę tutaj – Phoebe wskazała miękko wyściełany fotel stojący blisko paleniska. – Usiądź i czuj się swobodnie. Możemy się troszkę poznać, podczas gdy będę zaparzała świeżą herbatę. Czy nie masz nic przeciwko ziołowej? Obawiam się, że nie mam żadnej innej.

– Dziękuję. Napiję się czegokolwiek. Jest mi po prostu wspaniale, cieszę się, że tu jestem. – Własna deklaracja zdumiała ją. Nigdy nie była otwarta w stosunku do obcych, ale w tej chwili czuła potrzebę podzielenia się swoimi emocjami, opowiedzenia tej kobiecie o wszystkim.

– A teraz, Jennifer, powiedz mi, jak poznałaś Kathy Dart – poprosiła Phoebe, stojąc za wysoką ladą oddzielającą pokój od kuchni i przyrządzając napar. – I co wtedy poczułaś?

Jennifer opowiedziała całą historię, a gospodyni przygotowała dzbanek herbaty i następnie usiadła obok niej przed kominkiem. Jennifer mówiła o Eileen Gorman i ich przypadkowym spotkaniu, o drugim biegu wzdłuż kanału i o tym, co się jej przydarzyło w muzeum. Wyjaśniła, że wiedziała, naprawdę, wiedziała, kiedy zbudowano ukraińską chatę.

– Co się ze mną dzieje? – spytała ze łzami.

– Nie dzieje się z tobą nic złego. Nic. Masz wiele szczęścia. I masz pewien dar. To twoja częstotliwość elektromagnetyczna, nic więcej. – Phoebe uśmiechała się przyjaźnie. – Obie dzielimy ten talent, moja droga. Obie jesteśmy nim obdarzone. – Wyciągnęła dłoń i dotknęła jej kolana.

– Nie rozumiem – wyszeptała zdezorientowana Jennifer.

– Jasne, że nie. Ja także nic nie rozumiałam, kiedy to się pierwszy raz stało. Nikt z nas nic nie wie, naprawdę, ale uczymy się. Doświadczasz pierwszych przeblysków mediumizmu. Żeby wyrazić to językiem naukowym, przeszłaś już pierwsze stadium, nazywane konceptualizacją, i teraz jesteś w drugim, w stadium przygotowania. – Phoebe przerwała na chwilę, spoglądając w zamyśleniu na Jennifer. – Witaj w naszej

bandzie. – Jej brązowe oczy lśniły.

– Co to za banda? Czuję się, jakby coś przejmowało kontrolę nad moim ciałem.

– Masz rację. Tak się właśnie dzieje – powiedziała jej rozmówczyni – ale dołączasz do grona takich ludzi, jak Imperator Wu z chińskiej dynastii Hań, kapłani greckiego kultu Dionizosa z szóstego wieku przed Chrystusem, celtyccy bardowie z Wysp Brytyjskich, nie wspominając o Jezusie Chrystusie i jego uczniach. Jesteś w dobrym towarzystwie, Jennifer. – Widząc brak zrozumienia na twarzy słuchaczki, spytała: – Czy chcesz, żebym spróbowała ci wyjaśnić, skąd się to wszystko bierze? Dlaczego przydarza ci się to nagle tutaj, w Nowym Jorku, w 1987 roku?

Jennifer z entuzjazmem skinęła głową.

– Większość z tego, co nazywamy mediumizmem albo pośrednictwem astralnym, jest wynikiem umowy między dwoma bezcielesnymi bytami – osobą, która ma być pośrednikiem, i istotą, czy świadomością, której myśli mają być przekazywane. Po takim akcie jeden z bytów wciela się w jakieś ciało i zaczyna nowe życie nie pamiętając o zawartej umowie. Wszystko toczy się normalnie aż do momentu, kiedy osoba ta znajdzie się w miejscu, które pamięta. Nazywa się to zetknięciem i dla każdego jest ono inne.

– Ale ja nie przeżyłam żadnego zetknięcia – zaprotestowała Jennifer. – Spokojnie szłam przez życie, a wtem lup!

– Nie wiem jeszcze, co się stało, Jennifer. Za mało cię znam, ale być może później, jeśli będziesz się dobrze czuła, spróbujemy skontaktować się z duchami, żeby sprawdzić, czego możemy się dowiedzieć. Jestem pewna, że doświadczyłaś czegoś, coś ci dokuczało... I że twoja częstotliwość w jakiś sposób nawiązuje kontakt.

– Jak to się stało z tobą? Jak wyglądało twoje zetknięcie? – Jennifer ześliznęła się z fotela i usiadła obok Phoebe na małym dywaniku. – To wytwór Dessie, prawda? – usłyszała swój głos.

– Tak, ale skąd to wiesz? One pochodzą z Etiopii i są bardzo rzadkie. – Roześmiała się. – Ale oczywiście ty wiesz. To jest właśnie cud bycia medium.

– Nie, nie wiem. – Jennifer pokręciła głową, znowu zaniepokojona. – To znaczy, wiedziałam, że to dywanik Dessie, ale nie mam pojęcia, skąd to wiem.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– To jest właśnie to. Zawsze to wiedziałaś. Nauczyłaś się tego w innym życiu i przechowowałaś ten strzęp informacji nietknięty w twojej podświadomości mimo przejścia z jednego istnienia w następne.

– O Boże, nie mogę w to uwierzyć. – Jennifer ukryła twarz w dłoniach i pozostała tak przez chwilę, potem odrzuciła w tył głowę, ścierając dłońmi łzy. Przy ogniu było bardzo ciepło, ale nie chciała się przesiadać. Dla jakiejś niejasnej przyczyny nie miała ochoty oddalać się od Phoebe Fisher, która przyglądała się jej w milczeniu, uśmiechając się słodko, jakby miała do dyspozycji tyle czasu, ile tylko zechce.

– Dobrze, lecz jak to się dzieje? – zapytała Jennifer. – Opowiedz mi, co się przydarzyło tobie. Być może dzięki temu zrozumieję, co się dzieje ze mną.

– Jakieś trzy lata temu, dwa razy w przeciągu dwóch miesięcy, miałam wyraźne wizje kosmicznego statku Tancerza, poruszającego się nad Nowym Jorkiem. Nie rozumiałam wtedy, że był to jego sposób zwrócenia mojej uwagi, coś w rodzaju pukania do podświadomej pamięci. Jednak dopiero po doświadczeniu w Central

Parku – tym, o którym pisano w „Timesie” – zaczęłam naprawdę zgłębiać tę dziedzinę. Badałam na wszystkie możliwe sposoby różne metafizyczne teorie i w końcu zetknęłam się z ideą mediumizmu. Spotkałam się z kilkorgiem mediów i jedna z istot, które przybywały na te spotkania, zaofiarowała się, że może nauczyć pośredniczenia każdego, kto jest tym zainteresowany. Nawet wtedy nie przypuszczałam, że poświęcę temu moje życie. Pracowałam jako wydawca magazynu „Redbook”. Robiłam karierę. Miałam chłopaka, z którym mieszkałam, i wydawało mi się, że go kocham. Byłam szczęśliwa, a przynajmniej tak uważałam. Podczas tamtego spotkania, kiedy byłam taka otwarta, pod przewodnictwem innego ducha, Tancerz nawiązał ze mną telepatyczną więź. Kiedy tylko to się stało, wróciła pamięć dawnego porozumienia: kim jestem, kim on jest, co znaczyły te wizje statku kosmicznego i wrażenia, jakich doznałam w Central Parku. Wszystko to, co było zamknięte przed moją świadomością, wróciło.

W pokoju panował już mrok i odbłask ognia tańczył na ścianach mieszkania.

– Kiedy zobaczyłam cię w drzwiach, wiedziałam – ciągnęła cicho Phoebe. – Wiedziałam, że spotkało cię coś podobnego. Jedyne różnica polega na tym, że byt, dla którego jesteś pośrednikiem, pochodzi z przeszłości, a Tancerz przybywa z przyszłości.

– Chcesz powiedzieć, że on mówi ci, co zdarzy się za jakieś sto lat?

Phoebe pokręciła głową.

– Tancerz nie jest z tej planety. Pochodzi spoza Ziemi, co sprawia, że bardzo się od nas różni. Większość mediów – na przykład Kathy Dart – pozwala wejść do swojego ciała porzuconym świadomościom, które niegdyś były żywe, ale obecnie już nie są. Te istoty nie istnieją jako fizyczne byty, natomiast Tancerz ma ciało – tylko różni się ono od naszych. On jest istotą pozaziemską i my dwoje jesteśmy połączeni telepatycznie.

– Dlaczego on tu jest? Dlaczego współpracuje z tobą?

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna, naprawdę. Myślę, że przybywa do teraźniejszości, aby pomóc nam uświadomić sobie, że dysponujemy wszystkimi odpowiedziami, których potrzebujemy, żeby żyć takim życiem, jakiego pragniemy. Nie pojawia się tu fizycznie, bo chce, żebyśmy skupili się bardziej na przesłaniu niż na osobie posłańca, na której oczywiście byśmy się skoncentrowali, widząc przechadzającego się wśród nas małego zielonego ludzika – zaśmiała się. – Tancerz przemawia za moim pośrednictwem, więc wiadomość będzie oddziaływać samą swoją treścią. A my możemy zdecydować, czy jest dla nas przydatna, czy nie. To, czym chce się z nami podzielić, nie opiera się na założeniu, że jego świat jest lepszy od naszego, lecz tylko na tym, że on – oni! – różnią się od nas. Widzą, że wiele się uczymy, że zaczynamy opanowywać dziedziny stosunkowo nowe dla naszego społeczeństwa.

– Czy Tancerz to jego prawdziwe imię?

– Nie, oni nie mają imion, ponieważ ich społeczeństwo składa się z telepatów. Nazywam go Tancerzem, bo takie właśnie sprawiał wrażenie, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, zawieszzonego nad Central Parkiem. Zdawał się tańczyć przed moimi oczami.

– Jednak ze mną jest zupełnie inaczej. Nikt nie próbuje przemawiać przeze mnie.

Mam tylko te odczucia, niesamowite, przerażające doświadczenia i nagle...

– Dzieje się tak, Jennifer – kontynuowało medium – ponieważ wpadłaś w pułapkę swojego własnego, logicznego, zorganizowanego, zinstytucjonalizowanego świata i twoja tak zwana logika trzyma cię z dala od wielkiego skarbu wiedzy, znajdującej się w tym, co nazywamy światem duchowym. Nie ma nic dziwnego w zdolnościach para-psychicznych. To tylko kwestia przeżycia. W ten sposób nasz umysł zapewnia nam funkcjonowanie w tym świecie. Celem widzenia jest to, abyśmy nie spadli z urwiska. Odróżniamy smaki, żebyśmy nie spożyli trucizny. Wszystkie nasze zmysły są nastawione na zapewnienie przeżycia, włączając w to szósty zmysł. Jednakże znamy nasze fizyczne receptory. O tym mistycznym nie wiemy nic. Musimy się poddać doświadczeniu i wniknąć w nie.

– Zgaduję, że tu leży mój problem. Boję się poddać mistycznemu światu – przyznała Jennifer.

Phoebe skinęła głową.

– Wiesz, Einstein miał zwyczaj budzić się każdego ranka i powtarzać, że nic nie wie. Wierzył, że cała jego wiedza może zostać w dowolnym momencie podważona. Chciał traktować swój umysł jak kawałek białej kartki. Pozwólcie mi zbierać doświadczenia! Pozwólcie mi uczyć się wszystkiego od nowa! Tego właśnie dotyczy filozofia Nowej Ery.

Phoebe wyprostowała się. Jedną nogę podwinęła pod siebie, a drugą wyciągnęła prosto. Używając swoich długich, szczupłych palców, wyliczyła imiona wielkich mediów historii.

– Joanna d'Arc słyszała głosy nakazujące jej pójść do króla Francji. Miała wtedy trzynaście lat. Józef Karo, szesnastowieczny znawca Talmudu, kontaktował się ze źródłem zwanym „maggid”. Święta Teresa z Avila i święty Jan od Krzyża, chrześcijańscy mistycy, byli mediami, Joseph Smith wszedł w kontakt z aniołem o imieniu Moroni i na podstawie tego, co powiedział mu anioł, zaprowadził swój lud do ziemi obiecanej i założył kościół mormonów. Ta lista nie ma końca.

– Ale ja nie umiem...

– Czy nie powiedziałaś mi przed chwilą, że po spotkaniu z Kathy Dart nagle byłaś w stanie przebiec trzynaście mil?

– Och, sama nie wiem. – Jennifer potrząsnęła głową i zapatrzyła się w płomień. – Nic nie wiem – szepnęła.

– Owszem, wiesz. Wiesz wszystko i teraz możesz rzucić okiem na to, co świat, jako całość, ma do zaoferowania. To przerażające uświadomić sobie swoje prawdziwe możliwości. Nikt nie może cię winić za to, że nie posuwasz się do przodu, że powtarzasz: „Dość. Jestem zadowolona. Jestem szczęśliwa”. Ale czy naprawdę jesteś szczęśliwa z ograniczeniami racjonalnego myślenia? Jennifer, przynajmniej daj sobie szansę doświadczenia życia.

– Skąd mam wiedzieć, że to prawda? Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

– Zaczniij od siebie. Najpierw uwierz sobie. Zapytaj samą siebie, dlaczego odczuwasz te emocje.

– Nie chcę tego robić! – przerwała Jennifer. – Nie rozumiesz? Nie chcę być medium. Nie chcę, żeby ktoś, lub coś, przejmował nade mną kontrolę, używał mojego ciała. Chcę to przerwać! – i znowu Jennifer powstrzymała się przed

powiedzeniem czegoś więcej, przed opowiedzeniem Phoebe o tym, jak zabiła, kiedy owładnęła nią tamta siła.

Jej rozmówczyni milczała. Podniosła pogrzebacz i poruszyła płonące szczapy, aż z suchego drewna sypnęły się iskry i płomień rozbiły się z nagłym sykiem.

– O co chodzi? – zapytała Jennifer, orientując się, że kobieta ma coś jeszcze do powiedzenia.

– Nie jestem pewna, czy możesz z tym cokolwiek zrobić – odezwała się Phoebe miękko, podnosząc wzrok na młodszą towarzyszkę. Słodki uśmiech zniknął z jej twarzy. – Ta istota chce być wysłuchana. On, czy ona, chce skorzystać z pośrednictwa twojego ciała i obawiam się, że nic nie możesz zrobić, aby temu zapobiec. Tak jak ja nie mogłabym powstrzymać Tancerza przed przyjściem do naszego świata i nauczaniem, ty nie możesz powstrzymać twojego ducha. Nadszedł jego czas, Jennifer, a ty zostałeś wybrana, żeby zaspokajać jego potrzeby w tym życiu.

Jennifer obejrzała się i skierowała wzrok w płomień. „Dobrze – pomyślała – Tancerz przyszedł, żeby nauczać”. Jej istota, jak uświadomiła sobie Jennifer, przyszła, żeby zabijać.

Rozdział 11

Jennifer odrzuciła ramię w bok, potrącając nocną lampkę, która spadła na podłogę. Dzwonił telefon. Sięgając po słuchawkę, zrzuciła ją z widełek. Podświetlony ekran cyfrowego zegara wskazywał godzinę piątą dwadzieścia cztery.

Podniosła telefon z podłogi i gniewnie powiedziała do słuchawki:

– Lepiej, żeby to nie był głupi kawał.

Odpowiedziała jej martwa cisza.

– Cholera! – Z trzaskiem rzuciła słuchawkę. Zupełnie rozbudzona usiadła na brzegu łóżka i potarła oczy. Włączone centralne ogrzewanie napełniało budynek pojękiwaniem rur. Wiedziała, że już się jej nie uda usnąć ponownie. Telefon dzwoniący w środku nocy sprawiał zawsze, że wyobrażała sobie kogoś obserwującego ją z mieszkania po przeciwnej stronie ulicy albo z zaciemnionej budki telefonicznej na rogu.

Włożyła miękkie kapcie i poczłapała przez ciemny pokój. Przechodząc koło lustra, wiszącego na drzwiach szafy, spojrzała na swoje odbicie. Jako dziecko bała się ciemności, i jedynie podbiegając do lustra mogła się uspokoić. Jej psychiatra stwierdził po latach, że miała niską samoocenę. „Nie” – odrzekła wtedy. Po prostu bała się ciemności.

Poszła do kuchni, włączając po drodze światła. „Cóż – powiedziała sobie – jeśli się już wstało, to trudno”.

Nalewając do czajnika zimną wodę na kawę, drugą ręką włączyła mały odbiornik telewizyjny Sony, stojący na kuchennym stole. Pomyślała, że usmaży sobie naleśniki i ugotuje kilka kielbasek. Zje duże śniadanie i na jeden dzień zapomni o konieczności utrzymania kondycji.

Otworzyła lodówkę, wyjęła masło, mleko i jajka, słuchając jednym uchem całonocnego programu telewizji kablowej. Nagle uświadomiła sobie, że słyszy głos

Kathy Dart.

Jennifer podniosła się i odwróciła do telewizora. Kathy Dart siedziała ze skrzyżowanymi nogami, twarzą do kamery. Nie porozumiewała się z duchami, lecz rozmawiała z grupą ludzi, także siedzących po turecku w ciasnym kole.

– Wydaje mi się – mówiła, obrzucając wzrokiem siedzących wokół niej słuchaczy – że istnieją dwa powszechnie akceptowane poglądy na sens naszej ziemskiej egzystencji. Jeden możemy nazwać religijnym. Według tej koncepcji jesteśmy dziełami Stwórcy, i to dziełami obciążonymi defektem; wszyscy przyszliśmy na świat z piętnem grzechu i musimy poświęcić życie na udowodnienie Bogu naszej wartości, abyśmy po śmierci mogli być wzięci do nieba. Drugie spojrzenie jest poglądem nowoczesnym. Wyjaśnia, że znaleźliśmy się na Ziemi w efekcie wielu przypadkowych zdarzeń, jakie zaszły we wszechświecie. Wielki wybuch. Mały wybuch. Przeżycie najlepiej przystosowanych. Nazwijcie to, jak tylko chcecie! Każdego roku otrzymujemy jakieś nowe wyjaśnienia. Kłopot z tymi dwiema koncepcjami życia polega na tym, że pomijają one wiele spraw. Ukrywają przed nami możliwości naszych wspaniałych umysłów.

Kathy przerwała na moment i rozejrzała się wokół kręgu siedzących. Przyglądając się jej, Jennifer ponownie zauważyła, że jest bardzo piękna. Właściwie była to nie tyle kwestia wyglądu, ile spokoju malującego się na jej twarzy. „Nic dziwnego, że Eileen odpowiedziała na to” – pomyślała Jennifer. Kathy Dart miała taką budzącą zaufanie twarz.

– Musimy pamiętać, że umysł i mózg nie są tym są tym – powiedziała następnie Kathy. – Mózg jest organem fizycznym, podczas gdy umysł jest czystą energią przepływającą przez ten narząd. Jako istoty ludzkie, jako ciała, nie możemy być wszędzie. Jednak umysł pomoże wędrować, przemieszczać się, być gdzie indziej i wtedy spotykają nas doświadczenia pobytu poza ciałem. Wiemy wszyscy, na przykład, że ciało może znajdować się na stole operacyjnym, podczas gdy umysł przebywa w górze, pod sufitem, spoglądając na dół i obserwując poczynania chirurga.

– Tak – powiedziała głośno Jennifer. Przystała wbijać jajka do plastikowej miseczki i skupiła całą uwagę na ekranie, telewizora. – Tak – powtórzyła znowu.

– Wszyscy przeżywamy różne poziomy rzeczywistości. Marzymy, mamy halucynacje, zasypiamy, śnimy i wszyscy mamy jakiś mistyczny lub parapsychiczny sposób komunikowania się z innymi. – Pochyliła się do przodu. – Opowiem wam prawdziwą historię. Zdarzyła się każdemu z was. Jesteście w restauracji, na ulicy, myślicie o kimś, może o przyjacielu, o kimś, kogo widzieliście już kiedyś w innym miejscu i innym czasie. Jego imię wyskakuje nagle w waszych myślach i za chwilę widzicie go. Zjawił się nagle, jakby wyrósł spod ziemi!

Odchyliła się do tyłu, uśmiechnęła porozumiewawczo, a kamera przesunęła się od jednej osoby do drugiej i one także się uśmiechały, przypominając sobie z własnego doświadczenia to, o czym mówiła Kathy Dart.

Jennifer odłożyła jajka i przysunęła kuchenny stołek bliżej odbiornika. Otworzyła notes, którego używała do robienia listy zakupów i czekała na dalszy ciąg.

– Być może najlepszym sposobem zrozumienia tego, co dzieje się w naszym umyśle, jest myślenie o naszej psychice jako o domu z wieloma pokojami. W naszym

codziennym życiu używamy tylko jednego lub dwóch pokoi, nie mieszkamy na strychu ani w piwnicy, nie wiemy, co się dzieje nocą w głębi długich, ciemnych korytarzy.

Gestem wskazała grupę, machając tam i z powrotem jedną ręką.

– Rozmawiamy ze sobą na jednym poziomie, ale to jest ograniczenie. Zmusza nas ono do postrzegania świata jako istniejącego tylko na jednym poziomie, w jednej rzeczywistości. Kiedy wchodzę w trans, to tak, jakbym przenosiła się do innego pomieszczenia w moim psychicznym domu. Tam mogę się znajdować w odmiennym stanie świadomości, mieć inną osobowość, inną wiedzę. Mogę rozmawiać bezpośrednio z Habaszą i jednocześnie sprawić, że komunikuje się on bezpośrednio z wami. Przychodzimy na ten świat nadzy, ale nasza psyche, nasz duch przychodzi ze zbiorem mądrości i wiedzy wszystkich czasów. Platon powiedział, że „dusza narodziła się wiele razy i widziała wszystkie rzeczy, jakie istnieją, czy to na tym, czy na tamtym świecie, ma wiedzę o nich wszystkich”.

Potem kamera zrobiła najazd na jej twarz, a Kathy Dart skrzywiła się i dodała z grymasem:

– Dlaczego więc, możecie spytać, nie jesteśmy bogaci? Słuchacze wybuchnęli śmiechem.

– Nie jesteśmy bogaci – mówiła Kathy – ponieważ w obecnym życiu wykorzystujemy tylko pewną część wiedzy, którą dysponujemy, tę część, o której Platon mówi, że ją pamiętamy. Zgodnie z powiedzeniem: nie ma nic nowego pod słońcem. Przypominamy sobie jedynie to, co już wcześniej wiedzieliśmy, ale o czym zapomnieliśmy.

Artyści mówią nam, że tworzą dzięki swojej intuicji, natchnieniu. Czym jest natchnienie? – Przerwała na chwilę, żeby przestudiować twarze uczniów. – Akt tworzenia wypływa z wnętrza, z głębi serca. Tworzymy to, co już stworzyliśmy.

W kuchni zadzwonił telefon, podrywając Jennifer. Przyglądała mu się przez chwilę, zaskoczona dzwonieniem. Nie było jeszcze szóstej trzydzieści.

– Jenny? – głos mężczyzny był cichy i daleki.

– Dawid, to ty? Co się stało? Coś złego? – Nagle zrobiło się jej zimno i mimo ciepłej koszuli nocnej wstrząsnął ją dreszcz. Pomyślała, że otworzyło się jakieś okno. A może drzwi.

– Och, Jenny – wyszeptał Dawid. Zaczął płakać.

– O co chodzi, Dawidzie? Czy coś się stało? – Mówiąc to, Jennifer już wiedziała.

– Ona odeszła, Jenny. Ona odeszła. Znalazłem ją kilka minut temu. Poszedłem do łazienki... W jej sypialni paliło się światło. – Płakał i zacinął się podczas mówienia. – Wzięła nadmierną dawkę valium. Ja jej to przepisałem. Powiedziała, że ma problemy ze spaniem. Nie miałem pojęcia. – Wyjaśnił, co się stało, przyjmując na siebie winę za to samobójstwo.

– To nie twoja wina, Dawidzie – powiedziała Jennifer, podnosząc głos, by słyszał ją mimo łez. – Przestań się za to winić! Ja rozumiem! Wezwałś policję?

– Tak, tak, wszystko to zrobiłem. – Rozgniewał się nagle. – Są tutaj. Mam policjanta w moim przeklętym salonie. Nie usuną ciała, dopóki nie przyjedzie koroner i nie podpisze aktu zgonu.

– Co mogę zrobić? Nie chcę, żebyś był sam.

– O tej godzinie nie możesz jechać metrem.

– Wezwę taksówkę. Nie martw się.

Znowu się rozplakał.

– Dlaczego, Jenny, dlaczego, na miłość boską, ona to zrobiła?

– Porozmawiamy o tym, kiedy tam będę. Odłóż słuchawkę, żebym mogła się ubrać i zadzwonić po samochód. Cześć, Dawidzie. O Boże, tak mi przykro.

– Dziękuję, Jennifer. Bogu dzięki, że ty istniejesz – szepnął Dawid. Jego głos przywodził na myśl małego chłopca.

Kiedy Jennifer odkładała słuchawkę, jej ręka drżała. Znowu zrobiło się jej zimno, poczuła podmuch wiatru i pobiegła wzrokiem przez mroczny korytarz, salon i frontowe okna aż na ulicę. Światło i bledziutka poświata wczesnego poranka przenikała do ciemnych kątów.

Potem ujrzała Margit. Stała przy drzwiach kuchni, uśmiechając się i kiwając ręką na znak, że wszystko jest w porządku, że nic jej nie jest. Wyglądała o kilkanaście lat młodziej i była piękna w jakiś dziwny sposób, którego Jennifer nigdy jeszcze u niej nie widziała. Poruszała się w ciemnym mieszkaniu, spowita srebrnym światłem. Miała na sobie białą szatę, długą białą szatę, która rozpościerała się wokół niej, pokrywając podłogę i meble.

– Margit? – spytała Jennifer, przestraszona widokiem przyjaciółki.

– Witaj, Jennifer – odpowiedziała Margit, nie wydając żadnego dźwięku. Jednak Jennifer po prostu wiedziała, co ona mówi, wiedziała, czego chce.

– Pozwól mi objąć cię, proszę – odezwała się Jennifer, stąpając krok do przodu.

Margit potrząsnęła głową.

– Przykro mi, Jennifer, ale nie możesz, nie teraz.

– Margit, co się stało?

– Dawid... Dawid mnie otrul.

– Och, nie. Boże, nie!

– Wszystko w porządku, Jennifer. Wszystko w porządku. – Uśmiechała się cały czas.

– Ale dlaczego? Z powodu tamtej kobiety?

– Chodzi o coś więcej. Miałam pieniądze. Pieniądze mojej rodziny, a on chciał je dostać. Jenny, on jest bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

– Margit, to niemożliwe. Nie mogę cię widzieć. Nie mogę. – Próbowwała odwrócić się, ale jednocześnie obawiała się spuścić wzrok z zamglonej figury Margit Engle.

– Widziałam twojego brata, Danny'ego. Rozmawialiśmy, Jenny, i on pragnie, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocha i że nie możesz się winić za to, co się z nim stało. Jest bardzo szczęśliwy.

– Widziałas Danny'ego?! – wydała okrzyk Jennifer. Zaczęła się uśmiechać. – Pozwól mi porozmawiać z nim, proszę. Pozwól mi podejść bliżej do ciebie, Margit.

– Nie czas na to, jeszcze nie. Ale ja przyszedłam, aby cię ostrzec...

– Ostrzec mnie?

– Bądź ostrożna, Jennifer. Ktoś chce wyrządzić ci krzywdę.

– Kto?

– Kobieta. Kiedyś była twoją przyjaciółką, Jenny. W innym czasie, ona była kiedyś twoją przyjaciółką.

– Kto, Margit? – wyszeptała Jennifer.

Margit pokręciła głową, szeptem powiedziała, że nie może, a potem jej obraz zaczął blednąć. Jennifer nie krzyknęła, żeby zatrzymać ją. Patrzyła, jak zjawia się rozprasza i znika. Potem uświadomiła sobie, że jest już jasno i stoi w blasku słońca. Margit odeszła.

Odwróciła się od okna i poszła do sypialni. Słońce napełniało także ten pokój, rysując pasy światła na rozesłanym łóżku. Jennifer spojrzała na kwarcowy zegar. Cyfry wskazywały jedenastą czterdzieści siedem. Rozmawiała z Margit przez ponad pięć godzin.

KSIĘGA DRUGA

Każdy z nas jest odpowiedzialny za wszystko wobec wszystkich.

Fiodor Dostojewski

Jest absolutnie niezbędne, aby dusza została uzdrowiona i oczyszczona i jeśli się to nie stanie w jej życiu ziemskim, musi się dopełnić w jej przyszłych istnieniach.

Święty Grzegorz I

Rozdział 12

Tom złapał Jennifer, kiedy wychodziła ze stacji metra przy Columbus Circle.

– Musimy porozmawiać – powiedział, chwytając ją za nadgarstek.

– Słyszałeś? – zapytała.

– O Margit? Tak. Dawid telefonował do mnie wczoraj. Gdzie byłaś? Dzwoniłem do ciebie.

– W domu.

– Nie odbierałaś telefonów. Pojechałem do Brooklynu; nie odpowiadałaś.

– Nie chciałam z tobą rozmawiać.

– Jezu Chryste, Jenny, co się dzieje? Dlaczego wymknęłaś się ode mnie chyłkiem?

Stali u szczytu ruchomych schodów i ludzie dojeżdżający do pracy w godzinach porannego szczytu przepychali się obok, zerkając na wyraźnie zdenerwowaną parę, ale trzymając się od niej w pewnej odległości.

– Dzwoniłeś na policję, kiedy myślałeś, że śpię.

– Nie dzwoniłem – poczuł się obrażony. – Dzwoniłem do twojego biura.

Rozmawiałem z jak-mu-tam... Handinghamem.

– Daj spokój – przerwała Jennifer, biorąc go za rękę. – Chodźmy na filiżankę kawy.

– Margit i ja rozmawiałyśmy ponad pięć godzin – wyjaśniła Jennifer Tomowi – i kiedy zadzwoniłam do Dawida, było już prawie południe. Policja ciągle tam była. Ciało Margit leżało na podłodze w sypialni, gdzie, jak mi powiedziała, umarła i wszyscy czekali na przyjazd koronera. Tom, mówię ci: Dawid ją zabił!

Tom odłożył swoje ciastko i wpatrywał się w nią uważnie.

– Jennifer, ona umarła z przedawkowania. Koroner znalazł na to dowody w jej organizmie. Dawid opowiadał mi. Poza tym ona umarła prawdopodobnie wczoraj

o piątej rano. Jak mogłaś się z nią widzieć? O czym ty właściwie mówisz?

– Miała w żołądku ślady valium. Oczywiście! Dawid dał jej to, ale nie był tak głupi, żeby otruć ją w ten sposób. Jest lekarzem; jest na to za mądry.

– W takim razie, jak ją zabił? W jaki sposób Margit powiedziała ci, że zginęła? – Traktował ją, jakby była dzieckiem, któremu nie można się sprzeciwić.

Odpowiedziała wolno i stanowczo.

– Zabił ją, używając lidokainy. To lek stosowany w zagrażających życiu zaburzeniach rytmu serca.

– Wiem, co to jest lidokaina. Ale skąd ty to wiesz?

– Nie wiem. Nie wiem nic na ten temat. Ale Margit wie – czy raczej wiedziała. Zanim wyszła za Dawida, była pielęgniarką. Tak się spotkali. Ona powiedziała mi o lidokainie. – Jennifer pochyliła się nad restauracyjnym stolikiem i ciągnęła szeptem: – Lek jest pakowany w wygodne jednorazowe strzykawki. Zawierają gram lidokainy w dwudziestu pięciu centymetrach sześciennych płynu. Przed użyciem rozcieńcza się go roztworem glukozy i podaje w kilku dawkach. Dawid wstrzyknął jej od razu całą skoncentrowaną porcję. W ten sposób zabił ją. Zasnęła w łóżku. Dawid wszedł do sypialni, zrobił Margit zastrzyk i wyciągnął ją na podłogę, żeby wyglądało na to, że próbowała dojść do drzwi.

– I Margit opowiedziała ci to wszystko? Jennifer przytaknęła skinieniem głowy.

– Kiedy rozmawialiśmy, ona była już w swoim życiu po śmierci – to rzeczywistość niematerialna, do której dostajemy się, przekraczając próg śmierci. Nasze dusze przebywają tam między kolejnymi wcieleniami.

Kelner podszedł do stolika, żeby ponownie napełnić kawą ich filiżanki, i oboje ucichli, dopóki nie zniknął. Potem odezwał się Tom, nie patrząc na nią.

– Myślę, że może powinnaś porozmawiać z kimś, Jennifer.

– Zgadza się. – Jennifer westchnęła z ulgą. – Znasz detektywa zajmującego się tą sprawą? Do którego posterunku policji to właściwie należy?

– Jennifer, ja nie mówię o glinach. Mam na myśli lekarza. Psychiatrę.

Jennifer wlepiła w niego oczy.

– Tom, rozmawiamy o mordercy.

– Oczywiście. O mordercy, który był także jej mężem, a twoim lekarzem i etatowym pracownikiem nowojorskiego szpitala. Skarbie, żyłaś w olbrzymim stresie. Ja nie pomogłem ci moim postępowaniem w sprawie małżeństwa. Myślałem, że może powinnaś polecieć na kilka dni na Karaiby i pozwolić temu wszystkiemu przeminąć. Moja sprawa przeciwko handlarzom zakończy się wkrótce. Będę miał wreszcie wolny czas. A ty możesz wziąć długi urlop. – Mówił, jakby zdecydował się już przejąć kontrolę nad jej życiem.

Jennifer przestała słuchać. Tom nie uwierzył jej, ale dlaczego miałyby to zrobić? W ostatnich dniach przebyła długą drogę i zostawiła go daleko za sobą. Z trudem sama w to wierzyła, ale kiedy ogarniały ją wątpliwości, przypominała sobie Margit, srebrną poświatę wokół niej i pewność wracała.

Tom obserwował ją.

– Jenny, nie czujesz się całkiem dobrze – powiedział miękko. – Musisz to zrozumieć. To nie jest dowód słabości. Znam cię. Wiem, jak bardzo nie chcesz, żeby cię kiedykolwiek przyłapano z opuszczoną tarczą, ale wszyscy miewamy złe okresy.

Dojdiesz do siebie.

– Nic mi nie jest!

– Nie, Jenny, nie jesteś zupełnie zdrowa – odpowiedział cierpliwie. – Przechodzisz coś, sam nie wiem co. Dziękowałbym Bogu, gdybym wiedział, ale, najdroższa, kocham cię i zamierzam się tobą zaopiekować bez względu na to co powiesz. Dobrze? – Uśmiechnął się, próbując łagodzić twardy ton wypowiedzi.

Jennifer skinęła głową. Nauczyła się w ciągu ostatnich kilku tygodni, że spór z Tomem nie przynosi żadnego pożytku; lepiej go obejść.

– Zatem pojedziesz ze mną na Karaiby? Przytaknęła ruchem głowy.

– Muszę teraz wracać do biura. Jedziesz do śródmieścia; przyjadę spotkać się z tobą, kiedy tylko załatwię wszystko z Handinghamem.

– Rozmawiałem już z nim o tobie – odparł Tom.

– Rozmawiałeś? – Cofnęła się zdumiona.

– Tak, właśnie w tej sprawie dzwoniłem do niego, kiedy myślałaś, że telefonuję na policję. Powiedziałem, że miałaś sporo stresów i zgodził się dać ci urlop zdrowotny. To nic wielkiego, kochanie, twoja praca będzie czekała, aż wrócisz.

– Cóż – odezwała się, kontrolując swój gniew – w takim razie możesz równie dobrze zadzwonić do koronera i poprosić go, żeby jeszcze raz przejrzał wyniki autopsji.

Potrząsnął głową.

– Najdroższa, kocham cię. Uważam, że jesteś cudowna, ale w tej sprawie nie ma dochodzenia. Nic nie mogę zrobić. Ty także nic nie możesz. Wiem, że jesteś rozstrojona, ale mówiłem ci już, umysł płata ci figle. Lidokaina zostaje we krwi, w tkankach skóry. Gdyby tam była, znaleźliby ślady podczas oględzin zwłok.

– Jasne, gdyby przypominali doktorów z telewizji. Ale nie przypominają. Dlaczego burmistrz zawsze zwalnia z pracy koronerów, jeśli są tacy dobrzy?

Tom był rozsądny, ale ona już nie ufała jego chłodnej logice, jego wierze w system, w racjonalny świat. Pomyślała o tym co powiedziała jej Phoebe Fisher, o tym jak ludzie dają się złapać w pułapkę tego logicznego świata i nie mogą zaakceptować mistycznego. Ona do nich jednak nie należy. Już nie. Widziała w swoim salonie Margit i zdawała sobie sprawę z faktu, że tylko jedna osoba w Nowym Jorku może wysłuchać jej historii i uwierzyć w to, co ma do powiedzenia.

DOCHODZENIE KOŚCIELNE DOTYCZĄCE WIZJI
I CUDOWNYCH WYPADKÓW WERONIKI BORROMEO
MISCELLANEA MEDICEA 413
ROK PAŃSKI 1621
ARCHIWUM MIASTA FLORENCJI

Opis wizji, cudownych zdarzeń i grzechów dała, przedłożony przez ksiennię Weronikę Borromeo nuncjuszowi papieskiemu, Giuseppe Bonomo, biskupowi Sieny, dnia trzynastego miesiąca września, 1621:

W Pierwszy Piątek Wielkiego Postu roku 1620, leżąc w łóżku między czwartą i szóstą godziną w nocy, kontemplowałam cierpienia Pana Naszego Najświętszego

Jezusa Chrystusa, a nasz Pan objawił mi się cieleśnie, trzymając w Swoich krwawiących rękach Przenajświętszy Krzyż. Nasz Zbawiciel był żywy i zapytał mnie, czy wycierpiałabym jego własne ukrzyżowanie i śmierć. Uczyniłam znak krzyża myśląc, że to diabeł mnie naszedł, lecz nasz Pan powiedział mi, że On jest Bogiem i wolą Jego jest, żebym cierpiała Jego śmierć. Nakazał mi wstać z łóżka i leć krzyżem na kamieniach, ponieważ pragnie umieścić rany ukrzyżowania na moim ciele.

Kiedy wypełniłam, co mi polecił, poczułam wielki ból w członkach i w piersi i ujrzałam, że krew płynie z mojego ciała, ale potem czułam tylko pokój i zadowolenie.

W czasie następnego tygodnia, dzień po dniu, badałam moje kończyny i nic nie dostrzegłam, żadnego śladu ani znaku, w następny zaś piątek, od dwunastej do trzeciej, w godzinach, kiedy nasz Pan wisiał na krzyżu, ja także krwawiłam z dłoni i stóp i z prawej strony piersi, a mniszki ze zgromadzenia przyszły i otoczyły mnie opieką, a ja prosiłam je, błagałam w imię naszego Pana, aby nie opowiadały świeckim tego, co spotkało mnie w murach klasztoru.

Każdego piątku z ochotą cierpiałam, jak cierpiał nasz Pan, a w Wielką Sobotę, kiedy nasz Pan powstał z martwych i wstąpił do nieba, podczas mojej modlitwy w klasztornym ogrodzie nagle stanął przede mną anioł obleczony w niebieską szatę. Miał długie, białe i złociste skrzydła i rzekł do mnie: „Pan nasz jest bardzo zadowolony z twoich cierpień i pragnie, abyś znowu oddała mu swoje ciało, żyjąc na tym świecie życiem świętej i cierpiąc, jak muszą święci, dla większej chwały Bożej”. Obawiając się, że jestem dotkliwie kuszona przez samego diabła, upadłam na kolana i prosiłam Boga o opiekę. Biały anioł zabrał mnie do kościoła, do naszego pokornego księdza, ojca Giovanetto, który zapewnił mnie w imię Jezusa Chrystusa, że nie jestem zwodzona przez szatana, a ja uklękłam przed nim i przyjąłam komunię świętą. Anioł objawił mi się ponownie i wyjawiał, że imię jego jest Gabriel, archanioł Gabriel, który zwiastował wielką radość Najświętszej Marii Dziewicy, i oznajmił, że pozostanie teraz ze mną w godzinach i dniach wielkiej potrzeby. Od tamtego dnia wycierpiałam wiele mąk, jak było to moim pragnieniem. Nachodził mnie diabeł pod postacią pięknego młodego mężczyzny, który starał się zbrukać moje ciało i duszę. W czasie nocnych modlitw w naszej kaplicy szatan i jego słudzy rozpalali płomieniem kamienie pod moimi bosymi stopami, ale miałam imię Jezusa na wargach i modliłam się nieustannie o siłę dla zachowania wiary.

A potem, w innym czasie, Pan nasz przyszedł do mnie i powiedział, że jestem jego oblubienicą.

Otworzyłam dla niego swoje ramiona i Jezus wznosił złoty miecz i wyciął moje proste serce i zastąpił je swoim własnym i rzekł: „Piękna pani, daję ci moje serce, jak powinien uczynić każdy oblubieniec” i umieścił swoje serce w mojej piersi, gdzie spoczęło, zbyt wielkie i chwalebne dla mojego ciała, a potem ujął moją lewą rękę w swoją i wsunął mi na palec obrączkę ślubną, a ja nigdy w całym życiu nie czułam tak wielkiej radości.

Zeznania co do wizji, cudownych wypadków i grzechów ciała ksieni Weroniki Borromeo, złożone przez siostrę Marię Sinistrari przed nuncjuszem papieskim,

Giuseppe Bonomo, biskupem Sieny, drugiego dnia miesiąca października, 1621:

Ujrzałam, jak rozwiera ramiona, a następnie całuje swój serdeczny palec, mamrocząc słowa dziękczynienia Bogu i powtarzając nieustannie: „Nie jestem godna, o Panie. Nie jestem godna”.

Potem usłyszałam, jak mówi: „Chcę, żeby usiadła na najwyższym miejscu, na pierwszym krześle i objaśniała swoje życie” i szybko podeszła do miejsca, gdzie przebywa nasz Pan. Powiedziała mi, że świece, które zapaliła, symbolizują trzydzieści trzy lata, które Jezus przeżył na tym świecie, a trzy największe oznaczają trzy lata najbliższe śmierci.

Następnie opowiedziała, jak Chrystus wziął jej serce i dał jej rany Swojego ukrzyżowania. Potem mówiła mi wiele rzeczy, których nie mogę sobie przypomnieć, a ja wiedziałam, że nie jest sobą. Jej głos nie brzmiał tak jak zwykle. Później modliła się przez kilka godzin. Klęczałyśmy razem i razem się modliłyśmy. Kiedy skończyła, pogasiłyśmy światła, opuściłyśmy chór i udałyśmy się do naszych cel. Była bardzo obolała i poszłam w nocy do jej celi, usiadłam obok niej. Mówiła, że sztylet przenika jej ciało, rozkrwawia serce i ujęła moją dłoń i przycisnęła do swojej piersi tak, że mogłam czuć jej wielki ból.

Rozkazała mi: „Obejmij mnie” i kiedy tylko dotknęłam jej serca, uspokoiła się. Zapytałam, co powoduje tak wielki ból, a ona odrzekła, że to Jezus sprawdza jej męstwo. Potem zaczęła często wzywać mnie do swojego łóżka. Było to zawsze wtedy, kiedy już się rozdziałam; kiedy przychodziłam, zmuszała mnie, żebym położyła się do łóżka i całowała mnie, jakby była mężczyzną, a potem poruszała się, leżąc na mnie, jak mężczyzna, plugawiąc nas obie.

Robiła to w najbardziej uroczystych godzinach. Udawała, że odczuwa jakąś potrzebę, wielki ból, wzywała mnie do swojej celi i siłą zmuszała, bym z nią grzeszyła.

Ażeby osiągnąć większą grzeszną rozkosz, kładła twarz pomiędzy moje piersi i całowała je. Wkładała palec do moich genitaliów, i trzymała go tam, sama oddając się zepsuciu. Potem całowała mnie siłą i wkładała mój palec do swoich genitaliów i ja ją plugawiłam.

Zawsze zdawała się być w transie, a oddając się temu plugastwu, nazywała samą siebie aniołem Michałem i mówiła jak mężczyzna. Nosiła białą suknię z haftowanymi złotem rękawami i złoty łańcuch na szyi. Rozpuszczała włosy, a one wiły się na jej szczupłej szyi, i wkładała sobie na głowę wieniec z kwiatów zebranych w ogrodzie zgromadzenia.

Jako anioł Michał nie kazała mi się spowiadać z tego, co robiłyśmy razem, bo nie jest to grzechem w oczach Boga. A kiedy oddawałyśmy się grzechowi, czyniła na moim nagim ciele znak krzyża i mówiła mi, żebym oddała się jej całym sercem i duszą i pozwoliła jej robić to, czego pragnie. „Jeśli to uczynisz – powiadała, przemawiając męskim głosem – dam ci tyle przyjemności, ile tylko będziesz chciała”.

DZIENNIK SIOSTRY ANGELI MELLINI

4 KWIETNIA, 1622: Weronika Borromeo została oczyszczona w wieku osiemnastu lat. Postawiono ją przed Wielkim Inkwizytorem i Wysokim Kapłanem, odczytano jej grzechy i została spalona, podobnie jak młodsza siostra, Maria Sinistrari. Po śmierci szczątki ksieni Weroniki Borromeo i siostry Marii Sinistrari zabrano do kaplicy, jak to jest w zwyczaju naszych sióstr. Pochowano je poza murami klasztoru, w sekretnym miejscu i nocą, aby świeccy nie mogli zbezczęścić członków i zabrać zwłok kobiet i rzucić je wilkom w lesie.

Rozdział 13

Kiedy Jennifer przybyła do fundacji, nie zastała Joan przy biurku. Chciała zostawić sekretarce pracę do wykonania, zanim pójdzie zobaczyć się z Phoebe Fisher. Wzięła z biurka Joan plik notatek o telefonach i poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przejrzała stosik różowych kartek. Było z pół tuzina telefonów dotyczących spraw fundacji, pozostałe były osobiste. Dzwoniła Janet Chan, żeby odwołać wspólny lunch w czwartek. Dentysta, dr Weiss, przypominał o umówionej wizycie. Telefonował Dawid Engle. Chciał, żeby zadzwoniła do niego do domu tak szybko, jak tylko będzie mogła. Było także zamiejskowe połączenie z Kathy Dart z Minnesoty.

Jennifer wpatrywała się w kartki, jej ręce drżały. Za bardzo się bała, żeby zadzwonić do Dawida. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, nie teraz. Pod wpływem nagłego impulsu wykręciła numer Kathy Dart w Minnesocie.

– Halo, Tenayistilligan – odezwał się męski głos.

– Słucham? – powiedziała Jennifer.

– Tenayistilligan – powtórzył mężczyzna. – Tu Wspólnota Habaszy. Mówi Simon.

– Och, dzień dobry. – Teraz Jennifer przypomniała sobie. Eileen wyjaśniała jej, że zwolennicy Kathy Dart używają amharyjskich wyrażen i nadają sobie etiopskie imiona ku czci Habaszy. – Nazywam się Jennifer Winters. Kathy Dart dzwoniła do mnie wcześniej. Prosiła o telefon.

– Chwileczkę.

Jennifer czekała przez moment. Wkrótce usłyszała jasny głos Kathy Dart, mówiący z energicznym akcentem Środkowego Zachodu.

– Och, Jennifer, tak się cieszę, że zadzwoniłaś. Telefonowałam do Eileen Gorman, żeby dostać twój numer. Czy wszystko w porządku?

– Dlaczego... Tak, chyba tak – odparła.

– Rozmawiałam kilka dni temu z Eileen i powiedziała mi, że doświadczałaś pewnych trudnych uczuć...

– Tak? – Jennifer stężała.

– Dziś rano, kiedy się obudziłam, czekał na mnie Habasza, wymienił twoje imię. Powiedział, że masz kłopoty.

Jennifer wzięła głęboki oddech.

– Tak. No cóż, mam kłopoty, z pewnością. – Roześmiała się, ale była przestraszona. Skąd Kathy mogła wiedzieć?

– To się zdarza – powiedziała miękko Kathy Dart, przewidując niepokój Jennifer. – Duchy wiedzą. Wszyscy miewamy ostrzeżenia. Habasza oczywiście jest zestrojony

nie tylko z moim życiem, lecz równie dobrze z innymi. Teraz to dla mnie oczywiste, że ty i ja jesteśmy jakoś związane w tej samej grupie.

– Nie jestem pewna, co masz na myśli, jaki rodzaj grupy. Związek duchowy?

– Duchowy to właściwy termin. Ty i ja – i oczywiście Habasza – i inni jesteśmy częścią tego, co jest nazywane grupą duchową. Pomyślałam to sobie, kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz siedzącą z Eileen na moim seminarium wstępnym w Waszyngtonie. Mamy jakieś wspólne doświadczenia z poprzednich istnień, co oczywiście nie jest takie niezwykle, jako że wszyscy jesteśmy częścią Boskiego Umysłu.

– Co powiedział Habasza? To znaczy, co ma mnie spotkać?

– Miałaś jakieś przerażające przejścia.

– Habasza ci to powiedział?

– Nie, ale miałam kilka trudnych nocy i kiedy porozmawiałam z Eileen, powiedziała mi, że miałaś kłopoty i dopytywałaś się o założenia Nowej Ery.

– Tak, pytałam ją. – Jennifer nagle ochłodziła i spojrzała, czy drzwi biura nie są otwarte. Nie chciała, by ktokolwiek słyszał, co mówiła do Kathy Dart. – Naprawdę mam mnóstwo pytań na temat tego... wszystkiego. Próbuję zrozumieć... Wiesz, mediumizm i całą resztę. – Mówiła bardzo szybko, oblewając się potem.

– Normalnie mediumizm polega na współpracy – kontynuowała spokojnie, Kathy Dart. – Zaakceptowałam Habasze. Nie miałam żadnych zastrzeżeń ani obaw przed działaniem jako jego pośrednik, jego punkt kontaktowy z tym życiem.

– Pamiętam to, co mówiłaś. Przypominam sobie, że przyszedł do ciebie pewnego ranka w Kalifornii. Myślę jednak, że ze mną dzieje się coś innego. Miałam... – Przerwała. Nie mogła powiedzieć tej obcej kobiecie o zabójstwach. Zamiast tego dodała szybko: – Pewnego dnia byłam w Muzeum Historii Naturalnej i miałam tam dziwaczne sensacje.

Opowiedziała Kathy Dart o wystawie na temat epoki lodowcowej i o swojej reakcji na widok modelu, o przekonaniu, że kiedyś tam była, schodziła ścieżką, spała pod kośćmi, kłami i wysuszonymi skórami mamutów. Wiedziała to, ale oczywiście nie mogła mieć takiej wiedzy.

– Lecz to ma sens, Jennifer – nalegała Kathy. – To miejsce, ci ludzie byli kiedyś częścią twojego życia – w innym czasie, rzecz jasna, w okresie prehistorycznym.

– Wybacz mi, Kathy, ale muszę coś powiedzieć, – Jennifer podeszła do okien i kontynuowała, stojąc tam i wpatrując się w mroźny dzień. – Mam trudności, wiesz, z przyjęciem tego wszystkiego. Mam przyjaciela, a on jest...

– To Tom, prawda?

– Tak, ty wiesz?

– Właściwie nie, ale Eileen wspomniała, że z kimś się spotykasz. Zapytałam Habaszę o Toma. Poprosiłam go, żeby sprawdził, czy Tom jest dla ciebie odpowiednią osobą.

– I co powiedział Habasza?

– Och, nie spieszy się ze spełnieniem takich życzeń. Zasadniczo uważa je za nużące. Odpowie mi pewnego razu, kiedy będę się z nim kontaktowała. Ale proszę, mów dalej. Przerwałam ci.

– To wszystko nie ma dla niego sensu. Racjonalnego sensu, rozumiesz?

– Oczywiście, rozumiem – odpowiedziała spokojnie rozmówczyni. – Miałam wiele takich samych pytań i wątpliwości, które, jak wiem, są twoim udziałem. Dla nas wszystkich to podróż w nieznaną, skok w ciemność, ale także – w moim przypadku to była prawda – uświadamiamy sobie, że czegoś brakuje, powiedzmy, że coś się zepsuło w naszym życiu. Jeśli o mnie chodzi, Habasza pomógł mi zobaczyć to życie z właściwej perspektywy. Posłuchaj, Jennifer, to nie jest przerażająco nowe ani dziwne, ani tajemnicze całe to mówienie o reinkarnacji. Zostaliśmy wychowani w wierze w życie po śmierci, w niebo i piekło, ale jednocześnie zostaliśmy złapani w rzeczywistość kultury, która mówi, że nie mogą istnieć takie rzeczy, jak reinkarnacja, przeczucia czy duchy! Jednakże na przestrzeni dziejów człowiek zawsze wiedział o istnieniu związków z innym światem, o głosach znikąd.

– Ale to w dalszym ciągu nie wyjaśnia, dlaczego ja...

– Dlaczego zostałam wybrana? Wyróżniona?

– Tak! Dlaczego właśnie ja?

– Ponieważ jesteś gotowa, Jennifer. To takie proste. Ja nie byłam gotowa, mając siedemnaście lat i chodząc do college'u, ale kiedy miałam już własne dzieci i wiele doświadczeń życiowych za sobą, w końcu przygotowałam się do udźwignięcia odpowiedzialności związanej z pośrednictwem Habaszy. Ktoś, jakaś osoba przygotowuje cię do komunikowania się z nią czy z nim. Gdyby było inaczej, skąd miałabyś nagle tyle siły, żeby biegać tak daleko w Waszyngtonie? Jennifer, wiem, że jesteś przygotowywana do medialnego kontaktu z jakimś duchem.

– O, Boże – szepnęła Jennifer czując, jak miękną jej nogi. Pochyliła się i przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Po przeciwnej stronie Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, kilkanaście pięter niżej, znajdowało się wejście do parku, przy którym kręciło się kilku mężczyzn, wystając na chłodzie zimowego dnia. Wiedziała, że sprzedają narkotyki, proponując je ludziom przechodzącym obok w drodze do stacji metra.

Kathy Dart przerwała bieg jej myśli.

– Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy mogły porozmawiać osobiście – powiedziała.

Jennifer skinęła głową. Znowu płakała, ale w końcu zdołała wykrztusić:

– Bardzo chciałabym z tobą porozmawiać. – Odwróciła się od okna i podeszła do biurka, biorąc garść papierowych chusteczek. Kathy Dart wciąż mówiła, opowiadała, jak trudno jest mieć ten specjalny talent, być otwartym na tego rodzaju kontakty, wrażliwym na odmienne istnienia.

– Ale ja nie jestem takim człowiekiem – zaprotestowała wreszcie Jennifer. – Nigdy nie zabawiałam się wirującym stolikiem ani automatycznym pismem.

– A jakim człowiekiem jesteś, Jennifer? – spytała spokojnie Kathy. – Wierzysz w Boga?

– Tak, oczywiście. Tak myślę. To znaczy, kiedyś wierzyłam.

– A w istnienie aniołów? Diabła? A w cuda? Oczywiście wierzysz. Albo wierzyłaś. Wierzyłaś także w życie po śmierci. To aksjomat zachodniej kultury. Wszyscy zostaliśmy wychowani w wierze w Boga czy jakąś Wyższą Istotę, która ustanowiła porządek w naszym wszechświecie. Nawet koncepcja wielkiego wybuchu jest próbą wyjaśnienia nam samym, dlaczego jesteśmy tu, na Ziemi, jaki jest sens naszego

życia. – Kathy westchnęła. Rozmawiały już ponad dwadzieścia minut i obie zaczynały być zmęczone. – Posłuchaj, do tej pory ciągle jeszcze nie powiedziałam ci, dlaczego właściwie dzwoniłam, co zaniepokoiło dziś rano Habaszę.

Jennifer czekała. Wróciła do skózanego fotela i usiadła przy szerokim biurku. Konsola telefoniczna migotała, więc była pewna, że Joan już wróciła i odbiera telefony w sekretariacie.

– Habasza denerwował się o ciebie. Większość jego informacji jest irytująco niejasna, ale powiedział, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

Jennifer nie odpowiedziała. Myślała o nagłówkach w „New York Post” i uświadomiła sobie, że policja jej szuka.

– Chodzi o mężczyznę... Znam tylko imię... – Kathy mówiła powoli, jakby jeszcze się nie zdecydowała, ile ma jej powiedzieć.

– Tak? – zapytała szybko Jennifer podnosząc głos.

– Dawid. Czy znasz jakiegoś mężczyznę imieniem Dawid?

– Oczywiście, że znam – szepnęła Jennifer. Siły opuściły ją nagle. – Dawid Engle. Jest mężem mojej przyjaciółki, Margit. Ona właśnie popełniła samobójstwo.

– Bądź ostrożna. Przykro mi, że mam ci tak mało do powiedzenia. Zwykle nie lubię dawać ludziom strzępów informacji, ale z tobą chcę zaryzykować. Czuję, że jesteś kimś wyjątkowym. Wyjątkowym dla mnie i dla nas wszystkich.

– Dziękuję ci – szepnęła Jennifer uszczęśliwiona. – Już się nie boję – dodała, sama zaskoczona.

– Dobrze! Pamiętaj, nie jesteś sama. Zawsze są z tobą twoi przewodnicy. Twoi aniołowie stróże, jak nazywaliśmy ich w mojej katolickiej szkole. I jestem ja. Proszę, dzwoń do mnie. Musimy być w kontakcie. Czuję – wiem – że jesteśmy nawzajem dla siebie ważne.

Kiedy Jennifer wreszcie zakończyła rozmowę, usiadła nieruchomo w fotelu i patrzyła na migotanie świateł aparatu telefonicznego. Potem, pod wpływem impulsu, nacisnęła jeden z guzików i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Jenny?

Od razu rozpoznała głos.

– Tak?

– To ty, Jenny? Przyzwyczailem się już do sekretarki, która strzeże drzwi twojego pałacu.

– Tak, Dawidzie, to ja. – Jennifer wiedziała, że jej głos brzmi sztywno i chłodno, ale nie umiała nadać słowom żadnego ciepła.

– Dzwonię do ciebie, żeby zapytać, czy nie możesz wpaść dziś do mnie na drinka. Jest parę spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

– Przykro mi. Zaraz po pracy muszę spotkać się z Tomem – odpowiedziała. Dawid Engle był ostatnią osobą, którą chciała zobaczyć.

– Jenny, proszę. Naprawdę muszę z kimś porozmawiać.

– Rozumiem to, Dawidzie, ale nie mogę... – Jennifer nagle przerwała.

– Jenny? Jesteś tam?

– Tak, Dawidzie. Wszystko w porządku. Przyjdę koło czwartej. – Jennifer uśmiechała się. W odległym kącie biura, przed ścianą zawieszoną półkami na książki,

Margit Engle siedziała na skórzanej sofie i kiwała głową w stronę Jennifer, zachęcając do przyjęcia zaproszenia jej męża.

Rozdział 14

Jennifer słuchała kłamstw Dawida Engle. Opowiadał jej o śmierci Margit – jak życzyła mu dobrej nocy, poszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi i połknęła porcję valium. I jak on znalazł ją później, leżącą na podłodze w nogach łóżka. Opowiadając rozplakał się. Jennifer domyślała się, że pił przez większość dnia.

Siedziała na kanapie i sączyła białe wino, przyglądając mu się. Teraz mówił o synach. Obaj wrócili ze szkoły do domu i załatwiali szczegóły pogrzebu.

– Nie mógłbym temu sprostać – wyznał, podchodząc do kanapy.

Jennifer widziała, jak bardzo jest wyczerpany. Nie miał więcej niż pięćdziesiąt lat, ale postarzał się bardzo od czasu, gdy spędziła noc w ich mieszkaniu. Przygarbił się, a twarz mu zszarzała. Zszarzała od nie ogolonego zarostu i długiej zimy bez słońca. Wyglądał jak nieboszczyk.

– Margit wypełniała rodzicielskie obowiązki o wiele lepiej ode mnie – odezwał się Dawid. Opowiedział jej, że kiedy chłopcy mieli zapalenie płuc, przez tydzień spała na podłodze w ich pokoju. – A to ja byłem tym cholernym lekarzem – zaklął, znowu łkając.

Jennifer nie podeszła do niego. Ona także płakała, ale jej łzy były przeznaczone dla Margit, matki jego dzieci, jego żony przez dwadzieścia trzy lata, kobiety, którą zamordował, kiedy spała.

– Łatwo zawierałem przyjaźnie – kontynuował, usiłując wziąć się w garść – ale to Margit była osobą, którą ci ludzie kochali. – Pochylił się w fotelu i gestykulując jedną ręką, rozlewał alkohol. – Jak ty! Jak ty! Ty także byłaś moją przyjaciółką, ale Margit mi cię zabrała.

– Dawidzie, proszę!

Skwitował jej protest machnięciem ręki.

– Nie mów mi o Margit. Znałem ją. Wiedziałem, jaka była. – Płakał, przechadzając się po pokoju i uzalając się, że Margit skradła mu wszystkich przyjaciół i zwróciła ich przeciwko niemu.

Jennifer odstawiła drinka na blat stolika do kawy.

– Dawidzie, muszę już iść – powiedziała miękko, sięgając po płaszcz.

Dawid milczał. Stał pochylony i wpatrywał się w dywan.

– Iść? – odezwał się wreszcie, podnosząc wzrok i mrugając w jasnym świetle.

Jennifer stała.

– Zadzwoń później do chłopców, żeby zapytać o pogrzeb. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym coś powiedzieć podczas ceremonii. Porozmawiam o tym z Derekiem. – Przeszła obok niego, ale nie schyliła się, aby pocałować go w policzek, jak zrobiłaby to kiedyś. Wiedziała, że znowu zacznie płakać. Jego rozczulanie się nad sobą wzruszało wszystkich, których znał.

– Najpierw byłaś moją przyjaciółką, Jennifer. A może już zapomniałaś? – Dzwonek telefonu zaskoczył go. Stał, wpatrując się w aparat. Po chwili Jennifer obeszła go i podniosła słuchawkę.

– Halo, czy... Jenny, to ty?

– Tak, Tom. Cześć.

– Co ty tam, na Boga, robisz? Czy Dawid jest z tobą? Jennifer westchnęła i przymknęła oczy. Była już zmęczona krzyczącymi na nią mężczyznami.

– Tak. O co chodzi? – zerknęła na Dawida. Stał na środku hallu, przyglądając się jej szklistymi oczami.

– Uciekaj stamtąd – wyszeptał Tom – uciekaj z tego mieszkania i od niego. Co cię, na Boga, opętało, że poszłaś się z nim zobaczyć? Jenny, ten sukinsyn jest mordercą. Miałaś rację! Zadzwoiłem do biura koronera, kiedy wróciłem do centrum. Traktowałem to jako przysługę, wiesz, żebym przynajmniej znał fakty, jeśli zapytasz mnie ponownie. Były już wyniki testów z pobranej skóry. W tkankach znaleziono lidokainę. On to zrobił, Jenny. Tak, jak mówiłaś.

Jennifer spojrzała w małe lustro, wiszące w przedpokoju i zobaczyła swoje własne zdumione oczy. Dawid w dalszym ciągu stał przy wejściu, ściskając w dłoni pustą szklanekę i obserwując ją. Miała rację. Nie była żadną wariatką, miewającą halucynacje i widującą duchy. To wszystko okazało się prawdą. Margit naprawdę przyszła do niej po swojej śmierci.

– Czy to Tom? – spytał Dawid.

Jennifer skinieniem głowy przytaknęła jego odbiciu w lustrze. Słuchała Toma, który wyjaśniał, że wydano już nakaz aresztowania Dawida.

– A teraz, do diabła, zjeżdżaj stamtąd, Jennifer. Nie chcę, żebyś była w to zamieszana. Nie chcę, żeby Dawid nabrał podejrzeń, że coś się wydało.

– Nie ma potrzeby się denerwować, Tom – odpowiedziała chłodno. Była zła na niego, że nie uwierzył jej od razu, a teraz znowu gniewało ją, że mówi jej, co ma robić. – Potrafię sama zadbać o siebie.

– Jezu, Jenny, nie próbuj niczego udowodniać, dobrze? Myliłem się. Przyznaję. Teraz wyjdź stamtąd.

– Jadę do domu, Tom. Do Brooklynu. Przyjedź później, zjemy razem obiad. Mam ci więcej do powiedzenia. Kathy Dart dzwoniła do mnie do biura.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Dawida, który podszedł bliżej, ale tylko po to, żeby dla zachowania równowagi oprzeć się o ścianę.

– To był Tom – powiedziała spokojnie Jennifer, zakładając skórzane rękawiczki. – Powiedział, że rozmawiał z koronerem i że wróciły już wyniki badań próbek skóry Margit. Znaleźli ślady lidokainy. Obawiam się, że policja ma już nakaz aresztowania. – Mówiła nie podnosząc głosu.

– Wiedziałaś? – zapytał słabym głosem Dawid.

– Tak, wiedziałam.

– Skąd, do cholery?

Jennifer podeszła do drzwi mieszkania i zatrzymała się z ręką na klamce.

– Margit powiedziała mi tamtego ranka, po swojej śmierci. Rozmawiałyśmy.

– To niemożliwe! – zaprotestował, ruszając niepewnie do przodu.

– Ona cię kochała, Dawidzie. Kochała cię przez całe życie. Prowadziła ci dom i wychowała twoich synów. Nigdy nie pragnęła niczego poza twoją miłością i szacunkiem, a czym ty jej odpłaciłeś? Porzuciłeś ją dla innej kobiety, młodszej, która jest – jak powiedziałeś Margit – „bardziej interesująca”. A potem nie wystąpiłeś

o rozwód. Nie, zabiłeś ją dla jej pieniędzy.

Cisnął w nią trzymaną w ręce szklanką. Z szybkością i zręcznością, którą dopiero teraz zaczynała u siebie odkrywać, Jennifer schwyciła szklankę w powietrzu, zanim zdążyła w nią uderzyć, i postawiła na małym stoliku. Zdołała uśmiechnąć się chłodno i ruszyła w jego stronę. Nagle wydało się jej to takie naturalne i słuszne. Użyje swoich sił, żeby załatwić porachunki. Odebrał życie jej przyjaciółce, a teraz ona odbierze jemu.

Jennifer złapała Dawida za gardło i uniosła go nad podłogę. Trzymając wielkie ciało w wyciągniętej ręce, uśmiechnęła się do niego, podczas gdy on rozpaczliwie starał się złapać oddech. Potem, jednym ruchem, jakby to była mucha, odrzuciła go od siebie. Przeleciał przez salon i uderzył w ścianę, osuwając się na dywan.

Podeszła bliżej, przekonana, że musi z nim skończyć, że nie może pozwolić mu żyć, kiedy usłyszała dzwonek u drzwi. Ostry dźwięk rozproszył ją, unicestwił jej chęć zabijania i odwróciła się, zostawiając go krztuszącego się krwią. Podeszła do frontowych drzwi, a on, zdesperowany, rzucił się za nią, próbując chwycić jej nogę. Jennifer powaliła go kopnięciem w twarz i otworzyła drzwi mieszkania.

– Szukacie panowie Dawida Engle? – zapytała natychmiast dwóch mężczyzn.

Przytaknęli ruchem głowy, zaskoczeni pytaniem, a następnie widokiem Dawida, leżącego za nią na podłodze salonu. Próbował podnieść się na kolana.

Jennifer wskazała lekarza, który doszedł do siebie na tyle, żeby zacząć płakać.

– Cóż, zatem znaleźliście go.

Potem szybko ruszyła w stronę windy i weszła do kabiny. Zanim drzwi się zamknęły, obejrzała się i zobaczyła, że mężczyźni schylają się, pomagając Dawidowi podnieść się z podłogi. Właśnie odczytywali mu jego prawa.

Rozdział 15

Jennifer nie mogła skupić uwagi na otoczeniu. Myślała o Margit, Dawidzie, o sobie. Rozpamiętywała to, jak rzuciła się na Dawida i byłaby go zabiła, gdyby nie wkroczyła policja. Drżała, ponownie przestraszona, kiedy dotarło do niej, że mogli ją także aresztować w mieszkaniu Dawida. Pomyślała, że była szalona, próbując go zabić. Traciła rozsądek. Zmieszana, odkryła, że wędruje obok Riverside Park.

Zmęczyła się, brnąc przez śnieg i postanowiła na następnym rogu skrócić w lewo, przeciąć Broadway i metrem pojechać do domu. Zobaczyła dwóch mężczyzn. Wyłonili się z wejścia do parku i szli przed nią. Jennifer poczuła, że jej serce zaczyna łomotać. Rozejrzała się, dostrzegła kolejnego mężczyznę, podążającego za nią w odległości pięćdziesięciu jardów i w tej samej chwili wiedziała już, co oni planują. Powinna przejść przez ulicę i wejść do jednego z bloków, jakby tam mieszkała. Portier wezwie taksówkę. W tym momencie ujrzała jeszcze jednego mężczyznę po drugiej stronie ulicy, brnącego ciężko po śniegu z opuszczoną głową i rękami wsadzonymi głęboko w kieszenie. Wiedziała, że powinna przejść przez ulicę. Natychmiast. Jednak nie zrobiła tego.

Parła do przodu z opuszczoną głową, jak gdyby pochłonięta własnymi myślami. Co ona właściwie robi? – pytała samą siebie. Dlaczego zachowuje się w ten sposób?

Dwóch mężczyzn zawahało się na rogu, jakby czekali na zmianę świateł, wiedziała

jednak, że czekają na nią. Wiedziała także, że podejną do niej, kiedy zbliży się trzeci osobnik, otoczą ją i wciągną do parku. Kilkanaście jardów i zniknie z oczu ewentualnych przechodniów w ciemnościach zimowego wieczoru. Przy takiej pogodzie nie było biegaczy ani nikogo spacerującego z psem. Była znakomitą ofiarą. Wiedzieli o tym. Ona także to wiedziała. Ta myśl wywołała jej uśmiech. Poczula, jak krew zaczyna szybciej krążyć i ciało rozgrzewa się w oczekiwaniu na konfrontację.

Mężczyźni odwrócili się w jej stronę i jednocześnie usłyszała, że z tyłu trzeci myśliwy przyspiesza kroku i zaczyna biec. Obserwowała zbliżających się mężczyzn. Odsunęli się na boki chodnika, jakby chcieli, umożliwić jej przejście. Obaj mieli długie wełniane szale owinięte wokół szyi i kapelusze z szerokimi rondami naciągnięte na oczy.

Byli dostatecznie blisko, żeby dostrzegła, iż to Hiszpanie, nastolatki, właściwie jeszcze dzieciaki. Kiedy ich mijala, powiedzieli coś po hiszpańsku i skoczyli do niej, ujęli ją między siebie i podnosząc bez trudu lekkie ciało, ściągnęli ją z chodnika.

Jennifer rozejrzała się w poszukiwaniu trzeciego napastnika. W podniesionej dłoni trzymał pałkę, krótki kawałek rury owinięty przewodem elektrycznym.

Czekała na przypływ sił, na przemożną, dziką moc, i w momencie, kiedy mały człowieczek zamachnął się pałką, pomyślała: „Tym razem to nie nadejdzie, jestem bezbronna”. Chwilę potem kontrolę przejęła rosnąca furia jej prymitywnego „ja”.

Poczula nagły chłód przenikający jej ciało, dzikie uderzenia serca, jakby żyło ono własnym życiem; fala krwi popłynęła do kończyn i Jennifer, wykorzystując dwóch trzymających ją mężczyzn jako podpory, podniosła się i wyrzuciła do przodu obie nogi. Obcas prawego kowbojskiego buta uderzył niskiego mężczyznę w usta, wbijając mu zęby w miękkie podniebienie. Nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy kopniak odrzucił go daleko.

Pozostali zaklęli rozwścieczeni, lecz jeden z nich zdołał uwolnić ramię i zamachnął się, próbując uderzyć ją w głowę. Uchyliła się przed ciosem, padając na zaśnieżoną ścieżkę i pociągając za sobą obu napastników. Schwyciła obiema dłońmi ich szczuple szyje i usłyszała, jak z charkotem walczą o oddech, gdy ona wyciskała z nich życie. Trzymając ich obu w górze uświadomiła sobie, że się uśmiecha, zadowolona z własnej siły, ze swojego odwetu.

Czuła ich oddechy, odór ciał. Dochodził do niej zapach piwa, które wypili tego dnia, i takos, które zjedli gdzieś w hiszpańskim Harlemie, zapach kobiet, z którymi spali. Złożyła ręce, uderzając o siebie czaszkami obu napastników.

Siła uderzenia zmiażdżyła ciało, kości i mózg. Rozległ się głuchy dźwięk, jakby koła samochodu rozgniotły dynię. Nie było żadnego innego odgłosu, żadnego okrzyku bólu. Ciała zwisły jej w rękach. Odrzuciła je w zarośla obok ścieżki, gdzie utworzyły bezkształtne kłębowisko rąk i nóg.

Rzuciła się na trzeciego wroga wiedząc to, czego nie wiedziałoby żadne zwierzę, że nie może pozwolić mu uciec i zawiadomić policji. Niski mężczyzna doszedł już do siebie i, wypluwając krew i resztki zębów, potykając się, próbował odbiec w głąb parku.

Zbiegła susami w dół zbocza za swoją ofiarą, która uciekała szaleńczo w stronę krzewów odgradzających dziecięcy plac zabaw. W pełnym biegu złapała go za kark i nie tracąc prędkości, rzuciła nim, jak oszczepem, na płot z wysokich żelaznych

prętów, otaczający wydzieloną dla dzieci część parku.

Impet uderzenia wygiął grube metalowe pręty. Kiedy ciało zaczęło zsuwać się w dół, ostre końce przebiły ubranie tak, że mężczyzna zawisł na ogrodzeniu jak mokra, brudna szmata.

Jennifer przystanęła, żeby uspokoić walące serce. Czula swój zapach i piżmowa woń własnego potu sprawiła jej przyjemność. Kiedy ponownie obejrzała się na martwego mężczyznę, na to, co z nim zrobiła, własna szybkość i siła jeszcze raz wprawiły ją w zdumienie.

Wróciła do domu metrem. Zatrzymała się tylko przy fontannie, żeby obmyć z krwi ręce i twarz. Wiedziała, że jej dziki wygląd powstrzyma każdego przed zajmowaniem miejsca obok niej.

W domu spaliła całe swoje ubranie, nawet bieliznę. Brązowe buty wepchnęła do torby na odpadki z zamiarem wyrzucenia ich do śmieci. Potem wzięła długi, gorący prysznic i umyła włosy, a w końcu napełniła wannę parującą wodą i pachnącą pianą, otworzyła butelkę białego wina i zabrała kieliszki i wiaderko z lodem do łazienki. Wyciągnęła się w wannie, słuchając radiowej orkiestry symfonicznej grającej Mozarta i czekała na przyjście Toma.

Tom miał własne klucze i chociaż pod wpływem gorącej wody i wina Jennifer poczuła senność, usłyszała, że zamyka frontowe drzwi, stawia na podłodze aktówkę i woła ją.

Słyszała, jak głos stawał się coraz głośniejszy i bliższy. Uśmiechnęła się i wolno poruszyła ręką w gorącej wodzie. Kąpiel osłabiła ją, czuła się także zmęczona tym, co zrobiła. Wróciła myślą do zabójstw, jakby były obrazem oglądanym w kinie albo w nocnym wydaniu telewizyjnego programu informacyjnego. Nic z tego, co się wydarzyło, nie miało żadnego związku z jej życiem, z tym, kim była naprawdę.

– Tu jesteś, Jenny – rzekł miękko, ukazując się w drzwiach. – Dlaczego nie odezwałaś się, nie powiedziałaś mi, gdzie jesteś?

Wszedł do łazienki i usiadł na stołku przy toalecie. Zdjął już marynarkę i krawat, a teraz ostrożnie podwijał rękawy ciemnoniebieskiej koszuli.

Jego ciało zawsze ją ekscytowało, a własne podniecenie sprawiało jej niedorzeczną przyjemność. To uczucie było takie proste, a jednocześnie tak zaspokajające. Powoli, z wdziękiem polewała piersi pianistą wodą.

– Dawid się przyznał – powiedział. – Rozmawiałem z detektywem. – Westchnął i opadł na siedzenie. – Dlaczego się śmiejesz?

Wzruszyła ramionami i ten ruch sprawił, że różowe, zarumienione brodawki sutkowe rozbiły powierzchnię wody. Obserwowała, jak mężczyzna zatrzymuje wzrok na jej piersiach i z trudem łapie oddech.

– Pragniesz mnie? – zapytała.

Skinął głową. Przesuwał wzrokiem wzdłuż całego jej ciała, a ona prowokowała go, wyginając się w łuk, aż wilgotny puszek jej seksu, pokryty bąbelkami piany, ukazał się na powierzchni niczym błada boja. Potem na powrót usiadła w pachnącej, pieniącej się wodzie.

Tom zrzucił ubranie, więc się posunęła, robiąc mu miejsce w wannie. Woda przelewała się z szumem, a wielkie krople spadały z jej ramion i piersi, kiedy usiadła.

– Jak chcesz mnie mieć? – szepnęła. Czula, że jej gardło zaciska się, a palce, jak

zawsze, drżą z podniecenia. – Pospiesz się – ponagliła go. Kiedy Tom ostrożnie wszedł do wanny, sięgnęła po niego, delikatnie chwytając penis zębami.

– Uważaj, skarbie – zaprotestował – to boli. – Nie mógł się poruszyć. Miała nad nim pełną kontrolę, trzymając jego genitalia. – Przestań – poprosił. Próbował się uwolnić, osuwając do wody, ale nie rozluźniła uścisku. – Jenny! – zaczynał się gniewać.

Trzymała go, ignorując wszelkie sprzeciwy. Zawsze kiedy się kochali, to on był tym, który dyktował warunki, teraz nie chciała zrezygnować z przewagi. Jakaś jej część pragnęła jedynie odprężyć się, pozwolić mu robić wszystko tak, jak chciał, ale właśnie teraz nie mogła się powstrzymać od igrania z nim, zmuszania go do tego, na co ona miała ochotę.

Objęła go w pasie i pociągnęła w dół, delikatnie zaciskając zęby na członku. Kiedy jego erekcja zaczęła słabnąć, delikatnie popieściła swoją ciepłą dłonią wewnętrzną stronę jego uda, a potem gwałtownie wsunęła mu palec wskazujący do odbytu.

Poczuła w ustach gorące nasienie.

Spróbowała przełknąć płyn, zakrztusiła się i gwałtownie szarpnęła głowę do tyłu, a tryskająca sperma pokryła jej twarz i włosy.

Kiedy odzyskała oddech, wybuchnęła śmiechem z własnej głupoty.

– Próbujesz mnie zabić? – spytał Tom, unosząc ją w ramionach. – Chcesz odgryźć mojego małego, czy tak? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – No cóż, wiem, jak wystrzelić jeszcze raz.

– Czuję się tak, jakbym miała na włosach lepłą melasę – poskarżyła się Jennifer i natychmiast odkręciła prysznic, zalewając ich oboje gorącą wodą.

Tom objął ją obiema rękami, chwytając palcami naprężone pośladki. Jennifer rozsunęła nogi, otaczając jego szyję ramionami i przywarła do niego całym ciałem, kiedy się w nią wśliznął. Przez moment dosiadała go, a twarz nastawiła pod tryskającą wodę. Potem skoncentrowała się na własnej rozkoszy, na posuwistym ruchu bioder, przywierając ściślej do niego, gdy unosił się, wciskając w nią głęboko swoją męskość. Wbiła paznokcie w skórę jego ramion, pragnęła wytoczyć krew, a jej oddech przemienił się w serię jęków. Rozchlapywali wodę wszędzie dokoła, mocząc ręczniki, ale nie dbała o to. Chciała tylko podtrzymać tę szaleńczą jazdę, narastającą siłę, która wzbierała, aż nie mogła złapać tchu we wspaniałym, obezwładniającym bólu. Sapała, próbując pochłonąć jego życie, wyssać je razem z oddechem partnera, kiedy wsunęła język do jego ust, sięgając do samej duszy. Orgazm wstrząsnął jej ciałem, odbierając wszystkie siły, pozostawiając ją bez tchu, przytuloną do Toma w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Jęknęła z rozkoszy.

– O Boże – wyszeptała i przesunęła językiem po jego wilgotnej, porośniętej włosami piersi.

Tom nie skończył razem z nią. Znowu ujął jej pośladki obiema rękami i podniósł ją. Była nabita na jego sztywną męskość, a on odwrócił ją do ściany i oboje znaleźli się pod gorącym prysznicem. Unieruchomił ją przy ścianie i zaparł się stopami w rogu wanny, wbijając się w nią głęboko.

Otwartą dłonią mocno uderzył ją w pośladek, a ona sapnęła z rozkoszy. Uderzył ją ponownie, a ona chwyciła rękami jego głowę, zanurzając palce w gęstych czarnych włosach, następnie wsunęła język do jego ucha, lizała go, a w końcu chwyciła zębami

płatek prawego ucha. Uderzał ją raz po raz, coraz mocniej.

Zdarzyło się już wcześniej, że dawał jej klapsa, kiedy się kochali, a ona lubiła to wibrujące uczucie, perwersyjną przyjemność płynącą ze świadomości, że oto jest bita. Nigdy nie zrobił jej krzywdy i zawsze był później bardzo delikatny, całując jej ciało i pieszcząc jędrne pośladki.

Teraz nie zaprzestał zadawania razów, a ona nie chciała, żeby przerwał. Uderzył ją mocniej, a ona oddała cios, warcząc i wbijając mu paznokcie w skórę ramion. Zaklął i wbił się w nią mocniej, unieruchamiając ją w rogu wanny.

Bezskutecznie okładała go pięściami po szyi i ramionach, palce miała śliskie od wody i krwi, która, ku jej zaskoczeniu, zabarwiła kąpiel. Nie miała zamiaru go zranić, ale chciała stawić mu opór; pragnęła, żeby ją gwałcił i sama nie wiedziała dlaczego.

Osiągnął spełnienie. Przestał z nią walczyć. Przycisnął ją do siebie i zadrzał. Odwrócił się do niej twarzą; jej ucho znajdowało się w jego ustach, a głowę miała przyciśniętą do rogu kabiny natryskowej. Przez chwilę była poruszona swoim sukcesem, doprowadzeniem go do tak gwałtownego orgazmu.

Kiedy przestał sapać i pocałował ją delikatnie w szyję, zsunęli się oboje głęboko do wody, wylewając kolejną falę na podłogę łazienki. Tom wyciągnął rękę i zakręcił prysznic, a Jennifer przez chwilę czuła się ogłuszona ciszą. Potrząsnęła głową, żeby usunąć wodę z uszu, a potem spoczęła na mokrej piersi Toma.

– Cóż – zagadnął ze śmiechem – to się nadaje do księgi rekordów.

– Ciagle krwawisz?

– Chyba nie. – Odwrócił głowę, żeby obejrzeć swoje ramiona. – Mam nadzieję, że nie będę musiał się z tego tłumaczyć przed żadnym lekarzem.

– Przepraszam – szepnęła i usiadła. – Nie wiem, dlaczego próbowałam zrobić ci krzywdę.

– Nie zrobiłaś mi krzywdy, kochanie. – Tom przyciągnął ją do siebie z powrotem. – To była zabawa. Zaskoczyłaś mnie, to wszystko. Gdzie się uczysz tych wszystkich nowych sztuczek?

– Nie znam żadnych nowych sztuczek! Co masz na myśli? – Odwróciła się do niego. Spoczywała między jego uniesionymi nogami w wannie, która teraz wydawała się zbyt mała dla nich dwojga.

– Skarbie, rzuciłaś się na mnie jak jakieś cholerne zwierzę.

– Nie mów tak!

– Ale to prawda!

– Nie mów tak! Nigdy tak nie mów! – Zerwała się, wyszła z wanny, owinęła włochatym szlafrokiem i podeszła do umywalki, gdzie przetarła dłonią zaparowaną powierzchnię lustra. Na widok własnego odbicia poczuła się dużo lepiej. Zaczynała mieć niesamowite wrażenie, że pewnego ranka z lustra wykrzywi się do niej jakaś małpia twarz.

Za jej plecami Tom, rozchlapując wodę, sięgnął po ręcznik, żeby wytrzeć sobie włosy.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałam – dobiegł ją głos stłumiony grubą tkaniną. – O co właściwie chodzi?

W łazienkowym lustrze widziała jego twarz.

– Przez ciebie czuję się tak, jakby sposób, w jaki uprawiani miłość, był dziwaczny.

– Uwielbiam sposób, w jaki uprawiasz miłość. – Pocałował ją w małżowinę ucha.

– Nie robie żadnych sztuczek.

– W porządku, przepraszam. O co chodzi? Dlaczego jesteś taka nerwowa? – Jego twarz pociemniała, jak zawsze, kiedy tracił humor.

– Wielki Boże! Obrażasz mnie, a potem twierdzisz, że jestem nerwowa, bo nie siedzę cicho i nie przyjmuję tego pokornie.

– Jesteś nerwowa od tygodni, właściwie od czasu powrotu z Waszyngtonu. – Podszedł do niej z tyłu i zaczął wycierać jej włosy. – Myślę, że podczas tego trzynastomilowego joggingu zbyt wiele krwi napłynęło ci do mózgu.

– Do cholery, Tom, przestań robić takie komentarze. – Jennifer odebrała mu ręcznik, rzuciła go na podłogę i wyszła z łazienki, zostawiając mokre ślady stóp na chodniku w korytarzu.

Zastał ją w kuchni. Wyjęła karton mleka i paczkę imbirowych herbatników i pogryzała je, maczając najpierw każde ciasteczko w mleku.

– Czego ode mnie chcesz, Jennifer? – zapytał, stając w drzwiach i owijając się w pasie wielkim błękitnym ręcznikiem kąpielowym. – Powiedz mi, czego ty w końcu chcesz?

– Chcę wziąć kuchenny nóż i zatopić go w twoim sercu – odparła, przegryzając na pół imbirowe ciasteczko.

– Jenny, proszę. – Wkroczył do wąskiej kuchni.

– Nie dotykaj mnie!

– Nie mam zamiaru cię dotykać. Chcę tylko wziąć herbatnika, zanim wszystkie pochłoniesz. – Wziął jednego i cofnął się, a potem zaintonował żałościwie: – Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Nie, nie jest ci przykro. – Jennifer sięgnęła do wiszącej szafki i wyjęła drugi wielki kubek. – Masz ochotę na trochę mleka?

– Tak, bardzo proszę. – Uśmiechnął się i podszedł krok bliżej.

– Nie dotykaj mnie – powtórzyła.

– Nie dotykam! – Wyrzucił ręce do góry. – Próbuję tylko jakoś sobie tutaj radzić. Przetrwaj następne kilka minut, to wszystko.

– Nie ma z czego żartować. Nie życzę sobie, żebyś kpił z mojego nastroju. Dobrze?

– Odwróciła się i spojrzała na niego. – Chcę, żebyś traktował mnie poważnie, nic więcej.

– Tak robię.

– Dziś rano przy kawie powiedziałeś mi, że potrzebuję wizyty u psychiatry – ale czy nie miałam racji co do Dawida?

Tom skinął głową, przeżuując ciastko.

– Słuchaj, nie wiem, co się ze mną dzieje, tak samo jak ty, ale potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś udzielił mi wsparcia. Czy proszę o zbyt wiele? – Podniosła na niego wzrok, a z oczu popłynęły jej łzy.

– Jasne, że nie, kochanie. Oczywiście nie – szeptał obejmując ją.

Jennifer pozwoliła sobie pozostać w tym uścisku, czerpiąc z niego pociechę i ukojenie. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Objęła go ramionami i przycisnęła, a potem użyła jego owłosionej piersi do otarcia swoich łez.

– Przestań! Nie! – Tom wybuchnął śmiechem odskakując. – To łaskocze.
– Dobrze! – Skubnęła jego prawy sutek, a potem polizała go po piersi.
– Zobacz – powiedział natychmiast. – Robisz to znowu. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, uważam, że to jest cudowne, ale jesteś o wiele bardziej...

– Uważaj, Tom – przerwała mu, cofając się i otwierając drzwi lodówki, żeby odstawić mleko.

– Mówię ci właśnie, jak bardzo mi się to podoba, to wszystko. – Próbował pochwycić ją znowu, ale odtrąciła jego ręce i odeszła do sypialni, gdzie zdjęła szlafrok i stała chwilę naga w przyćmionym świetle pokoju.

Tom podszedł do drzwi sypialni i obserwował ją, dopijając mleko. Jennifer podeszła do łóżka i odwinęła narzutę.

– Boże, jesteś piękna – powiedział, nie ruszając się od drzwi.

– Dziękuję. – Wiedziała, że jest piękna. Czuli się piękni. Seks zawsze sprawiał, że tak się czuła, była także świadoma tego, że przyćmiony odblask światła na jej skórze podnieca Toma. Odwróciła się w jego stronę i przywołała go skinieniem ręki. Miał rację; zachowywała się niezgodnie z własnym charakterem. Czuli się, jakby obserwowali siebie samą w jakimś filmie.

– Jenny? – szepnęła pytająco, zbliżając się do niej. Jego głos brzmiał odrobinę nerwowo.

Uśmiechnęła się, zapraszając go bliżej, kiedy tak stała z opuszczonymi nieśmiało kącikami ust, rozkoszując się poczuciem kontroli nad rytmem ich miłości.

– Wszystko w porządku – szepnęła i wyciągnęła ręce, obejmując go za ramiona i przysuwając jego twarz do swoich piersi. – Tutaj – rozkazała mu – one cię potrzebują. – Miętko, powoli pociągnęła go na łóżko i ponownie kochała się z Tomem.

O, chłopcze o smukłych członkach,
Szukam cię, ale ty mnie nie słuchasz,
Nie widzisz mnie ani nie wiesz,
Że jesteś woźnicą rydwanu mej duszy.

Anakreon odłożył trzcinkę do pisania i zwój papirusu i oparł się plecami o chłodną ścianę palestry. Chłopcy wyszli na środek gimnazjum, zdjęli odzienie, nacierali młode ciała oliwą i jego eromenos był wśród nich. Serce podeszło mu do gardła, kiedy ujrzał smukłego młodzieńca. Nie mógł oderwać oczu od Fidiasza, który teraz, stojąc pośród innych chłopców, śmiał się z jakiejś uwagi, rozbawiony. Anakreon uśmiechnął się z przyjemnością, czerpiąc radość z jego widoku. Czekał tutaj, w cieniu kolumnady, mając tylko szansę ujrzenia go.

– Ach, tutaj jesteś, Anakreonie – głos dochodził z głębi korytarza.

Poeta sięgnął po kawałek papirusu i zwinął go, chowając wiersz przed swoim przyjacielem, Xenofanese, także ateńskim arystokratą.

– Pisziesz dla bogów, Anakreonie, ha? – zagadnął mężczyzna, opadając na ławę obok towarzysza i układając starannie fałdy szaty. Był to ogromny mężczyzna o nalanym ciele, już spocony pod białą tuniką w porannych promieniach ateńskiego słońca. – Którego z tych młodzieńców upodobałeś sobie w tym sezonie, mój

przyjacielu? – Mówiąc obserwował uczniów, mrużąc oczy w ostrym świetle.

– Najpiękniejszego z pięknych – wymamrotał Anakreon, unosząc się z ławy.

– W wieku dojrzewania oni wszyscy są piękni – szeptem odpowiedział Xenofanes, nie odrywając wzroku od dziedzińca.

– Prawda, Xenofanesie, ale moja dusza śpiewa dla młodego Fidiasza, syna Ptolemeusza, tego! – Ruchem głowy wskazał dziedziniec, gdzie ubrany w czerwoną tunikę instruktor podzielił chłopców na drużyny zapaśnicze, wyznaczając starszego ucznia do udzielania wskazówek młodszemu.

– Pamiętasz nasze dni spędzone tutaj, Anakreonie? – zapytał Xenofanes, spoglądając na przyjaciela, który obserwował plac ćwiczeń i swojego młodego eromenosa. Kiedy Anakreon nie odpowiedział, Xenofanes zapytał: – Zażywałeś już rozkoszy z tym chłopcem?

Anakreon pokręcił przecząco głową i westchnął.

– Obsypałem go podarunkami, wyznałem mu swoją miłość. Jego rodzina wie o tym oczywiście. – Udrapował swoją błękitną tunikę i spoglądając na Xenofanesa, dodał: – Życie było prostsze, mój przyjacielu, kiedy byliśmy obiektami miłości, nie kochankami. Ten chłopak doprowadza mnie do szaleństwa swoim sprytem.

– Swoją skromnością, chciałeś powiedzieć – odparł ze śmiechem Xenofanes.

– Prawda. Prawda. Nie chciałem zrobić z niego prostytutki, ale, na Zeusa, jego bierność doprowadza mnie do szaleństwa. Woli raczej być ze swoimi przyjaciółmi, grać z nimi, niż spacerować ze mną po mieście. Tak wiele mógłbym nauczyć tego chłopca.

– Jestem tego pewien, Anakreonie – skomentował Xenofanes, zerkając na przyjaciela – ale twój czas nadejdzie. Zawsze przychodzi, czyż nie? – szepnął, przysuwając się bliżej. – Miałeś już wielu z tych chłopców z palestry.

– Wyznam ci, Xenofanesie, to moja poezja, a nie ordynarne ciało, budzi ich zainteresowanie. Tak, miałem niektórych. Wiem. Jednak oczekiwanie zawsze pozbawia, rozsądku. – Anakreon westchnął. – Moje lędźwie wzbierają bólem.

– Tymczasem masz swoje wiersze, które dotrzymują ci towarzystwa, śpiewają twoją pieśń: „Dla moich słów wszyscy młodzieńcy będą mnie kochać: śpiewam Gracjom, wiem, jak przemawiać z wdziękiem”.

Anakreon uśmiechnął się, mile zaskoczony deklamacją przyjaciela i wyrecytował w odpowiedzi: „Znowu jestem zakochany i nie zakochany, szalony i nie szalony”. Skinął głową w kierunku chłopców.

– Tak przebiega moje życie. Wybrałbym raczej jedną chwilę z jego ciałem, niż pokój wypełniony papirusowymi poematami czy wieniec oliwny na zawodach olimpijskich.

– Igrzyska! Daj spokój, twoje dni sportu minęły.

– Nie mam jeszcze trzydziestu lat, mój drogi Xenofanesie.

– Oni nie ukończyli jeszcze piętnastu – odparł Xenofanes, wskazując gestem młodych zawodników.

Zabrział dźwięk fletu i młodzi atleci natychmiast rzucili się na przeciwników. Chóralne okrzyki napęłniły dziedziniec, pył spod opadających stóp uniósł się gęstą chmurą, przesłaniając mężczyznom widok.

– Lepiej chodźmy na agorę kupić zajęcy z Beocji, zamiast wystawać w tym kurzu.

Chodźmy do łaźni. Moja skóra jest brudna. Spędziłem poranek spacerując z pewnym sofistą po Akropolu i – nawet tam – brud i pył z agory były okropne.

– Moje lędźwie śpiewają dla tego chłopca – odpowiedział Anakreon – on jest moją muzą.

Obejrzał się na plac ćwiczeń. Instruktor okrzyknął zakończenie zapasów i kurz już opadł. Anakreon widział swojego młodego eromenosa, wilgotnego od potu i oliwy. Stał z rękami na nagich biodrach, sapiąc w jasnym słońcu. Drobnny, szary pył dziedzińca oblepił jego zgrabną postać, połyskującą w blasku promieni. Chłopiec obejrzał się, dostrzegł Anakreona stojącego za kolumną i posłał mu uśmiech. Białe zęby załśniły w ogorzalej twarzy, jasnoniebieskie oczy rozblęły.

Serce Anakreona poszybowało w górę. Niepewnie pomachał ręką, a potem radośnie odszedł z Xenofanese, z sercem wezbranym radością, że został zauważony. We właściwym czasie zaplanuje ponowną wizytę u rodziny chłopca, obsypie młodzieńca podarunkami i pewnego dnia, wkrótce, wkrótce... Serce jęknęło w przewidywaniu rozkoszy i odezwał się do Xenofanesa, pokrzepiony uśmiechem fortuny:

– Chodźmy, mój przyjacielu, napijmy się wina w termach, a ja napiszę o tobie wiersz, pieśń o twoich dawno minionych dniach chwały podczas igrzysk.

– Tylko dla ciebie, Anakreonie, chciałem wygrać – odparł Xenofanes, przystając, żeby spojrzeć na poetę.

Anakreon także się zatrzymał. Mężczyźni znajdowali się w wąskiej uliczce przy gimnazjum. Przed nimi rozpościerała się szeroka przestrzeń agory, ateńskiego placu targowego, nad nimi wznosił Skambonidai, gdzie wszyscy zamożni ateńczycy mieszkali w swoich dwupoziomowych kamiennych domach z szerokimi portykami, dziedzińcami i gineceami.

– Nie wiedziałem – odezwał się poważnie.

Xenofanes przytaknął ruchem głowy.

– Ach, mój drogi przyjacielu, my, którym Apollo nie udzielił daru poezji, także cierpimy. – Szczelnie otulił ramiona płaszczem, smutno uśmiechając się do towarzysza. Jego okrągła, tłusta twarz straciła swój lśniący połysk. Nagle wydawał się starszy w bezlitosnym blasku egejskiego słońca.

To niespodziane wyznanie oszołomiło i ucieszyło Anakreona, poeta wyciągnął rękę i dotknął ramienia Xenofanesa szepcząc:

– Udam się do Delf i złożę kozę w ofierze Apollinowi, aby zesłał mi muzę, bym mógł napisać wiersz na twoją cześć, Xenofanesie. Wkrótce będziesz znany na całym świecie, wielki Xenofanesie. Uczniowie w szkołach i studenci w akademii będą recytować mój poemat o twoich bohaterskich czynach.

– Nie dokonałem żadnych bohaterskich czynów, Anakreonie, z wyjątkiem wychylenia pewnej liczby kraterów podczas jednej z uczt. – Uśmiechał się, próbując rozproszyć chwilową melancholię i obaj mężczyźni skierowali się w stronę łaźni.

Idąc razem z przyjacielem wąską ulicą, przytłoczony naporem ludzi i zwierząt zmierzających obok siebie w kierunku centrum miasta, Anakreon wyciągnął rękę i delikatnie dotknął starego druha mówiąc:

– Mieliśmy więcej niż jedną chwilę szczęścia, mój drogi Xenofanesie. Mieliśmy całe życie dzielonych po bratersku przyjemności. Słuchaliśmy razem Ajschylosa w teatrze i widzieliśmy, jak Alkaios wygrał na stadionie Olimpi.

– Oddałbym to wszystko za jedno z tych spojrzeń, którymi obdarzasz młodego Fidiasza.

– Nie wiedziałem, Xenofanesie. Nie wiedziałem.

– Ach, marność tego wszystkiego, jak mawiacie wy, poeci.

Anakreon podniósł wzrok i z daleka zobaczył morze, błękitne i spokojne aż po horyzont. Pomyślał o swoim obecnym obiekcie westchnień, młodym Fidiaszu, przypomniał sobie widok jego szczupłych członków, świetlistych oczu oraz ten niewinny uśmiech, a serce zabiło mu gwałtownie w piersi. Ociężały Xenofanes potracił go na kamienistej uliczce i Anakreon poczuł na sobie cały ciężar wielkiego mężczyzny, poczuł jego spocone, masywne ciało i on także wyszeptał: – Ach, marność tego wszystkiego.

Potem zapadła cisza i dwaj arystokraci w milczeniu zeszli stromym ateńskim zboczem do winiarni.

Rozdział 16

– Myślę, że czas już, abyśmy spróbowały odkryć, kim naprawdę jesteś – powiedziała Phoebe Fisher, wysłuchawszy opowieści Jennifer o jej niedawnym zachowaniu. Spotkały się pierwszy raz po zabójstwie trzech napastników w parku. Było wczesne popołudnie, zimowe słońce napełniało cały pokój światłem, odbijając się w nawoskowanej dębowej podłodze. Jennifer po raz kolejny zastanowiła się, jak ślicznie i czarująco wygląda to mieszkanie. Byłaby szczęśliwa, gdyby umiała wnieść ten szczególny rodzaj ciepła do własnego apartamentu w Brooklyn Heights. Wszystkie ściany były obwieszane materiałami i egzotycznymi roślinami, którym salon zawdzięczał, jej zdaniem, swoją specyficzną atmosferę.

Jennifer nie powiedziała Phoebe o morderstwach, ale wspomniała o zmianie, jaka zaszła w jej zachowaniu względem Toma, o tym, jak staje się coraz bardziej agresywna w sprawach seksu.

– A czy on był niezadowolony?

– Nie, nie przypuszczam – odparła ze śmiechem Jennifer. – Ale ja byłam! To znaczy, denerwuje mnie, że robię to w ten sposób.

– Nie ma powodu, żebyś nie miała się rozkoszować swoją nową witalnością. Odkrywasz po prostu, jaka naprawdę jesteś. Swoją prawdziwą istotę.

– Boję się go odstraszyć – powiedziała, chcąc zażartować ze swojej gwałtowności w łóżku.

– Czy chcesz porozmawiać z Tancerzem? – zapytała następnie Phoebe.

– O Boże, nie wiem. To trochę przerażające. – Na powrót usiadła w olbrzymim fotelu na biegunach.

– Dobrze! – powiedziała Phoebe uśmiechając się. – Dobrze jest być przestraszonym. To oczyszcza pory, uwrażliwia nas na otoczenie. – Podniosła swoją filiżankę i wypła łyk herbaty.

Jennifer zapatrzyła się w płomień. Gospodyni dawała jej czas na podjęcie decyzji. Nie przynaglała jej, ale to denerwowało ją jeszcze bardziej.

– Jak mogę z nim rozmawiać? Nigdy nie robiłam nic podobnego.

– Kiedy wchodzę w trans, a on przychodzi, zwykle mówi coś, co wskazuje, że zna

problem, a potem powie coś w stylu: „W czym mogę ci pomóc?” To jego sygnał. Wtedy możesz pytać o cokolwiek, mówić, o czym chcesz, o wszystkim. Nie ma czegoś takiego jak głupie pytania. Z większości doczesnych problemów wypłynęły odpowiedzi ważne dla nas wszystkich. Dla niego nic nie jest nudne, wszystkiego doświadcza pierwszy raz. Po to został posłany do naszego społeczeństwa. Jeśli poczuje z twojej strony niechęć do mówienia o czymś, nie będzie narzucał się z informacjami na ten temat. Jeśli poczuje, że chcesz toczyć piłkę dalej, posunie się tak daleko, jak daleko będziesz chciała. On odzwierciedla każdą energię, którą emanujesz.

– Ale czy może mi pomóc zrozumieć, co się ze mną dzieje?

– Nie mam pojęcia, Jennifer. Sądzę, że on może być w stanie wskazać ci właściwy kierunek. Być może udzieli pewnych konkretnych odpowiedzi. Może mógłby wejrzeć w twoje duchowe życie i stwierdzić, gdzie byłaś, w jaki sposób podlegałaś reinkarnacji.

– Skąd będę wiedziała, że Tancerz jest tutaj? Powiesz mi o tym?

– Kiedy kontakt zostanie nawiązany, moje ciało wykaże kilka słabych reakcji. Powinnaś wiedzieć, że żadna z nich nie jest dla mnie bolesna. To doświadczenie dodaje energii i jest bardzo wartościowe. Dla mnie jest jak bardzo głęboki sen. W rzeczywistości nie słyszę słów, bo moja świadomość nie jest na tym skupiona. Jestem świadoma tego, że następuje jakieś wzajemne oddziaływanie, odczuwam emocje, energię, ale to wszystko. Nie przysłuchuję się waszej rozmowie. Tancerz i ja prowadzimy wtedy naszą własną konwersację.

– Czy on mówi po angielsku?

– Mieszkańcy świata, z którego pochodzi, nie używają języka. Jego umysł wysyła myśli, a ponieważ moja świadomość jest rozproszona, pozwala mu to na coś w rodzaju odcisnięcia własnych wibracji na moim mózgu. Zatem, zasadniczo używa mojej energii jako urządzenia tłumaczącego. Jego myśli dobywają się z moich ust w takim języku, w jakim jestem zaprogramowana. To właśnie słyszysz. Właściwie on w ogóle nie mówi.

Przerwała na chwilę.

– Jesteś gotowa? – zapytała.

– Nie wiem. Chyba tak. – Jennifer zaśmiała się nerwowo.

– W porządku, zatem pomóż mi przygotować się do odbioru. Pomedytujemy przez kilka minut. – Phoebe podciągnęła się w górę i skrzyżowała nogi. – Zamknijmy oczy. Po medytacji, kiedy znajdę się w transie, możesz napić się herbaty, robić cokolwiek, ale na początku zachowajmy ciszę i zamknijmy oczy. Odpręż się i spróbuj oddychać tak płynnie, jak tylko możesz.

Jennifer nie zamknęła oczu. Bała się ciemności, bała się, że nie będzie wiedziała, co robi Phoebe Fisher.

Drobna kobieta złączyła nogi i położyła swobodnie dłonie na udach. Mówiła cicho, z zamkniętymi oczami i pochyloną głową.

– Proszę salamandry, aby otoczyły nas dzisiejszej nocy pierścieniem ognia, aby chroniły nas podczas tej sesji i proszę ciebie, Tancerzu, abyś przyprowadził dziś do nas tylko najbardziej szlachetne duchy.

Phoebe ucichła na chwilę medytując. Zapaliła uprzednio w pokoju niewielkie

świece i teraz w zbierających się ciemnościach, rozświetlonych blaskiem gasnącego ognia, ich płomienie wyglądały jak dalekie światła morskich latarni.

– Chciałabym, żebyś wyobraziła sobie, że jesteś otoczona wielką kulą błękitu – poleciała szeptem Phoebe. – Bardzo jasny, wibrujący niebieski kolor. Wszędzie wokół ciebie. Pokrywa cię od stóp do głów jak ogromny kokon. Przepływa przez ciebie, przenika cię. Ten piękny błękit przynosi pokój, pogodę ducha i duchową czujność. Jest przed tobą, za tobą, nad głową, w tobie. Przystraja nas i oczyszcza. Chcę sprowadzić na nas obie jedno białe światło. Zobacz je, jak wnika przez czubek głowy i delikatnie rozchodzi się do wszystkich części twojego ciała. Nie blokuj tego, Jennifer. Pozwól mu delikatnie obmyć cię od głowy aż po stopy. Zobacz, jak dostaje się do każdej komórki i każdego poru. Ten piękny promień białego światła.

Jennifer zamknęła oczy i spróbowała skoncentrować się na smudze świetlnej.

– Teraz, Jennifer, wypowiem kilka słów. Pozwól, aby twój umysł w swobodny sposób wytworzył pozytywne skojarzenia z tymi słowami. To ćwiczenie wzmoże twoje wibracje, abyśmy przywołały tylko wyższe byty.

– Miłość.

Jennifer pomyślała o Tomie, o tym jak zobaczyła go pierwszy raz, przechadzającego się po sali sądowej, jak zdawał się przytłaczać wszystkich swoją obecnością i autorytetem.

– Radość.

Pomyślała o bieganiu po łąkach ośrodka przyrodniczego w Planting Fields. Była tam z Kathy Handley i z Eileen. Był wspaniały, ciepły wiosenny dzień i wszystkie trzy poszły na wagary.

– Spokój.

Przed chwilą kochała się z Tomem, a teraz leżała w jego uśpionych ramionach. Było to ciche popołudnie w mieście i nie chciała znaleźć się w żadnym innym miejscu na świecie, nigdy. Pomyślała wtedy, że to jest prawdziwy spokój.

– O, Panie Stworzenia – kontynuowała Phoebe. – Ty jesteś niebem pełnym szczęścia, niebem, na którym ukazują się wszystkie gwiazdy wszechświata. Pokornie proszę, abym dzisiaj mogła odegrać dla Jennifer rolę medium, abym usunęła się z drogi i oddała duchom kontrolę nad moim ciałem, tak żeby mogły przybyć i mówić do niej. Chcemy podziękować wam wszystkim, którzy jesteście dziś z nami, za przybycie tutaj i poświęcenie nam swojego czasu i energii. Niech Bóg was błogosławi. Powróćmy teraz do ciszy. Bądźmy bardzo spokojne i nieruchome podczas sprowadzania duchów, by przyszły i przemówiły.

Jennifer ponownie otworzyła oczy. Przystosowały się już do ciemności i mogła widzieć wyraźnie. Phoebe znajdowała się przed nią, ciągle siedząc w pozycji jogi. Jej głowa była pochylona, ale ciało poruszało się, jak gdyby niespokojne i dręczone sennym koszmarem. Drobne ramiona napięły się mocno i jakby odruchowo wyrzuciła ręce przed siebie, po czym złożyła je znowu na kolanach. Wykonała kilka szybkich, głębokich wdechów.

Jennifer szerzej otworzyła oczy. Phoebe jednak się uspokoiła i z głębi jej piersi dobiegł się męski głos.

– Przybywam w pokoju i miłości, aby usunąć przeszkody, które się znajdują na twojej drodze, żebyś mogła się stać bardziej oświecona co do tego, dokąd zmierzasz

i jak się tam dostać. W czym mogę ci pomóc?

Jennifer zdrętwiała, widziała reakcję małego ciała medium, widziała, jak się szarpie i wstrząsa, jakby wydobywający się głos rozdzierał je.

– Widzę, że nie uważasz swoich uczuć za wartościowe. Kiedy byłeś dzieckiem, rodzice nie traktowali twoich emocji z szacunkiem.

– Tak – szepnęła Jennifer. Nigdy wcześniej nie ubrała tego uczucia w słowa, ale wiedziała, że głos mówi prawdę.

– Twoje uczucia, twoje emocje, zostały odrzucone i teraz, kiedy jesteś dorosła, trudno ci czuć się docenioną. Kwestionujesz coś. Masz wątpliwości. Jest też niewiara w siebie, którą rzutujesz na innych. Jest gniew.

– Nie jestem zła – szepnęła Jennifer.

– Pomóż sobie – ciągnął Tancerz, nie odpowiadając jej. – Zaczynaj poznawać siebie i swoje reakcje. Jesteś człowiekiem tak samo jak każdy inny i twoje uczucia są naturalne.

Tancerz przestał mówić, a Phoebe odetchnęła kilka razy głęboko. Jej oczy były wciąż zamknięte, a twarz pozostawała spokojna, nie okazując żadnych emocji.

Jennifer pochyliła się do przodu i w zamierającym świetle kominka patrzyła uważnie, próbując stwierdzić, czy Phoebe rzeczywiście jest w transie. Potem Tancerz odezwał się ponownie, a jego głos brzmiał twardo i donośnie w ciszy pokoju.

– Przychodzisz z jakimiś pytaniami? – zapytał.

Medium podniosło głowę, trzepocząc rzęsami.

– Tak, mam kilka – odparła Jennifer, zdumiona własną odwagą. – Mówiono mi, że moje ciało jest przenoszone dalej. Jaka jego część przenosi się w przód?

– Tylko twój duch, nic więcej. Jennifer myślała przez chwilę.

– Tak jak wtedy, kiedy widzę kogoś i myślę, że znałam go wcześniej, ale w rzeczywistości nie mogłam go wcześniej poznać?...

– To jest przypomnienie energetyczne. Każdy z nas wytwarza pewien rodzaj wibracji. Inne duchy rozpoznają twoją energię. Na tym polega braterstwo dusz. Materialne ciało jest tylko twoim wyborem. Niektórzy ludzie w tym życiu wybierają kalectwo, żeby zrównoważyć karmę z jakiegoś poprzedniego istnienia, w którym być może nadużyli swojego ciała.

– Z jak daleka pochodzę? To znaczy, jak daleko sięgają moje wcielenia?

– Do samego początku, kiedy wszyscy zostali stworzeni równymi. Wszystkie dusze są w tym samym wieku. Obecnie niektórych ludzi nazywa się „starymi duszami”, gdyż przebyli wiele reinkarnacji. Inne dusze wybrały powrót tylko raz czy dwa. Niektóre nigdy nie wcieliły się powtórnie.

– My sami decydujemy o naszym wcieleniu?

– Tak, ale tylko pewna część ciebie podlega za każdym razem reinkarnacji – część twojej całkowitej grupy duchowej – ta, która nazywa się wyższym ego. Tylko te części twojej duszy, które potrzebują doświadczeń tego wcielenia, znalazły się dziś tutaj. Jakaś część ciebie przeszła już przez bardziej zaawansowane studia rozwoju i znajduje się przed tobą, jest twoim przewodnikiem.

– A co możesz powiedzieć o moich innych wcieleniach? – spytała Jennifer. – Kim byłam w poprzednich egzystencjach?

– Widzę jedno istnienie. Byłaś mniszka we Włoszech, a także grzesznicą.

– Czy byłam zła? Jennifer pomyślała o swoich morderstwach. Być może zawsze była zła; może takie było jej przeznaczenie.

– Wszystkie dusze – czy duchy, jak je nazywasz – mają możliwość bycia stwórcami równie dobrze, jak stworzeniami. Niektóre czynią podczas swoich istnień dobro, niektóre zło. U źródeł uniwersum był przewrót – u źródeł każdego uniwersum – i to był początek karmy.

– Kiedy to się stało, w jakim czasie?

– Czas nie ma znaczenia. Nie ma rzeczywistego czasu; nie mierzymy go. W twoim języku nie ma żadnych słów na wyjaśnienie tego. Pewne lekcje karmy są bolesne, ale zawsze są dla dobra duszy. Chciałbym, żebyś mogła widzieć – moim umysłem – jak daleko zaszłaś.

– Co mi się przydarzy w tym życiu?

Medium potrząsnęło głową.

– Wiem, ale nie powiem ci tego, Jennifer – zareplikował Tancerz. – To życie ty musisz przeżyć. Nie bój się jednak. Nie jesteś sama. Są wokół ciebie duchy należące do twojej grupy duchowej, twoich nauczycieli i mentorów, będą ci służyć za przewodników, jak zawsze to robili. Słuchaj ich.

– Czy zawsze są ze mną?

– Tak i nie. Duchy przychodzą i odchodzą. Nie są niczyją własnością. Jeśli ich szukasz, jeśli jesteś oświecona, przyjdą, aby cię wspierać.

Jennifer obserwowała Phoebe Fisher, zastanawiając się, czy wszystko to jest jedynie grą, aktorstwem. Kiedy tylko ta myśl się pojawiła, Jennifer natychmiast ją odrzuciła. Szczęście, którego doświadczyła w obecności Phoebe, nie mogło być fałszywe.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak, mam. Czy wiesz, co działo się ze mną, co robiłam innym ludziom?

– Powiedz mi – zaproponował Tancerz, a ciało Phoebe pochyliło się w przód, żeby lepiej słyszeć.

Jennifer opowiedziała swoją historię, opowiedziała o zdarzeniach i swoich gwałtownych reakcjach, a kiedy skończyła, zapytała tylko:

– Jak mogę powstrzymać się od robienia tego znowu? Od wyrządzania ludziom krzywdy?

– Nie umiem ci pomóc – powiedział Tancerz, kiedy jego pośredniczka kołysała się w tył i w przód. – Ktoś z twojego minionego życia – nie z twoich przyszłych egzystencji – próbuje zdobyć kontrolę nad twoim duchem. W przeszłości, głębokiej i ukrytej przeszłości twojej duszy, leży jakaś tajemnica i tragedia. Musisz sama wyjaśnić tę tajemnicę. I żeby odkryć prawdę, musisz wrócić do pierwszego oddechu życia. Tam jest ukryty sekret twojego istnienia. Teraz muszę cię opuścić. Moja droga Phoebe się zaczyna męczyć. Pozostawię ci jedno ostrzeżenie. Nie walcz z tym duchem, który chce mówić.

Jennifer skinęła głową, a potem dotarło do jej świadomości, że Tancerz się oddala, zanim jednak była zdolna się odezwać, Phoebe poruszyła ramionami. Odrzuciła głowę, jej drobnym ciałem wstrząsnęły dreszcze. Potem podniosła wzrok i odezwała się do Jennifer.

– Cóż, on przyszedł, prawda? – powiedziała własnym głosem.

– Tak – odrzekła Jennifer. Tak już przywykła do Tancerza, że zaszokowało ją, iż Phoebe jest znowu sobą.

– Czy się okazał pomocny?

– Nie słyszałaś?

Phoebe pokręciła głową, uśmiechając się przeprasząco.

– Tancerz pomagał mi w moich własnych sprawach.

– Powiedział, że byłam kiedyś włoską zakonnica.

– Och, jak uroczo! Ja byłam służącą na dworze króla Jakuba, jak również – krótko – jego metresą. To podniecające, czyż nie? – Uśmiechnęła się do Jennifer, spoglądając bardziej badawczo niż poprzednio.

– Nie wiem. Nie wiem, w co mam wierzyć – powiedziała z westchnieniem Jennifer.

– Przynajmniej powiedział mi, co muszę zrobić. Nauczyć się medytować. –

Uśmiechnęła się i wstała. – Muszę już iść. Jestem wykończona. – Zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Co więcej? Czy chcesz się podzielić ze mną tym, co ci powiedział?

– Ty nie wiesz tego, czyż nie? rzekła Jennifer, wpatrując się w niższą od siebie kobietę.

Phoebe potrząsnęła głową.

– Nie, naprawdę nie. Wiem, że to, co teraz mówię, musi się wydawać głupie, ale ja nie przebywałam tu świadomie. Oddałam moje ciało Tancerzowi.

– Cóż, wygląda na to, że ktoś się próbuje wdrzeć do mojego ciała. Ktoś z moich poprzednich istnień.

– Tak. – Phoebe pokiwała głową. – Powiedziałam ci, że kiedy spotkałyśmy się pierwszy raz, miałam takie uczucie, takie wrażenie, iż jest ktoś jeszcze, jakiś duch w pułapce, duch, który pragnie przemówić.

– Właściwie on nie mówi – odparła Jennifer i ugryzła się w język, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

– Może to ona – odpowiedziała Phoebe. – Płec nie jest istotną wartością w świecie duchów. – Przy pożegnaniu uściskała Jennifer. – Powodzenia – szepnęła. – I pamiętaj, zawsze tu jestem do twojej dyspozycji.

– Dziękuję – powiedziała Jennifer ze łzami w oczach. Już od dawna nie czuła takiej bliskości wobec drugiej kobiety. – Dziękuję za wszystko. Za twoje zrozumienie.

– Ech, to moja praca – zaśmiała się Phoebe, spojrzawszy Jennifer w oczy. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– O co chodzi? – spytała Jennifer.

Phoebe potrząsnęła głową.

– Nie jestem pewna. Czuję coś, nic więcej. Wydaje mi się, że czuję niebezpieczeństwo. Chcę powiedzieć, że to dla mnie jakieś nowe uczucie. Uważaj.

– Pojadę prosto do domu.

– Dobrze! Obiecuj mi, że zadzwonisz, jeśli będziesz chciała, żebym skontaktowała cię ponownie z Tancerzem.

– Dzięki.

– Myślę też, że potrzebujesz kryształu.

– Och, mam już jeden! – odparła Jennifer. Wydobyła z kieszeni płaszczka mały kawałek kwarcu.

Phoebe przez chwilę przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy kupiłaś go dla siebie? – spytała.

– Nie. Podarowała mi go dobra przyjaciółka, która zna Kathy Dart.

Phoebe pokręciła głową i zabrała niewielki kryształ z dłoni Jennifer.

– Myślę, że byłoby lepiej – powiedziała ostrożnie – gdybyś miała własny kryształ.

– Wsunęła kwarc do przepastnej kieszeni swojej wełnianej spódnicy i z tej samej kieszeni wyciągnęła notes i ołówek. – Oto nazwa sklepu z kryształami w śródmieściu – oświadczyła. – Znam właściciela. Proszę, idź do niego tak szybko, jak tylko będziesz mogła. Tego popołudnia, jeśli to możliwe. – Wręczyła Jennifer skrawek papieru i poklepała kieszeń, do której schowała kamień. – Pomyślę o przeprogramowaniu tego egzemplarza. Na razie uważam, że będziesz bezpieczniejsza bez kryształu, któremu zlecono zadanie nie polegające na ochronie twoich najlepszych interesów.

– Słucham? – Jennifer wlepiła wzrok w Phoebe, kompletnie zdezorientowana.

– Wyjaśnię ci wszystko we właściwym czasie. – Delikatnie wypchnęła Jennifer za drzwi.

Wychodząca kobieta skinęła głową, zbyt skonfundowana, żeby odpowiedzieć.

– Och, omal nie zapomniałam – odezwała się, sięgając do torebki. – Bardzo mi pomogłaś. Ile wynosi twoje honorarium?

– Cóż, zwykle biorę pięćdziesiąt dolarów za trzydziestominutową sesję, ale... – Obejrzała się, jakby zakłopotana mówieniem o pieniądzu. – Ale ty jesteś tak niezwykłym przypadkiem, jesteś najwyraźniej pokrewną duszą. Powiedzmy dwadzieścia pięć dolarów, może być? – Z uśmiechem spojrzała na Jennifer.

Kobieta wcisnęła banknoty w dłoń Phoebe i popchnęła ciężkie żelazne wrota. Znowu zaczęło padać; uświadomiła sobie, że nie pojedzie do domu, do Brooklyn Heights, dopóki nie będzie miała chroniącego ją kryształu.

– Zadzwoń do ciebie – obiecała, odwracając się do Phoebe.

– Tak – odparła Phoebe. – Wiem, że to zrobisz. – Ciągłe uśmiechając się, astralna pośredniczka zamknęła żelazną bramę broniącą wejścia do jej apartamentu, znajdującego się w suterenie i wróciła do mrocznego wnętrza mieszkania.

Rozdział 17

Jennifer pojechała metrem do Village. Nie były to godziny szczytu, więc pociąg był na wpół pusty. Zamiast chować głowę w książkę, co zwykle czyniła w wagonach kolei podziemnej, rozejrzała się dokoła, wypatrując patrolu policji. Kiedy zobaczyła jednego z funkcjonariuszy, otuliła się kołnierzem palta, chowając twarz.

Sklep się mieścił przy Czternastej Ulicy. Był to mały sklepik jubilerski ze stalowymi sztabami zabezpieczającymi okno wystawowe. „Zamknięte” – pomyślała zawiedziona, że się jej nie uda kupić kryształu. Potem jednak dostrzegła stojącego za ladą mężczyznę i otworzyła drzwi.

– Myślałam, że jest nieczynne – zagadnęła.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Cały czas trzymamy sztaby na oknach z powodu usytuowania. Nigdy nie wiadomo, co ludzie zrobią.

– Chciałabym kupić kryształ – powiedziała Jennifer, zakłopotana wypowiedzianym tego głośno.

– Miejmy taką nadzieję! – Mężczyzna się uśmiechnął. Trzymał w rękach kryształ i pocierał go pieszczotliwie kawałkiem miękkiej szmatki. – Ma być dla pani czy kupuje go pani komuś w prezencie?

– Czy to ma znaczenie?

– O tak. – Sprzedawca odłożył kryształ do gablotki i zwrócił całą uwagę na klientkę. – Jeśli kupuje pani dla siebie, chciałbym, aby potrzyzymała go pani w rękach. Żeby sprawdzić, czy coś pani czuje. – Gestem wskazał setki wystawionych do sprzedaży minerałów. – Jeden z nich będzie dla pani odpowiedni. Zobacz pani. Ten kryształ panią wybierze, nie inaczej.

Jennifer podobał się ten mężczyzna i jego łagodne niebieskie oczy.

– Cóż – przyznała – chcę kupić kryształ dla siebie.

– Świetnie. Proszę się nie spieszyć, rozejrzeć się.

– Chciałabym jakiś nieduży – powiedziała szybko. – Taki, który mogłabym nosić zawsze ze sobą. W kieszeni. – Podeszła bliżej małej szklanej gablotki. Na niebieskich welwetowych tacach wyłożono dziesiątki jasnych kryształów kwarcu.

– Czy to pani pierwszy kryształ?

– Tak sądzę. To znaczy, przyjaciółka dała mi jeden, ale...

– Czy wie pani, dlaczego chce kupić kryształ? – zapytał w końcu, sięgając do gabloty i wyjmując dwie tacki.

– Czy muszę mieć jakiś powód? – Jennifer zdawała sobie sprawę, że brzmi to jak próba obrony. – Pewna przyjaciółka mi to sugerowała. Myślałam też, że to może być zabawne. – Podniosła głos.

Ekspedient obejrzał się na nią powątpiewająco. Jego niebieskie oczy z bliska stawały się jeszcze łagodniejsze i bardziej uprzejme. Zrobiło się jej głupio, że podniosła głos.

– Chciałem powiedzieć, że ludzie kupują kryształy z różnych przyczyn. Poza tym są różne rodzaje kryształów. To jest na przykład śliczny, pojedynczo zakończony kryształ kwarcu. Jak pani widzi, ma tylko jeden ostry czubek. A ten kwarc dymny jest bardzo pomocny, jeśli pragnie pani się uspokoić, zdobyć kontrolę nad swoimi uczuciami. Albo ten ametyst. Ametysty to bardzo opiekuńcze kryształy; ludzie używają ich do wzmocnienia swoich duchowych sił. – Przerwał na chwilę, spoglądając na Jennifer. – Nie wie pani zbyt wiele o kryształach, prawda? – zapytał. – O mocy kryształów i o tym, dlaczego ich używamy?

Jennifer pokręciła głową, znowu czując się głupio.

Sprzedawca podniósł z tacy mały kawałek kwarcu, wręczając go kobiecie.

– Proszę potrzymać go w ręce podczas naszej rozmowy. Przy okazji, na imię mam Jeff.

Skinęła głową.

– Miło mi, jestem Jennifer.

– W porządku, Jennifer, oto sklep 101 Kryształów. – Jeff także trzymał w palcach kryształ podczas rozmowy. – Kryształy u swojego prapoczątku mają cztery pierwiastki naszego świata. Ziemię, ogień, wodę i powietrze. Jak widzisz, są także piękne w swojej czystej, prostej symetrii. Kiedy więc trzymasz kryształ, masz

w palcach świat. Trzymasz sam akt stworzenia. Niektóre kryształy są stworzone dla ciebie, inne nie, i to dlatego chciałem wiedzieć, czy kupujesz kryształ dla siebie. To ważne, żeby od początku być dostrojonym do swojego minerału. Proszę, może spróbujesz potrzymać inny. – Podał jej drugi kryształ i kiedy tylko Jennifer zamknęła go w prawej dłoni, poczuła falę ciepła przepływającą przez palce.

– Ten wydaje się lepszy – powiedziała.

– Dobrze! Jesteśmy coraz bliżej. Teraz musisz zaprogramować swojego małego przyjaciela.

– Zaprogramować?

Jeff uśmiechnął się.

– Tak, musisz powiedzieć kryształowi, czego od niego oczekujesz. Kryształy zawierają energię; musisz nadać jej kierunek.

– W jaki sposób?

– Weź go w obie ręce. Pomyśl o tym, co chcesz, aby się wydarzyło albo czego sobie życzysz. Wyobraź to sobie plastycznie. Powiedzmy, że to problem zdrowotny. Ktoś, kogo kochasz, jest chory na raka. Wyobraź sobie tę osobę znowu aktywną i umieść ten obraz zdrowej osoby wewnątrz swojego kryształu. – Cofnął się za ladę.

– Ty nie wierzysz w moc kryształów? – spytał.

– Nie jestem pewna – powiedziała wolno Jennifer. – Boję się, wiesz, że to jest kwestia mody. Wiara w to jest taka typowa dla yuppies.

– To nie tak – rzekł Jeff. Odłożył do gablotki jedną tacę z kryształami i wyjął dwa duże kawałki dymnego kwarcu. – Niektórzy ludzie, jak przypuszczam, sądzą, że kryształy są tylko częścią ruchu Nowej Ery, ale prymitywne ludy całego świata zawsze używały ich do uzdrawiania, przepowiadania przyszłości. Nie ma nic nowego w kryształach ani w wiedzy o nich.

– Tak, rozumiem – powiedziała pospiesznie Jennifer. – To dlatego, iż wiem, że to wszystko jest związane z mediumizmem i takimi rzeczami.

Przez chwilę zdawało się, że mężczyzna jej nie słucha. Podniósł ciemny kryształ i obracał go w dłoniach, a po chwili Jennifer zauważyła, że skierował ostry wierzchołek w jej stronę.

– Co robisz? – spytała.

– Dymny kwarc ma moc uspokajania. Łagodzi napięcie nerwów.

– Proszę – odpowiedziała Jennifer – nie kieruj go na mnie. – Cofnęła się od gabloty.

– Nie masz się czego bać – mówił Jeff, obserwując ją uważnie. – Kryształy są nieszkodliwe. To ty wkładasz w nie swoją własną energię, one tylko wzmacniają ją, ożywiają, to wszystko.

– Właśnie tego się boję – odparła Jennifer, próbując obrócić swój niepokój w żart, ale myślała także o tym, czego się już dopuściła.

Mężczyzna ostrożnie odłożył kwarc na niebieską podkładkę.

– Dlaczego się tu znalazłaś? – zapytał, marszcząc brwi. – Dlaczego chcesz nabyć kryształ? Nie jestem pewny, czy jesteś na to gotowa.

– Proszę – rzekła, podchodząc do lady. – Powiedziano mi, że kryształ mógłby pomóc.

– Pomoże – odpowiedział – ale musisz być gotowa przyjąć tę pomoc. Będę

spokojniejszy, jeżeli nie sprzedam ci żadnego tym razem. Możesz oczywiście spróbować gdzie indziej.

– Och, daj spokój. Prowadzisz interes czy nie? Co na to powie właściciel?

– Ja jestem właścicielem – odparł miękko. Podszedł do innej lady, jakby już pozbył się jej ze sklepu.

– Mówiono mi, żeby tu przyszła. Kupiła u ciebie kryształ.

– Kto?

– Pewne medium – powiedziała ostrożnie Jennifer, niezbyt pewna, czy powinna podawać nazwisko.

– Kto dokładnie?

– Kathy Dart – skłamała.

Handlarz wzdrygnął się na dźwięk nazwiska Kathy.

– Jestem zmuszony prosić cię, żebyś stąd wyszła – powiedział.

– Dlaczego?

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tą kobietą.

– Jest znanym w całym kraju medium. Nagrywa taśmy wideo i kasety.

– Proszę wyjść. – Właściciel wyszedł zza swojego kontuaru.

Jennifer zaczęła się przed nim cofać.

– Proszę – mówiła szybko. – Ja naprawdę potrzebuję własnego kryształu.

– Precz! – Był rozgniewany. – Kathy Dart to szarlatan, a nie szaman.

– Może masz rację – odpowiedziała, notując w pamięci starodawne wyrażenia, jakich użył.

– Mam rację.

Otworzył frontowe drzwi. Podmuch wiatru wtargnął do sklepu, niosąc ze sobą tuman śniegu, ale ekspedient stał tam, skrzywiony, czekając, żeby wyszła. „Co temu mężczyźnie zrobiła Kathy Dart?” – zastanawiała się Jennifer.

Wyszła z pomieszczenia szczęśliwa, że tym razem jej tajemnicza wściekłość nie zwróciła się przeciw sprzedawcy.

– Mógłbyś mi jeszcze coś powiedzieć? – zapytała, stojąc na zaśnieżonym trotuarze.

– Czy znasz Phoebe Fisher? – Przynajmniej skinął głową. – Czy ona jest tym, za kogo się podaje?

Zdawało się, że to pytanie zaskoczyło go. Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby się zastanawiał, jakiej odpowiedzi ma udzielić, a potem rzekł po prostu – tak – i zamknął drzwi.

Jennifer odwróciła się od niegościnnego sklepu i ruszyła w stronę stacji kolei podziemnej. Uszła już spory kawałek, kiedy uświadomiła sobie, że jej prawa dłoń zaciska się na małym jasnym kryształku kwarcu, zakończonym pojedynczym wierzchołkiem. Spoczywał w jej dłoni, niewielki i ciepły, jak malutki ptaszek, rozkoszny i żywy. Obejmując delikatnie kamień palcami, wsunęła go do głębokiej i bezpiecznej kieszeni płaszcza. Wiedziała, że powinna go zwrócić. Powinna przynajmniej udać się do sklepu i zapłacić mężczyźnie, ale nie zrobiła tego. Podążała dalej w kierunku metra. Zadecydowała, że później wyśle na adres sklepu czek. Teraz kryształ należał do niej. Spoczywał w przytulnym cieple jej kieszeni i po raz pierwszy od wielu dni Jennifer poczuła się bezpiecznie.

Wędrując w kierunku stacji, zatopiona we własnych myślach, nie spostrzegła

samotnego łowcy, który podążał za nią nierównym krokiem od sklepu z kryształami, nie usłyszała okutej metalem laski, wbijanej końcem w głęboki śnieg.

Myśliwy ten pierwszy raz dostrzegł ją przed chatą z epoki lodowcowej, zbudowaną przed dwudziestoma tysiącami lat z kości i kłów mamutów.

Tropiciel pojechał metrem do Brooklyn Heights, wysiadł z Jennifer i poszedł prosto dalej, kiedy ona zatrzymała się, żeby kupić małą wiązaną kwiatów, niknąc w gęstniejących ciemnościach wczesnego wieczoru, żeby poczekać, aż jego ofiara przybędzie do domu.

Jennifer nigdy nie kupowała kwiatów w tym maleńkim kiosku w podziemiach, ale widząc obok stoiska z gazetami pęki świeżych, wesołych roślin, zareagowała pod wpływem impulsu i zapłaciła wygórowaną cenę pięciu dolarów i czterdziestu centów za pół tuzina goździków. To było coś, co powinno podnieść ją na duchu w ten posępny dzień, jak pomyślała.

Wychodząc na ulicę, zastanawiała się przez chwilę nad kupnem warzyw, ale nagle znowu ogarnął ją strach, że zostanie rozpoznana, w jakiś sposób zidentyfikowana jako „morderca-goryl”; ukryła twarz w wysokim kołnierzu palta i pospieszyła do domu.

Poza tym spodziewała się Toma, a miała jeszcze wiele do przemyślenia. Przyjął do wiadomości jej wiedzę o winie Dawida jako przejaw czegoś w rodzaju instynktu, ale nie kupił historii o rozmowie z Margit, chciał wierzyć, że w jakiś niejasny, duchowy sposób bliska przyjaźń z Margit dała jej pewną wyjątkową intuicję. Jennifer zastanawiała się jednak, co by zrobił, gdyby opowiedziała mu o Tancerzu.

Była zbyt zmęczona, żeby nad tym rozmyślać. Świeże powietrze orzeźwiło ją trochę. Czowała się zadowolona z powrotu do Brooklynu i uśmiechnęła się na myśl o tym, że za chwilę znajdzie się bezpiecznie we własnym mieszkaniu. Oddaliła się od ruchliwych ulic, schodząc w kierunku wody, gdzie uliczki były mniej zatłoczone i słabiej oświetlone.

Wkroczyła między dwa zaparkowane samochody i zagłębiła rękę w kieszeni, szukając kluczy do mieszkania, a potem przystanąła, wpatrzona w pusty chodnik. Nikt się nie zbliżał. Ciemny trotuar tonął w cieniu, ale był bezludny. Nie słyszała nic prócz zimnego wiatru. Jakiś samochód przejechał, chrzęszcząc oponami na świeżym śniegu.

Coś jednak było nie tak, nie wiedziała tylko co. Miała niejasne wrażenie i mało precyzyjne, jak cichutkie gderanie gdzieś w podświadomości. Powiedziała sobie, że popada w paranoję. Ruszyła przed siebie, zmuszając się do marszu w dół ulicy, w dalszym ciągu czujna pod wpływem swych przeczuć.

Szła wolno, trzymając się z dala od budynków, unikając ciemnych schodów z czerwono-brązowego piaskowca i ocienionych podpór. Zachowywała pewną odległość od pojemników na śmieci, rozglądając się, czy nikt się za nimi nie ukrywa, czekając, aż ofiara się znajdzie w odpowiedniej odległości.

Poczuła strach. Przeplątał przez ciało, oblewając je potem pod warstwami odzieży. Rozluźniła futrzany kołnierz i odetchnęła głęboko. Pod pachami i między nogami czuła wilgoć.

Potem dotarł do niej zapach myśliwego. Pochwyciła jakąś woń w zawirowaniu powietrza i podniosła głowę, węsząc na wietrze. Ktoś tam był, gdzieś

w ciemnościach, być może za samochodem, skryty w cieniu budynku.

Obróciła się. Ogarniała ją pierwotna furia, wybuchając w żyłach wściekłością i strachem. W gęstniejących ciemnościach upuściła kupione przed chwilą kwiaty i skuliła się, warcząc i szczerząc zęby. Cofnęła się z miejsca, gdzie wyczuła myśliwego, chowając się za grupką metalowych pojemników na odpadki. Nie zaatakuj, dopóki sama nie zostanie zaatakowana. Cofała się, obserwując mroczne rogi domów, zabudowane wejścia do mieszkań na parterze, niepokojące ogrodzenia. Instynkt mówił jej, że są tu dziesiątki miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć, czekając na moment sposobny do ataku.

Wiatr rzucał jej śnieg prosto w twarz, utrudniając obserwację, ale teraz trochę lepiej widziała w ciemnościach. Podniosła głowę nasłuchując, wstrzymując oddech niczym zwierzę, które oczekuje napaści, nagłego ruchu myśliwego, kiedy znajdzie się w jego zasięgu.

Usłyszała laskę, zanim dosięgło ją uderzenie. Usłyszała, jak mocny pręt z orzechowego drzewa przecina zimowe powietrze, kątem oka dostrzegła odbłask światła na srebrnej gałce, próbowała się uchylić, ale myśliwy zaskoczył ją, obsuwając się gwałtownie z niskiego konaru platana rosnącego na skraju chodnika, i uderzył w tył głowy. Jennifer była martwa, zanim jej kolana się ugięły, i upadła na ziemię.

Kiedy Amenhotep powrócił z Abu Simbel, Rudidit odeszła już na drugi brzeg życia. Niezwłocznie przywdział żałobę po swojej żonie, spędzając beczynn timer – jak tego wymagał zwyczaj – wiele dni, czekając, aż zwłoki zostaną przygotowane do złożenia do grobu. Starał się nie myśleć o tym, co balsamiści robili z pięknym ciałem, jak usuwali mózg i narządy wewnętrzne, wkładali je do naczyń pogrzebowych, potem napełniali ciało wonnościami. Minęły całe trzy miesiące, zanim odpowiednio zawinięto Rudidit w bandaż i przygotowano sprzęty grobowe. Amenhotep uparł się, że sam ją przyozdobi, chociaż w pierwszej chwili widok zwłok przerażał go tak, jak nic do tej pory nie zdołało przestraszyć go w bitwie. Piękna twarz skurczyła się i zapadła, wargi wyschły.

Stał, patrząc na swoją ukochaną żonę spowitą lnem, z uszami i oczami zakrytymi pszczelim woskiem, i szeptał słowa pożegnania.

– Byłem młodym mężczyzną, kiedy cię poślubiłem, i spędziłem z tobą całe moje życie. Sięgnąłem po najwyższe stanowisko, ale nigdy cię nie opuściłem. Nigdy nie byłem powodem twojego nieszczęścia. Nigdy cię nie opuściłem, od mej młodości do czasu, kiedy dzierżyłem wszystkie rodzaje ważnych urzędów faraona. Nie, zaprawdę, za każdym razem mówiłem sobie: „Ona zawsze była moim towarzyszem”. Powiedz mi teraz, co mam czynić? Amenhotep postął jeszcze przez chwilę, a potem powoli, z czułością zaczął ozdabiać mumię. Cięcie pozostałe po usunięciu organów zakrył grubą złotą płytą, na której inkrustacje układały się we wzór świętego oka mającego moc uzdrawiania ran. Między nogami zmarłej umieścił kopię Księgi Zmarłych, przewodnika po podziemnym świecie, pokrył ciało naszyjnikami i amuletami, wszystkie palce u rąk i nóg przyozdobił drogocennymi futerałami i pierścieniami, na stopy założył sandały, a wszystko to miało służyć w długiej drodze na przeciwny brzeg życia. Biżuteria była nowa, kazał ją zrobić po śmierci ukochanej. Trzymał

w ręce figurkę uskrzydłonego skarabeusza, podtrzymywanego przez boginie Izydę i Neftydę, z wyrytymi na grzbiecie słowami: „O moje serce, serce mojej matki, serce moich przodków, nie wnoś świadectwa przeciw mnie, nie przemawiaj przeciwko mnie w obecności sędziów, nie kładź swojego ciężaru przeciwko mnie przed Panem Wagi. Oto ka w mojej piersi, Khnoum, które daje zdrowie moim członkom. Nie dawaj przeciwko mnie fałszywego świadectwa w obecności boga!” Dodał inne grawerowane skarabeusze, nie oprawione, lecz z sercami z lapis-lazuli, wszystkie noszące imię jego zmarłej żony. Miał też amulety i statuetki bogów Anubisa i Thota. Zawiesił je na szyi kobiety i przymocował do pectorału. Pomiedzy ozdobami umieścił maleńkie kopie lasek, bereł, różnych rodzajów broni, aby nie pozostawić niczego przypadkowi w domu wieczności swojej żony. Wiedział, że przyszły świat nie jest miejscem pokoju i ciszy. Pełen jest pułapek i niebezpieczeństw, więc Rudidit musi być przygotowana do swojej długiej wędrówki. Kiedy skończył, cofnął się o krok, pozwalając balsamistom spowić ciało jeszcze jedną warstwą lnu i nałożyć na twarz zmarłej złotą maskę. Po chwili odwrócili się do niego, kiwając głowami. Była już gotowa do procesji.

Pierwsi szli słudzy, niosąc ciasta i kwiaty, ceramiczne naczynia i kamienne wazy. Za nimi niesiono sprzęty: łoża, skrzynie, szkatuły i rydwan, wszystko, czego Rudidit mogła potrzebować w nowym świecie. Następni służący prezentowali biżuterię zmarłej, wszystkie naszyjniki i klejnoty Rudidit, rzeźbione ptaki z ludzkimi głowami i inne kosztowności ułożone na tacach, żeby tłum mógł widzieć jej bogactwo, bogactwo, które otrzymała od niego i które teraz zabierze ze sobą w zaświaty. Gawiedź obserwująca pochód nie widziała samej królowej. Kamienny sarkofag zawierający ciało był skryty pod katafalkiem umieszczonym na łodzi, otoczonym figurami Izydę i Neftydy i ciągniętym przez woły i ludzi. Dalej szły kobiety, jego siostry i krewne, a także wynajęte płaczki, z twarzami umazanymi błotem i obnażonymi piersiami, które zawodziły i rwały szaty, lamentując nad odejściem Rudidit. Na brzegu Nilu czekał na nich kapłan odziany w skórę pantery zarzuconą na ramiona. Trzymał w ręce pogrzebowe kadzidło, a płaczki skłoniły się przed nim i odstąpiły, umożliwiając spuszczenie na wodę łodzi z katafalkiem.

Amenhotep także stał z boku, obserwując w ciszy, jak powierzano katafalk falom Nilu. Rozmyślał o swojej żonie, o czasach, kiedy był młody i płonał pierwszą miłością. Ona była już obiecana etiopskiemu władcy, a on był zaręczony z Tamit, córką Nenoferkaptaka. Błagał faraona i bogowie orzekli, że będzie mógł poślubić Rudidit, jeśli zdobędzie ją w boju, jeśli pokona etiopskiego monarchę i wniesie jako okup królestwo Kusz. Stał do bitwy z armią Nubijczyków, w pełni uzbrojonych, chronionych kolczugami, z mieczami i rydwanami. Kiedy powrócił do Egiptu, wcielił Nubijczyków do swojej armii, dał im na dowódców łuczników i przywódców z ich ludu i nazaczył ich wszystkich, jako niewolników, swoim imieniem. A faraon, widząc, jakie bogactwa zgromadził, dał mu Rudidit za małżonkę. Nigdy w swoim życiu nie kochał innej kobiety i wiedział, że żadnej nie pokocha, chociaż proponowano mu już młodszą siostrę żony jego brata. Amenhotep wiedział, że jest już za stary, by pozwolić innej wejść do swego serca.

Kiedy łódź, unosząca na sobie katafalk, odbiła od brzegu, wkroczył wraz z płaczkami na pokład drugiego statku, aby podążyć tuż za żoną. Towarzyszyły im

dwie barki pełne dobytku Rudidit. Kobiety natychmiast weszły na dach kabiny, aby dalej płakać, wykrzykując lamenty w stronę katafalku. Ich pieśń niosła się po szerokiej rzece:

Niech Rudidit podąży chyżo Na Zachód, do kraju prawdy.
Kobiety na papirusowej łodzi szlochają żałośnie, żałośnie.
W pokoju, w pokoju, Sławiona, odejź Na Zachód w pokoju.
Jeśli będzie to mile bogu, kiedy dni odmienia się w wieczność,
Zobaczymy cię znowu, ty, która odchodzisz do krainy, gdzie
wszyscy ludzie są jednym.

Ze wschodniego wybrzeża nadeszła odpowiedź z życzeniami szczęśliwej podróży, a spokojna powierzchnia Nilu przenosiła wyraźnie głosy:

Na Zachód, Na Zachód, do kraju sprawiedliwych.
Miejsce, które kochałaś, jęczy i lamentuje.

Amenhotep wyszedł na dziób łodzi, stanął w palących promieniach egipskiego słońca i wykrzyknął w kierunku katafalku, gdzie jego utracona żona leżała, spowita wonnymi płótnami:

O moja siostrze, moja żono, moja przyjaciółko!
Zatrzymaj się, pozostań tutaj,
Nie opuszczaj miejsca, w którym bawiłaś.
Niestety, ty odchodzisz stąd, przekraczasz Nil.
O wy, żeglarze, nie spieszcie się, pozwólcie jej tu być:
Wy powróćcie do swoich domów,
Ale Rudidit odchodzi do krainy wieczności.

Kiedy odśpiewał pożegnalny hymn, wycofał się w cień kabiny, uchodząc przed palącym słońcem. Krzyki i lamenty żałobniczek wzmogły się, napełniając powietrze zawodzeniem, ale on się odwrócił w stronę zachodniego brzegu i ujrzał grupę ludzi zebranych na piaszczystym wybrzeżu. Ustawiono już stragany, na których sprzedawano towary, żywność i dewocjonalia.

„Wszyscy czerpią korzyści z tego przejazdu – pomyślał Amenhotep – wszyscy prócz mnie. Jestem jedynym, który utracił cały swój świat”.

Kiedyś omal nie umarła, gdy nosiła w swym łonie dziecko, tuż po ich ślubie, a on modlił się do bogini Hathor, Pani z Imaou i z Sycamore, aby ocaliła życie Rudidit i ich nowo narodzonego syna. A potem dziecko krzyknęło Mbi i odwróciło się twarzą do ziemi, a Amenhotep wiedział już, że jego synem zawładnie zło. Zabrał go, ale nie nadał chłopcu imienia, nie wprowadził go do Domu Życia, lecz zabił niemowlę, zanim więcej zła nie spadło na jego rodzinę.

Nie urodziła już później żadnego dziecka.

Cztery łodzie przybiły do brzegu i zostały rozładowane, stopniowo procesja uformowała się ponownie. Wspięli się na brzeg, opuszczając statki, i podążyli przez

płaskie pola uprawne za katafalkiem ciągniętym na drewnianych płozach przez parę wołów. Przed nimi szedł kapłan, rozpryskując wodę ze dzbana. Teraz była to już wyłącznie procesja pogrzebowa, wszyscy starsi pozostali w tyle, na brzegu rzeki. Amenhotep wystąpił do przodu, aby powitać boginię Hathor, która w postaci krowy wychyłała z kępy papirusu przy grobowcu.

Katafalk zaniesiono do wejścia i wyjęto sarkofag. Podszedł do ozdobnej kamiennej skrzyni i umieścił w jej głowach szczyptę wonnego proszku, jakby witał gościa we własnym domu. Za jego plecami płaczki ponownie uderzyły w płacz, bijąc się w udreće po głowach. Pojawiło się teraz więcej kapłanów nadchodzących z chlebem i dzbanami piwa, a także toporkiem, rzeźbionym nożem w kształcie strusiego pióra i paletą, zakończoną dwoma zwojami.

Wszystko to, jak wiedział, były przedmioty umożliwiające kapłanom odwrócenie efektów balsamowania, przywrócenie na tamtym świecie jego zmarłej żonie możliwości poruszania kończynami, zwrócenie brakujących organów, aby mogła widzieć, otworzyć usta i mówić, jeść i poruszać się ponownie.

Długie miesiące żałoby i oplakiwania straty skończyły się. Amenhotep krzyknął:
– O moja siostrze, oto twój małżonek, Amenhotep, mówi do ciebie. Nie porzucaj mnie! Czy pragniesz, abyśmy byli rozdzieleni? Gdybym cię porzucił, byłabyś sama i nie pozostałby nikt, żeby podążyć za tobą. Zaprawdę, chociaż byłaś mi poślubiona, teraz pozostajesz cicha i nic nie mówisz.

Odwrócił się od kobiet i wkroczył do grobu, schodząc do czworobocznego pomieszczenia, wykutego w skale i przyglądał się, jak słudzy niosą jego żonę i składają jej ciało we właściwym miejscu. Umieścił w sarkofagu amulety Rudidit i odszedł, kiedy nałożono ciężkie, kamienne wieko. Naczynia zawierające organy zmarłej złożono do skrzyni, którą kapłani spuścili do grobu; ustawiono sprzęty pogrzebowe, a pudełka z małymi statuetkami wszystkich, których kiedyś kochała, także umieszczono w krypcie.

Opuścił grobowiec, wydostając się prosto w ostry blask południowego słońca. Kapłani także wyszli, rozpryskując wodę, a do pracy przystąpili mularze, zamykając kamienną ścianą wejście do grobu.

Przed sobą, w słonecznym świetle, Amenhotep mógł widzieć żywność przygotowaną dla żałobników na dziedzińcu budynku, który przed laty wznosił nad grobowcem.

Przeszedł przez niewielki zagajnik sykomor i palm i zasiadł w jednej z komnat pokrytych nową dekoracją. Zawsze myślał, że to Rudidit będzie tu, która usiądzie tutaj, kiedy on odejdzie na tamten świat. Nigdy nie przypuszczał, że to jemu przypadnie dłużej żyć na ziemi.

Harfiarz podszedł do wejścia i podziękował wszystkim żałobnikom za przybycie śpiewając, że Rudidit jest szczęśliwa w innym świecie. Drugi harfiarz wydobył z instrumentu melancholijny ton i zaintonował:

Ciała ludzi odchodzą do grobu od początku czasów, a nowe pokolenia zajmują ich miejsce.

Jak długo Re będzie wschodził o poranku, a Atum zniknął o zachodzie, mężczyzna będzie płodził, kobieta będzie rodzić i oddech życia będzie w nozdrzach człowieka.

Jednak każdy, kto jest zrodzony, wraca w końcu do wyznaczonego mu miejsca.

Amenhotep wiedział, że ta pieśń nie jest przeznaczona dla Rudidit, lecz dla niego. Bogowie nakazywali mu żyć dalej, mówili, że jego ukochana żona jest bezpieczna i szczęśliwa w kraju Na Zachodzie, a on musi wrócić do ludzkich trosk. Uśmiechnął się i gestem przywołał sługę, który nalał mu wina i przyniósł jedzenie. Zauważył, że siostry się uśmiechają, zadowolone z jego nagłego entuzjazmu. Wtedy wstał i podniósł do ust puchar, i ponad jego chłodną krawędzią przyglądał się jednej z kobiet, służącej, która niedawno biła się w piersi i rwała szaty, oplakując odejście swojej pani.

Rozdział 18

Jennifer zobaczyła, że unosi się nad własnym ciałem. Uświadomiła sobie, że jest martwa, ale ta myśl nie wiązała się z bólem ani ze strachem. Czowała się jedynie wolna i dziwnie szczęśliwa. Wszystkie winy zniknęły. Niczego nie żałowała. Za nikim nie tęskniła. Nawet za Tomem. Miło byłoby móc powiedzieć: „Do widzenia”, ale to wszystko.

Jakże cudowna była śmierć! Dlaczego ludzie się jej obawiają? Obserwowała zespół lekarzy pochylonych nad jej ciałem, podłączających rurki i igły. Nic nie czuła. Zawsze tak bardzo obawiała się zastrzyków, ale teraz się uśmiechnęła i ten uśmiech przemienił się w głośny śmiech. Było to tak, jakby wypłała za dużo i traciła kontrolę nad sobą. Teraz nie miała nad czym tracić kontroli.

Lekarze zasłaniali jej widok własnej twarzy, więc zmieniła położenie. Zdawało się, że szybuje, otoczona ciszą wiatru. Lekarze i pielęgniarki krzyczeli do siebie nawzajem. Była świadoma ich pośpiechu, ale nie słuchała. Szczegóły, o których dyskutowali, już jej nie dotyczyły. O wiele łatwiej było umrzeć w ten sposób, bez bólu i drugiej choroby, nie widząc, jak życie wycieka z niej rok po roku, kiedy się staje coraz starsza. Umarła młodo, to wszystko. To nie był wielki problem.

Potem poczuła ból. Wybuch dotkliwego cierpienia odebrał jej oddech. Zobaczyła odbicie tego na swojej twarzy na stole.

– Jeszcze nie czas, Jennifer – powiedział głos, który poznała, chociaż nie słyszała go od lat.

– Danny! Danny! Gdzie jesteś? – Rozejrzała się dokoła, ale świat, w którym się unosiła, był wypełniony szarymi chmurami.

– Jestem tutaj. Jestem tutaj.

Rozumiała go, chociaż nie było nikogo, kto mógłby do niej mówić. W jakiś sposób wiedziała, co chce jej przekazać.

– Pozwól mi cię zobaczyć, Danny – błagała, przebiegając wzrokiem szarość w poszukiwaniu śladu życia.

– Nie poznałabyś mnie, Jennifer. Nie jestem już taki, jakim mnie znałaś. To było dla mnie inne życie, inny czas.

– Och, Danny, nie rozumiem. Nie wiem, co się ze mną stało. Proszę... – Mówiła niczym mała dziewczynka, tak samo osamotniona jak w dniu, w którym Danny zniknął z jej życia, odszedł, żeby zginąć w Wietnamie.

– Dowiesz się, kochanie. Zrozumiesz, a ja będę tam, żeby ci pomóc.
– Kocham cię, Danny. Kocham cię i jest mi przykro, że zostałeś zabity.
– To musiało się stać, skarbie, i to jest właściwe. Teraz wiesz o tym. Wiesz, że śmierć nic nie znaczy.
– Nie chcę żyć, nie chcę więcej. Pozwól mi zostać z tobą.
– Nie możesz, Jennifer. To nie twój czas. Ale będziemy razem w innym czasie. Idź i wypełnij swoje przeznaczenie, to, co wybrała dla ciebie twoja dusza.
– Myślałam, że rozumiem... – Jennifer znowu płakała. Poczowała przeszywający ból pomiędzy oczami.
– Zrozumiesz w innym czasie.
– Przykro mi, że cię zabito. Nie chciałam, żebyś umarł. Kochałam cię, Danny. Jesteś jedynym człowiekiem, którego naprawdę kochałam. – Wyciągnęła rękę, chociaż nie mogła go zobaczyć, a potem zorientowała się, że się porusza, ześlizguje z bezpiecznego miejsca swojej śmierci do własnego ciała. Szamotała się, walczyła z tym, ale walka była skończona; spadała znowu do życia.
– Dobrze, mamy ją! – krzyknął jeden z doktorów, rzucając okiem na wskaźniki systemu podtrzymywania życia i widząc drgającą igłę. – Znowu żyje.
– Bogu dzięki – szepnęła jedna z pielęgniarek. – Ona już naprawdę odeszła.
– Wiem, wiem – odparł lekarz, odwijając gumową rurkę z prawego ramienia Jennifer – ale tym razem mieliśmy szczęście. Umyjcie ją i zabierzcie na górę. – Kiedy się odwrócił, Jennifer usnęła, nie czując się bardziej wyczerpana niż po ciężkim dniu pracy; przebywała jednak na stole reanimacyjnym ponad godzinę.

Kiedy się przebudziła, Tom był przy niej, drzemał w fotelu obok szpitalnego okna. Przyglądała mu się, podczas gdy on spał. Słońce padało na nie ogoloną twarz. Miał na sobie starą ciemnoniebieską koszulę z napami i szare spodnie w prążki. Zrzucił mokasyny i pozostał w grubych, czerwonych, wełnianych skarpetach, które kupiła mu na Dzień Świętego Walentego. Uświadomiła sobie, że chce go objąć, ale kiedy spróbowała usiąść, okazała się zbyt słaba, aby się poruszyć.

– Tom – szepnęła, a on drgnął na cichy dźwięk jej głosu, zamrugał oczami i szybko podszedł do niej, podnosząc jej rękę i przyciskając ją do swojego policzka. Poczowała szczytinę ciemnego zarostu. – Przykro mi, Tom – powiedziała.

– Wszystko w porządku, kochanie. Wiesz, ktoś cię napadł. – Uśmiechnął się do niej, jego szare oczy były zamglone snem, ale także czułe i tkliwe. – Dojdiesz do siebie. Będiesz zupełnie zdrowa. – Uśmiechał się cały czas.

– Przepraszam za wszystko, co ci zrobiłam. – Zakrztusiła się łzami, więc szybko się poderwał i nacisnął sygnalizator, wzywając pielęgniarkę.

– Rozmawiałem z glinami. Ten pokój jest pod ochroną.

– Kochanie, to nie byli twoi handlarze narkotyków.

– Nie staraj się rozmawiać, skarbie. Nic nie mów – nalegał. Obejrzał się na drzwi i zawołał: – Siostro! Siostro! – donośnym, przerażonym głosem.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest – powiedziała mu. – Chodź tu i usiądź przy mnie – chciała mieć go blisko.

– Nic groźnego ci się nie stało. Teraz wszystko będzie dobrze. Kocham cię. Naprawdę! – Pochylił się nad nią i pocałował jej powieki.

– Chcę, żebyś mnie posłuchał. Proszę – nalegała. – Widziałam Danny’ego. Jest mu dobrze. Jest szczęśliwy.

Tom skinął głową, ale jego oczy ponownie się zamurzyły.

– Jestem zdrowa, Tom. Nie oszalałam.

– Oczywiście, że nie.

– Ja umarłam. Opuściłam swoje ciało. Widziałam lekarzy, wszystko. Chciałam pozostać martwa. To było takie cudowne, Tom. Potem spotkałam Danny’ego i rozmawiałam z nim, powiedział, że jeszcze nie nadszedł mój czas, jeszcze nie koniec mojego życia.

Tom skinął głową.

– Jennifer, powinnaś spać. Spróbuj usnąć, dobrze?

Jennifer uśmiechnęła się. Nie zrozumiał, o czym mówiła. Jasne, że nie. On nie umarł i nie powrócił do życia. Zamknęła oczy. Tak, potrzebuje snu. Musi odpocząć i odzyskać siły. Ma tak wiele do zrobienia. Już czas.

Rozdział 19

Tom przyglądał się, jak Jennifer pakuje swoje rzeczy. Zrobił sobie następnego drinka i stał teraz w drzwiach sypialni, a ona krążyła tam i z powrotem między szafą i walizką leżącą na łóżku.

– Czy masz zamiar powiedzieć coś w końcu, Tom? Czy będziesz się tylko wpatrywał we mnie cały wieczór? – zagadnęła Jennifer. Trzymała za rękawy białą bawełnianą bluzkę, zastanawiając się, czy powinna zabrać ją do Minnesoty.

– Wiesz, co o tym myślę – odparł. Dwie podwójne szkockie, które wlał już w siebie, dodały jego głosowi szorstkości. – Niedawno wyszłaś ze szpitala. Potrzebujesz wypoczynku, a nie jakiejś przeklętej podróży donikąd!

– Muszę to sama załatwić – oświadczyła.

Tom skinął głową i pociągnął łyk szkockiej.

– Tam będzie diabelnie zimno – powiedział miękko, jakby się chciał poprawić. – Dlaczego właściwie ona mieszka w Minnesocie?

– Stamtąd pochodzi.

– Wie, że przyjeżdżasz?

– Tak, oczywiście. – Jennifer postanowiła odłożyć bluzkę. – Eileen dzwoniła do niej na farmę; oni nazywają to miejsce ośrodkiem. – Czekał na następne pytanie, odwiesiła bluzkę i sięgnęła na górną półkę, żeby zdjąć gruby, wełniany sweter. To było jak gra w tenisa, przerzucali się odpowiedziami. Odeszła od szafy, obróciła się i spojrzała w jego stronę.

– Tom, mówiłam ci, że ja także dostaję od tego bzika. Nie życzę sobie „doświadczeń z pobytu poza ciałem”. Nie pragnę świadomości, że mogę się nagle przemienić w coś w rodzaju jaskiniowca, który zabija ludzi uderzeniem pięści. Nie chcę myśleć, że za każdym razem, kiedy jestem przestraszona, mogę zmienić się w jakieś dziwadło.

– Jenny, ty nie...

– Owszem, tak. Nie dyskutujmy o tym, dobrze? Może ci ludzie zasłużyli na śmierć. Może to były szumowiny, czy jak tam ich nazwałeś, ale ja jestem taka sama.

Zgładziłam ich. Może nie ja, ale jakaś część mnie. Osoba z minionego życia.

– Och, na miłość boską!

– Daj mi szansę, Tom. – Nie odrywała od niego oczu. – Pozwól mi odkryć, co jest ze mną nie w porządku. – Jej oczy zwilgotniały od łez i aby powstrzymać płacz, odwróciła się do łóżka i kontynuowała pakowanie.

– Rozmawiałem z paroma psychiatrami – powiedział wolno Tom, wchodząc do pokoju.

– Oczywiście – odparła Jennifer.

– Oczywiście, co?

– Oczywiście musiałeś komuś powiedzieć. To cały ty. – Spojrzała na niego, żeby udowodnić, iż jej nie zdenerwował. – Co powiedzieli? – zapytała, łagodząc ton.

– Rozmawiałem z doktorem Senese'em. To ten, u którego bywałem przez pewien czas po zerwaniu z Helen. Powiedziałem mu o tej kobiecie, Phoebe Fisher.

– I o Kathy Dart.

– Tak, o całym tym przeklętym spirytualistycznym gównie.

– Tom, proszę cię! – Poczowała falę ogarniającego ją gniewu i natychmiast wypróbowała ćwiczenie, którego nauczyła jej Phoebe, skupiając całą uwagę na słowie „miłość”. Stopniowo poczuła, jak ciało rozluźnia się i napięcie znika. Zerknęła na Toma. Siedział teraz na skraju łóżka ze szklaneczką w ręce. Zauważyła, że przybrał na wadze, przybył mu nowy wałeczek tłuszczu w pasie, a koszula mocno opinała szyję. Pomyślała, że przypomina zwierzę, które zgromadziło na zimę zapas tłuszczu. Może zarzucił jogging. Ona sama nie biegała od czasu wycieczki do Waszyngtonu. Bała się biegać, obawiała się tego, co mogło się stać z jej ciałem.

– Senese mówi, że te media cierpią na zaburzenia osobowości. Twierdzi, że przejmuje nad nimi kontrolę jakaś wydzielona część ich jaźni. Czytałaś o takich przypadkach wielokrotnych osobowości.

– Zwielokrotnione osobowości, Tom, to zawsze ten sam człowiek. Habasza to żywa istota z innego przedziału czasu. Tancerz pochodzi z innej galaktyki. To nie to samo.

– Och, na miłość boską.

– Tom, nie proszę cię, żebyś to zrozumiał. Chcę tylko, żebyś miał trochę wiary we mnie, nic więcej. Chcę, żebyś był przynajmniej tak mi pomocny jak Eileen Gorman.

– Ta wariatka! Rozmawiałem z nią w szpitalu, kiedy przysłała cię odwiedzić.

Pomieszało się jej w tej pieprzonej głowie!

– Tom! Jak śmiesz! – Jennifer odrzuciła jeden ze swoich swetrów i odwróciła się w jego stronę. – Eileen była absolutnie cudowna, przychodziła do mnie, kiedy jej potrzebowałam, wysłuchała mnie, zrozumiała. Jak możesz siedzieć tutaj i... i... – Jennifer poczuła wybuch wściekłości, ogarniający jej ciało. Rozpoznała układ swoich prymitywnych popędów. Rozprzestrzeniały się od podstawy szyi, rozrywały piersi, napełniały dziwną siłą wszystkie kończyny; rezultatem był przemożny impuls pchający ją do ataku. Wiedziała, że to staje się coraz gorsze. Za każdym razem furia powracała coraz silniejszymi falami i czasami uświadamiała sobie, że pragnie zatopić w kimś zęby. Czuła pokusę, żeby zaspokoić tę żądzę. Przypominało to seks – kiedy się zaczynał orgazm, nie chciała, żeby się kiedykolwiek skończył. Pragnęła tylko unosić się na falach. Kilka razy zaczerpnęła głęboko powietrza, przywracając własnemu umysłowi kontrolę nad samą sobą.

– Przede wszystkim, gdybyś nie spotkała jej w Waszyngtonie, nie rozpoczęłyby się ta seria nonsensów – wykrzyczał w odpowiedzi Tom.

Do świadomości Jennifer dotarło, że jej rozmówca jest pijany, pijany, zły i przestraszony.

– To stałoby się tak czy inaczej, Tom – odparła. – Takie było moje przeznaczenie. To nie przypadek ani zbieg okoliczności. – Ponad łóżkiem rzuciła swojemu kochankowi uważne spojrzenie. – Pozwól mi poradzić sobie z tym moimi własnymi metodami – powiedziała.

Tom stał, wlepiając w nią oczy w tępy sposób, właściwy pijanym, kiedy starają się coś pojąć. Wróciła do pakowania, ale obserwowała go kątem oka. Wyjeżdżała wczesnym rankiem; Eileen miała przyjechać po nią z Long Island i obie zamierzały podróżować samochodem jej przyjaciółki do Minnesoty.

Jennifer zastanawiała się, czy odesłać go do domu taksówką, czy może pozwolić mu przespać u niej dzisiejszą noc. Rano będzie się źle czuł.

– Tom, może poszedłbyś do salonu i położył się na kanapie? – Zachęciła go uśmiechem, ale oczy mężczyzny były szkliste; stał, chwiejąc się nad łóżkiem. Podeszła i wyjęła mu z ręki alkohol. – Chodź do salonu, kochanie – szepnęła.

– Porzucasz mnie, wiem to – wymamrotał, ale pozwolił się prowadzić. – Porzucasz mnie, bo nic nie zrobiłem z Helen.

– Skarbie, nie porzucam cię. Wyjeżdżam, żeby się zobaczyć z Kathy Dart i porozmawiać z nią o tym, co się ze mną dzieje. Wkrótce wrócę do domu i do ciebie. Znowu będzie ze mną wszystko dobrze – mówiła żywo, wyprowadzając go z sypialni. Zawisł na niej całym ciężarem tak, że musiała zdobyć się na największy wysiłek, żeby zapobiec ich wspólnemu upadkowi na podłogę. „Gdzie jest ta siła, kiedy jej potrzebuję?” – pomyślała, z trudem łapiąc oddech, gdy układała go na kanapie. Tom opadł na poduszki, a Jennifer osunęła się na kolana.

Będzie spał przynajmniej do wczesnego ranka. A ona w końcu nie zrobiła mu nic złego. Zdjęła nieprzytomnemu buty i podniosła jego nogi na sofę, rozluźniła koszulę i pas. Ściągnęła czarne skarpetki i wrzuciła je do butów, potem wróciła do sypialni, wyjęła z cedrowej szafy dodatkowy koc, którym otuliła go starannie.

Mężczyzna chrapał już głośno. Jennifer uklękła obok i delikatnie pogłaskała go po twarzy. Głęboki sen usunął całe napięcie; wyglądał teraz jak nastolatek, którego myśli nie zaprzętało nic poza rozkoszą snu. Pochyliła się nad nim, pocałowała w policzek i wyszeptała: – Kocham cię.

Było już po północy, kiedy się obudziła i raptownie usiadła na łóżku. Była zupełnie przebudzona i całkiem wyraźnie usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi wejściowe; zasuwała szczęknęła dwukrotnie. Wyskoczyła z łóżka i pospiesznie ruszyła do drzwi sypialni. Tom stał koło sofy. Wyjął ze swojej teczki pistolet, a gdy zauważył ją, położył palec na wargach, nakazując milczenie.

Obserwowała, jak ostrożnie obchodzi sofę, stawiając cicho bosc stopy. Potem usłyszała psa, dobiegł ją odgłos stapania łap na gołych deskach dębowej podłogi w przedpokoju.

Poruszyła się, żeby wyjść z sypialni, ale Tom gorączkowo zamachał ręką, nakazując jej cofnąć się do pokoju i pokazując gestami, że powinna zamknąć drzwi.

– Co to jest? – szepnęła, a potem, w przyćmionym świetle salonu, zobaczyła psa.

Wbiegł z hallu i spostrzegłszy Toma, niezwłocznie obnażył zęby i zaczął warczeć. Obserwując niedużą bestię o tępo zakończonym pysku, Jennifer rozpoznała, że jest to pitbull.

– Uciekaj, Jenny! – rozkazał Tom, podnosząc pistolet. Wypalił, kiedy pies skoczył na niego. Kula minęła zwierzę i rozbiła szybę w szafce stojącej przy drzwiach sypialni.

Jennifer wrzasnęła.

Pitbull wylądował na oparciu kanapy, odbił się i jeszcze raz skoczył na Toma. Ten, wycofując się, zawadził nogą o stolik do kawy i ponownie wystrzelił. Tym razem kula utkwiała głęboko w suficie.

Pies znalazł się na człowieku, chwytając zębami jego przedramię. Tom odwrócił pistolet, wsunął lufę do pyska zwierzęcia i nacisnął spust. Automatyczna broń się zacięła i zanim mógł ponownie wystrzelić, pies rozerwał mu ciało. Teraz krzyczał Tom.

Jennifer rzuciła się na bestię. Pochyliła się nad zwierzęciem, gołymi rękami chwyciła oślinioną, białą paszczę i rozwarła szczęki jednym, pewnym ruchem, jakby całe życie zabijała dzikie zwierzęta.

Potem, trzymając ciężkie cielsko w wyciągniętych rękach, pozwoliła mu więc się, skręcać i szamotać w bezskutecznej próbie odzyskania wolności. Zobaczyła niedowierzanie w żółtych psich oczach, kiedy zwierzę próbowało złapać oddech, a w końcu nagłym ruchem – otworzyła mu pysk, wyłamując szczęki. Świeża krew z miękkiego wnętrza paszczęki spryskała jej twarz i polala się na jasnożółty dywan rozłożony na podłodze salonu. Wypuściła swoją ofiarę.

Tom odczołgał się od pitbulla. Wił się z bólu. Ramię krwawiło, a skóra zwisała, odarta z mięśni.

– Jenny! – wyszeptał widząc, co zrobiła z psem.

Widziała, że jest przerażony. Tym razem to jej się bał. Jednak Tom nie był wrogiem. Nie chciał jej skrzywdzić.

Jennifer uśmiechnęła się do kochanka i powoli, ostrożnie, tak jak mogłoby zrobić zwierzę, koniuszkiem języka oblizała wargi.

KSIĘGA TRZECIA

Jeśli otworzymy te źródła inspiracji i twórczości, otworzymy okno na wszechświat, który stanie się lepszy. Ktoś kiedyś zapytał mnie o model wszechświata, który by mi odpowiadał. Powiedziałem: „Do diabła z modelem, nawiążmy kontakt ze wszechświatem. Zjednoczmy się z nim. W ten sposób nie musimy rozgrywać małych gier”.

Medium Alan Vaughan

On [mój guru] poprosił mnie, żebym się modlił, ale ja nie umiałem się modlić. Odparł, że to nie ma znaczenia, on i inni będą się modlić, a ja tylko muszę przyjść na spotkanie... a idea i słowa przyjdą do mnie z jakiegoś źródła innego niż umysł.

[Zrobiłem, jak mi polecono]. Słowa przyszły, jakby zostały podyktowane, i odtąd każda mowa, wszystko, co pisałem, każda myśl i zewnętrzna działalność przychodzi do mnie z tego samego źródła.

Śri Aurobindo

Rozdział 20

Jennifer spała, podczas gdy samochód mknął przez New Jersey. Kiedy się obudziła, wyciągnięta w śpiworze na tylnym siedzeniu kombi, zobaczyła, że znajdują się na autostradzie przecinającej pępne pola uprawne. Drzewa stały pozbawione liści, a zmarznięty śnieg pokrywał niskie, faliste wzgórza. Słońce, odbijające się od śniegu, oślepiło ją na chwilę; powróciła myślą do tego, jak zabiła pitbulla i aby oderwać się od przerażającego wspomnienia, zapytała:

– Gdzie jesteśmy, Eileen?

– Dzień dobry, śpiochu. Zgodnie z ostatnim drogowskazem znajdujemy się tuż za Lock Haven, w Pensylwanii, i jedziemy na zachód autostradą numer 80. Masz ochotę na kawę?

– Och, nie, jedź dalej. – Jennifer nie chciała się zatrzymywać. Podobało jej się uczucie, że ucieka z Nowego Jorku, uchodzi niebezpieczeństwu.

– Mam przy sobie trochę kawy. Proszę. – Nie odrywając oczu od drogi, Eileen podała do tyłu termos. – Zapakowałam też kanapki i wodę sodową. Chciałabyś poprowadzić?

Jennifer potrząsnęła głową.

– Nie, jeśli ty nie musisz odpocząć – powiedziała. – Jestem wyczerpana.

Kiedy rankiem Eileen zabrała ją z mieszkania, jeszcze drżała po ataku bestii. Obawiała się, że Tom nie pozwoli jej jechać, on jednak wolał, że wyjeżdża, przekonany, iż będzie bezpieczniejsza w Minnesocie, z dala od handlarzy narkotyków. Ale to nie byli handlarze. Jennifer wiedziała, kto wpuścił pitbulla do jej apartamentu.

– Teraz już nic ci nie grozi – powiedziała Eileen, uśmiechając się we wstecznym lusterku.

– Nie wiem. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek miała być bezpieczna.

– Owszem, będziesz. Kathy chce ci pomóc.

Jennifer się uśmiechnęła, wyciągnęła rękę i delikatnie ścisnęła ramię Eileen. Ponownie zamknęła oczy, ale pod opuszczonymi powiekami natychmiast zjawiała się koszmarowa wizja atakującego psa. Widziała zaśliniony pysk i obnażone białe zęby. Otworzyła oczy i zamrugała w jaskrawym zimowym słońcu.

– Tom uważa, że pies był nasłany na niego. Przez handlarzy narkotyków, których ściga.

– Nie wierzysz w to. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Oczy Eileen odnalazły w lusterku spójrzanie Jennifer.

– To za mną posłano tego psa, Eileen – odrzekła. – Miałam takie wrażenie, że ktokolwiek zaatakował mnie przed wejściem do mieszkania, ten ktoś w dalszym ciągu mnie tropi. – Przestraszyła się własnych słów. – Zdaje się, że próbuję cię

ostrzec, Eileen, nawet jeśli jest już za późno. Rozumiesz, jesteśmy tu same na autostradzie w środku pustki.

– Będę ostrożna – odpowiedziała uspokajająco Eileen.

– Przykro mi, że zostałam w to zamieszana.

– Chcę być zamieszana. Kathy Dart praktycznie przykazała mi, abym dostarczyła cię do jej własnych rąk, do Minnesoty.

– Och? – Jennifer podniosła oczy na przyjaciółkę. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła widzieć jej prawy profil.

– Wiesz, że Kathy bardzo się o cię troszczy – oświadczyła Eileen.

– Tak, wiem. Czy troszczy się tak samo także o twoje dobro? – Jennifer się przesunęła i położyła brodę na tylnym oparciu siedzenia kierowcy.

– Tak, chyba tak. Habasza twierdzi, że byłam kiedyś w kawalerii króla Ludwika XIV. To może wyjaśniać moją miłość do koni. W każdym razie Kathy była moim dowódcą i kiedyś uratowała mnie życie. To tłumaczy, dlaczego jest tak do mnie przywiązana. Spójrz też na nas, na ciebie i mnie. Dlaczego byliśmy sobie tak bliskie w średniej szkole? Dlaczego teraz bez problemu – wiesz – odnowiliśmy znajomość? Istnieje jakaś przyczyna. To nie przypadek. Jesteśmy całkowicie odmiennymi osobami. Twoi rodzice byli zamożni; moi nie. Wychowano mnie na unitariankę. A cię w jakim wyznaniu wychowywano, w żadnym?

– Ależ skąd! – odpowiedziała ze śmiechem Jennifer. – Byliśmy luteranami. A luteranie wierzą w Boga. Ja też wierzę! – broniła się.

Przez chwilę jechały w ciszy, obserwując nic autostrady przed sobą. Ruch był bardzo mały i Eileen mknęła po lewym pasie, pozostawiając w tyle nieliczne mijane samochody. W tej krótkiej chwili Jennifer czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Powierzyła swoje życie Eileen i Kathy Dart. One miały odpowiedzi na to, co się z nią działo, a to było więcej, niż mogła sobie wyobrazić.

– Wiesz, czasami to budzi strach – powiedziała miękko Eileen. – Pamiętam jedną z pierwszych sesji Kathy, w których uczestniczyłam. Pewien mężczyzna miał problemy z żoną i nastoletnią córką. Powiedział, że było między nimi mnóstwo sprzeczek, a on nie mógł zrozumieć dlaczego. Tak naprawdę, żadne z nich tego nie rozumiało. Kathy zastosowała akupunkturę, żeby pomóc mu wyzwolić przeszłość. To było przerażające. Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo, kto byłby nakłuwany igłami, ale zdawało się, że to go nie boli. Z pomocą Kathy ten mężczyzna zaczął cofać się w czasie, osiągnął punkt, kiedy był Indianinem mieszkającym na równinach. W tamtym życiu dusza, która obecnie jest jego córką, była jego żoną. Na tym polegał problem. Obecna żona była zazdrosna o ich córkę, ponieważ ta była kochanką jej męża w czasach, zanim Kolumb wylądował w Ameryce.

– To wszystko wydaje się takie zwariowane – szepnęła Jennifer, zastanawiając się przez chwilę, dlaczego właściwie pragnie się zobaczyć z Kathy Dart, dlaczego tego potrzebuje.

– To wcale nie jest takie zwariowane. Reinkarnacja pojawia się w tradycji każdej religii.

– Po prostu trudno zinterpretować to wszystko racjonalnie.

– W tym cały problem. Reinkarnacji nie powinnaś się starać wytłumaczyć racjonalnie. Zobaczysz, porozmawiasz z Habaszą. Zrozumiesz, dlaczego jesteś na.

Ziemi. I jaki jest cel wszystkich twoich rozterek i radości. – Eileen mówiła gwałtownie, z przekonaniem. – Jeśli wierzysz w reinkarnację, wszystkie przypadki nabierają znaczenia.

– Tego właśnie nie lubię – odezwała się Jennifer. – Nie podoba mi się myśl, że wszystkie zdarzenia są ze sobą powiązane. To wydaje się zbyt dobrze zaplanowane, zbyt skrupulatnie dopracowane, żeby mogło być prawdziwe.

– Ale to ma sens, Jenny. Twój duch został stworzony przez Boga, czy ktokolwiek by to był, i przechodzi kolejne wcielenia. Duchy nigdy nie umierają, ale zmieniają się nieustannie. Przychodzisz na świat jako mężczyzna. Rodzisz się ponownie jako wnuczka tego samego mężczyzny. I to jest wspaniałe, kiedy cofasz się i myślisz o tych wszystkich możliwościach, o tej cudownej sztuce.

– Może to nie jest takie cudowne – odparła Jennifer. – Może czyjaś dusza powróciła z innego życia, żeby mnie zabić.

– Spokojnie, Jennifer. Nie wiemy tego. – Eileen zjechała na lewy pas i wyprzedziła ogromną ciężarówkę. Kiedy ją wymijały, kierowca nacisnął klakson. Hałas przestraszył Jennifer. Odwróciła się i pokazała kierowcy rękę w niezbyt przyzwoitym geście.

– To nie był dobry pomysł – powiedziała chłodno Eileen.

– Dlaczego? Nie znoszę takich frajerów, którzy myślą że to fajnie nękać kobiety za kierownicą.

– Tak, wiem, ale teraz każdy kierowca ciężarówki na drodze numer 80 będzie wypatrywał dwóch kobiet w złotym buicku z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Radio CB, kochanie. Oni wszyscy utrzymują łączność.

– Cholera! Masz rację.

– To długa trasa i ci faceci nie mają nic innego do roboty, jak tylko się trochę rozerwać. Nie denerwuj się. Będę unikała miejsc ich postojów. Wszystko w porządku.

– Dzięki. Obawiam się, że postępuję jak czyjaś nieznośna nastoletnia córka.

– Cóż, mogłabyś być moją...

– Tak, wiem. W innym życiu.

Zaśmiały się obie i umilkły, obserwując białe linie znikające pod buickiem, który mknął na zachód, słuchając szumu opon i świstu wiatru uderzającego o szyby. W samochodzie było bardzo przytulnie i Jennifer wśliznęła się do śpiwora i zwinęła w ciepło.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym jeszcze trochę pospała?

– Bardzo proszę. Chciałabym, żebyś później poprowadziła, jeśli oczywiście będziesz miała ochotę.

– Jasne – wymamrotała Jennifer, zapadając już w sen.

– Słodkich snów – życzyła jej Eileen, oglądając się do tyłu. Jennifer miała zamknięte oczy. Nie mogła zobaczyć jak uśmiech znika z twarzy jej towarzyszki. Jasnozieloni oczy stały się twarde i chłodne niczym kryształ.

Rozdział 21

– Jak sądzisz, Jenny, czas już na postój?

Jennifer spojrzała na wbudowany w tablicę rozdzielczą zegar. Była szósta i Eileen od ponad godziny prowadziła w ciemnościach.

– Myślę, że tak. Potrzebuję drinka i chciałabym wcześniej położyć się spać. Czy przebyliśmy wystarczający dystans?

– Tak, miałaś dobry czas, kiedy prowadziłaś. Z samego rana dotrzemy do rogatek autostrady i jutro wieczorem będziemy na południe od Chicago. – Eileen skręciła swoim kombi na prawy pas szosy. – Zatrzymałam się już wcześniej „U Howarda Johnsona”, przy tym zjeździe – wyjaśniła, opuszczając drogę numer 80.

Jennifer siedziała teraz na przednim siedzeniu, patrząc na profil Eileen, odbity w okiennej szybie. Skręciły w jasno oświetlony zjazd z autostrady, na skrzyżowaniu pojechały w prawo i wjechały na parking zajazdu „U Howarda Johnsona”.

– Na co tak patrzysz, Jenny? – Eileen zarumieniła się pod uprzejmym spojrzeniem przyjaciółki.

– Myślałam właśnie, że jesteś dla mnie niewiarygodnie miła, to wszystko. – Zwykle było jej trudno mówić ludziom, co czuje, ale zawsze umiała opowiadać o tym Eileen, nawet wtedy, kiedy pierwszy raz usiadły obok siebie w ławce w pierwszej klasie.

– Och, ty zrobiłabyś to samo, gdybym potrzebowała pomocy – odpowiedziała szybko Eileen.

Jennifer zobaczyła, że w jej oczach zalśniły łzy. Wyciągnęła rękę i uściśnęła ramię przyjaciółki ustawiającej samochód na parkingu. Otwierając drzwi, powiedziała:

– Zameldujmy się, a potem wpadniemy do baru. – Zatrzymała się i odwróciła do towarzyszki. – Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zamieszkały w jednym pokoju? Chcę powiedzieć... – Jennifer rozejrzała się, nagle zakłopotana. Dostrzegła kilku mężczyzn otwierających bagażniki samochodów i wyjmujących bagaż. – Chcę powiedzieć, że ciągle jestem trochę zdenerwowana. Poczuję się bezpieczniej, jeśli będziesz spała w tym samym pokoju.

– Jasne, oczywiście. Nie znoszę podróżować sama – odpowiedziała pospiesznie Eileen. – To trochę przerażające, ci wszyscy dziwacy dokoła. Nigdy nic nie wiadomo.

– Słuchaj! – odparła ze śmiechem Jennifer. – Dziwaków mogę znieść. Niepokoi mnie pan Miły Facet. – Ściszyła głos, kiedy wchodziły do hotelowego hallu. – Boję się, że mogłabym obciąć mu jaja, jeśli przekroczy pewną granicę.

– To by mu dobrze zrobiło, jeśli zdradza żonę – dodała Eileen.

Po wódce z lodem Jennifer zakręciło się w głowie. Opowiadała Eileen o Bobbym Scotcie, chłopaku, z którym chodziły do szkoły i który próbował pocałować ją pod trybunami stadionu podczas meczu z Westbury o mistrzostwo okręgu.

– Poszłam tam zrobić siusiu. Było wtedy zimno, pamiętasz? A on nie pozwalał mi odejść. Zaczęłam płakać z bólu.

– Bobby nie był zbyt rozbawiony.

– Co się z nim właściwie stało? – Jennifer spojrzała na menu i spróbowała się skoncentrować. Teraz, kiedy opuściły samochód i znalazły się w ciepłym hotelu, poczuła się nagle bardzo głodna.

– Och, ożenił się z Debby O'Brian. Pamiętasz ją?

– Ożenił się z Debby? Była taką słodką dziewczuszką z pięknymi długimi,

płomiennymi włosami.

Eileen przytaknęła ruchem głowy.

– Poszedł do Queens College, potem się pobrali i mieli czworo dzieci, szybko, jak króliki. Debby była wielką katoliczką. W każdym razie on teraz pracuje dla Goldmana Sachsa. Słyszałam, że ma dom w ekskluzywnej dzielnicy i jest wart miliony.

– Cóż, to dobrze dla Debby.

Eileen potrząsnęła głową.

– Och, rzucił ją dla jakiejś innej rzutkiej inwestorki. Kilka lat temu spotkałam ich oboje na jarmarku dobroczynnym. Był ze swoją nową żoną, która kupowała jakieś stare papiery albo może je sprzedawała, czy coś innego; rozmawiałam z nią. Mężczyźni przygotowywali pokój, wiesz, i była tam ta kobieta – Rita, tak miała na imię. Czuli się tak nieszczęśliwi, że zaczęła płakać, tam, w Wielkiej Sali Balowej Waldorfa.

– Z milionami dolarów i rezydencją! Dlaczego?

– Bobby bił ją. Powiedziała mi, że tylko w ten sposób mógł się podniecić. Byłyśmy sobie obce i ona wylała przede mną swoją okropną historię. – Eileen wzruszyła ramionami, potem pociągnęła łyk alkoholu. – Musiała to komuś powiedzieć. Była taka biedna i zdesperowana, a ja przynajmniej znałam Scotty’ego, kiedy był dzieciakiem.

Jennifer odchyliła się na oparcie krzesła. Powróciła wspomnieniem do Bobby’ego Scotta i tego, jak nie umiał całować jej ani żadnej innej dziewczyny. Znowu przypomniała sobie zapach piwa w jego oddechu, który czuła tamtego chłodnego piątkowego wieczoru. Oddała mu pocałunek tylko po to, żeby się od niego uwolnić.

– Może to moja wina – zażartowała. – Może nie powinnam grać z nim tak ostro.

– Ludzie wybierają to, czego chcą od życia, Jenny. To jedna z pierwszych rzeczy, których uczy się od Habaszy. Ludzie wybierają swoich rodziców. Wybierają kochanków i przyjaciół. Wybierają, ponieważ muszą wypełnić to, co pozostało nie rozwiązane w poprzednim istnieniu. – Eileen odłożyła menu. – Chyba wezmę kurczaka. Nigdy nie wybieram zbyt wymyślnych dań, kiedy jem w drodze. Gdy złożyły zamówienie, Eileen kontynuowała:

– Wybór, zdecydowanie się na innych całkowicie się opiera na doświadczeniach z wcześniejszych egzystencji.

– Nie chwytam tego. Co masz na myśli?

– Weź na przykład nas. Kto był przewodniczącą klasy?

– Ja!

– A ja zdecydowałam, że powinnaś nią być.

– Eileen, nie bądź głuptaskiem! – Jennifer pochyliła się nad stołem. Wypiła zbyt dużo i teraz próbowała mówić cichym głosem. – To była moja paczka, wiesz o tym.

– Mylisz się.

– Nie wierzę w to – westchnęła, zakłopotana. – Pamiętam wszystko, co działo się w średniej szkole. Wszystko! To był jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu. Dlaczego miałabym coś takiego koloryzować? Pamiętam, kiedy postanowiłam ubiegać się o stanowisko przewodniczącej klasy. Byłaś wtedy redaktorem gazetki; Karen miała pieczę nad klasową kroniką. Gdybym mogła być przewodniczącą, to

wtedy nasza klika – moja! – kontrolowałyby całą najstarszą klasę i praktycznie całe Shreiber High. – Podniosła głos i zauważyła kątem oka, że wzbudza powszechne zainteresowanie. Kilka jedzących osób podniosło oczy znad talerzy, a dwaj mężczyźni przy barze odwrócili się, żeby im się przyjrzeć. Jennifer uświadomiła sobie nagle, że ona i Eileen są jedynymi kobietami w restauracji. Ściszyła głos.

– Jenny – powiedziała wolno Eileen – pozwól, że opowiem ci pewną historię i zobaczymy, czy przypominasz to sobie. Okay?

Jennifer skinęła potakująco. Dwa drinki spowodowały lekki ból głowy. Uniosła rękę, wypila łyk wody i zobaczyła, że dłoń jej drży.

– Pamiętasz nasz przedostatni rok? – zapytała Eileen.

– Oczywiście.

– Przypominasz sobie Sam Sam i nasz wyjazd do Jones Beach?

– O, tak! Sam Sam! – Jennifer uśmiechnęła się. Zapomniała to imię, nosiła je dziewczyna z Tajlandii, która przyjechała w związku z wymianą uczniów.

– Pamiętasz, co przydarzyło się Sam Sam, Jenny? – indagowała Eileen. Kelnerka wróciła z jedzeniem i Eileen spokojnie rozwijała serwetkę, obserwując uważnie przyjaciółkę.

Jennifer potrząsnęła głową. Mogła sobie wyobrazić Sam Sam, drobną dziewczynkę z pięknymi, długimi, czarnymi włosami, miłymi brązowymi oczami i prześlicznym uśmiechem.

– Nie przypominasz sobie tych frajerów z Bay Shore? Tych trzech motocyklistów na wydmach? Ty, ja i Sam Sam byliśmy w sobotę na plaży, opalałyśmy się.

– Tak, pamiętam! – odparła Jennifer, nagle przypominając sobie wszystko. Powrócił obraz młodych łobuzów, paradujących po plaży. Wyglądali dziwnie, chodząc po wydmach w obcisłych kurtkach i z długimi włosami. Zawędrowali na skrawek piasku, gdzie Jennifer, Eileen i Sam Sam leżały, wyciągnięte na kocach.

– Jeden z nich nazwał Sam Sam czarnuchem, prawda?

– Tak – wyszeptała Jennifer.

– Spójrz, Jennifer, ty naprawdę wypierasz z pamięci pewne wydarzenia, czyż nie? Wszyscy to robimy.

– Tak się bałam – wyznała Jennifer.

– Ale pamiętasz, co wtedy zrobiłaś?

Jennifer potrząsnęła głową.

– Wstałaś i wygarnęłaś im, powiedziałaś, że każesz ich wszystkich aresztować.

Jennifer skinęła głową, uśmiechając się. Wspomnienie dawno minionego incydentu sprawiło jej przyjemność.

– Zdaje się, że to zrobiłam. Byłam taka przerażona.

– A ja byłam taka dumna z ciebie. Pamiętam, jak Sam Sam ci dziękowała.

Zadecydowałam wtedy, że powinnaś zostać przewodniczącą klasy. Opowiedziałam wszystkim, co zrobiłaś. W oczach Jennifer pojawiły się łzy.

– Ona była naprawdę urocza. Ciekawa jestem, co się z nią stało.

– Zginęła w wypadku samochodowym w Tajlandii, kiedy miała dziewiętnaście lat.

– O Boże! Nie! Skąd...?

– Pisywałyśmy do siebie mniej więcej raz do roku, a potem jej brat przysłał wiadomość, że nie żyje.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mała Sam Sam...

– Wszystko jest w porządku – powiedziała pospiesznie Eileen. – Odrodziła się jako członek rodziny królewskiej gdzieś w Azji. Habasza mi o tym powiedział. W ciągu naszego życia ona zostanie wielką przywódczynią swojego narodu. Nie utraciliśmy Sam Sam. Po prostu przeszła do lepszego życia, ważniejszego i doskonalszego. Takie było jej przeznaczenie. Musisz nauczyć się to akceptować, Jenny. Pozwól, żeby twoje życie toczyło się swoim torem. Musisz wiedzieć w swoim sercu, że wszystkie te wydarzenia – dobre i złe – przeminą i że ty także przeminiesz, przechodząc do kolejnych egzystencji, kolejnych światów.

Jennifer poprawiła się na krześle, kręcąc głową.

– To wszystko jest takie dziwne. – Spojrzała na Eileen, rozejrzała się po sali i zauważyła, że dwaj mężczyźni przy barze wciąż się im przyglądają, szepcząc coś jeden do drugiego.

– Nie jesteś jeszcze gotowa, to wszystko. – Eileen wyciągnęła rękę i złapała Jennifer za nadgarstek. – Masz jednak wielkie możliwości, Jennifer. Twoja częstotliwość elektromagnetyczna jest dużo lepsza od mojej, być może masz większą moc niż Kathy Dart. Tak mi powiedziała.

– Nie umiem nic robić – odrzekła szeptem Jennifer, pochylając się nad stołem – z wyjątkiem zabijania ludzi.

– Ty jedynie zniszczyłaś to, co powinno być zniszczone. Uwolniłaś świat od indywiduów, które potrzebowały odrodzenia jako lepsze, bardziej czyste duchy.

– Nie jestem medium. Nie wiem...

– Rozumiem – przerwała Eileen. – Nie umiesz zwoływać duchów przewodnich, jak robi to Kathy. Ale jesteś obdarzona talentem, którego ona nie ma. Możesz „widzieć”, Jennifer.

– W takim razie dlaczego nie zobaczyłam faceta z pałką? Tego, który mnie uderzył!

– Jennifer znowu podniosła głos, poirytowana pewnością siebie swojej rozmówczyni.

– Jak ci powiedziałam, nie byłaś jeszcze gotowa – odparła spokojnie Eileen. – Mam takie wrażenie, że wkrótce zostaniesz wyróżniona. Tu gdzieś jest związek. – Podekscytowana Eileen gestykulowała rękami i niechący wezwała posługacza z dzbankiem kawy. – Przepraszam – roześmiała się. Obie z Jennifer zaczęły chichotać, wyczerpane długą jazdą, drinkami i absorbującą rozmową.

– Proszę nam wybaczyć – powiedziała Jennifer, opanowując się. – Czy mógłby pan poprosić kelnerkę o przyniesienie rachunku? – Uśmiechnęła się ciepło do młodego mężczyzny, który wpatrywał się w nie bezmyślnie i odszedł bez słowa.

Kelnerka zbliżyła się do nich, niosąc tacę z drinkami. Jennifer podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

– Nie zamawialiśmy następnej kolejki – wyjaśniła.

– Ci panowie przy barze pytają, czy nie mogliby postawić paniom drinka – odpowiedziała kelnerka, pochylając się, żeby postawić kieliszki.

Jennifer powstrzymała ją, mówiąc szybko:

– Proszę podziękować tym dżentelmenom, ale nie przyjmujemy drinków od nieznajomych. – Chociaż nie spojrzała w stronę mężczyzn, wiedziała, że są obserwowane, i natychmiast poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej, a krew płynie gwałtowniej.

– Jenny, uspokój się – szepnęła Eileen. – Lepiej nie...

– W porządku, Eileen – odpowiedziała spokojnie.

– Jennifer – nalegała szepem Eileen. – Lepiej nie wszczynajmy zatargu z tymi typami. – Wyciągnęła rękę, chwytając dłoń Jennifer i natychmiast ją cofnęła, otwierając szeroko oczy na widok wyrazu twarzy przyjaciółki.

– Wyprowadź mnie stąd – poprosiła Jennifer.

Eileen otworzyła torebkę i położyła pieniądze na blacie. Jennifer obeszła stolik i ruszyła do drzwi. „Poradzę sobie – powtarzała – jeśli wyjdę na zewnątrz, z dala od tych ludzi przy barze. To tylko sprawa samokontroli. Muszę się kontrolować”. Nerwowo oblizwała wargi.

– Cześć, skarbie, po co ten pośpiech? – Jeden z mężczyzn zszedł z barowego stołka. Był masywny, w rodzaju facetów, którzy w szkole grywają w piłkę, a po czasie ich mięśnie obrastają tłuszczem. Miał kwadratową głowę, osadzoną na prawie nie istniejącej szyi.

Jennifer wyszła z restauracji i skręciła w długi, wyłożony czerwonym dywanem korytarz, prowadzący do ich pokoju. Zorientowała się jednak, że jeśli mężczyzna pójdzie za nią, to się dowie, gdzie je znaleźć. Gwałtownie skręciła do małej wnęki mieszczącej maszynę z coca-colą.

– Hej, mam trochę rumu do twojej coli – odezwał się mężczyzna, wyłaniając się zza rogu. Nosił okulary w metalowych oprawkach, które zwięzały twarz. Szcherzył zęby w uśmiechu.

– Proszę odejść – zażądała, nie patrząc na niego.

– Hej, skarbie, Pete i ja chcieliśmy tylko kupić coś do picia tobie i twojej przyjaciółce. Jezu Chryste, mogłabyś być odrobinę bardziej towarzyska. Chcę powiedzieć, że nie mamy zamiaru was gwałcić. Proszę, oto moja wizytówka. – Błysnął białą kartą, wyjętą z kieszeni kamizelki. – Nazywam się Buddy Rich. Żadnych skojarzeń, tak? Jestem okręgowym akwizytorem Connect Computer. – Zdawał się puszyć przed nią. – Jesteśmy największą firmą komputerową na wschód od Illinois, obsługujemy szpitale, uniwersytety, większe przedsiębiorstwa. – Zastawił sobą wyjście i machał jej przed twarzą wizytówką.

– Weź to! – rozkazał.

Jennifer wzięła od niego kartę wizytową.

– Widzisz! To nie takie złe, prawda?

Czuła alkohol w jego oddechu i zapach potu i wiedziała już, co nadciąga. Wiedziała, że nie zdoła się powstrzymać, nie da rady, jeśli nikt jej nie pomoże.

– Proszę – szepnęła.

– Myślę, że trochę zabawy w mamę i tatę byłoby niezłe. Co ty na to? – Zbliżył się.

– Słucham? – zapytała. Była teraz przyparta do ściany wnęki. Skoncentrowała się na dźwiękach – buczeniu wielkiego automatu do napojów i grzechotaniu maszyny do lodu. Potem dotknął jej.

Jennifer chwyciła go za gardło, zanim zdjął rękę z jej ramienia. Spojrzała w górę i zobaczyła wodniste, niebieskie oczy wychodzące nieomal z orbit. Uśmiechnęła się do niego, żeby wiedział, iż sprawia jej to przyjemność.

Trzymała go kilka cali nad posadzką w jednej wyciągniętej ręce, zdumiona własną siłą. Powoli obracała się i kręciła, dopóki nie uświadomiła sobie, że mężczyzna

stracił kontrolę nad swoimi zwieraczami. Bez chwili zastanowienia pchnęła go na maszynę do lodu. Uderzenie stłukło mu okulary i okrwawiło twarz, a z automatu posypały się kostki lodu. Jennifer, trzymając natręta jedną ręką, wcisnęła jego kwadratową głowę do otworu automatu. Czaszka była zbyt duża w stosunku do wgłębienia i musiała nacisnąć mocniej, zdzierając przy tym ofierze skórę z czoła i koniuszków uszu, zanim udało się jej wbić głowę.

Pozostawiła go tak, wciśniętego w maszynę do robienia lodu, klęczącego we własnym moczu i odchodach i wyszła do ciemnego korytarza, gdzie czekała Eileen, drżąca i przerażona.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli się wymeldujemy – powiedziała Jennifer i poszła długim korytarzem w stronę ich pokoju.

Rozdział 22

– Przestań się oglądać, Jenny! On za nami nie jedzie.

– Skąd możesz być taka pewna? – Jennifer ponownie wyjrzała przez tylne okno kombi, ale nie zbliżał się do nich żaden samochód ani migający światłami radiowóz. Droga była pusta. Znajdowały się same na ciemnej autostradzie, podróżując na zachód przez Ohio. Zaczął padać śnieg i wycieraczki zgarniały płatki sypiące w okna. Jennifer poczuła, że samochód zatrzęsł się, jakby uderzony porywem wiatru.

– Z pewnością nie pójdzie na policję i nie powie, że jakaś kobieta wcisnęła jego tłustą gębę do maszyny do lodu. – Eileen zaczęła chichotać na to wspomnienie. – Myślę, że jeszcze nic w życiu nie zrobiło na mnie takiego wrażenia. Jenny, ty wytrząsałaś gówno z tego faceta! Jakbyś była Rambo czy kimś takim!

– Bardziej jak Hulk Hogan – odparła Jennifer. Siedziała na tylnym siedzeniu, owinięta kocem i wstrząsana dreszczami. To uczucie zimna było czymś, co przychodziło razem z siłą. Wiedziała, że kiedy się uspokoi, poczuje się lepiej i przestaną jej drżeć ręce. Zastanawiała się, czy to strach powodował dreszcze, czy też były one prostym efektem wściekłości.

– Jesteśmy bezpieczne, Jenny, Mówię ci, przestań się denerwować.

– Chciałabym móc to zrobić. – Jennifer schowała twarz w grubym kocu, żeby obetrzeć łzy. Była tak zmęczona płaczem. Pomyślała, że ta huśtawka emocjonalna martwi ją tak samo jak niezwykła siła. – Eileen, chyba nie dam rady. Nie usiedzę w samochodzie przez całą drogę do Minnesoty.

– Nie będziemy przez cały czas jechać samochodem. Jesteśmy godzinę drogi od Akron. Możemy zostawić tam samochód i polecieć do St. Paul. Zadzwońię do Kathy, a ona wyśle nam kogoś na lotnisko. Jeśli złapiemy dobre połączenie, będziemy na farmie jutro po południu.

– Gdzie to dokładnie jest?

– Około godziny drogi na północ od St. Paul. To piękny kraj. Pokochasz go!

– Kto tam jest? Oprócz Kathy! – Jennifer wyprostowała się na siedzeniu, uświadamiając sobie, jak mało wie o Kathy Dart. Nigdy nie wyruszyłyby samorzutnie w taką podróż, gdyby nie Eileen. Tak naprawdę tylko Eileen Gorman była osobą, którą darzyła zaufaniem.

– Jest tam Aurora, córka Kathy. To śliczne dziecko, uzdolnione, tak samo jak

matka.

– A co z jej ojcem? Mężem Kathy? – zapytała Jennifer. Była tak zaprzątnięta własnymi problemami, że nigdy nie zastanawiała się nad prywatnym życiem Kathy Dart.

W ciemnościach panujących we wnętrzu samochodu Jennifer zobaczyła, że jej przyjaciółka potrząsa głową.

– Uwierz mi, nie wiem tak dużo. Nikt nie wie. To znaczy, słyszałaś, co Kathy mówiła w Waszyngtonie o tym, jak mieszkała w Kalifornii i nie była w małżeństwie szczęśliwa. – Eileen wzruszyła ramionami. – Tyle wszyscy wiemy. To znaczy, ludzie z zewnątrz.

– Ale musi być coś więcej. Zawsze jest coś takiego – powiedziała Jennifer. Przez chwilę jechały w ciszy. Jennifer przestała wyglądać przez okno. Bała się ciemności, bała się wszystkiego, co było dla niej nowe. Ten strach rozbudzał gniew. To było tak, jakby zabrano jej jakąś część życia.

– Zatem oprócz Aurory, kto jeszcze będzie na farmie? – zapytała w końcu, przerywając milczenie.

– Zobaczymy. Naprawdę nie wiem. Ludzie przychodzą i odchodzą. Kiedy Kathy nie podróżuje, prowadzi sesje w tukul. To główny budynek, gdzie wszyscy spożywają posiłki i spędzają czas. Jest to też miejsce spotkań wspólnoty.

– Czy przypomina to coś, co odbywa się w Oregonie, indyjski kult z wolną miłością? – Może zbyt wiele przyjmowała na wiarę.

– Nie! To nie ma z tym nic wspólnego, Jennifer – uspokoiła ją Eileen. – Wytrącasz się z równowagi zupełnie bez powodu. Nie zrobiłabym ci tego. Nie zrobiłabym tego sobie!

– Nie wiem, co mam myśleć. Ale jestem pewna, że nie chcę być zamieszana w żaden dziwaczny ruch, ze śpiewaniem inwokacji, ubieraniem się na czerwono i uprawianiem seksu z facetami, którzy gołą sobie głowy. Pragnę tylko pomówić z Kathy Dart.

– Ja także – odpowiedziała Eileen, dodając jej odwagi. – Ludzie konsultują się z nią przez cały czas. Kiedy byłam tam we wrześniu, jakaś grupa facetów ze związków, wiesz, szefowie, zastępcy przewodniczących, odbywała trening odkrywający ludzkie możliwości. Mieli jednodniową sesję nazwaną Desta, co po etiopsku znaczy „szczęśliwy”, i podczas tego tygodnia kontaktowali się z Habaszą. Odbywają się tam też inne rzeczy: odgrywanie scenek, spowiedzi, medytacje. Kathy mówi, że to pomaga ludziom, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach, odkryć ich własne autodestrukcyjne postawy. I mówię ci, Jenny, po tygodniu ci faceci po prostu fruwali! Byli tacy podnieceni. Pamiętam, iż pomyślałam sobie, że jeśli Kathy Dart i Habasza zawsze przynoszą taką radość garstce biznesmenów, to mediumizm jest tego wart.

Jennifer uśmiechała się słuchając. Zapomniała już, jak entuzjastycznie Eileen odnosiła się do świata.

– W porządku, biznesmeni, kto jeszcze? – pytała, próbując wyobrazić sobie, jak wygląda farma.

Eileen wzruszyła ramionami.

– Ludzie, jak ty i ja.

– Tak źle?

– Jeszcze gorzej. Każdy słyszał o Kathy albo widział ją w telewizji.

Jennifer skinęła głową. Przypomniała sobie, jak oglądała program telewizyjny o piątej rano.

– Gdzie będziemy spały? – spytała. – Nie mają tam wspólnych sypialni, prawda?

– Och, nie. Każdy ma własny pokój, z pojedynczym łóżkiem. Kathy wierzy, że ludzie potrzebują izolacji, zwłaszcza kiedy medytują. Uważa także, że każdy potrzebuje swojej własnej, osobistej przestrzeni. Szczególnie bliźniacze dusze.

– Bliźniacze dusze?

– Tak. Bliźniacza dusza to ktoś, z kim dzieliliśmy kiedyś życie. Jest pomiędzy nimi ogromny wzajemny pociąg, ale też wielkie urazy. Elizabeth Taylor i Richard Burton byli duchowymi bliźniakami. Podobnie Madonna i Sean Penn. Prawdziwe bliźnięta często funkcjonują w życiu w ten sposób. Kochają się i nienawidzą jednocześnie. Twój problem może wynikać z konfliktu z jakąś bliźniaczą duszą.

– To, co się ze mną działo i w dalszym ciągu się dzieje, wynika z czegoś silniejszego niż związek oparty na miłości i nienawiści.

Eileen przytaknęła ruchem głowy.

– Jestem tego świadoma i nie znam przyczyny tych wybuchów, ale wydaje się, że jesteś raptownie przyciągana przez inne dusze, które kiedyś żyły razem z tobą. Twoje minione istnienia zbierają się razem w tym życiu.

– Dlaczego teraz? – Jennifer opadła na oparcie i przez chwilę jechały w milczeniu.

– Nie prosiłam o to – powiedziała w końcu.

– Wiem – przyznała Eileen. – Może ja jestem temu winna. Sprowokowałam cię do kontaktu z Kathy. – Nie odrywała oczu od szosy. – Ale ona może cię także uratować. A jeśli nie Kathy, to Habasza.

Jennifer przymknęła oczy i pocieszała się myślą, że w Minnesocie czeka na nią pomoc. Kiedy spojrzała znowu, dostrzegła na ciemnym horyzoncie jasne światła. Nagły rozbłysk jasności przypomniał jej scenę z filmu Bliskie spotkania trzeciego stopnia: rozjarzające się niebo podczas przylotu statku kosmicznego.

– Co to jest? – zapytała.

– Wydaje mi się – odpowiedziała Eileen, zdejmując nogę z pedału gazu – że to centrum Akron.

– A jeśli nie ma nic takiego jak reinkarnacja? – zapytała wreszcie Jennifer w chwili, gdy Eileen zjeżdżała z autostrady. – Jeśli nie ma bliźniaczych dusz ani wspólnych istnień, ani wielokrotnych osobowości?!

Udzielając odpowiedzi, Eileen nie odrywała wzroku od szosy.

– W takim razie się znajdziesz w prawdziwych kłopotach – powiedziała cicho.

– Dlaczego? – zapytała Jennifer.

– Bo to znaczy, że jesteś zabójcą. Mordujesz z zimną krwią.

Dni stawały się teraz chłodniejsze i słońce zniknęło, zanim Bura i inni mieli czas zebrać drewno z doliny. Ponieważ Bura była starsza – przeżyła już trzynaście zim – i silna, silna jak każdy samiec, z wyjątkiem Niry, dźwigała na grzbiecie pełny ładunek przez całą długość doliny. Przystanęła na trawiastym zboczu, gdzie mieszkali, odkąd sięgała pamięcią. Zaglądając do głębokich jaskiń, wykutych

krzemiennymi toporkami w każdym występie skalnym, pomyślała o tym, o czym opowiadała matka jej matki. Kiedy matka jej matki była dziewczynką, zamieszkali w wapiennych jaskiniach, spędzając zimy skuleni wokół podsycanego węglem drzewnym ognia, owinięci w skóry wilków. Tylko mężczyźni wychodzili na zewnątrz podczas krótkich godzin dziennego światła, żeby polować, a kiedy wracali z upolowanym zwierzęciem, wszyscy ludzie mieli wielką ucztę.

Bura pomyślała, że to musiało być wspaniale mieszkać w jaskini. Matka jej matki pokazała jej kiedyś, gdzie spała na chłodnej półce skalnej, zasłonięta przed północnymi wiatrami, podczas gdy starzy ludzie snuli opowieści, i opowiedziała, jak leżała bezsennie, obserwując odbłask płomieni tańczących na skalnych ścianach, przytulona do swoich sióstr.

Teraz jednak mieszkali w okrągłych chatkach, zbudowanych z kości i niedźwiedziej skór i tylko dzieci bawiły się w jaskiniach w czasie ciepłych miesięcy. Kiedy Bura zakrwawiła z łona, wówczas jej matka i matka jej matki zabrały ją do jaskini malowideł i tam wypila własną krew, a jej twarz i piersi zostały pokryte grubą warstwą pasty i kobiety modliły się do wszystkich duchów, żeby jej łono zakwitło potomstwem. Matka powiedziała, że Bura pójdzie mieszkać z ludźmi Niry i tamtej nocy poszła i spała w grubych, ciepłych skórkach z jego siostrami, i minęły trzy dni i trzy noce, a on nie przyszedł do niej.

Bura wiedziała, on się pojawi tej nocy. Mówiono jej, iż mężczyźni nigdy nie przychodzą, żeby wziąć swoje kobiety pierwszej nocy, i im dłużej czekają, tym więcej mocy jest w ich kopulacji. Nie bała się. Widziała swoich braci, łączących się z ich nowymi kobietami, słyszała jęki rozkoszy i bólu.

Bura wspinała się o zmroku ścieżką prowadzącą do jaskini, pochylona, by zrównoważyć ciężar spoczywającej na jej ramionach wiązki drewna, które naniosiła rzeka. Wtedy właśnie pochwycili ją. Przyczaili się w cieniu załomu skały, klęcząc w ukryciu i czekając na kobiety wspinające się w górę znad rzeki. Jeden z nich zakrył jej usta dłonią, otoczył ramieniem jej nagą talię. Drugi wybił spod niej nogi, powalając ją, jakby była jeleniem o smukłych kończynach. Zaciągnęli ją w głąb zapomnianych jaskiń, oświetlonych teraz kośćmi zwierząt.

Bura biła masywną dłoń zakrywającą jej usta i kopała nogami, ale dwaj mężczyźni trzymali ją między sobą. Pochwycili jej okrycie ze skór i zerwali je. Była teraz naga. Tylko sznur muszelek wisiał jej na szyi i jeden z mężczyzn chwycił je, zwinął grubym rzemieniem ciasno wokół jej gardła, tak że nie mogła złapać oddechu.

Próbowali z nią kopulować. Mogła już poczuć jednego, który wszedł w nią od tyłu, ściskając ramionami jej brzuch, wsuwając w nią swój członek. Wiła się w jego uścisku, dopóki skórzany sznur nie zacisnął się jeszcze mocniej wokół jej szyi. Oswobodziła jedną rękę i rozorała paznokciami twarz stojącego z przodu mężczyzny.

Kiedy pasek skóry rozluźnił się, upadła w pył, z trudem łapiąc oddech. Klęczała na ziemi i gdy wzięła długi wdech, odskoczyła, pędząc jak królik, przyłapaną na otwartej łące. Pobiegli, żeby złapać ją, kiedy wspinała się stromą ścieżką. Była od nich obu wyższa i szybsza i nawet w ciemnościach знаła jaskinie i półki. Jeśli dotrze do grzbietu, będzie uratowana.

Oddech palił ją w gardle, był także ten ból wewnątrz niej. Ale jeśli pochwycą ją teraz, zabiją ją. Nie mogła dostrzec ich za sobą na ścieżce, ale słyszała, wiedziała, że

są za nią.

Wydostała się na najwyższy punkt ścieżki i wybiegła na otwartą łąkę, westchnęła z wyczerpania i bólu. Była bezpieczna. Widziała rozproszone płomienie ognisk, migoczące jak gwiazdy, i rzuciła się do bezpiecznej chaty matki. Czowała nawet zapach mięsa piekącego się na ogniu, kiedy przyspieszyła kroku i wpadła w ramiona Niry.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

Próbowała mówić, wyjaśniać, ale udało się jej tylko unieść ramię, wskazując, że ktoś za nią podąża.

Zobaczył ich natychmiast, wypadających na łąkę, i skoczył w ich kierunku, i uderzył jednego z nich pałką w nasadę szyi. Bura usłyszała odgłos, jaki wydały kości pękające niczym drzewo uderzone ogniem z nieba. Pobiegnęła za Nirą, przeskakując martwe ciało powalonego mężczyzny, i podążyła za nim, kiedy tropił drugiego napastnika, posuwając się w dół wykutej w wapieniu ścieżki.

Zamachnąwszy się z całej siły krótką pałką, Nira uderzył drugiego samca w bok twarzy, zabijając go, jak ludzie z równin zabili rysia, który zszedł ze wzgórz, i przerzucił go przez krawędź urwiska.

Bura podbiegła do Niry i ujrzała jego czarne oczy, oglądające ją uważnie. Chciała, żeby wziął ją do prywatnych, zapomnianych jaskiń i złączył się z nią, ale on zdawał się nie słyszeć jej przedłużającego się milczenia, więc wzięła jego dłoń i podniosła ją, żeby dotknął jej nagiej piersi.

Przycisnęła do niego swoje nagie pośladki i poczuła, że jego członek nabrzmiewa, usłyszała jego oddech, który się stawał urywany i ciężki.

– Ty! – krzyknął Nira. – Parzyłaś się z Żółtymi Oczami.

Bura pokręciła głową.

– Nie! – powiedziała.

– Twój otwór jest od nich wilgotny – odrzekł Burze, odtrącając ją.

– Nira, oni mnie złapali, ale ja uciekłam. Biegłam. – Bała się teraz. – Z nikim nie kopulowałam – mówiła błagalnie, upadając na kolana.

Nira cisnął jej przekleństwo i próbował odrzucić ją kopniakiem, ale przywarła do niego wiedząc, że jeśli ją zostawi, zostanie wypędzona przez jego rodzinę. Nikomu nie wolno było łączyć się z obcymi i powracać do plemienia.

– Nie, Nira! Nie! – krzyknęła, obejmując go w pasie i podciągając się w górę. Strach dodał jej zdumiewającej siły i kiedy zaczął się z nią szarpać, walczyła z nim. Jej nagie ciało było śliskie od potu, co utrudniało mu odepchnięcie jej, ale potem złapał ją za włosy i przeciągnął ostrą krawędzią kwarcowego kamienia w poprzek jej piersi, naznaczając jej ciało, naznaczając ją piętnem, jak kogoś, kto się parzył z Żółtymi Oczami.

Rozwścieczona, kopnęła go, mierząc w przyrodzenie. Jęknął i zgiął się w pół. Nie mogąc powstrzymać swojej złości, Bura uderzyła go znowu, tym razem chwytając palcami jego gęste, czarne włosy i pociągnęła go w kierunku ostrej krawędzi wapiennego urwiska. Chciał ją powstrzymać, ale się uchyliła i używając wszystkich sił zdobytych podczas drugich dni zbierania drewna, zepchnęła go ze zbocza. Nira wrzasnął, próbując przytrzymać się czegoś, a potem poleciał w ciemną czeluść wąwozu.

Bura upadła na twardą ścieżkę i płakała, wyciągając ręce nad krawędzią, jakby

chciała wyciągnąć go z otchłani. Teraz nie miała mężczyzny i wiedziała, że starsi szczepu się dowiedzą, co zrobiła, i zabiją ją.

Wszystko było stracone. Jej życie się skończyło. Stojąc na skraju głębokiego parowu, pomyślała krótko o swojej matce, którą tak rozczarowała, a potem bezszelestnie skoczyła w pustkę, spadając bez końca w czarną przestrzeń.

Rankiem wieść obiegła chaty i ciała Bury i Niry zostały wniesione na wysokie wapienne zbocze. Potem górskie plemię przeniosło się z wapiennych zboczy na lepsze tereny łowieckie, dalej na południe, a nowe szczepy przybyły na równiny i wykarczowały ziemię pod uprawy. Starzy ludzie wspominali czasy, kiedy opuścili urwisko, i niektórzy opowiadali o śmierci dwojga młodych ludzi. Nikt nie pamiętał ich imion.

Rozdział 23

– Jesteś teraz bezpieczna – powiedziała Kathy Dart, obejmując Jennifer łagodnym uściskiem. Uśmiechała się, lecz Jennifer zdawało się także, że jest bliska łez. – Miałaś długą podróż – rzekła miękko – ale teraz jesteś w domu.

Kathy poprowadziła ją przez frontowe drzwi na środek salonu. Budynek ten był kiedyś stodołą i teraz gospodyni ponownie odśloniła oryginalne krokwie dachowe. Wnętrze było dość przestronne, z nagimi ścianami z surowego drewna wznoszącymi się do sklepionego stropu.

Południową ścianę długiego pomieszczenia zajmowały okna. Jennifer dostrzegła jezioro przed domem i więcej budynków, stłoczonych razem przy pobliskim wiecznie zielonym zagajniku. Jej uwagę jednak przyciągnął wkrótce potężny kamienny kominek, który dominował w pokoju. Miękkie skórzane fotele i sofy stały zgrupowane wokół otwartego paleniska.

– Ta godzina jest zaplanowana jako czas osobisty. Wszyscy są poza tym budynkiem, medytując albo śpiąc, albo jeżdżąc na łyżwach po jeziorze. Po południu nawiążę kontakt z Habaszą. Och, tak się cieszę, że tu jesteś! – Kathy się rozpromieniła i ujęła dłoń Jennifer w swoje ręce.

Była o wiele piękniejsza, niż Jennifer ją zapamiętała, miała jasną, doskonałą cerę. Pomyślała, że Kathy Dart musi być bardzo szczęśliwą kobietą.

– Będziemy później miały mnóstwo czasu na rozmowę, Jennifer. – Spojrzała na Eileen. – Powiedziałam Simonowi, że chcę mieć was obie obok siebie w wielkim domu. W ten sposób będziemy się mogły łatwo spotkać, żeby porozmawiać. Rozłokujcie się teraz. Musicie być wyczerpane. – Gospodyni odwróciła się i poprowadziła je w poprzek pokoju.

– Czy jest tu jakiś telefon, z którego mogę zadzwonić do Nowego Jorku? – zapytała Jennifer. – Muszę skontaktować się z moim biurem. – Po przyjeździe do St. Paul powinna była zatelefonować i zostawić wiadomość Tomowi, że dojechały bezpiecznie.

Kathy zatrzymała się w wejściu do hallu.

– Oczywiście, Jennifer. Ale muszę ci powiedzieć, że jedną z naszych zasad tu, na farmie, jest odcięcie się od wszystkich światowych codziennych trosk. Zauważyłam – Habaszą zauważył – że sesje medialne przebiegają dużo łatwiej, jeśli każdy bardziej

się koncentruje na tym, co się dzieje tutaj niż na zewnętrznych problemach. Jestem pewna, że to rozumiesz.

– Tak, oczywiście – potwierdziła szybko Jennifer, zmieszana.

Z twarzy Kathy nie zniknął uśmiech, gdy dodała:

– Jak tylko Simon przyjdzie z bagażem, poproszę go, żeby zaprowadził cię do mojego biura.

– Simon? – zapytała Jennifer. – On pracuje dla ciebie? – Poczowała, jak Eileen trąca ją łokciem w bok.

Kathy wybuchnęła śmiechem.

– Och, nie wiem, czy któreś z nas pracuje dla drugiego. Chociaż są dni, kiedy mówię Habaszy, iż myślę, że spędzam życie na niewolniczej pracy dla niego. Nie, Simon nie pracuje dla mnie. – Otworzyła drzwi wiodące do wschodniego skrzydła stodoły, gdzie mieściły się ich pokoje. – Jesteśmy bliźniaczymi duszami i spotykaliśmy się już w poprzednich istnieniach. Teraz mogę chyba powiedzieć, że jesteśmy kochankami.

Z pokoju Jennifer rozciągał się widok na płytką dolinę leżącą u podnóża farmy. Słońce właśnie zachodziło i jego pomarańczowy blask dodawał miękkości surowemu północnemu krajobrazowi. Stała bez ruchu, skoncentrowana na uroczej zimowej scenerii.

Po chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi sypialni. Nie odwracając oczu od widoku, powiedziała:

– Proszę wejść.

– Twój bagaż – odpowiedział męski głos. Jennifer się odwróciła. Światło padające z korytarza obrysowywało sylwetkę stojącego w drzwiach mężczyzny. Nie mogła dostrzec twarzy, ale wiedziała, że to musi być Simon.

– Dziękuję.

Odstawił torby i wszedł, ściągając skórzane rękawice. Nappełnił pokój swoją obecnością i Jennifer zauważyła, że odruchowo się odsuwa, żeby zrobić mu miejsce.

– Jestem Simon – przedstawił się. – Simon McCloud.

– Tak, wiem – powiedziała. – Przyjaciel Kathy.

Uśmiechnął się.

– Czy ja cię znam? – spytała Jennifer, wpatrując się w niego.

– Nie wiem. Znasz? – Uśmiechał się w dalszym ciągu.

– Chciałam powiedzieć, że twoja twarz wydaje mi się taka znajoma. – Wyglądał jak drwal, z bujną brodą, ciemnymi brwiami i gęstymi włosami wymykającymi się spod wełnianej czapki.

– Wszyscy tak mówią – drażnił się z nią, powoli wkładając rękawiczki do kieszeni kurtki. – A ty jesteś... kim? – zapytał uprzejmie.

– Jennifer. Jennifer Winters. – Poczowała z zakłopotaniem, że jej twarz oblewa się rumieńcem, nie mogła jednak oderwać oczu od mężczyzny. – Przepraszam, że tak ci się przyglądam – usprawiedliwiała się – ale ciągle myślę, że zaraz sobie przypomnę. Chodziłeś do szkoły w Chicago? – próbowała wyobrazić go sobie w kampusie.

Roześmiał się, a w jego oczach pojawiły się iskierki. Jennifer także się zaśmiała. Pomyślała, że w niczym nie przypomina nowojorczyka, od razu taki przyjacielski i otwarty. Taki więc jest Środkowy Zachód. Nikt tu nie ma wrogiego nastawienia do

innych.

– Nigdy nie byłem w Chicago. Właściwie to nigdzie nie byłem, z wyjątkiem Duluth i St. Paul. – Pogodnie wzruszył ramionami.

– Cóż, wydajesz się taki znajomy – odparła Jennifer. W końcu jej się udało oderwać spojrzenie od rozmówcy i wyrzuciła przez okno. – Zachwycałam się właśnie zachodem słońca – wyjaśniła.

Pomarańczowy blask zniknął już ze zbocza wzgórza, światło bladło i zimowy krajobraz Minnesoty wyglądał ponuro. Simon zbliżył się i stanął obok niej, wpatrując się w odchodzący dzień. Była w pełni świadoma jego obecności obok siebie, jego ciepła; obserwując oddech mężczyzny, zasnuwający mgłą szybę, uświadomiła sobie, jak bardzo ją pociąga.

Nowy znajomy przerwał ciszę.

– Wygląda posępnie, prawda? W taką noc nie chciałoby się być na zewnątrz. Później, po kolacji, wszędzie księżyc i oświetli całą dolinę. Zwykle chodzimy jeździć na łyżwach po jeziorze, rozpalamy ognisko na brzegu i robimy czekoladę na gorąco i gorący rum z masłem. Jeździsz na łyżwach? – zapytał.

– Cóż, spróbuję.

– Dobrze! Pomogę ci. My wszyscy, mieszkańcy Minnesoty, rodzimy się z łyżwami albo nartami na stopach. – Postukał paznokciami w szybę, która odpowiedziała ostrym dźwiękiem. – To będzie mroźna noc. – Uśmiechnął się i cofnął. – Lepiej zaniosę bagaż Eileen. Kathy powiedziała, że macie za sobą długą drogę i potrzebujecie wypoczynku. – W drzwiach przystanął i odwrócił się do niej. Jennifer nie ruszała się od okna. – Witaj na farmie, Jennifer. Czy to twoja pierwsza wizyta?

Skinęła głową. Szaleńczo szukała w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, żeby zatrzymać przy sobie Simona.

– Przyjazd tutaj zmienił moje życie – powiedział. Przerwał na chwilę. – Zawdzięczam to Kathy. – Spojrzał na Jennifer i uśmiechnął się ciepłym, szczerym uśmiechem. – Ciebie także uratuje. Wiem to. – A potem zamknął drzwi sypialni i zniknął.

Jennifer się nie poruszyła. Wstrzymała oddech, starając się zatrzymać wrażenie jego obecności, zatrzymać intymność ich wspólnej chwili. Stopniowo powróciła do teraźniejszości, usłyszała odległe hałasy dobiegające z głębi wielkiego, starego domu, odgłos kroków i stłumione dźwięki, odetchnęła głęboko, nagle zupełnie wyczerpana długą podróżą i całotygodniowym napięciem. Usiadła na brzegu pojedynczego łóżka i ściągnęła długie buty. Wstając ponownie, wyśliznęła się z wełnianej spódnicy, odpięła stanik i – w swetrze i rajstopach – wsunęła się pod grube koce i ułożyła do snu.

Jennifer poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu. Jeszcze nie w pełni obudzona, wyciągnęła rękę i chwyciła intruza za nadgarstek.

– Jenny, to ja! – krzyknęła Eileen. – Auuu! – Na powrót opadła na łóżko. – Obudź się, Jenny. Wstawaj. Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

Jennifer puściła ją i podniosła się.

– Przepraszam. Byłam taka...

– Wiem. Pukałam, ale nie odpowiadałaś. Przykro mi, że cię niepokoję.

– Która godzina? – spytała Jennifer, przecierając oczy.
– Koło szóstej. Spałaś dwie godziny.
– O Boże. Mogłabym spać przez tydzień. – Jennifer opadła na poduszkę. – Na dworze jest ciemno jak w piekle! – powiedziała, wyglądając przez okno.
– Tu jest wieś, Jenny. Tak to właśnie wygląda. – Eileen się podniosła ze skraju łóżka, na którym przysiadła, i włączyła stojącą na biurku lampę. – Lepiej?
– Tak – zgodziła się z nią Jennifer. Usiadła. – Chyba się ubiorę. Wezmę prysznic i z pewnością dojdę do siebie. Przy okazji, gdzie są natryski?
– Na dole, w hallu. Są wspólne.
– Nieźle! – jęknęła Jennifer. – Nie wejdę pod prysznic w moim klubie, a cóż mówić o tych tutaj.

Eileen wzruszyła ramionami.

– Och, to nie jest takie złe. Są tam prywatne kabiny, jeśli ich potrzebujesz, ale Kathy uważa, że jesteśmy zbyt ograniczeni naszą kulturą. To jeden ze sposobów na przełamanie naszych zahamowań.

– Branie natrysku z obcymi na pewno się do tego przyczyni.

– Jestem pewna, że nie miałybyś nic przeciwko wspólnemu prysznicowi z Simonem McCloudem – zaśmiała się Eileen.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Och, widziałam, że „podrzucenie” ci bagażu zabrało mu trochę czasu.

– Eileen, daj spokój. – Jennifer odrzuciła koce i wstała. Podniosła z krzesła swoją wełnianą spódnicę i włożyła ją.

– Zatem, co tu robiliście?

– Oglądaliśmy zachód słońca – odpowiedziała lakonicznie Jennifer.

– On jest niewiarygodny, prawda?

– Niewiarygodny? W jaki sposób? – Jennifer czekała, ciekawa, co jej przyjaciółka myśli o Simonie.

Eileen wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Niewiarygodnie „wiejski”, nie sądzisz? Wydaje mi się to dziwne, że Kathy, która jest taka wysublimowana, związała się z nim. Co o tym myślisz?

Jennifer się skupiła na rozpakowywaniu bagażu. Wyjęła z walizki włochaty szlafrok.

– Nie sądzisz? – nalegała Eileen.

– Związek z kimś tak wspaniałym nie może być zbyt dziwny – powiedziała zdecydowanie Jennifer, zarzucając płaszcz kąpielowy na ramię. Wiedziała, że nie powinna okłamywać Eileen, mówiąc o swoich odczuciach. Lepiej się już przyznać do nich i zapomnieć o wszystkim. – Ale wiem też, że jest związany z Kathy Dart, tak samo jak ja jestem związana z Tomem. Nie zamierzam się rzucać na tego biedaka w jakimś ciemnym kącie. Albo pod prysznicem. – Roześmiała się wychodząc i skierowała w stronę łazienki.

Prysznice były puste. Jennifer westchnęła, wdzięczna za te małe uprzejmości. Przypomniała sobie, jak się kochała z Tomem w wypełnionej gorącą parą łazience w Brooklynie i to wspomnienie podnieciło ją. Żeby się uspokoić, odkręciła kurek i zanurkowała pod strumień wody.

Dziesięć minut później wyszła spod natrysku, owinięta ręcznikami. Stanęła

w drzwiach łazienki i spojrzała w stronę salonu, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna.

Drzwi na końcu korytarza były uchylone i smuga światła z pokoju oświetlała wejście. Słyszała głosy, dochodzące z dalszych części domu. Kiloro ludzi rozmawiało ze sobą i śmiało się. Być może byli to łyżwiarze, wypijający drinka przed obiadem.

Jennifer skierowała się w stronę swojego pokoju i ujrzała jakąś postać wychodzącą z salonu na korytarz. Zatrzymała się natychmiast, zaskoczona nagłym widokiem mężczyzny, i głęboko zaczerpnęła powietrza. Postanowiła, że nie będzie wariować i szykowała się, żeby powiedzieć „hello”, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest to żaden z gości Kathy Dart.

Zaalarmowały ją rozmiary mężczyzny. Był olbrzymi. Wydawał się większy od drzwi i poruszał się wolno w jej kierunku, podchodząc od strony jedyne go wyjścia. Cofnęła się przestraszona. Natychmiast uderzył ją odór potu i uryny.

– Cześć – powiedziała, kierowana potrzebą usłyszenia własnego głosu i zerknęła do ciemnego korytarza, mając nadzieję, że ujrzy rysy nieznanego. Twarz jednak ukryta była w szmatach, którymi się owinał dla ochrony przed zimnem. Potem dotarło do niej, kto to jest. Stał przed nią człowiek, którego zabiła przed muzeum. Nie był martwy.

Przyszedł po nią i teraz zapędził ją do rogu korytarza. Cofnęła się, by być dalej od niego, odchodząc także od oświetlonych drzwi salonu, ale mężczyzna ciągle posuwał się w jej stronę. Jego ciało wypełniło wąskie przejście, zasłaniając światło, sączące się z salonu, i blokując wyjście, jakby był bramkarzem w lokalu. Była w pułapce.

– Nie – wyszeptała, przyciskając do piersi ręcznik. Próbowwała krzyknąć, ale z gardła nie dobył się żaden dźwięk. Czekala, żeby jej ciało ogarnęła nieprzeparta furia i zamieniła ją w bestię, ale tym razem przemiana nie nastąpiła. Nie czuła zimnego powiewu ani pulsowania w mięśniach. Żadnej wściekłości.

Jennifer zatoczyła się na ścianę. Dotarła do końca korytarza, rozejrzała się w poszukiwaniu drzwi, ale było tam tylko okno, szczelnie zamknięte ze względu na mróz, a za nim rozciągała się ciemność wiejskiej nocy. Łkając, osunęła się na dywan i czekała, aż mężczyzna ją zabije.

– Jennifer, nic ci się nie stało? – głos Kathy Dart przedarł się do jej świadomości. Leżała skulona w rogu. Drżała, ledwie czując, jak kojąca dłoń gładzi ją po włosach. – Wszystko w porządku, Jenny – wyszeptała gospodyni. – Jestem przy tobie. Coś cię przestraszyło, to wszystko. Jesteś bezpieczna.

– Wydawało mi się, że coś zobaczyłam – próbowała wyjaśnić, nie patrząc na Kathy Dart. Jennifer uświadomiła sobie, że jest mokra. Upokorzona, z wysiłkiem podniosła się do siedzącej pozycji. Czuła się jak małe dziecko.

– Tak? – Kathy cierpliwie czekała na wyjaśnienie. Klęczała na dywanie obok Jennifer. – Powiedz mi. To był ktoś z twojej przeszłości? Czy to była Margit?

Jennifer pokręciła głową.

– To nikt, kogo znam. To znaczy, wyglądał jak bezdomny. Ktoś, kogo... – Próbowala się skoncentrować. – To było niesamowite. Myślałam, że to człowiek... – Jennifer potrząsnęła głową i ponownie zaczęła szlochać. Kathy Dart zamknęła ją

w czułym uścisku.

– Zaczynam wariować – wyszeptała Jennifer. – Zabijam ludzi. W moim mieszkaniu rozmawiam ze zmarłymi. Mam halucynacje. Och, dobry Boże, pomóż mi.

Jenny uwolniła się z ramion Kathy, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Poczwała, jak Kathy ociera jej łzy. Przez chwilę pozwoliła, by ją pocieszano.

– W ciągu najbliższych kilku dni, Jennifer – mówiła cicho Kathy – odpowiemy na te pytania i rozwikłamy całą tajemnicę. Jesteś u progu wielkich możliwości.

– Jestem na skraju przepaści.

– Tak to jest, że kiedy zaglądamy do tej przepaści, odkrywamy prawdę. Jesteś już blisko, Jennifer.

Kobieta podniosła wzrok na Kathy Dart. Oczy pośredniczki astralnej błyszcząły. Uśmiech promieniował ufnością i entuzjazmem. Jennifer przytaknęła ruchem głowy. Spróbuje.

– Dziękuję ci – szepnęła.

– Daj sobie szansę – ciągnęła Kathy – zostania kimś wielkim, zgodnie z twoim przeznaczeniem. Wierzę, że jest ktoś, kto pragnie użyć twojego ciała jako bramy do tego świata. Ktoś chce przemawiać za twoim pośrednictwem. Ktoś chce się wydostać i uważam, że to strasznie ekscytujące.

– Dla mnie to tylko przerażające – odparła Jennifer, podnosząc się z podłogi korytarza. Musiała wziąć kolejny prysznic.

– Sama przez to przesłam, Jennifer – powiedziała spokojnie Kathy. – Habasza nie był kimś, kogo spotkałam przypadkowo w przejściu podziemnym.

– Byłam szczęśliwa, żyjąc tak, jak żyłam – odpowiedziała Jennifer.

– Tylko tak myślałaś – zareplikowało medium.

– Wolałabym, żeby zostawiono mnie w spokoju.

– Ale czy nie rozumiesz – powiedziała cicho Kathy – że ta osoba, która życzy sobie, żebyś była jej medium, nie pozwoli ci zachować twojego starego ja? – A potem z uśmiechem pochyliła się i delikatnie pocałowała Jennifer w policzek.

– Kiedy się ubierzesz, przyjdź do salonu, porozmawiamy. Mam ci tyle do powiedzenia. – Kathy Dart skinęła głową na pożegnanie i odeszła w stronę salonu, zasłaniając sobą światło padające z końca korytarza, kiedy znikwała w drzwiach.

Rozdział 24

– Cześć, jak się czujesz? – Simon McCloud nagle pojawił się przed nią na środku salonu. – Co powiesz na filiżankę herbaty? – zapytał zatroskany.

– Dziękuję, czuję się świetnie – odpowiedziała Jennifer, przyjmując ciepłą filiżankę. Kathy Dart musiała mu opowiedzieć o tym, co zdarzyło się w hallu. – Myślę, że w końcu przyzwyczajam się do mroźnej północy – dodała. Ruchem głowy wskazała płonący ogień. – To bardzo pomaga. Wygląda tak ciepło i zachęcająco.

– Właściwie to strata energii. – Simon wzruszył ramionami. – Lepiej byśmy zrobili, zamykając kominek i budując opalany drewnem piec, ale Kathy jest wielką zwolenniczką iluzji paleniska... Wszystkich ludzi, zgromadzonych wygodnie wokół niego. – Uśmiechnął się, jakby rozbawiony tym złudzeniem.

– Myślę, że to urocze, bez względu na to, czy jest to iluzja czy nie. – A w twoim

życiu, Simonie, nie ma miejsca dla złudzeń? – Popijała herbatę, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu Eileen.

– Czy chcesz poznać kogoś z tych ludzi? – zapytał Simon, ignorując jej pytanie.

– Nie – odpowiedziała szczerze, spoglądając na kilkunastu gości kręcących się po pokoju. Wielu z nich było zarumienionych, jakby przed chwilą wrócili z mroźnego powietrza. – Kim oni są?

– Międzynarodowi konsultanci. Pracują w krajach trzeciego świata, mówią ich obywatelom, co mają robić, uczą ich jeść widelcem i nożem i żyć w zgodzie z Amerykanami. – Lekceważąco wzruszył ramionami i dorzucił chłodno: – Prawdę mówiąc, nie zwracam wiele uwagi na większość ludzi, którzy się tu przewijają. Prawie co tydzień jest inna grupa. To miejsce czasami przypomina przystanek autobusowy. Po prostu stoję w drzwiach, kasuję bilety i przyjmuję pieniądze. – Wyciągnął rękę i postawił swoją herbatę – na bocznym stoliku. Jennifer była zaskoczona tą bezpośredniością.

– Tak mnie właśnie traktujesz... Mnie i Eileen?

– Nie, jasne, że nie – zaprzeczył. – Ty nie przypominasz tych ludzi. Jesteś jedną z nas.

– Nas? Kogo masz na myśli?

– Nas... Ty wiesz. – Wzruszył ramionami. – Ty i Eileen, i Kathy, oczywiście, i ja. Chcę powiedzieć, że nasza czwórka jest ze sobą związana. Czy Kathy nie mówiła ci o tym wszystkim? – Wydawał się nagle zdenerwowany, jakby powiedział zbyt dużo.

Jennifer pokręciła głową i nie odrywała od niego oczu.

– Kathy wyjaśniła mi, co ci się przydarzyło – ciągnął. – Zanim przyjechałaś, powiedziała, że my... Ty i ja... Mieliśmy ten rodzaj związku. Powiedziała, że będę do ciebie bardzo lgnął. – Wpatrywał się w nią, a Jennifer odwzajemniła spojrzenie. Miała uczucie, że może się zagubić w jego głębokich niebieskich oczach.

– O czym ty właściwie mówisz, Simonie? – usłyszała własny głos, spokojnie zadający to pytanie, chociaż dokładnie знаła odpowiedź. Siedzieli teraz oboje na ławie pod oknem, w odległym końcu pomieszczenia. Jennifer czuła się tak, jakby byli z Simonem zupełnie sami. Jej serce waliło mocno.

– Kathy opowiedziała mi, jak ty i ja, a także ona, i byliśmy kiedyś – może niejednym raz – związani ze sobą w innym życiu. – Wydawał się nagle zakłopotany i uciekł spojrzeniem w bok.

– Dlaczego o tym mówisz, Simonie? Co sugerujesz?

– Mówię, że jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że cię pragnę.

– Nie sądzę, żeby Kathy była zadowolona, gdyby to usłyszała – rzekła Jennifer.

– Ale ona wie – wyjaśnił Simon. – I rozumie to. Habasza powiedział jej o tym.

W jakimś poprzednim istnieniu ty i ja mieszkaliśmy razem w pewnym miasteczku górniczym w Idaho. Byłaś Chinką, poślubioną staremu mężczyźnie. Zostałem zabity...

Jennifer wstała.

– Nic o tym nie wiem – powiedziała. Czuła, że musi uciec od Simona. Własne pożądanie przyprawiało ją o zawrót głowy. Zdobyła się na wysiłek, żeby odejść, ale on pochwycił ją za nadgarstek. Jennifer zrobiło się słabo.

Dokładnie w tym momencie dostrzegła Eileen nadchodzącą z drugiego końca

pokoju.

– Przestań, Simonie – szepnęła. – Proszę. Wypuścił jej rękę.

– Tu jesteś! Nie przyszedłeś po mnie po wzięciu prysznic. Cześć, Simonie. – Oczy Eileen dostrzegły poczucie winy na twarzy Jennifer i uśmiechnęła się.

– Przepraszam, Eileen. Zapomniałam. Zaraz po natrysku pobiegłam do Kathy.

– To moja wina – przerwał Simon. – Rozmawialiśmy o naszych poprzednich wspólnych istnieniach.

Jennifer głęboko zaczerpnęła powietrza i zapatrzyła się w płomień. Simon uśmiechał się do Eileen, czarując ją swoim wdziękiem. Kiedy wyjaśniał, że on i Jennifer mieszkali kiedyś razem w miasteczku górniczym w Idaho, otoczył Jenny ramieniem w krótkim uścisku.

Jennifer poczuła, że kolana się pod nią uginają, ale wysiłkiem woli się pozbierała i uwolniła z objęcia Simona. To było szaleństwo. Uczucia całkowicie wymykały się jej spod kontroli.

– A co ze mną? – Eileen zrobiła minę do Simona, zmartwiona wykluczeniem jej.

– Tak, byłaś z nami. Kathy powiedziała ci to, prawda? – Simon przekrzywił głowę.

– Oczywiście, że tak. Żartowałam tylko. – Dotknęła ręką ramienia Simona.

Jennifer zdawała sobie jednak sprawę, że jej przyjaciółka nie żartowała. Coś było nie tak. Eileen wyglądała na rozstrojoną. Zanim jednak Jennifer zdołała zadać jej pytanie, Simon przerwał, wskazując głową środek pokoju.

– Myślę, że jesteśmy gotowi.

Odwróciwszy się, Jennifer ujrzała Kathy Dart stojącą przed płonącym ogniem. Wielu z pozostałych gości usadowiło się już na skórzanych fotelach. Kathy podniosła wzrok i uśmiechnęła się do nich, a Jennifer natychmiast zostawiła Eileen i Simona i podeszła do kręgu siedzisk. Nie chciała być zbyt blisko nich.

Wcisnęła się między siedzących na brązowej skórzanej kanapie i skupiła całą uwagę na medium.

– Jest dziś z nami kilkoro nowych ludzi – zagaiła Kathy, przedstawiając Jennifer i Eileen. – Jak niektórzy z was wiedzą, spędzam każdego wieczoru, przed obiadem, kilka minut na rozmowach o różnych aspektach parapsychologii. Dla pewności przypominam, że jest to stosunkowo nowa dyscyplina nauki, badająca postrzeganie pozazmysłowe, psychokinezę oraz zjawiska związane z przebiegiem życia, takie jak mediumizm, reinkarnacja, dowody na życie po śmierci – możecie dorzucać kolejne nazwy, lista jest otwarta. – Przerwała na chwilę, żeby się uśmiechnąć do grupki słuchaczy. – Wiem, że wielu z was chciałoby usłyszeć coś o nas i o tym, co robimy tu, na farmie. Poświęćmy więc kilka minut, żeby wyjaśnić niektóre sprawy.

Kathy niespiesznie przechadzała się przed małym zgromadzeniem. Była ubrana w marmurkowe dżinsy i biały, kaszmirowy sweter. Jennifer zauważyła jednak, że pomimo swobodnej odzieży była doskonale zadbana: założyła perłowe kolczyki i zrobiła makijaż. Jej długie, błyszczące, czarne włosy były rozpuszczone i spadały na ramiona.

– Mediumizm, cytując definicję Jona Klimo, którą autor podaje w swojej wspaniałej książce, jest „procesem odbierania informacji z jakiegoś poziomu rzeczywistości, innego niż zwykły, fizyczny. Obejmuje to przesłania ze wszystkich źródeł mentalnych, które znajdują się poza naszym własnym umysłem”. Zrobiła

pauzę i uśmiechnęła się do swoich gości.

– Chwytnie to? – zapytała ze śmiechem.

Jennifer zauważyła, że również się uśmiecha. Obiecała sobie, że będzie sceptyczna wobec wszystkiego, co usłyszy i zobaczy. Musiała jednak przyznać, że ciepło i pogoda ducha czyniły Kathy wyjątkowo przekonującą.

– Kim są współczesne media? – kontynuowała Kathy. – Gdzie znajdują się nasze wyrocznie? Czy uważacie, że pasują do tego modelu? – Roześmiała się ponownie.

– Właściwie sędzę, że zostałam medium, ponieważ jestem leniwą osobą. To prawda, daję słowo. Moi duchowi przewodnicy mówią, że leniwi ludzie są najlepszymi pośrednikami, gdyż nie mają ścisłych planów. Nie próbują wpaść do domu, biegnąc z misją zleconą przez Boga. – Przeszła na środek i skinęła głową w stronę jednego z gości, który podniósł rękę.

– Ale, Kathy – zapytała kobieta – jak się dowiedziałas, że możesz być medium? Jak to się właściwie stało?

– W rzeczywistości to się zaczęło, zanim pierwszy raz zobaczyłam Habaszę, lecz nie rozumiałam wtedy, czego doświadczam. Przypuszczam, że zawsze byłam drogą kontaktu. Na przykład nigdy się nie bałam duchów ani cmentarzy, ani filmów grozy. Jako dziecko chciałam mieć ducha za przyjaciela. Już wtedy zaczęłam mieć wrażenie, że umiem rozmawiać ze zmarłymi i ciągnęło mnie do pewnych ludzi, bo zdawało się, że są ze mną jakoś związani. Zajął się automatycznym pismem, które, nawiasem mówiąc, jest niczym innym niż tylko głupimi gryzmołami. Trzymałam w ręce ołówek, zwykle podczas nudnych wykładów w college'u, i bez żadnego ostrzeżenia moja dłoń nagle zaczynała się poruszać. Używałam wirujących tablic, chociaż mój ksiądz oświadczył, że są narzędziem diabła. I w pewien sposób miał rację, ostrzegając ludzi. Te tablice nie są zabawką. Mają wielką moc. Kiedy już się wkroczyło do świata duchów, trzeba stąpać ostrożnie. Wiem, że to brzmi trochę średniowiecznie, ale należy postępować z rozwagą.

– Czy wszystkie kontakty z duchami są podobne? – zapytał ktoś inny.

– Nie, nie są. Pomyśl o instrumentach muzycznych. Muzyki napisanej na instrumenty klawiszowe nie można grać na flecie, który wydaje tylko jeden ton naraz. Można jednak grać Bacha na flecie; można też grać Bacha na organach. Brzmi to tylko odmiennie na każdym z tych instrumentów. Różne media są jak różne instrumenty. Każdy ma wewnętrzne ograniczenia, ale także niepowtarzalną jakość. Dźwięk organów różni się na przykład od dźwięku fortepianu czy klawesynu. Nie jest lepszy ani gorszy, lecz inny. Podobnie jest z osobami medialnymi. Nie wszystkie duchy mogą, ani nawet chcą, komunikować się ze wszystkimi pośrednikami. Poza tym nie wszystkie media pośredniczą werbalnie. Niektóre mają moc uzdrawiania. Niektóre śpiewają. Inne tańczą. Isadora Duncan, jak wierzę, była wspaniałym medium.

Jennifer rozejrzała się po pokoju i zobaczyła kolejną podniesioną rękę.

– A co z tymi duchami, o których mowa? – zapytała jakaś kobieta. – Czy one są wokół nas? Powinniśmy się ich obawiać? – Roześmiała się nerwowo.

– Nie, nie musisz się ich bać – zapewniła ją Kathy. – One są takie same jak my wszyscy. Niektóre uległy wcieleniu. Inne zawsze będą duchami. Mogą być nastawione pozytywnie lub negatywnie. Ale wszystkie należą do zastępów aniołów.

Są manifestacjami wyższej świadomości. I, oczywiście, mamy też krańcowe przeciwieństwo, siły diabelskie, duchy opanowane przez nie rozwiniętą energię, która ściąga każdego w dół. Grecy podsumowali to najlepiej, kiedy opowiadali o harpiach i syrenach. Syreny są kusicielkami, które zachęcają do działań nie leżących w naszym najlepszym interesie. Harpie sączą do uszu poczucie winy i nienawiść do samych siebie. Jedne i drugie są bardzo prawdziwe.

– Czy te duchy bywają naszymi osobistymi aniołami? – padło kolejne pytanie.

– Nie, one są uniwersalne. Nikt nie ma ducha na własność. Zawierają one jednak przyjaźnie i pracują z pewnymi ludźmi, a niektóre z nich mogą reprezentować naszych duchowych braci i duchowe siostry, może nawet wyższy aspekt nas samych.

– A co z tymi pozacielesnymi doświadczeniami, o których czytałem? – zapytał następny gość.

– To bardzo proste. Opuszczasz swoje ciało i udajesz się gdzieś indziej. Gdzie dokładnie, tego nie wiemy. Pamiętaj, że umysł nie jest bytem fizycznym. Kiedy tracimy przytomność, dzieje się tak dlatego, że nasz umysł, albo świadomość, znajduje się w innym miejscu.

– Ale gdzie dokładnie? – Jennifer usłyszała siebie.

– Nie wiemy, Jennifer – odpowiedziała Kathy, ścisząc głos. – Rosjanie badali to zjawisko. Przypuszczam, że chcieliby szpiegować nas, wykorzystując zdolność opuszczania ciał do tego, by przenikać ściany. Spójrzmy na to z innego punktu – kontynuowała. – Porozmawiajmy o snach. Zasadniczo sny są doświadczeniem z pobytu poza ciałem. Jeśli nie spalibyśmy w nocy, popadlibyśmy w szaleństwo! Stres przebywania „w ciele” jest zbyt wielki do zniesienia.

– A reinkarnacja? – spytała jakaś kobieta. Jennifer stwierdziła, że przytakuje jej ruchem głowy. „Tak, co z tą sprawą?” – pomyślała.

– Mówiąc językiem technicznym, jesteśmy bądź w ciele – in carna – bądź poza ciałem – discarna. Carna to dosłownie ciało. A śmierć jest krańcowym doświadczeniem poza ciałem. W rzeczywistości jednak opuszczamy nasze ciała bez przerwy! Czasami czyjeś myśli znajdują się częściowo w jednym miejscu, częściowo w innym. Po prawdzie, mogą być w obu miejscach jednocześnie. Widzisz, umysł nie ma fizycznej natury i nie musi przestrzegać ograniczeń ciała. Kiedy mówimy o przebywaniu poza ciałem, mówimy o energii, która wędruje. Zatem idea jest taka: umysł opuszcza ciało. Ciało umiera, ale umysł kontynuuje swoją egzystencję. Jest wolny i może wejść w nowy związek z fizyczną materią. Związek, który nie musi być koniecznie ograniczony do ludzkiej formy.

Słuchając Kathy Dart, Jennifer poczuła nagle dziwny skurcz i zobaczyła wyraźny obraz Phoebe Fisher, siedzącej przy kominku w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku. Phoebe mówiła do niej, ale Jennifer nie słyszała słów; widziała tylko, że Phoebe marszczy brwi, gestem nakazując jej opuścić salon Kathy Dart, każąc jej uciekać. Jennifer uniosła rękę, jakby próbowała dotknąć mirażu, i poczuła ciepło miękkiej dłoni, a podnosząc wzrok zobaczyła, że Kathy Dart pochyla się nad nią z uśmiechem.

– Idziesz na obiad, Jenny? – zapytała.

– O, tak, przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać. Czy pośredniczyłaś jakiemuś duchowi? – uśmiechając się zażartowała Kathy.

– Nie wiem, co robiłam – przyznała upokorzona własnym zachowaniem i tym, co przed chwilą widziała; Phoebe Fisher, siedzącą obok Kathy i ostrzegającą ją, żeby stąd uciekała.

– Jennifer, wiem, że Simon robił ci propozycje. Wiem, że kiedyś byliście kochankami.

Jennifer spojrzała na medium, machnęła ręką i powiedziała:

– To było proste nieporozumienie.

– Wszystko w porządku, Jenny. Proszę, nie denerwuj się. To oczywiste, że Simon cię pociąga. Musiał ci powiedzieć, że byliśmy kiedyś wszyscy razem w jakimś poprzednim życiu. Fizyczny pociąg, jaki czujemy do siebie nawzajem, jest krańcowo silny. – Kathy rozjaśniła się jednym ze swoich pogodnych, szerokich uśmiechów i ujęła Jennifer pod ramię. – I jeśli wy dwoje zadecydujecie, że chcecie się ze sobą kochać, proszę, podążajcie za waszymi instynktami. Ja nie jestem jego właścicielką, Jennifer. Jesteśmy wszyscy wolni i możemy postępować zgodnie z naszymi impulsami i pragnieniami, zwłaszcza tu, na farmie. Nie mogę trzymać was dwojga z dala od siebie. Nie robiłabym tego, nawet gdybym mogła. – A potem się uśmiechnęła jak mała dziewczynka.

Rozdział 25

Kiedy po obiedzie powrócili do salonu, meble były już odsunięte od kominka. Kathy Dart siedziała w obszernym fotelu na wprost okien, po przeciwnej stronie pokoju. Ubrana była w długą białą suknię, a swoje czarne włosy szeszała w ten sposób, że rozłożyły się wachlarzem na ramionach. Nie włożyła żadnej biżuterii, z wyjątkiem złotego łańcucha z kryształem spoczywającym między piersiami. Był to ten sam kryształ, który nosiła, kiedy Jennifer ujrzała ją pierwszy raz w Waszyngtonie.

Jennifer opadła na krzesło z prostym oparciem, ustawione z dala od innych, i wyciągnęła szyję, żeby upewnić się, że nic nie zasłania jej widoku gospodyni. Chciała widzieć, kiedy medium zapadnie w trans. Eileen wyjęła z torebki mały magnetofon kasetowy; nie mogąc znaleźć krzesła dostatecznie blisko, usiadła na podłodze u stóp Kathy.

Ze swojego kącika pod boczną ścianą Jennifer widziała cały pokój i obserwowała innych, kiedy zajmowali miejsca. Niektórzy z młodych studentów, przebywających na farmie w związku z programami pracy i nauki, przyszli z kuchni w fartuchach założonych na dzinsy i usiedli grupką pod jedną ze ścian.

Jennifer stwierdziła, że jeden z tych młodych ludzi sprawia wrażenie znajomego. Przyglądała mu się przez chwilę, próbując przypomnieć sobie, gdzie go widziała. Wyglądał jak inni studenci, miał tylko krótkie włosy i atletyczną budowę ciała. Kiedy spojrział na Eileen i uśmiechnął się, Jennifer przypomniała sobie, gdzie się spotkali. To on był tym młodym reporterem piszącym artykuł o Kathy Dart. Rozmawiali przez krótką chwilę przed salą konferencyjną, przypominał jej wtedy brata.

Simon wszedł do pokoju, a Jennifer powstrzymała się od spojrzenia na niego. Bała się, że mógłby podejść i usiąść obok niej, podczas gdy ona nie chciała mieć go blisko siebie, nie wtedy, kiedy Kathy znajdzie się w transie i przemówi Habasza.

Simon jednakże był zajęty. Przyniósł z kuchni wielki dzban wody i szklanę

i ustawił je na małym stolyczku obok Kathy, która się obejrzała i posłała mu krótki uśmiech. Kiedy się pochylił i szepnął coś, roześmiała się, potem odszedł i usiadł przy ogniu. Kathy zwróciła się do zebranych i zapytała przyjaźnie:

– Czy wszyscy tu jesteście?

Rozejrzała się po pokoju, uśmiechając do każdego i ciągnęła dalej:

– Chciałabym wyjaśnić naszym nowym gościom, co się dzieje, kiedy pośredniczę duchom. Proszę więc o wybaczenie wszystkim, którzy byli przy tym już wcześniej.

Zwracając się początkowo do młodych studentów, kontynuowała:

– Zaczynam od krótkiej modlitwy i proszę, żebyście przyłączyli się do mnie. To ułatwi nam wspólne działanie całej grupy i poszczególnych osób. Poprowadzę pewien rodzaj afrykańskiego śpiewu – śpiewu Habaszy – który, jak stwierdziłam, przyciąga Habaszę bliżej mnie i, oczywiście, bliżej was.

Po śpiewie nastąpi chwila medytacji, kiedy zapadnę w trans i pozwolę Habaszy przyjść. Wielu z was już wie, że podczas transu znajduję się gdzie indziej; gdyby nie nagrania, nie wiedziałabym, co właściwie duch powiedział.

– Gdzie dokładnie przebywasz? – ktoś zapytał.

– Właściwie to śpię – odpowiedziała Kathy i wszyscy się roześmieli. –

Odpoczywam dobrze, a Habasza wykonuje całą robotę. – Kathy znowu rozejrzała się po pokoju, pochwyciła spojrzenie Jennifer i odpowiedziała uśmiechem. Ponownie odezwała się do słuchaczy:

– Zwykle Habasza ma coś do powiedzenia, na przykład jakąś historię z własnego życia, a potem będzie przygotowany na pytania. Wiem, że wielu z was nurtują problemy, o które chcielibyście zapytać, więc proszę, nie wstydźcie się. – Spojrzała prosto na Jennifer. – Powinnam was uprzedzić, że nasz gość mówiąc, często używa afrykańskich terminów – dodała. – Później, jeśli będziecie chcieli, wyjaśnię wam, co powiedział.

Jennifer poczuła, że serce jej zamiera. Zapadła się głębiej w krzesło, ale nie odrywała oczu od Kathy.

– Chciałabym także prosić, żeby nikt z was nie krzyżował ramion. Nie chcemy izolować się od innych, od strumienia energii przepływającego przez pokój.

Uśmiechnęła się i zwróciła do Simona, który wstał i przygasił górne światła. W różnych miejscach pokoju paliło się kilkanaście niebieskich świec i ich małe płomyki migotały w ciemnościach.

– W porządku – powiedziała cicho Kathy – zaczynajmy.

Przesunęła się, siadając na brzeжку fotela, podniosła ramiona odwrócone dłońmi ku górze i powiedziała wyraźnie:

– Duchu światła i prawdy, zjednocz nas. Natchnij nasze umysły i napełnij nasze serca miłością. Uzdrów nasze ciała i napełnij je energią. Przyjmij nasze podziękowania za liczne dary, które otrzymaliśmy. Poprowadź nas taką ścieżką, żebyśmy mogli ci służyć i spełniać twoją wolę. Ty jesteś święty, Panie Wszechświata. Ty jesteś święty, Bezmierny i Potężny. Panie światła i ciemności. O Jehowo! O Jahwe! O Abba! O Jezu! O Allachu! O Brahmo! Bądź dziś z nami w naszych poczynaniach.

Kathy na chwilę opuściła głowę, a kiedy znowu ją podniosła, miała zamknięte oczy i zaintonowała:

Ommmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm
Ommmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm
Ommmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm

Ucichła, kołysząc się lekko w tył i w przód na skraju fotela.

Potem jej własny słodki głos ustąpił miejsca głosowi Habaszy, starodawnego Afrykanina, silnemu, pełnemu głosowi, który zahuczał w ciszy zgromadzenia.

– Jestem Habasza, wielki! Jak czują się moi drodzy przyjaciele z Ameryki?

Tenayistilligan.

– Tenayistilligan – odpowiedziało kilka osób. – Tiru no.

– Ameseghinallehu – odparł Habasza.

Kathy powoli obracała głowę z lewa na prawo. Jej oczy były otwarte i zdawały się jeszcze większe niż zazwyczaj. Zatem nie zamierzała prowadzić kontaktu z zamkniętymi oczami jak Phoebe Fisher.

– Mamy się bardzo dobrze, Habaszo. Ameseghinallehu – powiedział pospiesznie Simon, padło też kilka cichych, niewyraźnych pozdrowień ze strony studentów i Eileen. Jednak większość audytorium siedziała cicho, wpatrując się w Kathy Dart.

– Cieszę się, że jestem dziś i wami – silnym, basowym głosem ciągnął Habasza. – Mam przyjemność powiedzieć, że jest dzisiejszego wieczoru pomiędzy wami ktoś, kto ma szczególne duchowe zdolności, które, we właściwym czasie, się ujawnią, przynosząc korzyść waszemu społeczeństwu. Jesteśmy pewni, że ci z was, którzy chcą oddać się ścieżce oświecenia, będą uczyć się coraz więcej z każdym nadchodzącym dniem i wkrótce znajdziecie się w miejscu, z którego będziecie rozsiewać wiele światła, światła, które jest w was, wszędzie tam, gdzie w tym świecie zalegają olbrzymie ciemności. Dlatego też pozwólcie nam powiedzieć, że troszcząc się o własną potrzebę wiedzy, szybciej zadbacie o innych, którzy także potrzebują wiedzy, ponieważ to światło, które sami uzyskacie, będzie światłem przyświecającym innym. Kiedy bowiem jesteście oświeceni, jesteście jak światło, które rzuca blask. Przyszliście do światła, moi drodzy przyjaciele, i pójdziecie do innych miejsc. A my gratulujemy wam, że kultywujecie w waszym świecie te cenne wartości. Pozwólcie, aby prawda była waszą istotą. Pozwólcie, aby prawda wiodła was do wyższej części waszej osobowości. Poznajcie ją sami i pozwólcie, aby prawda przepływała przez waszą świadomość. Dla tych, którzy nie rozumieją – niektórzy wybierają ciemność. Pamiętajcie, moi drodzy przyjaciele, że ci wszyscy, którzy chodzą w cieniu, robią tak z własnego wyboru. Prosimy was, abyście nie byli naśladowcami. Nie bądźcie także przywódcami. Ponieważ kiedy jesteście naśladowcami, stoicie w cieniu kogoś innego; jeśli jesteście przywódcami, rzucacie cień na innych. Zalecamy wam tę pracę i mówimy: Nie miejcie nadziei na doskonałość. Nie szukajcie doskonałego nieba, w którym wszystkie rzeczy trwają wiecznie, bez wad i skaz, bez potrzeby dalszych przemyśleń i ćwiczeń. Całe życie, moi drodzy przyjaciele, jest przygodą. To jest przygoda! Zaprawdę, znać wszystko, co się kiedykolwiek wydarzy, mieć absolutną i całkowitą wiedzę – gdybyście mogli posiadać taką wiedzę, czy to nie pozbawiłoby was wspaniałego poczucia przygody? Jeśli się wie wszystko, to czego się jeszcze można dowiedzieć? Nie możemy poznać krańców wiedzy i to jest właśnie tajemnica

egzystencji. Jak wiele mocy jest we wszechświecie? Jak wiele złota jest w górach? Jak wiele miłości jest w twojej duszy? Wszystko tam jest. Wielką przygodą życia jest odkrycie tego, co się tam znajduje i jedynym sposobem, w jaki możecie się tego dowiedzieć, jest używanie. Taka jest prawda. Wszystko jest tutaj, czeka na waszą przygodę i wasze odkrycie.

Habasza ucichł nagle, a Kathy Dart kiwnęła się w miękkim fotelu, opadła na oparcie, jakby wyczerpana długą przemową. Położyła ręce na poręczach, podniosła głowę i znowu odezwała się silnym głosem.

– Jeśli ktoś z was ma pytania, spróbuję na nie odpowiedzieć. Mówcie! – Jej oczy były teraz zamknięte.

– Co jest zatem celem życia? – zabrzmiał głos z pierwszego rzędu krzeseł.

– Woizerit – odpowiedział Habasza – proces życia jest życiem.

– Co z poprzednimi istnieniami? – odezwała się Jennifer. – Moimi poprzednimi egzystencjami?

– Możesz mieć poprzednie istnienia albo nie, Woizerit. Możesz je w dalszym ciągu przeżywać. Ludzie żyją jednocześnie różnymi egzystencjami.

– Co zatem z naszym duchem? Jak może nasz duch lub nasza dusza, jakkolwiek to nazywamy, przebywać wszędzie w tym samym czasie?

– Każde twoje życie jest przeżywane bez udziału jakiejś części twojej całkowitej duszy – odpowiedział Habasza.

– Jak w takim razie możemy mieć dobre i złe istnienia? – zapytała natychmiast Jennifer.

– Jeśli te istnienia są piękne, niosą dobro i wnoszą coś do życia, które jest przeżywane obecnie, na tym planie, i wtedy, jak myślę, uważasz je za udane. Jeśli istnienia rozgrywające się na innych płaszczyznach są w konflikcie z tym, co próbujemy robić tutaj, wtedy uważamy je za umysłowo i emocjonalnie zaburzone. Wszystkie one są konsekwencją istnień, które przeżywaliliśmy wcześniej, w innym czasie.

– Co masz na myśli? – zapytał jeden z mężczyzn. – Inne plany?

Kathy Dart powoli zwróciła głowę w kierunku mówiącego i Habasza powiedział:

– Inne plany są wymiarami leżącymi poza naszą egzystencją tutaj. Te plany, płaszczyzny albo wymiary nie muszą być konieczne ułożone jeden na drugim. Różne plany mogą istnieć w tym samym miejscu. Niebo i piekło znajdują się dokładnie w tym samym miejscu. Ludzie przywykli myśleć, że niebo jest na górze, a piekło na dole. Ale dwoje ludzi może siedzieć obok siebie na kanapie i jeden będzie w piekle, a drugi w niebie.

– Kim albo czym są istoty pozaziemskie? – zapytała Jennifer, myśląc o Tancerzu i Phoebe Fisher.

– Istoty pozaziemskie są ograniczone własnościami czasu i fizycznymi prawami, które rządzą ich poszczególnymi planami, gdziekolwiek się znajdują, ale kiedy wykroczą poza te płaszczyzny, mogą być ograniczone innymi warunkami, takimi jak nieważkość. Wszyscy jesteśmy ograniczeni prawami. Używając terminów podróży w czasie, musisz wiedzieć, że czas stoi w miejscu, a materia przepływa przezeń. Czas się nie zmienia. Czas po prostu jest. Ponieważ wszystkie rzeczy istnieją teraz, nie ma innego czasu niż terażniejszość, w żadnym kierunku ani na żadnej płaszczyźnie.

Dlatego zjawisko czasu lepiej jest rozumieć jako odległość pomiędzy terażniejszościami.

– Ale jeśli ma się jakieś poprzednie życie – spytała Jennifer, starając się zgłębić tę kwestię – jak to może być? Czy żyjesz nim teraz?

– Gdzie odłożyłaś swoje poprzednie życie? – zaatakował Habasza. – Czy schowałaś je pod łóżkiem? Gdzie ono zniknęło? Czy przeszłość rozprasza się? Czy znika? Gdzie jest wczorajszy dzień?

– Został zużyty – odpowiedziała Jennifer i poczuła złość, orientując się, dokąd może zaprowadzić ta sprzeczka.

– Nie możesz nic zniszczyć, a jedynie zmienić. Czy możesz powiedzieć, że cały wczorajszy dzień zniknął z powierzchni bytu? A w takim razie, co z dniem jutrzejszym? Czy to wszystko jest stwarzane dla ciebie na nowo?

Kathy Dart opadła na oparcie fotela. Kiwała głową, jakby Habasza podsumował już problem.

– Czy już istnieje jutrzejszy dzień? – młody reporter zapytał ze swego miejsca na podłodze.

– Tak.

– Jestem wciąż dezorientowana – przerwała Jennifer. – Jeśli w jakimś poprzednim doświadczeniu żyłaś całkowicie w przeszłości, tak jak zwykle rozumiemy przeszłość, zatem czy jednocześnie przeżywasz tamto minione życie, żyjąc obecnym istnieniem?

– Możliwe. Porozmawiajmy o naturze istnienia. Czy jest ona fizyczna, czy duchowa?

– Taka i taka – odpowiedziała Jennifer.

– Jaką część życia zawiera twoje fizyczne ciało?

– Bardzo małą, jak przypuszczam. To, gdzie jestem. Kim jestem.

– A co obejmuje twój umysł?

– Więcej.

– Więcej! Tak właśnie jest. Twoje ciało doświadcza tylko fizycznego „teraz”.

Zatem wszystko w naturze twojego istnienia jest rzeczywistością ducha.

Kathy Dart siedziała prosto, gestykułując obiema rękami, kiedy Habasza mówił głośno do Jennifer.

– Czy kochasz kogoś? – zapytał raptem. Głowa Kathy odchyliła się do tyłu, jej oczy były zamknięte, ale mimo to Jennifer stężała.

– Tak – szepnęła, myśląc natychmiast o Tomie.

– Ale w tej chwili nie masz fizycznego kontaktu z tą osobą, prawda?

Jennifer pokręciła głową.

– Nie, fizyczny kontakt między wami istnieje tylko wtedy, gdy wasze ciała się dotykają. Prawdziwa natura tej miłości jest duchowa. Gdybyś nie istniała jako duch, wtedy to uczucie skończyłoby się w momencie przerwania fizycznego kontaktu waszych ciał. Jeśli masz wiedzę o świecie, poczucie przeszłości i przyszłości, jeśli masz wrażenie sensu rzeczy, celu życia, jest to możliwe tylko dzięki temu, że jesteś tego duchowo świadoma. Taka jest natura istnienia. – Co powiesz na to? – zapytał następnie Habasza. – Jeśli pamiętasz swoje życie, czy przypominasz je sobie chronologicznie?

Jennifer potrząsnęła głową.

– Nie! Najpierw przypominasz sobie najważniejsze rzeczy. Te najważniejsze dla ciebie wydarzenia mogły się dziać przed wieloma laty. Może ci być łatwiej przypomnieć sobie coś, co się zdarzyło, kiedy miałaś dwanaście lat niż jakieś zdarzenia sprzed dwóch tygodni. Albo z poprzedniego dnia. W rzeczywistości coś, co ci się przydarzyło, kiedy byłaś dzieckiem, może być dużo ważniejsze od tego, co robisz teraz. Coś, co ci się przytrafiło w starożytnym Egipcie albo Atlantydzie czy Grecji, może być w twojej świadomości silniejsze od tego, co się dzieje z tobą teraz tu, na farmie.

– To właśnie mam na myśli – powiedziała szybko Jennifer. – Jeśli pędziłam inne życie w starożytnym Egipcie, czy gdziekolwiek, i uczucia z tamtego bytu tkwią we mnie bardzo silnie, czy to oznacza, że to egipskie życie toczy się także teraz, kiedy żyję tym życiem?

– Nie mogło to być bardzo starożytne, jeśli wciąż o tym myślisz – rzekł Habasza i wszyscy dokoła się roześmieli.

– Nie, nie mogło – przyznała z uśmiechem Jennifer.

– Zatem jest to w sposób oczywisty terażniejszość.

– Jak wyjaśnisz podręczniki historii? – ciągnęła Jennifer czując, że się dała złapać w pułapkę sprzeczki z Habasza.

– Historia posługuje się czasem liniowym.

– Chronologicznym następstwem zdarzeń?

– Tak. Musisz zrozumieć, że to, co zwie się starożytnym Egiptem, pozostaje starożytne tylko dlatego, że jest mierzone w stosunku do tej daty w historii. Wydaje się starożytne, ale w istocie nie skończyło się; kontynuuje swoją egzystencję w innym wymiarze czasu, w innej części terażniejszości, części odmiennej od fizycznego planu, który zajmujesz w tym momencie.

– Habaszo, dlaczego tu jesteś? – zapytała jedna ze studentek. – Dlaczego powróciłeś na Ziemię?

Jennifer przeniosła wzrok z dziewczyny na Kathy Dart, która wolno skinęła głową, zanim Habasza odpowiedział.

– Wielu pytało mnie o to, Woizerit. Niektórzy mówią: „Czy nie miałeś lepszego miejsca niż ta planeta, te czasy? Czy nie ma raj, który by na ciebie czekał? Czy nie ma nieba, w którym raczej powinieneś się znaleźć? Dlaczego tu przyszedłeś? Dlaczego?” Ponieważ – odpowiedział Habasza – czasami widzimy, że dzieją się tu wspaniałe rzeczy. Nie możemy pomóc całej planecie, ale możemy udzielić pomocy pewnej jej części, a wydaje się, że wy jesteście więcej niż radzi przyjąć nas jako część waszego życia. Jest mi przyjemnie. Przyjemnie z powodu tego, co słyszę, co widzę. Moje przesłanie do was brzmi: „Idźcie tam, gdzie jesteście pożądanymi”. Moje przesłanie mówi, że są na tej planecie ludzie, którzy naprawdę chcą tego, co macie do zaoferowania – i oni będą was kochać, dziękować wam i pracować z wami, jeśli będziecie ich szukać. My, duchy, poszukujemy tych, którzy życzą sobie pracować z nami i pragną przyjąć nas, a to sprawia nam przyjemność, ponieważ rzeczy, którymi chcemy się podzielić, są pełne znaczenia. I powiadam wam także, że są na tej planecie ludzie, pośród waszych przyjaciół i znajomych, którzy nie życzą wam dobrze, intrygują przeciwko wam i sprawiają ból. – Kathy Dart podniosła jedną rękę i Habasza wyszeptał: – Ostrzegam was. Przyszedłem teraz, żeby ostrzec.

– Kogo? – zapytała natychmiast Jennifer.

– Wierzę, Woizerit, że wiesz.

– Kto próbuje mnie zranić? Ja nie wiem! – rzekła, podnosząc głos.

– Jesteś niezwykła, Woizerit – powiedział Habasza. Jego głos zwolnił teraz swój rytm. – Widzę duchy, dobre i złe, które otaczają twoją aurę i walczą, aby zdominować twoją duszę. Nie obawiaj się. Jesteś w dobrych rękach. Tutaj, na farmie, uzdrawiające siły zwyciężą zło, z którym boryka się twój umysł. Wiele się od ciebie oczekuje, Woizerit. Cierpiałas. Musisz być ostrożna. – Kathy Dart podniosła ostrzegawczo rękę. Pochyliła głowę, jakby słuchała głosów z oddali.

– Jak się mam bronić, Habaszo – zapytała Jennifer, ponownie ściągając na siebie uwagę – przed tymi złymi duchami?

– Zawsze chcesz odpowiedzi, Woizerit. Odpowiedzi są tylko częścią rozwiązania. Tym co jest ważniejsze, są pytania. – Jego głos zmienił się. Teraz brzmiało w nim ostrze gniewu.

Jennifer wyczuła to, ale naciskała dalej.

– Potrzebuję tych odpowiedzi – nalegała. – Moje życie, to moje życie, jak mówisz, jest w niebezpieczeństwie. – Powstrzymała się przed powiedzeniem czegoś więcej. Zerknęła na Eileen i zobaczyła, że jej przyjaciółka ze złością potrząsa głową.

– Ten, kto szuka niebezpieczeństwa, otrzymuje je. Kto szuka szczęścia, odnajduje je. Twoja nieświadomość jest odpowiedzialna za doprowadzenie cię tam, gdzie się znajdujesz. Powiadasz, że nieświadoma część twojej osoby w jakiś sposób manipuluje twoimi sprawami. Być może jesteś bardziej odpowiedzialna za swoje działania, niż przypuszczasz. Ale jak możesz dojść do pewnego miejsca w życiu, gdzie jesteś w stanie przejąć nad nim świadomą kontrolę i nie stać się ofiarą?

Habasza przestał mówić. Oczy Kathy Dart znowu były otwarte, płonęły, jakby błękitne świece paliły się w żenicach.

Habasza nie odzywał się i medium nagle wstało i odstało od swojego fotela. Eileen i kilkoro młodych studentów odsunęli się, żeby zrobić kobiecie miejsce, ale Kathy się poruszała po zatłoczonym pokoju z pewnością lunatyka.

Odwróciła się od sofy, skręcając w stronę ściany, pod którą siedzieli studenci, i Jennifer zrozumiała od razu, że Kathy idzie do niej. Powiedziała sobie, że powinna była wyjść, kiedy miała taką szansę. Teraz nie mogła się poruszyć. Wydawało się, że jest przymarznięta do krzesła.

Kathy Dart podeszła do miejsca, gdzie siedziała Jennifer i – składając razem ręce – uniosła je ku szyi i ostrożnie zdjęła kryształ. Trzymając kamień, delikatnie umieściła ręce na czubku głowy kobiety. Jennifer zamknęła oczy, obawiając się tego, co miało nadejść, obawiając się tych wszystkich obserwujących ją twarzy.

– O duchy przeszłości, duchy naszych istnień, opuście tę kobietę, moją Woizerit. Wzywam was w imię naszych bogów do pozostawienia jej w spokoju. Wznieście się teraz i porzućcie nas. Wznieście się teraz i porzućcie nas, ja, Habasza, starożytny ze starożytnych, Dryopithecus, człowiek Cro-Magnon, wojownik Atlantydy, poeta Grecji, kapłan i kochanek, Rycerz Okrągłego Stołu, krzyżowiec Chrystusa, pionier i spekulant, rozkazuję duchom zła, które zawładnęły tą kobietą, odejść z tej płaszczyzny, z tego wymiaru, z tego ludzkiego ciała.

Głos Habaszy przybrał na sile. Nappełnił umysł Jennifer i dźwięczał w uszach. Czują

na głowie nacisk rąk Kathy, czuła ciężar kryształu, a potem poczuła ogień. Zaczął się w koniuszkach palców stóp, palił podeszwy, prześliznął się po łydkach i udach. Oddzierał tkanę od kości, płonął w centrum ciała niczym ognista kula.

Słyszała własne okrzyki bólu, kiedy ogień pochłaniał jej ciało. Płomienie lizały piersi, podniosły się do gardła, jej włosy, stały w ogniu.

Kathy Dart pochwyciła ją, zanim upadła, zanim pogrążyła się w szoku i bólu.

Nada czekała na słońce. Na brzegu rzeki przygotowała barwnik z czerwonawobrazowej glinki i przyniosła do jaskini. Następnie, nakładając glinę na grube zielone liście palmowe, zniosła farbę pod szeroką tylną ścianę jaskini, zwróconą ku południowi. Wkrótce promienie słońca oświetliły wejście do jaskini; będzie miała tylko kilka godzin światła, żeby namalować wyraźne obrazy, które ją napełniały i wybuchały w jej umyśle jak gwiazdy. Niemal czuła w ustach smak swojego pragnienia, żeby odmalować sceny walki, o których słyszała jako dziecko, wielkie bitwy pomiędzy jej ludem i myśliwymi z pomocy. Ubba wezwał ją do siebie, kiedy zobaczył rysunki, jakimi pokryła skalne ściany, i rozkazał jej użyć magicznych rąk do namalowania tej walki, żeby jego synowie i synowie jego synów widzieli, jakim jest wojownikiem.

– Żaden człowiek spośród nas nie zapomni dnia, kiedy walczyliśmy z Saawami i zabiliśmy ich – szepnęła – i będą mnie pamiętać, kiedy mój duch opuści ziemię i odejdzie, aby śpiewać z ptakami.

Serce jej matki wezbrało dumą i ona także czuła, że jej serce syci się pochwałą. Wiedziała, że nigdy już nie będzie głodna ani spragniona ciepłego łóżka, ponieważ Ubba weźmie ją do swojej jaskini i da ją swojemu synowi, Ma-Ma. Podnieceniu towarzyszył jednak strach. Jeśli Ubbie nie spodoba się jej rysunki, jeśli coś go rozgniewa, wtedy wypędzi ją ze szczepu. Wiedziała o innych, którzy się kryli w lasach, sypiali bez ognia i chowali na drzewach przed dzikimi bestiami.

Czasami spostrzegała ich cienie, podążające tropem klanu, który wędrował za słońcem, podróżując na północ, za niedźwiedziami, które wychodziły spomiędzy drzew, na mroźną północ, gdzie łowili ryby w płytkiej wodzie Dwóch Rzek.

W głębi jaskiń opowiadano historie, historie o Ma-Ta i jej bracie Ta-Ma. Snuto też opowieści o Zuua i Chaa i o synach starej kobiety, Arr, która została zgładzona przez duchy, spalona ognistym pociskiem błyskawicy. Ubba wypędził do lasu jej męskich potomków, bojąc się, że duchy mogłyby ponownie uderzyć płonącym grotem.

Kiedy Nada była gotowa, pozostali członkowie szczepu porzucili połów, ryb, wspięli się po stromym brzegu rzeki i usiedli zgarbieni w wejściu do jaskini. Siedzieli i obserwowali Nade swoimi ogromnymi, brązowymi oczami, czekając, aż jej magia pojawi się na ścianie. Dziewczyna nie poświęciła im najmniejszej uwagi, chociaż była świadoma milczących spojrzeń. Czuła dumę, mimo że nie знаła słowa na określenie własnych emocji; zajęła się swymi przyborami malarskimi: odłamkami skał, które sama obrobiła.

Ubba wspinał się po zboczu, opierając się na zwierzęcej kości, podtrzymywany także przez synów swoich synów, którzy kręcili się wokół niego, zabiegając o względy. Jeden z nich niósł stołek, wyciosany z pnia drzewa. Tuzin mężczyzn

pracował nad tą kłodą drewna, nadając jej kształt okrągłego krzesła, wypolerowanego rzeźnym piaskiem i świńskim tłuszczem.

Teraz trzeba było trzech spośród synów jego synów, aby wtaszczyć siedzisko po zboczu wzgórza do płaskiego wejścia do nowej jaskini. Nada czekała tam, skulona przy szarej ścianie. Czekala na Ubbę, żeby zaczął opowiadać o walce z Saawami. Wspominając bitwę, mówił o tym, jak walczył, czując krew napływającą mu do ust. Była to znana Nadzie opowieść, długa historia, którą słyszała pierwszy raz, kiedy jeszcze ssala pierś matki. Słuchała, starając się odnaleźć obrazy w swoim umyśle. Próbowala zebrać wyobrażenia z przeszłości Ubby, złe sny, które go nachodziły i które nawiedzały go nawet teraz, wiele zim po tym, jak włócznia mknąca przez dżunglę ugodziła go w gardło, skazując na posługiwanie się wyłącznie szeptem przez resztę życia. Słuchała z zamkniętymi oczami, siedząc na podkurczonych nogach, myśląc o nim jako o młodym mężczyźnie, chryżym jak północny jelen.

Ubba skończył. Historia została opowiedziana i teraz wszystkie brązowe oczy członków klanu obróciły się na nią. Czekala, zadowolona, że ma w umyśle prawdę tej opowieści, trzyma ją tam tak, jak mogłaby trzymać ptaka w sieci swych palców.

Podniosła odłamek skalnego kryształu i z ochotą przystąpiła do pracy, maczając ostry czubek w czerwonej glince. Malowała i malowała, tańcząc przed tłumem współplemieńców, na równi z nią podnieconych tworzeniem. Kiedy już pokryła tylną ścianę jaskini historią bitwy, odstąpiła od rysunków, wyczerpana, obawiając się sądu Ubby.

Przysiadła na piętach swych bosych stóp i odchyliła się w tył, nie śmiać podnieść oczu na wielkiego człowieka, kiedy wstał ze swego stołka, aby się przyjrzeć malowidłom wykonanym czerwoną gliną.

Zatrzymywał się przy każdej figurze, żadnej nie dotykając, kiedy uważnie szedł wzdłuż południowej ściany, oglądając historię swojej bitwy, przedstawioną tutaj w czerwonych obrazach. Potem starzec podszedł do niej i podniósł jej brodę swoją kaleką ręką.

– Nada, mówisz prawdę – szepnął. Skinął na swojego najstarszego wnuka, syna swojej córki Noo, i powiedział: – Ona jest twoja.

Nada upadła na kolana przed królem-wojownikiem i ucałowała jego stopy tak, jak widziała, że czyniły inne kobiety, kiedy spotykał je wielki zaszczyt ze strony przywódcy. Była uratowana. Jej matka i siostra były uratowane. Pozwoliła, by wnuk Ubby podniósł ją i rzuciła matce szybkie spojrzenie, gdy prowadził ją na swoje posłanie ze skór. Oczy Nady iskrzyły się radością, ponieważ jej magiczne palce uratowały ją i pewnego dnia dzieci, które urodzi, zostaną przywódcami ludu zamieszkującego brzegi Dwóch Rzek.

Rozdział 26

Kiedy następnego ranka Jennifer zeszła do jadalni na śniadanie, Kathy czekała na nią. Kilkoro innych gości obsługiwało się już przy bufecie, ale dom pozostawał cichy. Nie było jeszcze siódmej.

– Dlaczego nie mamy dla siebie jakiejś spokojnej chwili? – szepnęła Kathy, podchodząc do Jennifer i całując ją lekko w policzek. – Jak się czujesz?

Jennifer skinęła głową, zbyt niespokojna, żeby mówić. Pozwoliła Kathy zaprowadzić się do małego pomieszczenia za jadalnią.

– Kiedyś była tu cieplarnia, gdy farma pracowała – wyjaśniła Kathy – ale używam jej często podczas chłodnych miesięcy. Wpada tu większość zimowego słońca.

Jasny, słoneczny pokój miał sklepiony sufit, wielkie okna i wykładaną kafelkami podłogę, także ogrzewaną, jak zauważyła Jennifer, którą pokrywały indiańskie maty i ogromne fotele.

– Usiądź tutaj, proszę – ciągnęła gospodyni, wskazując przepastny fotel, ustawiony koło szklanego stolika. – Nanci nas obsłuży.

Jennifer podniosła wzrok i zobaczyła młodą kobietę, która znajdowała się wśród słuchaczy podczas ostatniej sesji z Habaszą.

– Jennifer, to jest Nanci Stern. Nanci uczy w naszej grupie tańca Nowej Ery. Chciałabym, żebyś tego spróbowała. Uczęszcza także na mój kurs o tajemnicach szamanów, by poznać, w jaki sposób przetrwać pomost porozumienia nad przepaścią, która dzieli ludzi od innych form życia. Zgadza się, Nanci?

Dziewczyna wstydliwie skinęła głową, stawiając na szklanym blacie dzbanek z herbatą.

– Szamani? Kim oni są? – zapytała Jennifer, rozkładając na kolanach adamaszkową serwetę.

– Słyszałaś ten termin?

– Tak, chyba tak – przyznała, wruszając ramionami. – To znaczy, gdzieś w zakątkach pamięci. Musiałam o tym słyszeć na wykładach z antropologii, na które kiedyś chodziłam. – Znowu poczuła się jak dziecko w pokoju pełnym dorosłych.

– Cóż, w prymitywnych kulturach są ludzie, których rolą jest pośredniczenie między rzeczywistością duchów i społecznością. Szamani zmieniają stan swojej świadomości przez inwokacje, śpiewy albo jedząc halucynogenne rośliny. Postacie o typie szamanów pojawiły się w kulturach tak odmiennych, jak Syberia i Indie Zachodnie. Yoodoo jest dobrym przykładem z najbliższej okolicy.

– I ty – rzekła Jennifer.

– Tak, oczywiście. A także inne media, podobne do mnie. W pewien sposób jesteśmy szamanami współczesnego czasu. Objawiamy ludziom inną rzeczywistość, świat duchów. – Skinęła głową w kierunku Nanci, która wyszła do drugiego pokoju.

– Ona ma prawdziwy talent – kontynuowała Kathy z błyszczącymi oczami. – Jestem z niej bardzo dumna. I ma taki wspaniały związek z Simonem.

Jennifer spuściła oczy, podczas gdy Kathy nalewała im obu herbaty.

– Są już kochankami około trzech tygodni. Cudownie jest to obserwować, widzieć, jak ich wzajemny pociąg do siebie narasta i rozwija się. Oboje mogą tak wiele dać.

– Myślałam, że powiedziałaś, iż ty i Simon jesteście...

– Kochankami? – Kathy spojrzała na Jennifer i odstawiła filiżankę.

– Tak. – Jennifer próbowała odwzajemnić spojrzenie Kathy, ale nieruchome, nie mrugające, błękitne oczy kobiety odebrały jej odwagę i zamiast tego uciekła spojrzeniem za okno. Przez zamgloną szybę widziała brzeg zamrożonego jeziora i w oddali pola uprawne farmy, puste i zaśnieżone w ten świetlisty, zimowy poranek.

– Jesteśmy kochankami, Jennifer, tak samo jak Nanci i Simon. Wiesz, to nie tajemnica.

Nanci wróciła ze szklankami soku pomarańczowego i talerzami z jajecznicą, potem szybko się oddaliła.

– Przepraszam – zaczęła Jennifer. – Nie chciałam insynuować...

– Tutaj, na farmie, nie propagujemy swobody seksualnej.

Jennifer podniosła teraz wzrok i po prostu uniosła brwi.

– A co z AIDS?

– O co chodzi z AIDS?

Jennifer wzruszyła ramionami.

– Przepraszam – powiedziała tylko. – To nie moja sprawa.

– Ależ to jest twoja sprawa! – nalegała Kathy, nachylając się nad stołem. Siedziała swobodnie, trzymając nóż i widelec nad ciemnobrązowym ceramicznym talerzem. – Wy wszyscy, my, jesteśmy ze sobą powiązani. Nanci, Simon, ty, ja, Eileen. Wszyscy jesteśmy z tej samej grupy duchowej i dlatego istnieje między nami naturalna wzajemna atrakcyjność – także fizyczna.

– Czy Eileen spała z Simonem? – zapytała bez zastanowienia Jennifer i szybko dodała: – Przepraszam. To także nie jest mój interes. – Wbiła wzrok w swoje jedzenie.

– Nie wiem. Nie pytałam jej. To nie ma znaczenia, prawda?

– Oczywiście. – Jennifer podniosła widelec i próbowała jeść. Chciała przebrnąć przez to śniadanie, ale uświadomiła sobie, że nagle straciła apetyt.

– To jest twoja sprawa, Jennifer, i to właśnie staram ci się powiedzieć. Wiem, że Simon cię pociąga. Wiem, że ty też go nęcisz swoim powabem. Mówię po prostu, że nie ma w tym nic złego. To jest normalne! To jest zdrowe! To jest właściwe!

– Przykro mi, to nie jest sposób, w jaki prowadzę moje życie. – Jennifer rozgarniała jajko widelcem, czuła się lepiej teraz, kiedy odpowiedziała.

– Simon przyszedł do ciebie ostatniej nocy, prawda?

– Tak, Wiesz o tym.

– Ale nie wiem, co się wydarzyło między wami.

– Nic.

– Być może nic.

Jennifer spojrzała na Kathy, rozwścieczona.

– Nic się nie wydarzyło, Kathy – powtórzyła z naciskiem.

– Simon nie musi fizycznie spać z tobą, Jennifer, żeby coś się stało.

Jennifer odłożyła nóż i widelec i odepchnęła krzesło do tyłu.

– Nie uciekaj od siebie, Jennifer.

– Przepraszam. Przepraszam, że tu przyszłam. Nie będę... Nie muszę tego znosić. – Postanowiła, że spakuje się i wyjedzie. Jeśli będzie musiała, pójdzie na lotnisko pieszo, wszystko, byle uciec od tych ludzi.

Jednak Kathy złapała ją za nadgarstek i zmusiła do powrotu na krzesło.

– Przepraszam – powiedziała stanowczo – ale chcę, żebyś dokładnie przemyślała wszystko, co masz zamiar zrobić.

– A co mam zamiar zrobić?! – krzyknęła Jennifer.

– Chcesz wyjechać. Chcesz uciec – mówiła spokojnie Kathy. – Ale nie możesz. Ucieczka stąd nie przyniesie ci nic dobrego. Nie oddalisz się od swojej przeszłości – od wszystkich istnień, które już przeżyłaś w innych pokoleniach, w innych czasach.

– Boję się ciebie – powiedziała Jennifer.

Kathy przytaknęła ruchem głowy.

– To oczywiste, że się mnie boisz. Ja także bym się bała, gdybym była na twoim miejscu. Ale tylko przez strach i przeciwności nasza dusza się wzbogaca. Kiedy jesteśmy zupełnie szczęśliwi, zajęci własnymi sprawami, unosimy się na powierzchni życia i nic nie zostawia śladu na naszej duszy. Nie zdobywamy mądrości.

Strach przepłynął przez ciało Jennifer.

– Chcesz zrobić mi krzywdę – powiedziała. – Wiem, że tak jest. Czuję to. – Mimo to siedziała tam w dalszym ciągu, nie poruszając się. Nagle odniosła wrażenie, że nikt nie może jej zrobić nic złego, że kiedyś w przeszłości pokonała już tę kobietę.

– Jesteśmy ze sobą powiązane, Jennifer, mówiłam ci to – tłumaczyła cierpliwie Kathy Dart, ale teraz w jej głosie były pewne szorstkie nuty. – Jedyńm sposobem na to, żebyśmy zrozumiały to powiązanie, rozwiązały problem, jest cofnięcie się w czasie i spojrzenie na to, kim byłaś i co nas łączyło. Czym są te kosmiczne więzy?

– Uśmiechnęła się miękko. – W pewien sposób już zaczęłyśmy. Habasza wypędził z twego ciała złe duchy. Ból i pożerający ogień, które czułaś poprzedniego wieczoru, kiedy Habasza dotknął cię za pośrednictwem moich palców, były jego sposobem wyrzucania duchów zła.

– Przyznajesz, że chcesz mnie zranić – upierała się Jennifer, wpatrując się w medium.

– Prawda boli, to fakt – przyznała Kathy, kiwając głową. – Ale jest to także jedyny sposób, w jaki możesz zapanować nad wściekłością, która jest w tobie.

– Czy mówisz o akupunkturze? – zapytała Jennifer. – Może w ten sposób zamierzasz mnie zranić.

– To faktycznie trochę boli – odrzekła Kathy, przytakując skinięciem głowy. – Nie będę cię okłamywać. Jednak ten ból szybko znika, kiedy igła zagłębia się w ciele. To jak ukłucie szpilką, nic więcej.

– Co się wtedy dzieje?

– Stosuję to, co zwie się akupunkturą okostnową, umieszczam igły głębiej w tkankach. To niewiele bardziej bolesne niż zwykłe dotknięcie czubkiem ostrza i wchodzi w ciało na cal. Używam zestawu igieł zarówno srebrnych, jak i złotych, ale nie wykorzystuję ich aż tyle, ile normalny specjalista od akupunktury. Szukam innych odpowiedzi. Ciało przechowuje pamięć. Już ci to mówiono, wiem. Ale to prawda. Twój duch niesie dalej, z jednej generacji na kolejną historię twoich istnień na Ziemi.

– Po prostu wbijas we mnie te igły i zaczynam wyrzucać z siebie minione życia?

Jej rozmówczyni potrząsnęła głową.

– Nie, odbywa się to dużo subtelniej. Obracam igły tak, jak instruuja mnie duchy przewodnie, i ten ruch stymuluje twoje wspomnienia. Będziesz „widziała” egzystencje, które przeżyłaś, jakbyś oglądała film.

– Ty także będziesz oglądała ten film?

– Nie, nie będę widziała twoich istnień, ale możemy przedyskutować te obrazy, jeśli będziesz miała na to ochotę. Jesteśmy przygotowani do nagrywania tego, co się mówi podczas takiej sesji, później będziesz chciała posłuchać tych słów jeszcze raz.

– To nie wydaje się możliwe – zaprotestowała Jennifer.

– Tak, wiem. – Kathy Dart zagłębiła się w poduszki fotela i spojrzała na mroźny

krajobraz Minnesoty. Jej zwykła pewność siebie i swoboda zniknęły, a Jennifer wydało się, że widzi przebłysk strachu w brylantowoniebieskich oczach. – Prawda jest taka – przyznała Kathy – że nie rozumiem swoich własnych możliwości, ale boję się ich. Nigdy ich nie pragnęłam.

W tym momencie wyglądała na zagubioną, słabą i delikatną młodą kobietę, przytłoczoną swoim życiem. Jennifer kolejny raz zauważyła jej piękność, piękność, która nie ma nic wspólnego z modą ani stylem. Była obdarzona świeżą białą cerą i drobnymi, regularnymi rysami i – jak na ironię – precyzja wyrażania się skrywała jej prawdziwe serce i duszę. Jennifer wiedziała, że nigdy nie zdoła zgłębić, co Kathy naprawdę myśli.

– Kiedy Habasza wszedł w moje życie – ciągnęła – wszystko się zmieniło. Odeszłam od męża. Porzuciłam moich przyjaciół i karierę nauczycielki. Gdy sprowadziłam się tu z córką, która miała wtedy siedem lat, nie miałam pieniędzy ani żadnych planów, ale Habasza kazał mi wrócić do Minnesoty. Musiałam zbudować nowe życie, tutaj, na brzegu rzeki St. Croix.

Kathy spojrzała na Jennifer.

– Tutaj się urodziłam, rozumiesz – wyjaśniła. – Moi dziadkowie i rodzice uprawiali tę ziemię. Potem mój brat, Eryk, przejął gospodarstwo, wziął pożyczkę pod zastaw całych pięciuset akrów ziemi i stracił wszystko. Użyłam pieniędzy, jakie zostały mi z ugody rozwodowej, żeby odkupić ten dom. Musiałam to zrobić. Habasza powiedział mi, że prawdziwe szczęście odnajdę tylko w pobliżu korzeni. Uwielbiam wychodzić wiosną, podczas orki, kiedy pola pachną świeżą ziemią odwracanych skib. To jest takie cudowne i dobre.

Kathy Dart przestała mówić i Jennifer wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

– To nie jest łatwe, Jennifer, wiem. Ale musimy iść tam, gdzie każe nam serce. Musimy słuchać naszych własnych duchów i postępować zgodnie z ich wskazówkami. Nie jesteśmy sami. To jest to, o czym musisz, ja muszę, my wszyscy musimy pamiętać. Mamy siebie nawzajem. Musisz to wiedzieć. Przybyłaś tu, na farmę, w poszukiwaniu prawdy.

– Prawda może być przerażająca. Czasami wydaje mi się, że wolałabym raczej się odwrócić do tego plecami i odejść.

– Ale nie czujesz tego teraz, prawda? – zapytała Kathy, szukając oczami twarzy Jennifer.

Jennifer skinęła głową.

– Myślę, iż nie w pełni uświadamiałam sobie to, że nie mogę uciec od prawdy, aż do ostatniego wieczoru, kiedy Habasza mnie dotknął. Kiedy poczułam ogień...

Jego energia sprawiła ci ból. Wypędzał złych przewodników, którzy otoczyli twoją aurę, Jennifer. – Kathy uściśnęła jej rękę. – On cię uwolnił, Jenny!

Jennifer wytrzymała spojrzenie Kathy, a potem powie działa stanowczo, zdecydowana w swoim postanowieniu:

– Jestem gotowa, Kathy. Chcę wiedzieć, kto próbuje się do mnie dobrać. Chcę zakończyć swoje utrapienia. Chcę znać prawdę bez względu na to, co może to spowodować w moim życiu.

W małym, zamkniętym pokoju na tyłach salonu Jennifer wśliznęła się za parawan, zdjęła ubranie i owinęła się ciepłym flanelowym prześcieradłem.

– Kiedyś była tu sala porodowa – powiedziała Kathy. – Kiedy kłacz albo krowa zaczynała rodzić, zabierano ją do tej części stodoły. Była najcieplejsza, bo znajdowała się w samym środku.

Trzymała małą tacę, na której kilkanaście srebrnych i złotych igieł pływało w alkoholu, obok paczki gazy. Postawiła to wszystko tuż przy szerokim wyściełanym stole do masażu, umieszczonym na środku pomieszczenia.

– Czy wolałabyś, żeby był tu ktoś jeszcze? – zapytała Kathy, kiedy Jennifer wyłoniła się zza zasłony. – Może Eileen?

– Och, nie. Byłabym zbyt przerażona.

Kathy się roześmiała.

– Wiesz, niektórzy ludzie boją się być sami podczas terapii.

– Jak to będzie wyglądało? – zapytała Jennifer, pod; chodząc do stołu. W gabinecie stało bardzo mało mebli: kilka białych metalowych szafek, umywalka i otwarte półki, wypełnione flanelowymi i bawełnianymi prześcieradłami i stosami białych ręczników.

– Dla każdego jest to odmienne doświadczenie. W moim przypadku przebiegało bardzo wolno. Obejrzenie wszystkich wizji, każdego życia zabierało kilka godzin; skompletowanie mojej historii wymagało całego miesiąca takiej terapii. Inni – na przykład Eileen – przebywają stulecia w przeciągu minut. Eileen mówiła, że może tylko rzucić na siebie okiem. Często była to tylko sugestia, że gdzieś się znajdowała – pośród Rzymian czy Irlandczyków. – Kathy wzruszyła ramionami. – To zależy. Pewien człowiek, nazwiskiem Howard, który przeprowadza badania nad prawą połową mózgu, wysunął hipotezę, że im bardziej człowiek jest twórczy, tym żywsze będą jego wspomnienia. Podczas pierwszej sesji możesz także nic sobie nie przypomnieć. Twoje mechanizmy obronne mogą cię chronić, powstrzymywać przed poznaniem. Może minąć kilka spotkań, zanim dojdziemy do punktu zwrotnego i osiągniemy to, co nazywam Egzystencją Osiową, centrum doświadczeń z poprzedniego życia. Myśl o tym w ten sposób, Jennifer. Twoje minione istnienia przypominają pęcherz. Kiedy przekłuję taki pęcherz złotą igłą, będziesz mogła zobaczyć egzystencję, którą już przeżyłaś.

– Jak odnajdziesz właściwe pęcherze?

– Och, to łatwe. Moi duchowi przewodnicy wskażą mi, gdzie mam umieścić igły. Wiedzą, w jakich miejscach poprzednie życia zostały zarejestrowane w twoim ciele. Gotowa? – Uspokajająco uśmiechnęła się do Jennifer. – Chciałabym pomedytować chwilę, zanim zaczniemy.

– Co będę czuła? – zapytała Jennifer, grając na zwłokę.

– To zależy. Jeśli czujesz, na przykład, nagły powiew ciepła, znaczy to, że odbierasz negatywną reakcję ze strony jakiegoś wrogiego ducha. Nazywam je małymi diabłami. – Kathy posłała Jennifer kolejny uśmiech. Przynęła do stołu do masażu wysoki stołek i przysiadła na jego brzeżku.

– A co, jeśli nic nie znajdziemy?

– Czy to właśnie cię niepokoi? – spytała Kathy. – Że nic sobie nie przypomnisz? Jennifer wzruszyła ramionami.

– Że tam nic nie będzie, kropka! Żadnego poprzedniego życia.

Kathy Dart skinęła głową i powiedziała w zamyśleniu:

– To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nigdy nie miałam pacjenta, który nie przypominałby sobie jakiejś poprzedniej egzystencji. Niektóre, oczywiście, są dużo żywsze od innych. Niektóre są istnieniami o wielkim znaczeniu, ale większość, powiedziałabym, stanowią zwyczajne losy; farmerzy, chłopci pańszczyźniani, jeden lub dwa awanturnicze typy, jakiś bandyta w jednym pokoleniu, złodziej w innym.

– Czy miewałaś pacjentów, którzy podzielali moje doświadczenia? – zapytała Jennifer. – Tę obezwładniającą wściekłość i fizyczną siłę?

Kathy podniosła z białego ręcznika srebrną igłę i odłożyła ją starannie na miejsce.

– Tego się obawiasz, prawda? Że w jakiś sposób uderzę pewną komórkę twego ciała i staniesz się...

– Wściekłą, prymitywną istotą, tak. – Spoglądała prosto na Kathy Dart.

– To się nie zdarzy.

– Skąd możesz wiedzieć? – sprzeciwiła się pacjentka.

– Ponieważ nic takiego nigdy się nie przytrafiło ani mnie, ani nikomu, kogo leczyłam. Będiesz widziała swoją przeszłość, ale nie powrócisz do niej. Nikt nigdy nie powrócił.

– Nikt inny nie jest mną. To ja mam te napady wściekłości, przychodzące jak grom z jasnego nieba.

– Ale one nie spadają z jasnego nieba. Pojawiają się tylko wtedy, kiedy jesteś zagrożona. Czy teraz się czujesz zagrożona?

Jennifer pokręciła głową, wspominając, jak próbowała nawet przywołać swoją furię w ciemnym korytarzu poprzedniego wieczoru.

– Być może tak się stało, bo się czujesz bezpieczna na farmie. Nie przebywaś w nieprzyjaznym środowisku i intuicyjnie wiesz o tym. – Kathy wzruszyła ramionami. – To naprawdę jest takie proste.

Jennifer przytaknęła ruchem głowy. Może tak to jest. Przypomniała sobie sprzedawcę komputerów z motelu. Nigdy by go nie tknęła, gdyby jej nie przestraszył.

– Pamiętaj, zachowasz pełnię świadomości – wyjaśniał; Kathy. – Jeśli zaczniesz czuć, że w jakiś sposób tracisz nad sobą kontrolę, przerwę. – Zawahała się. – Jesteś pewna że nie chcesz, żeby Eileen była z tobą?

Jennifer potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. Lepiej przejdę przez to sama. Nie boisz się, że siedzący we mnie potwór ciebie zaatakuje?

Kathy Dart wybuchnęła śmiechem.

– Nie mnie! Ja mam Habaszę, a on jest królem dżungli. Tak mi powiedział. – Ułożyła nogi Jennifer na szerokim stole. – Teraz się odpręż – poleciała.

– Żartujesz?

– Spróbuj – nalegała Kathy. – Poświecę chwilę na medytację i przywołanie duchów. – Odwróciła się od brzegu stołu, znikając z pola widzenia Jennifer.

Kobieta zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. – „Spróbuję” – powiedziała sobie. Spróbuje się poddać, może Kathy Dart będzie mogła odkryć, co się dzieje z jej ciałem.

– Staraj się nie myśleć – szepnęła Kathy. – Po prostu pozwól myślom płynąć.

Zachowaj spokój.

Jennifer zaczerpnęła kolejnego długiego oddechu. Poczula na ciele strumień zimnego powietrza, a następnie uderzenie gorąca. Usłyszała, jak terapeutka siada obok niej w głowach stołu, i wstrzymała oddech. Potem myśli zaczęły się przesuwać i Jennifer pozwoliła sobie podążać za nimi. Nasłuchiwała odgłosów domu, ale tylko czasami jakieś stłumione brzmienie dolatywało do zamkniętego pokoju.

Dźwiękochłonna wykładzina na ścianach świadczyła o tym, że stodoła jest izolowana od hałasu. Czula się oddalona od świata, poza czasem. I szczęśliwa. Taka bezpieczna.

Kathy obeszła stół, stając u jej boku. – Jestem gotowa – szepnęła do Jennifer, ale jej głos się zmienił, stał się bardziej poufały. – Moje duchy powiedziały, gdzie mam szukać twoich istnień. – Chwyła ręką skraj flanelowego prześcieradła i zsunęła je z ramion pacjentki, a następnie zwinęła wokół jej pasa. Jennifer nie otwierała oczu. – Umieszczę pierwsze igły w kluczowych punktach na ramionach i piersi – mówiła spokojnie Kathy – a później w twoim trzecim oku, które znajduje się pośrodku czoła. Odczujesz pewien ból, jak już wspomniałam, ale to minie. Poczujesz także, że igły są ciepłe. Będzie tak, ponieważ biorę kulki suszonego piołunu – to ziele – i umieszczam je na wierzchołku rączki igły. Potem zapalam zioła, kiedy igła jest wbita. Ciepło dostarczy dodatkowej stymulacji twoim komórkom pamięci.

– Powiedz mi, kiedy będziesz zaczynała – poprosiła Jennifer.

– Już zaczęłam.

Jennifer otworzyła oczy i zobaczyła dwie długie igły, sterczące z powierzchni jej klatki piersiowej.

– Jezu – szepnęła.

Kathy uśmiechnęła się słodko i zapytała:

– Chcesz się przyglądać?

– Nie wiem. Powinam? – Poczula się lepiej, kiedy naprawdę zobaczyła igły tkwiące w swoim ciele. – Au! Co się stało? – Jennifer zamrugła oczami, żeby pozbyć się łez.

– Nic. Podrażniłam twoje komórki, kręcąc igłami, to wszystko. – Wyciągnęła rękę, wybierając następną igłę, którą wbiła za prawym uchem Jennifer.

– Nic nie czuję – szepnęła leżąca. W tym momencie było jej wspaniale, ciepło i wygodnie.

– Jasne, że nie. Idzie ci po prostu świetnie. – Kathy się uśmiechnęła. – Wkrótce zaczniesz widzieć, jak twoje istnienia ujawniają się. Odetchnij głęboko.

Jennifer wypełniła polecenie.

– To pomoże ci pobudzić pamięć.

– Robię się podniecona – powiedziała z uśmiechem Jennifer.

– Włączyłam magnetofon, więc mów, kiedy coś zauważysz. Czasami z innego życia powraca do nas tylko zapach albo smak. W każdym razie mów głośno, opowiadaj mi o tym i nagramy dla ciebie wszystkie wspomnienia.

Jennifer czekała z zamkniętymi oczami. Czula na swoim ciele miękkie dłonie Kathy, poczuła, jak następna igła przebija skórę między piersiami, ale tym razem nie było bólu. Kathy rozłożyła prześcieradło, opierając je na wierzchołkach pół tuzina igieł i kiedy Jennifer otworzyła oczy, odniosła wrażenie, jakby była zamknięta we wnętrzu namiotu.

– Twoje duchy przygotowują się, walczą o prawo do głosu – wyjaśniła Kathy, kiedy Jennifer owionął kolejny podmuch chłodnego powietrza. – Czy coś widzisz?

Jennifer pokręciła głową.

– Nie – zachichotała. – Czuję się, jakbym czekała, aż zaczniesz moje pierwsze życie czy coś w tym rodzaju.

– Cóż, właśnie na to czekasz. Ale nie bój się. Nie ujrzysz nic, czego nie chcesz zobaczyć. W ten sposób nasze ciała chronią nas. – Umilkła.

Jennifer miała wrażenie, że odpływa, jakby zażywała porannej drzemki. Zaczęła opierać się impulsom, pchającym ją do utraty świadomości, ale przypomniała sobie, że Kathy poleciła jej, aby pozwoliła umysłowi wędrować, odnaleźć swoje własne miejsce w głębinach podświadomości. Przestała myśleć. Zapomniała o własnym ciele i skupiła całą uwagę na tym, żeby nie myśleć. Wszystko się odsuwało. Czuła się tak, jak gdyby delikatnie opadała w przestrzeni wspomnień, spadając i spadając, zupełnie bez lęku. Unosiła się, oswobodzona z ciała, jak tej nocy, kiedy została napadnięta i patrzyła z góry na samą siebie, leżącą na stole operacyjnym.

– Zaczynasz sobie przypominać – powiedziała Kathy. Zdawało się, że jej głos dobiega z drugiego końca pokoju. – Widzę przebłyski twojego życia. Zbieram je.

– Co takiego? – Jennifer poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Dotarł do niej zapach eukaliptusów.

– Czy masz jakieś reakcje? Jakież odczucia? Jennifer skinęła głową.

– Tak – szepnęła. – Zdaje się, że jestem w tropikalnej dżungli. Czuję zapach owoców, zwłaszcza fig. Jestem wysoko, siedzę na drzewie, tak myślę. – Potrząsnęła głową, kiedy wyobrażenie zbladło, a potem zostało szybko zastąpione przez silniejszy, żywszy obraz. – Widzę prymitywnych ludzi. Bardzo prymitywnych. Biegają, rzucają w siebie włóczniami. To takie dziwaczne. To znaczy, sama nie wiem. – Jennifer uśmiechnęła się, rozbawiona wyobrażeniami wypływającymi na powierzchnię pamięci.

– Mów dalej – poleciła Kathy. – Co jeszcze widzisz?

– Nie wiem. To znaczy, widzę mnóstwo rzeczy. Widzę małą dziewczynkę. Wiem jakoś, że to ja. Bębnię w zwierzęcą czaszkę. Ktoś idzie do mnie. Jakaś kobieta. Biegnie szybko. Jest tam mój ojciec, tak myślę. To wszystko wiruje wokół mnie, nie mam nad tym żadnej kontroli. – Jennifer poczuła, że jej ciało się napina, i otworzyła oczy. Zobaczyła, że Kathy ściągnęła flanelowe prześcieradło i delikatnie kręci kilkoma złotymi igłami.

– Nie otwieraj oczu. Nie ruszaj się. Wszystko jest w porządku, właśnie tak, jak powinno być. Mów do mnie, Jenny, i opowiedz, co tylko jeszcze możesz, o tych wyobrażeniach.

– Widzę siebie. Chcę powiedzieć, iż wiem, że to jestem ja. Znajduję się gdzie indziej, tak mi się wydaje. Stoję przy wejściu do jaskini. Mam obnażone piersi i noszę tylko kawałek skóry wokół pasa. Jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. I jestem piękna. Być może jestem Murzynką. Moja skóra jest czekoladowa. Niosę w rękach miskę. Jestem malarką, wiem. Coś słyszę. Rozglądam się dokoła, spoglądam w głąb gęstej dżungli i chyba coś słyszę. Widzę tłum ludzi – jaskiniowców! – biegną w moim kierunku. Jestem przestraszona, ale nie wiem dlaczego.

Jennifer przestała mówić.

– Tak – szepnęła Kathy, przysuwając się bliżej. Wyjęła blok do notowania i zaczęła zapisywać swoje uwagi.

– To minęło. Już nic.

– Wszystko dobrze – poinstruowała ją Kathy – pozwól temu wyobrażeniu odejść i czekaj na następne. Jest ich więcej. Twoje ciało jest dostrojone. Osiągnęłam twoje meridiany.

– Widzę Rzym czy jakieś podobne miejsce. Grecja! – przerwała Jennifer. – To jest budynek z otwartym dziedzińcem. Widzę dwóch mężczyzn. Rozmawiają o mnie. Jestem uczniem tu, w palestrze, młodym chłopcem. Jeden z tych mężczyzn, ten po lewej, zostanie moim kochankiem. Wiem to, patrząc na niego. Jest poetą.

Jennifer ucichła. To wspomnienie oszołomiło ją.

– Nie próbuj niczego oceniać – nalegała Kathy. – Tylko opisuj. Porozmawiamy później.

– Widzę coś jeszcze – wyszeptała Jennifer, koncentrując się na wizjach. Oczy miała zamknięte, ale napełniające jej umysł obrazy były w pełni realne i doskonale wyraźne. – Widzę statek. Na Nilu, jak mi się wydaje. Jest wyjątkowo gorąco. Strasznie gorąco, naprawdę. Modłę się o bryzę, o jakikolwiek powiew. Ten statek porusza się z prądem, do morza. Jestem służącą, damą dworu czy kimś takim. – Jennifer zobaczyła mężczyznę, który zwrócił się do niej z jakimś pytaniem. Nie słyszała słów, a przystojny Egipcjanin był kimś, kogo już widziała. To był młody reporter. Zanim jednak zdołała opisać tę scenę, wyjaśnić wszystko Kathy, obraz zbladł i zniknął. Kolejny świat napełnił jej umysł. – Idę brukowaną ulicą. Mam na sobie strój mniszki. Długi czarny habit. Jest tam tłum ludzi. Prowadzą mnie na plac. Mam być za coś ukarana, tak sędzę. – Jej ciało spoczywające na stole do masażu zaczęło się pocić. Flanelowe prześcieradło było nagle zbyt ciepłe. – Zdejmij to – błagała i Kathy Dart wyciągnęła rękę i zwinęła długie prześcieradło. Jennifer poczuła powiew zimnego powietrza, ale jej ciało było lepkie od potu.

– Kontynuuj – powiedziała Kathy.

– Mam być spalona za swoje grzechy. – Poczua, jak ciągną ją mnisi w czarnych kapturach, jak wchodzi na ogromne podwyższenie, gdzie stał Wielki Inkwizytor. Rozejrzała się po otwartym placu zapełnionym wieśniakami, potem zobaczyła wysokie ławy, zajęte przez arystokrację włoskiego miasteczka. Dostrzegła tam Margit, wpatrującą się w nią. Obracała się dalej i ujrzała inną kobietę, odzianą, tak jak ona, w habit mniszki. Potem w jej polu widzenia znalazł się Wielki Inkwizytor i zaczął odczytywać oskarżenie przeciwko niej. Odwrócił się do widzów, wyliczając jej grzechy przeciw Bogu, i Jennifer uświadomiła sobie, że to Simon McCloud, skazujący ją na śmierć.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kathy.

– Nie wiem. – Jennifer zdała sobie sprawę, że płacze.

– Może powinniśmy przerwać. – Kathy wstała, żeby wyjąć pół tuzina igieł do akupunktury.

– Nie, proszę, idźmy dalej. – Jennifer chciała teraz poznać sekrety swojej przeszłości. Włoska scena zniknęła, zastąpiona przez następny obraz. Mężczyźni jechali konno przez otwarte pola. Widziała w oddali pokryte śniegiem góry, a także

to, że mężczyźni byli ścigani przez Indian. Setki wojowników pędziły w dół po zboczu wzgórza, wzbijając smugę kurzu w poprzek krajobrazu, galopując za uciekającymi białymi. Za nimi, w pewnej odległości, przewrócony kryty wóz leżał w łożysku rwącej rzeki. Zobaczyła dziecko, które biegło od strony preriowego pojazdu i uświadomiła sobie, że to ona. Widziała strach, zaczęła biec. Jeden Indianin odważnie pochylił się nad uciekającym dzieckiem i bez wysiłku podniósł je w górę. W uszach Jennifer rozległ się wrzask dziewczynki, kiedy została uniesiona w chmurę pyłu, a potem ujrzała, że tym Indianinem jest Tom. Tom był Apaczem, kradł białe dziecko.

Na stole jej nogi podkurczyły się.

– Myślę, że już dosyć – szepnęła Kathy.

– Nie, nie. – Jennifer potrząsnęła głową. Była naga i mokra od potu, ale nie czuła zimna. Jej ciało płonęło. – Proszę, chcę wiedzieć.

– Już dobrze – szepnęła Kathy – ale pamiętaj, że już raz przeżyłaś te istnienia. Teraz nic nie może cię zranić. Leż spokojnie – poleciła. – Zaczniemy za chwilę. Teraz tylko uspokój się. Czy chcesz, żebym ci wyjaśniła coś z tego, co widziałaś?

– Tak – odparła natychmiast Jennifer. – Czy widzę dużo więcej niż inni ludzie? Czy mniej?

– Jesteś bardzo dobrym obiektem, dostrojonym do swoich poprzednich egzystencji. Mówimy, że taka osoba ma „czułą antenę”. Nieczęsto dostajemy tak bogaty materiał podczas pierwszej próby. Ludzie zazwyczaj lokalizują tylko jedno czy dwa wyobrażenia ze swoich poprzednich żywotów. Muszę także oddać sprawiedliwość moim duchom; dobrze poprowadziły moje igły.

– Widziałam ludzi, których znam dzisiaj. Co to oznacza?

– To nic dziwnego. Wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani; ważna jest wzajemna relacja. Kogo widziałaś?

– Toma, Simona. I tego młodego dziennikarza, który pisze o tobie artykuł.

– Nie byłabym zdziwiona, gdybyśmy odkryły, że Simon był kiedyś twoim mężem. Albo że byłaś niewolnicą Toma w poprzednim życiu.

– I Margit była ze mną w pewnym istnieniu.

– Związek pomiędzy wami dwoma był bardzo silny. Być może była twoją matką w innym życiu. Mamy tu do czynienia z intensywną więzią, która jest możliwa tylko w rodzicielskiej relacji. To dlatego Margit przyszła do ciebie po tym, jak została zamordowana. Jesteś gotowa zacząć jeszcze raz?

– Tak.

Kathy Dart wstała ponownie i poruszyła długą złotą igłą, którą umieściła w trzecim oku Jennifer.

– Zamierzam pobudzić twoje wspomnienia. – Znowu rozciągnęła flanelowe prześcieradło nad ciałem Jennifer.

– Czy długo już to robisz? Czuję się, jakbym leżała na tym stole całe godziny.

– Liniowy czas nic dla nas nie znaczy, Jenny. Pozwól twoim myślom płynąć.

Jennifer zamknęła oczy i skupiła całą uwagę na zrelaksowaniu się, pragnęła zapewnić swobodę swemu umysłowi. Próbowwała powstrzymać się od myślenia o tym, co Kathy Dart powiedziała o Tomie, że był taką dominującą siłą w jej życiu, jej panem.

Nagle w umyśle stłoczyły się żywe obrazy. Zaczęły wirować i natychmiast ogarnęła ją panika, bała się, że straci wszystkie cenne informacje.

– Widzę młodą dziewczynę, tak myślę. Jestem Chinką. Zostałam pochwycona, ktoś mnie niesie. Za mną są ludzie. Chińscy górnicy czy ktoś taki. Chcą mnie zabić, zabić człowieka, który mnie niesie. Nie widzę jego twarzy.

– Odpreż się, Jenny – pouczyła ją Kathy, dotykając ramienia swojej pacjentki. – Pozwól wyobrażeniom przepływać. Nie mogą zrobić ci nic złego. Nie skupiaj się zbyt. Obrazy znajdują drogę na powierzchnię twoich wspomnień. Czekaj.

– Widzę sypialnię. Staromodną sypialnię, wiesz, z lat czterdziestych – podjęła na nowo Jennifer. – To pokój małej dziewczynki. – Starła się przebić wzrokiem ciemność. Chociaż był dzień, story były zaciągnięte i pokój tonął w cieniu. Na półkach było kilkanaście lalek, starannie ustawionych, a w rogu stał ogromny domek dla lalek. – To moja sypialnia. Po prostu wiem! – wykrzyknęła.

– Czy jest tam ktoś?

Jennifer pokręciła głową. Zmarszczyła brwi, nateżając uwagę, żeby zajrzeć w głąb swojej historii.

– Wchodzi jakaś kobieta – powiedziała. W jej umyśle otworzyły się drzwi i strumień światła wtargnął do ciemnej sypialni.

– To Margit! – zwróciła się do Kathy. – Jest moją matką i szuka mnie. Jestem tam, wiem, gdzieś w tym pokoju. – Jennifer kręciła głową z boku na bok, próbując zmusić się do przypomnienia, wydobyć ukryte wspomnienia.

Potem zobaczyła siebie. Miała kilkanaście lat, mniej niż piętnaście. Siedziała w łóżku, dopiero co obudzona, jak się zdawało. Była naga. Potem Jennifer zobaczyła tego mężczyznę, młodego mężczyznę u boku dziewczyny, zobaczyła, jak przekręca się w łóżku. Zanim jeszcze ujrzała jego twarz, wiedziała, że to Simon. Wiedziała także, że tych dwoje to rodzeństwo. Jej matka, Margit, wrzasnęła i podniosła pięści na córkę i syna, bijąc ich w ślepej wściekłości.

Jennifer drżała. Nie mogła zapanować nad własnym ciałem. Pozwoliła, by Kathy owinęła ją szczelniej ciepłym flanelowym prześcieradłem, i nie protestowała, gdy delikatnie, z dużą biegłością zaczęła masować jej skronie. Upłynęło kilka minut, zanim Jennifer zdołała skupić się nad tym, co mówiła terapeutka.

– Przeżyłaś przykry epizod, Jenny, to wszystko. Czasami się to zdarza. Wyciągasz na wierzch przeszłe istnienie, które napęnia cię wyjątkowym poczuciem winy i wyrzutami sumienia i to wyobrażenie niesie ciągle zbyt dużo bólu, żebyś mogła je znieść nawet teraz. Jednak wydobywanie tego wspomnienia sprawia, że uraz znika. Ono nie będzie już cię prześladować. Przeszłaś teraz to doświadczenie.

Jennifer szlochała cicho, płakała, ale łzy przynosiły jej ulgę. Oczyszczała swoje ciało ze złych wspomnień.

– Nie wiedziałam, że to będzie taka terapia – szepnęła do Kathy, która czule się nią opiekowała, podkładając jej małą poduszkę i ocierając łzy.

Kathy skinęła głową.

– W pierwszym momencie tak właśnie jest. Zrobiliśmy ogromny postęp dzisiejszego ranka, ale myślę, że czas już, abyśmy pozwoliły twojemu ciału odpocząć. – Uśmiechnęła się do Jennifer. – Zgaszę światła i zostawię cię na chwilę. Będiesz mogła zasnąć. Takie doświadczenia z poprzednich istnień często po prostu

zbijają z nóg.

– Nie opuszcza mnie myśl o mnie i Simonie. Wiesz, w innym życiu... Brat i siostra...

– Dlatego właśnie jest dla ciebie taki atrakcyjny w tym życiu – powiedziała Kathy.

– Brat czy nie, ale całkiem przystojny.

– Mam kochanka.

– Wszyscy mamy wielu kochanków, Jenny.

– Nie ja.

– Dlaczego? – zapytała Kathy. Czekala cierpliwie na odpowiedź Jennifer.

Ona zaś wzruszyła ramionami. Nagle poczuła się niezręcznie, rozmawiając o swoim życiu, o takich szczegółach.

– Myślę, że pozbyłabyś się wielu stresów, gdybyś pozwoliła wziąć górę swoim prawdziwym emocjom.

– Nie sądzę, żeby zwiążanie się z innym mężczyzną, z Simonem, było dobrą drogą do ułożenia trwałego związku z Tomem – zareplikowała Jennifer. – Wiesz, że żyjemy w epoce AIDS! Kobiety nie sypiają, z kim popadnie. Ty chcesz, żebym poszła do łóżka z Simonem, prawda?

Kathy wykonała ruch głową w kierunku stosu srebrnych i złotych igieł.

– Tylko tyle mogę osiągnąć moją terapią. Myślę, że miłosny układ, w którym ty i Simon dzielilibyście nawzajem swoją rozkosz, wzbogaciłby cię. To mogłoby ci pomóc przelamać napięcie, które czujesz, nienawiść, jaką żywisz do mężczyzn.

– Nie żywię żadnej nienawiści do mężczyzn – skomentowała pospiesznie Jennifer.

– Eileen opowiedziała mi, co się wydarzyło w motelu.

– Okay, byłam zła, ale ty też czułabyś to samo, gdybyś go zobaczyła. Słuchaj, nie zamierzam spać z każdym facetem, który się do mnie dobiera, tylko po to, żeby udowodnić, że nie czuję ukrytej wrogości do mężczyzn. Co ty właściwie chcesz powiedzieć?

– Pomyśl tylko, co się stało, kiedy zobaczyłaś Simona w tym wspomnieniu z lat czterdziestych – mówiła cierpliwie Kathy.

– Kathy, on był moim bratem! Sypiałam ze swoim bratem! – Jennifer się rozpląkała. Leżąc na plecach na stole do masażu, zakrztusiła się łzami i musiała wesprzeć się na łokciu, kaszląc i szlochając.

Kathy czekała, aż Jennifer odzyska kontrolę nad sobą. Otarła jej łzy rogiem flanelowego prześcieradła i powiedziała miękko:

– Nie osądzam cię, Jennifer, ani nie zalecam żadnego postępowania. Jestem zaledwie instrumentem. Gniew, który przejawiasz, konflikt z twoim przyjacielem, Tomem – to proste manifestacje głębszego, bardziej istotnego niepokoju, ulokowanego w komórkach twojego ciała. Twój duch zatrzymuje te wspomnienia i przenosi je dalej, z jednego wcielenia na następne. Ciało pamięta wszystko, Jennifer. Wszystko! Osiągnęłaś w swoim życiu krytyczny moment. – Wyprostowała się. – Nie wiem, Jenny, co cię nagle nawiedza, wyzwalając taką pierwotną furię. Ale chcę ci pomóc odkryć tę przyczynę. Tylko oglądając swoje poprzednie istnienia, rozmawiając z Habaszą, akceptując to, kim byłaś w innych egzystencjach, odkryjesz, kim jesteś dzisiaj. Jenny, musisz pogodzić się ze swoją przeszłością.

– I aby to osiągnąć, muszę pieprzyć się z Simonem McCloudem?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, że wy dwoje czujecie do siebie silny pociąg i taka chwila wspólnej intymności mogłaby cię nauczyć czegoś o sobie. – Umilkła na chwilę. Potem, powoli znowu zaczęła mówić. – Nasze najsilniejsze doświadczenia w życiu, Jenny, wiążą się z rodziną. Nasze życie kształtuje się w dzieciństwie. Wychowujemy się na takich ludzi, z jakimi wzrastamy. Nie wiem jeszcze, jacy byli twoi rodzice, ale mogę to zgadnąć.

Jennifer zerknęła na Kathy Dart i czekała na wyjaśnienie.

– Późno pojawiłaś się w ich życiu i czuję, że byłaś jedynym dzieckiem.

– Miałam brata – sprostowała Jennifer.

– Tak, ale on był dużo starszy, prawda?

Jennifer przytaknęła ruchem głowy.

– Eileen tyle ci o mnie opowiedziała.

– Nie rozmawiałam z Eileen o twojej rodzinie.

– Ale ona ich zna. Eileen i ja chodziłyśmy razem do średniej szkoły. Moi rodzice są na emeryturze. Mieszkają na Florydzie.

– Tak, lecz nigdy się nie wywiązała między wami bliska więź. Byli starsi. Nie cieszyli się z tego, że tak późno weszłaś w ich życie. Od dzieciństwa, właściwie od niemowlęstwa, czułaś, że jesteś niechciana. Nie dali ci takiego wychowania, jakiego potrzebowałaś. Był twój brat...

– Danny – szepnęła Jennifer.

– Straciłaś Danny'ego, prawda?

– Tak, w Wietnamie. Nigdy nie wrócił do domu. Powiedzieli, że zginął podczas nalotu bombowców. Nigdy nie odnaleziono jego ciała. Miałam tylko dwanaście lat, kiedy go straciłam. – Zaczęła płakać.

– Wiesz, Jennifer, musisz sobie uświadomić, że wybieramy naszych rodziców, wybieramy sobie rodzeństwo. Robimy to, żeby rozwiązać problemy z poprzednich wcieleń.

– Dlaczego Danny umarł i zostawił mnie? – wybuchnęła Jennifer. – Czy jego śmierć była spowodowana czymś, co zrobiłam w innym życiu?

Kathy pokręciła głową.

– Naprawdę nie wiem. Może on musiał wypełnić inne przeznaczenie. Swoje przeznaczenie. Jednak nie zostałaś naprawdę porzucona, Jennifer. Widziałaś go w swoich snach, prawda?

– Zawsze był ze mną – przyznała Jennifer. – Czuję go przy sobie. Przyszedł do mnie, kiedy omal nie umarłam na stole reanimacyjnym.

Kathy Dart wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Jennifer.

– Danny jest z tobą, Jenny. Zawsze. Jest jednym z twoich duchów. Margit Engle jest kolejnym. Oni – i inni pochodzący z tej samej grupy – są tutaj, żeby cię prowadzić i strzec. Tak jak ja, Habasza, Eileen, Simon. Jesteśmy częścią twojej grupy duchowej, twojego systemu wspomagającego. – Jej ładna twarz emanowała pewnością.

– Ale ja ciągle nie wiem, co mnie niepokoi, które życie jest źródłem tych napadów wściekłości.

Kathy Dart współczująco pokiwała głową.

– Wkrótce – szepnęła – wkrótce. – Skinęła głową w kierunku igieł – Myślę, że na następnej sesji poznamy prawdę.

Wstała i klepnęła Jennifer po ramieniu.

– Odpocznij przez chwilę – poradziła. – Wrócę później, żeby sprawdzić, czy dobrze się czujesz. Miałaś wyczerpujący poranek, Jennifer, ale sądzę, że jesteśmy bardzo blisko niektórych odpowiedzi.

– Tak – szepnęła Jennifer, zamykając oczy. – Tak myślę, Kathy. Dziękuję ci.

– Podziękuj Habaszy, Jenny. On zna wieczne prawdy. Ja jestem tylko pośrednikiem. Kathy Dart zamknęła drzwi, pozostawiając Jennifer w ciemnościach.

Rozdział 28

Jennifer otworzyła oczy w mrocznym gabinecie i zobaczyła, że do pokoju wszedł Simon. Serce uderzyło jej gwałtownie w piersi. Pomyślała, że on także musi słyszeć jego bicie, i wstrzymała oddech, starając się uciszyć swoje ciało.

– Tak? – szepnęła, nie poruszając się.

– Rozmawiałem z Kathy. Mówiła, że odpoczywasz.

– Tak.

– Cóż, przyszedłem zobaczyć, czy dobrze się czujesz. – Stał obok niej. Jego twarz, kilka cali od niej, rysowała się w ciemnym pokoju.

– Tak, nic mi nie jest. Dziękuję.

Jesteśmy prawie jak kochankowie szepczący w ciemnościach – przebiegło przez myśl Jennifer.

– Chciałabyś, żebym zrobił ci masaż? – zapytał. – Wiem, że takie przypominanie sobie poprzednich wcieleń jest bardzo męczące. Przechodzisz przez tyle układów.

– Nigdy nie brałam masażu – przyznała Jennifer – poza tym jak... – Przerwała w połowie zdania, przypominając sobie, jak w college'u jej chłopak masował ją, zanim się kochali. – Co ty robisz? To znaczy, jaki rodzaj masażu?

– Znam wiele różnych metod, naprawdę. Są systemy shiatsu i akupresury. Używa się tam palców i dłoni, naciskając na energetyczne meridiany ciała – takie same zasady, jak w akupunkturze, ale bez użycia igieł. Albo masaż szwedzki, polegający na manipulacjach ciałem. Nauczyłem się tego od mojego wujka, kiedy byłem dzieckiem. Jest jeszcze refleksologia, wiesz, ta metoda, która skupia się na dłoniach i stopach.

– Każda jest inna?

– Tak, każda ma inny cel. Hydroterapia, na przykład, opiera się na wodzie i rozwija napięcie mięśni, pomagając zmniejszyć obrzęki. Masaż estetyczny jest sposobem na poprawienie wyglądu.

– Dobrze, mogłabym skorzystać z tej metody.

– Nie, już jesteś bardzo piękna – odparł.

Jennifer się uśmiechnęła pełna niepokoju. Wolała nie kontynuować tego wątku.

– Jest jeszcze mioterapia do leczenia bólu mięśni – ciągnął Simon. – I masaż sportowy dla biegaczy, wiesz. – Wzruszył ramionami. – Na co tylko masz ochotę.

– Znasz te wszystkie rodzaje?

– Kathy posłała mnie do szkoły.

– Oczywiście. – Jennifer oparła się na prawym łokciu i odwróciła w stronę Simona.
– Jaki masaż bierze Kathy? – zapytała.
– Zawsze robię jej masaż szwedzki.
– Taki właśnie chciałabym mieć!
– Dobrze! – Mężczyzna się uśmiechnął. Podniósł się i przeszedł przez mały pokój, stając ostrożnie w ciemnościach.

Znalazł się poza smugą światła, ale Jennifer mogła dostrzec, jak otwiera szafę i wyjmując niską, wyściełaną ławeczkę. Postawił ją na podłodze, potem wrócił do stołu i wręczył jej złożone białe prześcieradło.

– Będziesz musiała to włożyć – powiedział i odwrócił się. Spuściła nogi ze stołu i owinięła się płótnem.

– Och, to jest zimne – powiedziała.

– W porządku. Rozgrzeję cię. – Simon ukląkł przy stole i wyjął kilka grubych ręczników z dolnej półki wbudowanej w ścianę szafki.

– Będę używał oliwy – powiedział. – Jest ciepła i nada gładkość twojej skórze. – Był bardzo rzeczowy. Poprzednie wrażenie bliskości minęło i czuła się dziwnie rozczarowana. Obejrzał się i zobaczył Jennifer owiniętą długim prześcieradłem.

– Gotowa?

– Chyba tak. – Czuła się teraz głupio i bezbrinnie.

– Tutaj – powiedział szeptem, ujmując jej rękę i delikatnie układając ją we właściwej pozycji na stole. Wsunął jej pod kostki gruby, zrolowany ręcznik, i drugi pod głowę, potem odwrócił ją twarzą do rogu pokoju. Jennifer zamknęła oczy, świadoma tylko jego silnych rąk na swoich plecach.

– Chcę, żebyś się odprężyła i miała zamknięte oczy – szepnął. – Nie będę nic mówił i chcę, żebyś skupiła się na swoim ciele. Mięśnie szyi są bardzo napięte. Pozwól, że tutaj zacznę. – Pochylając się, położył na jej plecach ręce zwilżone oliwą. Wzdrygnęła się pod jego dotknięciem, a on odezwał się cichutko: – Odpręż się, Jennifer, odpręż się i czerp z tego przyjemność.

Zaczął powoli i stanowczo naciskać szyję i mięśnie pleców swoimi silnymi rękami, przesuając je równomiernie w dół i znowu w górę. Jennifer poczuła, że robi się śpiąca, stopniowo przestała się opierać, korzystając z przyjemności masażu.

Simon przesunął się do jej nóg, ugniatając mięśnie łydki. Jęknęła, kiedy zacisnął palce na nodze; masażysta przeprosił ją szeptem.

– W porządku – odpowiedziała, obejmując rękami gruby ręcznik. Pomyślała, że mogłaby tak leżeć całą wieczność. Uwielbiała czuć jego ręce na swoim ciele. – Masz cudowne palce – powiedziała mu.

– Szxxx – szepnął.

Przechodząc do końca stołu, Simon delikatnie naciskał jedną stopę, później drugą. Zaczynał przy kostce i przesuwał się do palców.

– Chcę, żebyś robił mi to codziennie – wymamrotała.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się w ciemnościach. Powoli przesuwał ręce w górę nóg, ugniatając łydki, uda, do pośladków. Rozluźnione prześcieradło ześliznęło się z jej pleców, ale nie dbała o to. W pokoju było ciemno; nie mogła go widzieć i czuła tylko jego ręce i to, co robił z jej ciałem.

– Robisz to Kathy? – zapytała.

– Tak – szepnął Simon. Był teraz blisko, obok niej, i czuła zapach ciepłej, aromatycznej oliwy na jego palcach. – A teraz robię to tobie.

Simon odwrócił jej ciało, odsłaniając piersi. Wyciągnęła rękę i zawinęła w pasie koniec długiego prześcieradła. Powoli, ostrożnie, używając palców i dłoni obu rąk, masował mięśnie ramion, wyciskając z nich napięcie i ból. Potem przesunął się wzdłuż ciała, ostrożnie używając rąk na brzuchu, masując uda i łydki, uciskając stopy aż po koniuszki palców.

Pracował systematycznie, oddychając ciężko od ciągłego, wysiłku, ale nie przerywał i Jennifer leżała cicho, podążając posłusznie za sygnałami, dawanymi przez jego ręce, obracając ciało zgodnie z tymi wskazówkami. Leżała teraz naga na niskim stole i w przyćmionym świetle widziała zmięte kształty odrzuconych prześcieradeł.

Potem jego ręce powędrowały na uda, poczuła raptowny nacisk dłoni. Przerwał. Zaczął masować nogi silnymi palcami, wsuwając je między jej uda. Sapnęła.

Miała zamknięte oczy, nie widziała go. Czuła tylko jego oddech, gdy się pochylił nad jej ciałem, wkładając w nacisk cały swój ciężar. Jego palce były ciepłe, natłuszczone oliwą i rozkoszne. Kiedy dotknął jej piersi, poczuła, że nie może złapać tchu. Potem przesunął ręce do szyi i opuszkami palców masował delikatną skórę u podstawy gardła.

– Czy sprawiam ci ból? – zapytał.

– Nie – szepnęła, nie otwierając oczu.

Ponownie przesunął się wzdłuż jej ciała, w milczeniu masując tkanki, jakby ciało nie było niczym innym niż tylko instrumentem, na którym gra. Leżąc tak uświadomiła sobie, że to było prawdziwe poddanie się. Na tym polegało prawdziwe uczuciowe niewolnictwo.

Jennifer wiedziała teraz, że oddałaby mu swoje ciało. Poddałaby się prosto i z ochotą. Chciała, żeby był jej kochankiem, nawet gdyby to miało się zdarzyć tylko jeden raz. Nie miało to nic wspólnego z Tomem, z jej życiem w Nowym Jorku. Ten moment w ciemnym pokoju miał znaczenie tylko dla nich dwojga. Nie liczyło się to, że Simon i Kathy są kochankami. Pochodzili wszyscy z tej samej duszy; Habasza im to powiedział. Wszyscy byli ze sobą związani w innym życiu.

Otworzyła oczy i uniosła ramiona, żeby go objąć, a on uśmiechnął się i szepnął:

– Nie. Jeszcze nie teraz.

Pochylił się i powoli, miłośnie całował jej piersi, a potem delikatnie naciągnął na nią ciepły koc.

– Poleż tu przez chwilę – szepnął i odszedł.

Leżała bez ruchu, jak jej nakazał, oszołomiona niespodziewaną odmową. Chciał, żeby czekała. Czekala. Była sama w małym pokoju, otulona ciepłym, puszystym kocem, głębi domu dochodziły ją jakieś głosy, a ostry, pomocny wiatr chłostał ściany. Pomyślała o wargach Simona, dotykających jej piersi, o jego ciepłym policzku, muskającym jej nabrzmiate brodawki sutkowe, a potem przyszło spełnienie.

Jennifer otworzyła oczy. Był już wieczór, słyszała głosy w innych pomieszczeniach, śmiech i rozmowy. Nadszedł czas na przedobiednie drinki w salonie. Później, Jennifer wiedziała, Kathy nawiąże kontakt z Habaszą.

Naga, ześliznęła się ze stołu i ubrała pospiesznie, naciągając przez głowę puszysty, granatowy półgolf i wślizgując się w skórzane spodnie. Strach zmuszał ją do niespokojnych ruchów, a opuszczając mały gabinet, wyjrzała spoza okiennej zasłony, na wpół oczekując, że zobaczy tam twarz Simona obserwującego ją w ciemności. Był tam jednak tylko bezmiar zamarzniętego śniegu, skrzący się w świetle latarni. Dostrzegła samochód wjeżdżający na mały parking. Jego światła przesunęły się po polach, kiedy skręcał.

Obawiała się teraz Simona, obawiała się władzy, jaką miał nad nią. Pamiętała powrót do poprzedniego życia, w którym skazał ją jako Wielki Inkwizytor. Musiała uciekać od niego, od tej farmy, zanim coś więcej się jej przytrafi, zanim Simon spróbuje się z nią kochać.

W sypialni Jennifer złapała swoją parkę leżącą na oparciu krzesła, potem szybko wrzuciła ubrania do torby i w pośpiechu wypadła z pokoju, biegnąc przez hali w ciemność nocy. Kiedy tylko wyszła na mróz, uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak uciec z odizolowanej farmy.

Rozejrzała się. Nikt nie wyszedł za nią z domu, podwórze było ciche i ciemne. Podbiegła natychmiast do szosy i zamachała na przejeżdżający samochód, który zwolnił na chwilę, a potem przyspieszył. „Też dobrze” – pomyślała Jennifer. Kierowca był mężczyzną, a ona nie chciała kusić losu.

Następny samochód skręcił z podjazdu do farmy i przez chwilę czuła się przyszpilona przez światła reflektorów. Jechał prosto na nią, więc się cofnęła z drogi, oglądając się, gdzie mogłaby uciec, ale w pobliżu nie było żadnego schronienia, lasu, tylko ciągnące się milami otwarte pola i farma. Samochód zwolnił i zobaczyła, że kierowca się wychylił, otwierając drzwi od strony pasażera. Kiedy zapaliły się wewnętrzne światła, poznała reportera, który pisał artykuł o Kathy Dart.

– Hi! – powiedział, uśmiechając się. – Samochód się zepsuł?

– Tak, obawiam się, że tak. – Odpowiedziała uśmiechem. – Samochód z wypożyczalni. Muszę się dostać na lotnisko w St. Paul. Mógłbyś mnie podwieźć w tamtym kierunku? – Wlepiła w niego oczy. Jej serce łomotało i nagle przestraszyła się, że młody mężczyzna kłamie, że wiedział o jej próbie ucieczki i został po nią wysłany. Był jednym z nich, a nie żadnym reporterem.

– Jasne, wskakuj. – Wyciągnął rękę i zsunął z siedzenia stertę kaset magnetofonowych. – Gdzie jest twoja przyjaciółka...?

– Eileen?

– Tak, ona. Spotkałem was w Waszyngtonie, zgadza się? – Przyglądał się jej, ciągle uśmiechnięty.

Jennifer kiwnęła głową, wrzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła obok kierowcy.

– Zostaje dłużej? – zapytał, ruszając.

– Tak. Tak, ona zostaje. – Jennifer głęboko wciągnęła powietrze i rozejrzała się. Nikt więcej nie wyjechał z parkingu obok farmy. – Widziałam cię któregoś wieczoru na sesji z Habaszą. Artykuł już skończony?

– Tak, prawie. Zebrałem już wystarczająco materiałów o Kathy Dart. Ostatniego

wieczoru miałaś jakąś reakcję na starego Habaszę, prawda? – zauważył reporter.

Jennifer spojrzała na niego jeszcze raz. Nie był tak młody, jak z początku myślała. Nie zauważyła też wcześniej, że dobrze się prezentował.

– Jedziesz aż na lotnisko? – zapytała, chcąc zmienić temat.

– Tak, wracam do Chicago. Przy okazji, nazywam się Kirk Callahan.

– Tak, pamiętam.

– A ja pamiętam, że nie chciałaś udzielić wywiadu. – Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Nie miałam nic do powiedzenia. Nie jestem związana z mediumizmem.

– Ale teraz jesteś tutaj. – Machnął ręką w kierunku farmy.

– Cóż, byłam. – Patrzyła przed siebie, na ciemną autostradę. Wiedziała, że każda mila oddała ją od farmy. Co zrobi Kathy, kiedy odkryje, że wyjechała? Znowu spojrzała na tablicę rozdzielczą, wdzięczna Kirkowi, że jedzie tak szybko.

– Dokąd podróżujesz? – zapytał, a ona podskoczyła zaskoczona jego głosem. – Hej, przepraszam. – Samochód zwolnił.

– Och, do Nowego Jorku. Jadę do Nowego Jorku. – Obejrzała się, wyglądając przez tylną szybę.

– Nigdy nie byłem w Nowym Jorku – powiedział mężczyzna. – Chciałbym tam kiedyś pojechać, obejrzeć show na Broadwayu czy coś takiego.

Jennifer zapomniała już, jacy bezpośredni są mieszkańcy Środkowego Zachodu. To było tak, jakby pochodził z innej planety.

– Mieszkasz na Manhattanie? – zapytał.

– Nie, w Brooklynie. Brooklyn Heights właściwie. To tuż za rzeką. – Nie było za nimi żadnych świateł.

– Nikt za nami nie jedzie – powiedział, marszcząc brwi.

– Przepraszam. Myślę właśnie... Wiesz, prowadzisz tak szybko. Niepokoję się o gliniarzy.

– W porządku. Mam na nich oko. Nie mamy się o co martwić.

Jennifer skinęła głową.

– To miła uwaga: stwierdzenie, że nie ma się o co martwić. Chciałabym, żeby to była prawda. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Masz ochotę na trochę muzyki? – zapytał Kirk.

– Jasne.

– Proszę. – Wręczył jej pudło kaset.

– Nie, ty wybierz coś, co lubisz. Cokolwiek. – Jennifer zauważyła z satysfakcją, że jej uśmiech odurzył go.

– Dobrze, co powiesz na Joana Cougara Mellencampa? – Wsunął kasetę i nacisnął guzik magnetofonu.

– Wspaniale! – odpowiedziała Jennifer. Nie miała pojęcia, o kim mówi.

Prowadził nie rozmawiając, oboje słuchali muzyki i Jennifer poczuła, że się odprężyła. Muzyka pomogła jej oderwać myśli od problemów, ale najważniejszy był samochód, mknący przez ciemną noc. Odjeżdżała z farmy z atrakcyjnym młodym mężczyzną i czerpała przewrotną przyjemność z faktu, że nikt – ani Eileen, ani Kathy Dart, ani Simon, nikt – nie wiedział, gdzie się podziała.

Zapadła się głębiej między miękkie poduszki siedzenia.

– To ładny samochód – odezwała się. – Co to jest? Uśmiechnął się z dumą.
– Jest zupełnie nowy – powiedział. – Audi 80. Pięć cylindrów, dwa i trzy dziesiąte litra pojemności silnika. A to wszystko skóra! – Wyciągnął rękę i czule przesunął dłonią po tapicerce.
– Prezent?
– Tak. Kupiłem go dla siebie. Zarobiłem trochę pieniędzy na giełdzie.
– Gratulacje.
– Dziękuję. Po prostu miałem szczęście. Wycofałem się, kiedy akcje szły w górę. To z powodu krachu.
– Grasz na giełdzie?
– Grałem. Teraz zajmuję się obrotami gotówkowymi.
Jennifer pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Kiedy była w jego wieku, miała tylko pożyczkę z college’u i długi i nie wiedziała o giełdzie. Zagłębiła się w miękkie poduszki, siadając na podwiniętych nogach tak wygodnie, jak tylko mogła w ciasnej przestrzeni. Zobaczyła, że Kirk wyciąga rękę i przycisza muzykę, i uśmiechnęła się do niego. Potem zamknęła oczy i pomyślała, że to miło z jego strony, iż zostawił ją samą. Zasnęła na rozkładanym siedzeniu jego audi, wdzięczna losowi, że jej towarzysz podróży jest takim miłym chłopakiem.

W ostatnich chwilach koszmarnego snu, w cichej mgle unoszącej się przed powrotem świadomości, Jennifer ujrzała rękę sięgającą do jej gardła, szarpnęła się i skręciła, próbując uciec. Potem się obudziła. Na jej ramieniu spoczywała delikatnie dłoń Kirka Callahana, który mówił do niej szeptem:

– Hej, Jennifer! Hej, przepraszam. Zbliżamy się do St. Paul, czas się obudzić. – Cofnął rękę, kiedy samochód zaczął zwalniać.

Jennifer zobaczyła, jak przemykają pod znakami wyjazdu z autostrady, zawieszonymi nad jezdnią. Byli już w ruchu ulicznym, wśród budynków, migoczących reklam i huku ciężarówek. Ogarnęła ją fala paniki. Zegar, wbudowany w tablicę rozdzielczą samochodu, wskazywał trzydzieści dwie minuty po siódmej.

Kirk wyglądał teraz na starszego. Rysy twarzy zdawały się ostrzej wyrzeźbione, ale szeroki podbródek, duże, pełne wargi i prosty nos łagodziły to wrażenie. Była to zwyczajna, męska twarz, a zdecydowany sposób bycia jeszcze przydawał jej właścicielowi tej męskości. Jennifer przyglądała mu się w zamyśleniu. Syn farmera. Może drwał z Minnesoty. Przypomniała sobie, że pojawił się już w jej poprzednim, egipskim życiu i nie chcąc wracać do tych wspomnień, odezwała się:

– Dobrze, Kirk, opowiedz mi o sobie.

Zarumienił się, jak przewidywała, i nieśmiało, z wahaniem, zaczął mówić o dorastaniu na farmie gdzieś na Środkowym Zachodzie, o futbolu i dziewczętach w średniej szkole, o tym, jak dostał stypendium do college’u. Przez chwilę Jennifer słuchała go uważnie, a potem uświadomiła sobie, że nie tyle słucha, ile obserwuje sposób poruszania się jego warg, pochYLENIE głowy, kiedy zaczynał nową historię, błysk oczu, gdy się zbliżał do kulminacyjnego punktu jakiegoś dowcipu.

– Co na to powiesz? – zapytał.

– Przepraszam? – usiadła prosto, przywołana do porządku.

– Co powiesz na propozycję wyjazdu ze mną do Chicago?

– Jedziesz do Chicago? – spytała.

– Cóż, tak. Jutro po południu mam wywiad u Loopa, a potem wybieram się do domu.

– Ale gdzie mieszkasz?

– W St. Louis. Mogę jednak cię podrzucić do O’Hare, nie ma sprawy. – Patrzył na nią wyczekująco.

– Sama nie wiem. To długa podróż. Musielibyśmy gdzieś zanoć, mam rację? – Pomyślała o facecie, którego wepchnęła do maszyny do robienia lodu, kiedy jechały z Eileen. Zastanawiała się, czy jest poszukiwana.

– Nie dostaną cię, jeśli będziesz ze mną – powiedział miękko, obserwując ją.

– Co masz na myśli? – Jennifer uświadomiła sobie, że drżą jej ręce. – Kto ma mnie dostać?

Kirk wzruszył ramionami.

– Tamci ludzie z farmy. – Wytrzymał jej spojrzenie. Odczekał.

Nie chciała go okłamywać. Pragnęła opowiedzieć mu, co się jej przydarzyło, jak dostała się na farmę i dlaczego teraz stawką jej ucieczki było życie. Doszła do wniosku, że naprawdę można czasami powierzyć obcemu najbardziej osobiste tajemnice, sekrety skrywane przed przyjaciółmi. Tak więc tam, w małym samochodzie mknącym w kierunku St. Paul, opowiedziała Kirkowi Callahanowi o tym, jak spotkała Kathy Dart i dlaczego przybyła na farmę. Zataiła tylko swoje zbrodnie.

Najbardziej zdumiało ją, że zdawał się nie dziwić niczemu, co usłyszał. Spoglądał na nią swoimi trzeźwymi szarymi oczami, nie zdradzając najmniejszego śladu zdziwienia czy zaskoczenia jej opowieścią.

Kiedy skończyła, zapytała go:

– Czy jesteś uczniem Kathy Dart? Wierzysz w tę Nową Erę? Zamierzasz mnie nawrócić czy co?

Pokręcił głową, patrząc prosto przed siebie i obserwując drogę.

– Cała ta bzdura z Nową Erą to pieprzenie. Człowiek sam to ze sobą robi. Brałem udział w takim kursie – anomalie psychiczne – ostatniej jesieni i wiesz, czytasz o takich przypadkach i nagle zaczynasz myśleć: „Hej, to zupełnie jak ja. To o mnie!” Albo znasz kogoś, kto ma trochę nie po kolei w głowie i myślisz: „On musi cierpieć na schizofrenię paranoidalną” czy coś podobnego.

– Piszesz jednak o tym artykuł?

– To nie ma znaczenia, czy wierzę w coś z tego gówna.

– Może masz rację – powiedziała Jennifer wymijająco, nie wiedząc teraz, komu lub czemu ma wierzyć. Znowu pomyślała o sesji z Kathy Dart i żywych wizjach swoich poprzednich istnień. „To była prawda” – powiedziała sobie. Cokolwiek się jej przydarzyło, w każdym razie oglądała swoje przeszłe wcielenia i zabijała ludzi, używając swojej prymitywnej siły. Westchnęła.

Jechali w ciszy, opuszczając St. Paul drogą numer 94, przez Wisconsin, potem na południe przez bardziej równinne tereny uprawne. Kirk wkładał do odtwarzacza kolejne kasety. Wybierał George’a Harrisona, Billy’ego Idola i jeszcze trochę Johna Cougara Mellencampa. Wolałaby, żeby nie puszczał muzyki. Tęskniła za ciszą, ale to był jego samochód, on prowadził i nie chciała stawiać żadnych wymagań. Pragnęła

tylko wrócić do Nowego Jorku.

Rozdział 30

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby dzielić ze mną pokój? – spytała Jennifer, kiedy Kirk zdecydował się zatrzymać na noc. Jadąc przez Wisconsin podjęła decyzję, że nie spędzi nocy sama w motelowym pokoju.

– Hej, pewnie – Kirk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie mam na myśli nic poza tym – zapewniła.

– Dobra, możesz mi zaufać! – powiedział z uśmiechem.

– Wiem o tym. – Otworzyła drzwi samochodu.

– Zaczekaj! – polecił.

– Tak? Widzisz kogoś? – Wśliznęła się z powrotem na siedzenie samochodu.

– Nie, jasne, że nie. Hej, Winters, nikt nas nie znajdzie tutaj, pośrodku pól. Ta farma nie zatrudnia KGB. Po prostu zaczekaj, aż wynajmę pokój, to wszystko.

– Och! Chcesz nas zameldować?

– Cóż, myślałem, że zamelduję panią i pana Callahanów. Czy to byłoby zbyt naciągane?

Pozwoliła sobie odpowiedzieć uśmiechem.

– Świetnie! Ale nie używaj mojego imienia, dobrze? – Wiedziała, że to paranoja, ale jednak... – Proszę! – Sięgnęła po portmonetkę. – Pozwól, że dam ci trochę pieniędzy.

Machnął ręką.

– Kupisz mi obiad! – otworzył drzwi samochodu.

– Okay, ale zjemy w pokoju. Wybierz drugie piętro, dobrze?

Westchnął.

– Jeszcze jakieś motelowe obsesje?

– Nie. – Posłała mu uśmiech, wdzięczna, że się zajmuje wszystkimi detalami.

Potem wyciągnęła rękę i wcisnęła zamek, blokując drzwi samochodu.

– Co o tym powiesz, pani Callahan? – zapytał Kirk, otwierając drzwi i przepuszczając Jennifer w wejściu do motelowego pokoju.

– Dobrze! – pochwaliła, wchodząc do słabo oświetlonego wnętrza. – Są dwa łóżka.

– Hej, prosiłem o to! – W jego głosie zabrzmiała uraza.

Jennifer popatrzyła na niego przez chwilę, trzymając małą plastikową torebkę z przyborami toaletowymi. Wiedziała, że zna ją za mało, żeby mógł zrozumieć, dlaczego jest taka nerwowa, ale przynajmniej próbował dojść z nią do ładu, dostosować się do jej ekscentrycznego zachowania. Skąd mógł wiedzieć, czy nie jest jakimś świrem, zbiegłym ze szpitala dla psychicznie chorych? Podeszła do łóżka, usiadła i powiedziała cicho:

– Kirk, nie staram się rozkazywać ci ani nie traktuję cię jak dziecko.

– Więc przestań to robić, dobrze?

– Jesteśmy w kłopotliwej sytuacji, rzuceni tu razem i jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Uratowałeś mi życie. Po prostu nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał, nic więcej.

– Nie ma żadnego nieporozumienia.

Jennifer podniosła się. Uświadomiła sobie teraz, że pojedynczy pokój był wielkim błędem.

– Przepraszam – powiedział.

– Wszystko w porządku.

– Jen, ja po prostu... – mówiąc, unikał jej wzroku. – Przepraszam, ja...

– Kirk, wszystko dobrze – załagodziła sprawę. Musiała się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jego policzka. – Lepiej wezmę prysznic – powiedziała w końcu.

W małej łazience odkręciła natrysk, owinęła głowę grubym kąpielowym ręcznikiem i pozwoliła sobie płakać, wiedząc, że to ją uspokoi. Nie kłopotowała się zamknięciem drzwi na klucz. Nie obawiała się Kirka. Wiedziała, że ze wszystkich ludzi jemu może zaufać.

Długo stała pod prysznicem, umyła włosy, potem wyprała majtki i staniczek i powiesiła je na pręcie od zasłony. Kiedy wróciła do sypialni, miała włosy zawinięte w ręcznik i ubrana była w czerwoną flanelową koszulę nocną. Myślała o założeniu z powrotem koszulki i džinsów, ale zrezygnowała z tego. Nie widziała problemu. Poza tym po obiedzie chciała iść prosto do łóżka i spać.

– Obiad podano – Kirk wskazał tacę.

– Dziękuję – odrzekła. – Skąd się to wzięło?

– Powiedziałem w recepcji, że mamy miodowy miesiąc i chcę ci podać obiad do łóżka. A oni przysłali tacę. – Wyjął butelkę szampana z plastikowego wiaderka do lodu, prezentując ją z ukłonem. – I to – dodał.

– Kirk, masz klasę – powiedziała pod wrażeniem.

– Tak myślisz?

– Wiem to. Jesteś porządnym facetem.

– I porządnym dzieckiem, chcesz powiedzieć.

– Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

– Racja! – Usiadł na skraju swojego łóżka.

– Hej! – Pochyliła głowę na bok, uśmiechając się spod zaimprovizowanego turbanu. – Usiądź koło mnie. Porozmawiajmy. Powiedziałam ci o Tomie. Teraz twoja kolej. Opowiedz mi o twoich dziewczynach.

– O której?

– Cóż, zacznijmy od najbardziej aktualnej. – Wgryzła się w swojego hamburgera, potem popiła łykiem szampana, podczas gdy Kirk mówił jej o Peggy. Chodzili razem do szkoły, ale podczas świąt Bożego Narodzenia oświadczyła, że jest związana z kimś ze szkoły prawniczej, z facetem, którego poznała poprzedniego lata. – To była twoja wielka miłość?

– Tak, tak sędzę. W średniej szkole nie umawiałem się za wiele z dziewczynami. Mieszkaliśmy poza miastem; zawsze było za wiele roboty w domu. Kiedy poszedłem do college'u, Peggy i ja szybko się dopasowaliśmy i spędzaliśmy ze sobą prawie cały czas aż do ostatnich wakacji. Kiedy wróciła po Świecie Pracy, wszystko między nami było skończone. – Wzruszył ramionami i wrócił do swojego hamburgera.

– Cóż, nie martw się. Jesteś przystojnym facetem i będzie mnóstwo innych.

– Tak sądzisz? – zapytał.

– Oczywiście, że tak będzie.

– Nie, myślałem o tym, czy naprawdę uważasz, że dobrze wyglądam?

Jennifer popatrzyła na niego, opróżniając kieliszek. Szampan zrobił swoje. Pierwszy raz tego dnia czuła się odprężona, było jej ciepło, a nawet bezpiecznie. Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę i dotknęła dłonią jego policzka, przesuwając palcami wzdłuż szczęki. Przelotnie wyobraziła sobie, jak by to było kochać się z nim, a potem przywołała swoje myśli do porządku i powiedziała tylko:

– Tak, jesteś przystojnym mężczyzną. – Zrobiła pauzę. – Ale uważam, że powinieneś pozwolić swoim włosom trochę odrosnąć. A teraz idę spać.

Kirk podniósł tacę, a Jennifer wsunęła się pod koce i położyła głowę na poduszce. Włosy miała owinięte ręcznikiem i wiedziała, że powinna je wyszczotkować, ale była zbyt zmęczona, żeby się nawet poruszyć.

Kirk pochylił się, otulił ją przykryciem przy szyi, potem zgasił nocną lampkę. Zanim odszedł, nachylił się i pocałował ją miękko w policzek.

Jennifer się uśmiechnęła i wymamrotała podziękowanie, a potem zasnęła.

O wiele później obudziła się i zobaczyła Kirka stojącego przy oknie w białych bokierskich szortach. Pomyślała, że ma wspaniałe ciało, i znowu zasnęła.

Kiedy Jennifer obudziła się ponownie, był już dzień. Odwróciła się i ujrzała, że łóżko Kirka jest puste, a ona jest sama w pokoju. Natychmiast zerwała się i podeszła do okien, wyglądając zza ciężkich zasłon. Audi Kirka stało zaparkowane tam, gdzie je zostawili.

Westchnęła. Co ona sobie pomyślała? Że zostawił ją tutaj, pośrodku niczego?

Potem dostrzegła Kirka, biegnącego przez parking. Był na porannym joggingu, to wszystko. Westchnęła ponownie i obserwowała go, jak zwalnia i podchodzi do kombi, które właśnie podjechało do motelu. Kiedy tylko kierowca opuścił szybę, Jennifer rozpoznała, kto nim jest. Kirk mówił coś, wskazując na przeciwną stronę parkingu, ale Jennifer odskoczyła od okna na drugim piętrze, rozumiejąc jasno, co się stało. Kirk Callahan, młody mężczyzna, któremu zaufała, przyprowadził do niej Simona McClouda.

Biegł. Ściskając w ręce odłamek kwarcytu wielkości pięści, pędził w dół stromego brzegu, kierując się ku mulistej rzece. Obcy byli tuż za nim. Znaleźli ciało tej kobiety i teraz ścigali go, przedzierając się przez podszybie lasu, kierowani jego zapachem, podążając śladami stóp w miękkiej ziemi. Biegł, żeby ocalić życie. Zabiliby go tak samo, jak on zabił tamtą kobietę. Nie wiedział, dlaczego odebrał jej życie. Nie chciała z nim pójść. Przecież inne kobiety ze szczepu nad rzeką także z nim nie chodziły, ale on nie zrobił im nic złego. Jej odmowa jednak rozwścieczyła go i – nie namyślając się – zamachnął się na nią kamiennym tłukiem, zagłębiając jego ostry koniec w jej szyi, aż krew spryskała mu twarz. Czuł smak tej krwi na swoich wargach, w ustach.

Dopał rzeki i dał nurka w głęboką wodę, pozwalając, by bystry prąd niósł go z nurtem. Były tam nosorożce, brodzące w wodzie, a także krokodyle, wylegające się na brzegach w cieniu drzew akacjowych. Śpiące gady napełniały go przerażeniem, ale bardziej bał się zgrai ludzi biegnących wzdłuż błotnistych brzegów. Jeśli nie

będzie niepokoił zwierząt, pozostanie bezpieczny. Za następnym zakolem rzeka się poszerzała, a potem ciągnęła aż po horyzont. Nie wiedział, dokąd płynęła, ale kiedyś, kiedy był młodszy, jego dziadek stał nad wysokim urwiskiem obok ich obozowiska i opowiadał mu o ziemiach za trawiastymi równinami, gdzie słońce są tak liczne, jak krople deszczu i gdzie krzewy jagodowe i rośliny krwawnika wyrastają większe niż w snach.

Chwycił ręką rosnący poziomo pęd bambusa i rozbujał się, żeby wejść na niego, był bowiem przekonany, że musi opuścić dolinę. Zbyt wielu obcych mieszkało razem w dolinie plastrów miodu. Zginałby, gdyby powrócił; mężczyźni ze szczepu tej kobiety znali go. Zabiją innego członka jego rodziny, napadając nocą na ich obóz i mordując jedną z kobiet za to, co zrobił ich klanowi. Wiedział, że jej ludzie nie uważają ani jego, ani jego gatunku za nic więcej niż małpy, które można zabić, rozbić ich głowy kawałkami skał tak, żeby można było wybrać palcami słodko pachnące mięso z ich czaszek, wysać oczy jak małże; a później ludzie piekli nad obozowym ogniskiem uda i ramiona martwych ciał swoich wrogów i powoli znikali w cieniu, nie czując bólu spowodowanego głodem.

Jej lud starał się o to, by jego gatunek trzymał się z dala od sawanny, z dala od krzewów jagodowych na dalszym brzegu rzeki. Ciągłe jednak on i jego kuzyni przekradali się po zachodzie słońca przez rzekę, przemykali między śpiącymi krokodylami, żeby ukraść trochę miodu albo znaleźć półka krwawnika i zebrać białe kwiaty w ciemnościach nocy. Jej ludzie mówili, że owoce i jagody należą do nich, do wszystkich ludzi z jaskiń, mieszkających na stromym urwisku, i wypierali jego lud, nie dopuszczając go do bujnych roślin. Odpędzali ich od błotnistych sadzawek, przy których zbierały się kozły i gdzie mogli złapać w sidła zebra albo żyrafę i zabić ją uderzeniami swoich toporków. Wsunął nóż do pochwy z kozłej skóry, kiedy rwąca rzeka poniosła go dalej. Trwało to całe tygodnie, zanim znalazł ten kamień i nadał mu żądany kształt, odłupując kawałki kwarcu, jak uczył go ojciec. Za pomocą tego narzędzia mógł zabijać. Mógł bronić się przed jaskiniowymi ludźmi. Pomyślał o kobiecie, którą zgładził. Pierwszy raz ujrzał ją na brzegu rzeki, potem szedł za nią na szczyt wzgórza. Zawołał ją, ale ona go wyśmiała, wysunęła do przodu brodę, wypięła piersi w jego kierunku, uderzyła językiem swoją mięsistą górną wargę, mówiąc: „Maa-naa, Maa-naa”, kiedy odwracała się, żeby pokazać mu zadek.

Chciał ją zwabić ze ścieżki, znęcić do pójścia w głęboki parów obok wielkich drzew bananowych, gdzie miękką ziemię pokrywał mech, ale ona nie ruszała się z przecinki. Obserwował, jak paraduje w jasnym słońcu, kręcąc biodrami, jakby chciała go skusić. Wypadł z bezpiecznej gęstwy krzaków, a ona odskoczyła chichocząc. Rozwścieczony, chwycił swoje nowe kwarcowe ostrze i uderzył ją.

Pozostanie nad rzeką, uczepiony grubej łodygi bambusa. Dziadek opowiadał mu baśnie, historie zasłyszane od swojego dziadka, o wzgórzach za wzgórzami, o innych ludziach, wysokich i smukłych jak biegnące żyrafy, którzy nosili skóry zwierząt, i snuł opowieści o wielkich górach, gdzie deszcz jest biały i zimny. Wiedział, że to tylko baśnie opowiadane podczas zimnych nocy przy ciepłym ognisku, kiedy ludzie zbierali się i śpiewali dzieje krain za rzeką, historie, o których mówili, że przyszły do nich we śnie, gdy ciało śpi i duchy żeglują wraz z księżycem, i malowali te pieśni na ścianach jaskiń.

Nie wierzył w opowieści starych ludzi. Uznawał tylko to, co widział, czego spróbował ustami, co mu się przytrafiło. Zabił tę kobietę i ludzie z jaskiń pragną jego zabić. Nie chciał opuszczać swojej własnej kobiety, swoich dzieci, ojca i matki, ale nie chciał umierać ugodzony ciśniętą włócznią, nie chciał, żeby wyssano mu oczy z głowy.

Przywarł do pędu bambusa, szczęśliwy, że żyje, szczęśliwy także, że zabił ją. Jej oczy śmiały się z niego, wabiła go swoim seksem, jakby to był soczysty owoc albo jagoda, ale nie chciała z nim kopulować. Tak, był zadowolony, że ją zgładził, i płynął z prądem szerokiej rzeki w stronę wschodzącego słońca i kraju, gdzie jest biały zimny deszcz i wysocy smukli ludzie.

Rozdział 31

Jennifer zamknęła na zasuwę drzwi łazienki i obróciła się twarzą do lustra. W jasnym świetle zobaczyła, jak pełne przerażenia jest jej spojrzenie. Tak, jakby wsadziła palec do gniazdka elektrycznego.

Pomyślała o Kirku, o tym jak pojawił się w nocy i pomógł jej uciec z farmy, jaki był dla niej miły. Zakręciło się jej w głowie, kiedy połączyła razem dziwny zbieg zdarzeń, które wprowadziły tego mężczyznę w jej życie. Była w pułapce, schwytana przez tego niewinnie wyglądającego faceta.

– O Boże! – krzyknęła Jennifer. Znajoma fala strachu sparaliżowała ją i drząc osunęła się na podłogę łazienki.

To było takie oczywiste. Został wysłany na pustą minnesocką drogę, żeby ją zabrać, kiedy będzie uciekała z farmy. Kathy Dart wysłała go, aby miał na nią oko. Nic dziwnego, że tak ochoczo zaspokajał jej kaprysy, wysłuchiwał zwariowanych teorii o farmie i o Habaszy. Był jednym z nich.

Skuliła się ciasno w embrionalnej pozycji, łkając, ale jakaś część jej umysłu zaczęła już wybierać, co musi zrobić, żeby się ratować.

Dlaczego jej chcieli? – zapytywała sama siebie. Kim była, że podążali za nią?

Zmusiła się do przerwania wątku tych dociekań i skoncentrowała na obmyśleniu sposobu ucieczki. Kirk wkrótce wróci, prawdopodobnie z Simonem.

Zadzwoń na policję, powie im, że została porwana. Pamiętała czytane przez siebie historie o grupach kultowych, które zawsze znikwały, kiedy tylko w sprawę wmieszała się policja.

Jennifer podniosła się z podłogi i rozejrzała w poszukiwaniu telefonu. Kiedy zobaczyła, że w łazience nie ma żadnego aparatu, podeszła do drzwi i usłyszała Kirka poruszającego się w pokoju.

Powoli, cichutko, otworzyła drzwi łazienki i zerknęła do sypialni. Kirk stał teraz w drzwiach, wypełniając swoim ciałem futrynę. Uśmiechał się do niej, jeszcze spocony po porannym bieganiu.

Jennifer rzuciła się na niego.

– Jezu Chryste, o co chodzi? – Uchylił się przed ciosem wymierzonej w niego pięści.

Jennifer próbowała chwycić go za włosy, ale były zbyt krótkie. Szaleńczo młóciła ramionami. Klnąc Kirk złapał jej ręce w swoje dłonie, przyciskając je do boków

kobiety. Szamotała się, a on podniósł ją i rzucił na łóżko. Potem, z pewnym wysiłkiem, odwrócił ją do siebie i zmusił do spojrzenia sobie w twarz.

– Hej – powiedział miękko do Jennifer, która wciąż kopała. – Hej, co się, do diabła, dzieje?

Jej nocna koszula była rozerwana, odsłaniając mlecznobiałą pierś.

– Chryste – wymamrotał Kirk, trzymając jej ręce przyciśnięte do poduszki za głową.

– Ty! Ty jesteś jednym z nich! – Próbowwała jeszcze walczyć, ale w końcu, wyczerpana, zalała się łzami.

– O czym ty mówisz? – zapytał, trzymając ją teraz delikatnie.

– Simon... W samochodzie... – Szlochając powiedziała mu, że widziała, jak rozmawiał na parkingu z Simonem McCloudem.

– Tak, wiem, kim on jest. Na miłość boską, on chciał się tylko dowiedzieć, gdzie jest restauracja! – Puścił ją i wstał. – Co ty właściwie mówisz? – Chwycił ręką swój podkoszulek i ściagnął go przez głowę.

– Przyjechał tu za mną! – stwierdziła Jennifer, siadając. – Kathy Dart wysłała go po mnie.

– Jezus, to paranoja. – Obejrzał się na nią, potrząsając głową.

– Dlaczego za mną jedzie?! – krzyknęła.

– Pytał mnie, gdzie jest restauracja. Mówił, że jedzie do Madison. Ma tam wykłady czy coś w tym stylu – wyjaśnił Kirk, wracając do łóżka. – I co więcej, on nawet nie wiedział, że jesteś w motelu. – Spojrzał na nią z góry.

– Zapyta w recepcji!

– I dowie się, iż żadna Jennifer Winters nie jest tu zameldowana. – Pozwolił sobie teraz na uśmiech.

– Tak bardzo się boję – szepnęła Jennifer, wyciągając rękę, żeby dotknąć Kirka. Oczy miała zapuchnięte od płaczu.

– Wszystko w porządku – – odpowiedział cicho. – Wszystko w porządku.

– Wyjedźmy stąd – poprosiła błagalnie. Pokręcił głową.

– Mamy czas. On je śniadanie. Pozwólmy mu skończyć i wrócimy na autostradę.

– Nie możemy zostać na tamtej drodze.

– Okay, nie zostaniemy. Pojedziemy inną trasą. Nie denerwuj się, on cię nie znajdzie. Nie pozwolę mu. Dobrze? – Uśmiechnął się do niej.

Jennifer skinęła głową, nie była zdolna powiedzieć słowa, przytłoczona jego bliskością i siłą. Uświadomiła sobie, że w tym momencie pragnie jedynie, żeby Kirk ją objął i pocieszył.

Przysunął się do niej, delikatnie kładąc ją na poduszkach. Nie odrywał od niej oczu, ale jego spojrzenie przesunęło się z jej twarzy na piersi, potem na szczupłe biodra i uda. Z trudem przełknął ślinę, a jego szare oczy pociemniały. Zapadła długa cisza, kiedy przyglądali się sobie wzajemnie.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Zobaczyłam cię i... Znowu zaczęłam popadać w paranoję.

– Hej, powiedziałem, że zawiozę cię do O'Hare.

– Nie mogę jechać do O'Hare.

– Dobrze, pojedź ze mną.

– I co potem?

– Nie wiem! Coś wymyślimy.

Jennifer patrzyła mu w oczy.

– Myślisz o tym, prawda?

Skinął głową i zobaczyła, że znowu ciężko przełknął. Nie odrywał od niej wzroku. Dostrzegła ślepe, lunatyczne spojrzenie jego oczu. Z mieszaniną strachu i pożądania czekała, żeby jej dotknął.

– Czy to będzie w porządku, jeśli cię pocałuję? – powiedział i zabrzmiało to bardzo dziecinnie.

– Chcę, żebyś mnie pocałował – odparła.

Delikatnie musnął jej wargi.

– Au! – jęknął cofając się.

– Co się stało? – Spojrzała na niego, stropiona.

– Mój nos. Tam, gdzie mnie trzasnęłaś.

– Och, tak mi przykro, Kirk. – Ujęła jego twarz w swoje dłonie i czule przyciągnęła bliżej, żeby pocałować czubek jego nosa. – Przepraszam – szepnęła. Tym razem ich pocałunek był bardziej intensywny.

Jennifer sapnęła, kiedy poruszył się, żeby dotknąć jej piersi. Trzymając głowę Kirka w swoich dłoniach, przesunęła jego twarz między swoje piersi. Westchnąwszy, odprężyła się i pozwoliła młodemu mężczyźnie kochać się z nią tak, jak sam chciał.

Szybko doszedł do szczytu i była zaskoczona, że jest gotowa wraz z nim. Czasami narastało to w niej wolno, ale tym razem ich potyczka podnieciła ją. Kiedy wsunął się w nią ponownie i jeszcze raz osiągnął spełnienie, miała orgazm o takiej sile, że przez chwilę myślała, iż może wybuchnąć.

Jego ciało płonęło, gdy leżał obok niej z szeroko otwartymi oczami. Odwróciła się i przytuliła do niego, jakby byli dwiema dopasowanymi łyżkami, a potem, sięgając do tyłu, ujęła jego penis i uśmiechnęła się, kiedy nabrzmiął pod jej delikatną pieszczotą. Tym razem, za jej zachętą, wszedł w nią od tyłu, klękając na miękkim materacu, i ujeżdżał ją, aż oboje zaczęli dyszeć z bólu i rozkoszy. Przycisnęła dłoń do brzucha, czując długość wypełniającej ją erekcji, a potem nagły dreszcz jego orgazmu.

Ciało Jennifer pulsowało bólem po walce i miłości, nie mogła jednak usnąć. Wstała z łóżka i poszła do łazienki, aby wziąć krótki, szybki prysznic, potem założyła dżinsy i sweter.

Kiedy ponownie wkroczyła do ciemnego pokoju, Kirk jeszcze spał. Oparła się pokusie ucałowania go, chociaż podciągnęła wierzchnie prześcieradło i koc i otuliła go nimi. Ostrożnie przekręciła klucz w zamku i wymknęła się na korytarz.

Ciągle jeszcze było wcześniej rano. Ruszyła w stronę recepcji, zamierzając zapłacić rachunek i wymeldować ich.

Kiedy doszła do końca długiego motelowego korytarza, znalazła się w przeszklonej klatce schodowej. Zaczęła schodzić na pierwsze piętro, mając po jednej stronie parking, a po drugiej pusty basen. A potem dostrzegła Simona.

Stał za szklanymi drzwiami, w hallu. Jennifer widziała na szybie mgiełkę jego oddechu, zobaczyła, jak odwraca się i rozmawia z kimś, schowanym za zasłoną.

Simon także ją zauważył. Pomachał ręką, otworzył przeszklone drzwi i przebiegł przez zaśnieżone podwórze, okrążył basen, próbując złapać ją, zanim zniknie.

Jennifer biegła po dwa stopnie naraz, dostała się na korytarz drugiego piętra i pokonała wahadłowe drzwi. Zatrzymała się i skoncentrowała. Z rozmysłem myślała o Simonie i o tym, że ją ściga, chce uprowadzić. I nagle – miała tę nadzieję – poczuła znajomy napływ mocy, nabrzmiewające mięśnie. Weszła do pomocniczego schowka, stanęła tam, w jaskrawym świetle, otoczona rolkami papierowych ręczników i małymi kawałkami różowego mydła, obok pustego wózka na przybory do sprzątanania. Czekala, aż Simon dopadnie drzwi i zobaczy ją.

Chwilę później drzwi otworzyły się szeroko, Simon wypełnił sobą całą futrynę, a kiedy ją zobaczył, na jego twarzy rozlał się uśmiech.

– Cześć – powiedziała. Stała ze splecionymi rękami, jak mała dziewczynka na szkolnej zabawie, czekająca, aż ktoś ją poprosi do tańca.

– Jenny, Jenny – westchnął. – Co się z tobą stało? Dlaczego uciekałaś? Kathy tak się denerwowała. Co tu robisz?

– Czekam na ciebie – powiedziała chłodno Jennifer, powstrzymując dopływ adrenaliny wzmacniającej jej siły. Chciała poczekać, aż będzie dość silna, by zabić go jednym szybkim uderzeniem. Czekala, aż będzie wystarczająco blisko, by mogła chwycić go za gardło.

– Jak się tu właściwie dostałaś? – zapytał, marszcząc brwi. Wszedł do schowka. – Dlaczego jesteś taka przestraszona? – dopytywał.

Pochwyciła go bez wysiłku, jednym gwałtownym ruchem. Nim zdolał zareagować, otoczyła dłońmi jego szyję, tłumiąc silnym uściskiem rodzący się krzyk. Czowała, jak słowa zamierają mu w gardle, kiedy silniej zacisnęła palce. Obserwowała twarz swojej ofiary, niebieskie oczy, które omal nie wyskoczyły z orbit, wyciśniętą z ust kroplę krwi, odrywającą się od dolnej wargi. Podniosła go i bez wysiłku odwróciła do góry nogami, wstawiając głowę do pustego pojemnika wózka.

Potem wzięła z półki kąpielowy ręcznik i starła z palców krew mężczyzny. Wrzuciła ręcznik do wózka, zgasiła światło i wyszła na korytarz. Minie jeszcze godzina, zanim pokojówki skończą sprzątać pokoje na tym piętrze, wrócą do schowka i znajdą go, wciśniętego głową w dół w pojemnik na brudną bieliznę.

– Zabiłaś go? – zapytał ponownie Kirk.

Siedzieli w jego audi, mknąc na wschód drogą numer 80.

– Nie, nie sędzę. Żył, kiedy go zostawiałam.

– Jezu Chryste.

– Kirk, wiem, że tego się nie spodziewałeś. – Skinęła głową w kierunku następnego znaku, wskazującego zjazd z autostrady. – Skręć tutaj. Możesz mnie wysadzić przy najbliższej wypożyczalni samochodów. – Mówiąc trzymała rękę na jego udzie. Nie mogła się powstrzymać od dotykania go. Potrzebowała fizycznego kontaktu. Jeśli się zatrzyma i każe jej wysiąść, będzie naprawdę zagubiona. Nie przypuszczała, żeby miała siłę i odwagę prowadzić samochód.

– Nie zamierzam zostawić cię na lodzie – odparł. Westchnęła, potem pochyliła się i na krótką chwilę oparła głowę na jego ramieniu.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek nas szukał – powiedział w końcu, podejmując temat na nowo.

Jennifer wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że mógł zadzwonić na policję i powiedzieć im, że został napadnięty.

– Przez kobietę? Daj spokój, to nie ma sensu. – Kirk pokręcił głową, nabierając prędkości.

Jennifer wiedziała, że w Nowym Jorku mogła zranić kogoś, nawet zabić, unikając wykrycia. W tym mieście zdarzało się to codziennie. Ale nie w głębi kraju.

Wyciągnął rękę i wyjął kilka map ze schowka na rękawiczki.

– Na wszelki wypadek – powiedział, wręczając jej mapy i nie odrywając jednocześnie wzroku od trasy – spójrz na to i znajdź jakieś boczne drogi, którymi będziemy mogli przejechać przez stan. Sprawdź kierunek południowy.

Jennifer spuściła wzrok i rozłożyła mapy, nie mogąc się skupić. Nie powinna jechać z nim do St. Louis. Poza tym, on ma spotkanie w Chicago. Nie, jazda z Kirkiem Callahanem nie była żadnym wyjściem. Jak długo mogła ukrywać się w ten sposób? Kathy Dart znajdzie ją; kiedy odkryje, co się stało z Simonem, wyśle za nią innych. Chciała dostać Jennifer i znajdzie ją, gdziekolwiek ta się uda.

– Nie mogę z tobą jechać – powiedziała, podnosząc wzrok znad map. – Muszę wracać do Nowego Jorku.

– Pojadę z tobą.

– Nie, masz swoją pracę, ten wywiad w Chicago.

– Zrobię wywiad, a potem złapię samolot do Nowego Jorku. – Obejrzał się i uśmiechnął. – Będiesz mogła pokazać mi Broadway.

– Byłabym zachwycona, gdybyś przyjechał do Nowego Jorku. – Ucisnęła jego rękę.

– Ale co z tym twoim chłopakiem?

Jennifer potrząsnęła głową.

– Muszę pomówić z Tomem, powiedzieć mu, co się stało. Jediną dobrą stroną tej podróży jest to, że wiem teraz, iż to wszystko było złe, między Tomem i mną.

– A co ze mną? – zapytał Kirk. – Mnie też spotkałaś podczas tej wyprawy! – Szczyrzył zęby w uśmiechu.

Jennifer wpatrywała się w niego, badając jego twarz, potem zapytała:

– Naprawdę chcesz przyjechać do mnie do Nowego Jorku?

– Masz cholerną rację! – A potem, jakby chciał udowodnić swoje zdecydowanie, nacisnął pedał gazu, rozpędzając samochód. – Myślę jednak, że powinnaś zostać ze mną w Chicago. Potem polecimy razem.

– Wszystko będzie dobrze, Kirk. W Nowym Jorku znajdę pomoc.

Zerknął na Jennifer.

– Masz na myśli Toma?

Jennifer pokręciła głową. Patrzyła wprost przed siebie na prostą linię autostrady.

– Nie. Pewną kobietę. Inne medium. – Jennifer mogła teraz zobaczyć Phoebe Fisher, wyobrazić ją sobie przechadzającą się w swoim apartamencie przy Osiedziesiątej Drugiej Ulicy, poruszającą się wolno z pomocą swojej srebrnej laski, ujrzeć, jak miękki pomarańczowy blask słońca dodaje ciepła ceglanyim ścianom salonu. Zobaczyła, że Phoebe czeka uśmiechnięta, dodając jej odwagi. „Wszystko będzie w porządku” – powiedziała sobie Jennifer. Ma Phoebe. Ma do kogo zwrócić

się o pomoc.

KSIĘGA CZWARTA

Wiedz, że jeśli staniesz się gorszy, znajdziesz się wśród gorszych dusz, a jeśli lepszy, wśród lepszych; i w każdym obrocie życia i śmierci będziesz czynił i wycierpisz to, co podobne musi wycierpieć z rąk podobnego.

Platon
Republika

Jezus przechodząc obok, ujrzał pewnego człowieka, niewidomego od urodzenia. Uczniowie Jego zadali Mu pytanie: „Rabbi, kto zgrzeszył, że się urodził niewidomy – on czy jego rodzice?”

Ewangelia wg św. Jana, 9:1-2

Rozdział 32

– Jesteś teraz bezpieczna – powiedziała Phoebe, witając ją w swoim mieszkaniu w suterenie. – A gdzie jest ten twój młody kochanek? – zapytała następnie, uśmiechając się.

– Skąd o nim wiesz? – Jennifer cofnęła się, zdumiona pytaniem medium.

– Tancerz mi powiedział. – Uśmiechała się nieustannie, spoglądając na Jennifer. – Uważam, że to cudowne!

– Kirk uratował mi życie, naprawdę. Przyjechał w swoim małym samochodzie i zabrał mnie. Bóg wie, co mogłoby się ze mną stać, gdyby się nie zatrzymał.

– Ale on nie był tam przez przypadek, Jennifer, musisz to sobie teraz uświadomić. Ludzie nie spotykają się przypadkowo. Wszystko jest zaplanowane i postanowione. To twoja karma. Karma was obojga.

Wzięła Jennifer pod rękę, obejmując ją swoim szczupłym ramieniem i wspierając się na niej, kiedy wchodziły do salonu, który tego pochmurnego popołudnia oświetlony był małymi świecami rzucającymi blade światło.

– Gdzie jest teraz twój przyjaciel? – Zapytała Phoebe bezceremonialnie, siadając na miękkiej sofie.

– Przyleci później, dziś po południu. Ma spotkanie w Chicago.

– Dobrze! Zatem za kilka godzin będziecie razem. – Wydawała się zadowolona.

– Dlaczego? – Zapytała Jennifer, obserwując drobną kobietę, zaintrygowana dziwnym zestawem pytań.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– To zawsze lepiej, jeśli masz kogoś, kto cię rozumie, zwłaszcza teraz, kiedy tak intensywnie powracasz do przeszłości.

– Mam ciebie – szepnęła Jennifer, pragnąc okazać tej kobiecie, jak bardzo na niej polega.

– Dziękuję. – Phoebe uśmiechnęła się, kiwając głową na znak wdzięczności. – To moje szczęście, naprawdę, być blisko tak silnego źródła jak ty.

– Z wyjątkiem tego, że nikt nie wie, kim jestem! Albo raczej powinnam powiedzieć, kim byłam kiedyś.

– Myślę, że czas, Jennifer, abyśmy wyciągnęły tego ducha na otwartą przestrzeń. Musimy go zidentyfikować. – Mówiąc to, nie patrzyła na Jennifer, lecz sięgnęła ręką obok sofy, podnosząc duże pudełko.

– Czy Tancerz może to powiedzieć?

Phoebe potrząsnęła głową.

– Tancerz nie może nam pomóc. On działa na innym poziomie świadomości. Nie jest duchem podlegającym wcieleniom, jak Habasza. Muszę bezpośrednio skontaktować się z duchem, który używa twojego ciała, próbując działać za pomocą twojej świadomości.

Gospodyni pochyliła się i ściszyła głos. Przykuwała uwagę Jennifer swoim nieruchomym spojrzeniem, wyrazem brązowych oczu.

– Ten byt, który chce skorzystać z twojego pośrednictwa, Jenny, otacza cię także opieką. On (to może być również ona) czeka na odpowiedni moment, czeka, aż osiągniesz pełnię swoich sił, żebyś mogła go zaakceptować. Jak dotąd, jednakże, ten duch tylko chronił cię przed fizycznym atakiem. Jest też jasne, że istnieje inny wcielony duch, który próbuje cię zabić, zanim osiągniesz pełnię sił duchowych.

– Ale kim jest ta osoba, a może czym? Czy to Kathy Dart? – Jennifer podniosła głos. Była przerażona.

– Nie wiem – powiedziała miękko Phoebe. – Ale to może nam pomóc. – Podniosła pudełko.

– Wirująca tablica! To zabawka dla dzieci.

– Tak, niestety, traktuje się ją jak dziecięcą grę, ale to niebezpieczna zabawka i nie powinna być używana także przez dorosłych, którzy nie mają doświadczenia i treningu.

Phoebe ustawiła pudełko na stoliku do kawy i otworzyła je, nie przerywając rozmowy.

– Wirująca tablica albo mówiąca tablica, jak się ją czasem nazywa, jest bardzo stara. W pięćset czterdziestym roku przed Chrystusem Pitagoras używał jej do swoich seansów. Ponownie została odkryta w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku przez człowieka nazwiskiem Fuld. Jest bardzo prosta, właściwie to tylko półkole liter alfabetu i słowa „TAK”, „NIE” i „DO WIDZENIA”. – Spojrzała na Jennifer. – Używałaś jej kiedyś?

Jennifer pokręciła głową.

– Nie, nawet jako dziecko. Zdaje się, że pamiętam, iż w naszym domu zakazano bawić się nią – traktowano tablicę jako rzecz, która ma coś wspólnego z diabłem.

Phoebe uśmiechnęła się.

– Tak, to kulturalny zabobon. Nawet dzisiaj wśród parapsychologów przyjmuje się, że przyciąga ona istoty niższego rodzaju, jeśli nie jest kierowana przez medium.

Phoebe podniosła małą platformę, wspartą na trzech nóżkach.

– To stolik piszący. Widzisz? Ma kształt wskazówki. Kiedy zadam pytanie, wskazówka pokaże litery, które złożą się na odpowiedź. – Wręczyła Jennifer papier

i ołówek. – Będę zadawać pytania, a ty, proszę, notuj.

Phoebe podniosła tablicę ze stolika do kawy i położyła ją sobie na kolanach.

– Muszę mieć z nią fizyczny kontakt – wyjaśniła, delikatnie kładąc palce na rękojeści wskazówki. – Będziemy powoli zaczynać – kontynuowała. – Zadam pytania i wezwę ducha. Może upłynąć kilka minut, zanim duch oznajmi swoją obecność – dodała. – Zobaczysz, że wskazówka się porusza. Kiedy wskaże litery, zapisz je. Jennifer skinęła głową, już napięta.

– Odpręż się, Jennifer – poradziła Phoebe, potem umieściła palce na wskazówce i zamykając oczy, zapytała:

– Czy życzysz sobie porozumieć się z nami? Jennifer przeniosła spojrzenie z dłoni Phoebe na jej miękką, bladą twarz, a potem zatrzymała wzrok na jej palcach. Przez kilka minut nic się nie działo. Jennifer uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Kilkakrotnie głęboko wciągnęła powietrze, żeby się uspokoić, i już miała się odezwać, powiedzieć Phoebe, że jest zbyt przestraszona i spięta, żeby przez to przejść, kiedy wskazówka nagle się poruszyła, pokazując końcem plastikowego wskaźnika słowo „TAK”.

– Jak się nazywasz? – spytała Phoebe.

Jennifer obserwowała ręce Phoebe, kiedy instrument poruszył się ponownie, gwałtownymi szarpnięciami wskazując ponad tuzin znaków.

Pospieszenie kreśliła litery, podczas gdy wskaźnik przesuwiał się po gładkiej tablicy, a potem odczytała głośno słowa: „Jestem tym, który ma wiele imion”.

– Mówisz, że jesteś tym, który ma wiele imion – powiedziała Phoebe, nie otwierając oczu. – Jak jednak chcesz, żebyśmy cię nazywały?

FARAON

Po słowie „Faraon” Jennifer napisała „Egipt”.

– Czy znasz Habaszę? – zadała pytanie Phoebe.

ETIOP

– Tak, Etiopczyk. Czy ty i Habasza mieliście wiele wcieleń? – indagowało medium.

TAK

– A nasza Jennifer?

TAK

– Czy nasza przyjaciółka Jennifer jest w niebezpieczeństwie? – zapytała Phoebe, ściszej głoś.

Wskazówka poruszała się szybko pod palcami Phoebe. Końcówka w kształcie serca samodzielnie przecięła gładką powierzchnię i zatrzymała się na środku tablicy, potem pomknęła ponownie w stronę słowa TAK i symbolu promienistego słońca. Jennifer wpatrywała się w Phoebe. Brązowe oczy medium były otwarte i rozszerzone.

Phoebe kontynuowała wypytywanie.

– Powiedz nam, duchu – zapytała spokojnie – kto chce zaszkodzić naszej duchowej towarzyszce, Jennifer?

Wskazówka zawahała się, drgała swobodnie pod palcami Phoebe, jakby była obdarzona własnym życiem, a potem szybko wyznaczyła litery. Jennifer odczytywała głośno te, ku którym wskaźnik poruszał się urywanymi ruchami: T-A-M-I-T.

Phoebe ponownie zamknęła oczy i przez chwilę milczała, układając kolejne pytanie.

Jej dłonie przestały się poruszać. Sercowata wskazówka znieruchomiała. Jennifer wstrzymała oddech i patrzyła na medium.

– Powiedz nam, Faraonie – pytała Phoebe, wpatrując się w tablicę – kim jest Tamit w tym życiu?

KATHY

– Nie! – szepnęła Jennifer czując, że brakuje jej tchu. Spojrzała w dół na poruszający się pod palcami Phoebe wskaźnik, który, litera po literze, odtwarzał historię z czasów Ramzesa Wielkiego, o tym jak Amenhotep stoczył bitwę i zgładził etiopskiego monarchę, żeby poślubić Rudidit. Potem Tamit, zazdrosna córka Nenerferkaptaka, zamordowała Rudidit, kiedy Amenhotep wyjechał do Memfis.

– Kim jest Amenhotep? – zapytała kobieta.

KIRK

Phoebe odepchnęła tablicę i zerknęła na Jennifer. Wyglądała na zdenerwowaną. Miękkie ciepło zniknęło z jej twarzy. W świetle zimowego popołudnia wydała się starsza.

– Z tego, co mówi mi ten duch Faraon – odezwała się ostrożnie do Jennifer – wynika jasno, że starożytna tragedia rozgrywa się dziś ponownie.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego teraz – Jennifer potrząsała głową. – To niekończąca się łamigłówka. Chodzimy w kółko. Każdy był kiedyś kim innym; nikt nie jest tym, kim jest. Ja nie jestem mną! – Spojrzała na Phoebe, a w jej oczach ujawniało się uczucie bezsilności.

Phoebe wyciągnęła rękę, ujmując dłoń Jennifer, i powiedziała:

– Jesteś przestraszona, wiem, Jennifer, i masz do tego powód. Twój duch buntuje się przeciw racjonalnej świadomości. Twoi przyjaciele okazują się twoimi wrogami. Cały twój świat zmienił się nie do poznania. Nie możesz jednak pozwolić, by strach się stał twoim więzieniem. Nie możesz tracić nadziei, bo nie zmienisz swojego życia.

Jennifer pokręciła głową, oszołomiona.

– Żeby osiągnąć światła, musisz wytrzymać oparzenie – podsumowała Phoebe.

– Już się sparzyłam – odpowiedziała spokojnie Jennifer. – I to jeszcze nie koniec.

– Tak, musisz stawić czoło twojemu wrogowi. Jennifer skinęła głową, a potem zapytała:

– Czy pomożesz mi?

– Spróbuję – szepnęła Phoebe, nie odrywając oczu od twarzy rozmówczyni.

W końcu powiedziała: – Mogłabyś zginać, Jennifer.

– Albo mogłabym ponownie zabić.

Phoebe przytaknęła ruchem głowy.

– Nie mam wyboru. – Podniosła się mówiąc: – Przyniosę ci płaszcz. – Gospodyni obeszła stolik do kawy i pokuśtykała do sypialni, gdzie zostawiła futro i bagaż gościa.

Jennifer wyciągnęła chusteczkę z kieszeni dzinsów i wytarła nos. Patrzyła na mówiącą tablicę, którą spirytystka zostawiła na stoliku. „Wygląda tak niewinnie – pomyślała – niczym głupia zabawka dla dzieci”.

Wyciągnęła rękę i dotknęła wskazówki w kształcie serca, pozwalając przez chwilę opuszkom palców spoczywać lekko na plastikowej powierzchni. Jej dłonie drżały i nagle poczuła strumień energii przepływający przez palce w górę ramienia. Zaparło

jej dech w piersiach. Gwałtownie oderwała rękę od wskazówki i wyprostowała się.

„Czym jesteś?” – pomyślała, wpatrując się w tablicę. Sercokształtny wskaźnik poruszył się bez jej dotknięcia. Przesuwał się po gładkiej powierzchni, zatrzymując się przy kolejnych literach, które składały się na informację. Tym razem jednak to nie Faraon udzielił Jennifer odpowiedzi.

JESTEM TWOJĄ DUSZĄ

Jennifer siedziała nieruchomo, wpatrzona w kawałek plastiku. Znowu się bała, wstrzymywała oddech, ale teraz lęk wywoływało uczucie, że uchylła rąbka tajemnicy jakiegoś zakazanego świata.

„Kim jestem?” – sformułowała w myśli pytanie, koncentrując się na tablicy. Nie odrywała oczu od wskaźnika, który poruszył się znowu, odpowiadając na jej nie wypowiedzianą myśl literami, które ułożyły się w słowa:

JESTEM PIERWSZYM

Jennifer wpatrywała się w tablicę, zmieszana odpowiedziami, niepewna, co ma robić dalej. Słyszała Phoebe w sąsiednim pokoju, że mówi coś o pogodzie, o okropnej zimie w Nowym Jorku i szybko skupiła całą uwagę na tablicy, pytając: „Czym pierwszym jestem?”

Kształt serca przesunął się po płaszczyźnie urządzenia, pokazując jedno słowo: CZŁOWIEKIEM

W następnej chwili do salonu weszła Phoebe, niosąc futro, i zobaczyła wskaźnik poruszający się bez trudu pod władzą ducha Jennifer.

– Co robisz?! – wrzasnęła, rzuciła okrycie i zatoczyła się, potykając na swojej zdeformowanej nodze.

– Nic! Nic nie robię! – krzyknęła Jennifer podskakując, przestraszona gwałtownością reakcji Phoebe. – Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałam nic zrobić.

– Co ci powiedziała tablica? Czy nie mówiłam, że to jest niebezpieczne? – Drobną kobietą odzyskała równowagę i podciągnęła się na oparcie sofy. Wlepione w Jennifer oczy były białe ze strachu.

– Przepraszam, Phoebe, nie miałam zamiaru...

– Co ona ci powiedziała?

– Nic. To znaczy... – Jennifer potrząsnęła głową, przerażona i zdezorientowana brutalną reakcją medium. – Jest mi strasznie przykro ale nie rozumiem. Chcę powiedzieć... – Odetchnęła głęboko, opanowała się i powiedziała z mocą: – Phoebe, przepraszam, że cię zdenerwowałam, ale nie powinnaś krzyczeć na mnie! Jestem strzępkiem nerwów. – Jennifer spuściła wzrok i zdumiała się, widząc, że ręce już się jej nie trzęsą.

– Czego się dowiedziałaś? – nalegała Phoebe.

– Niczego! Dopiero zadawałam pytanie.

– Nie jesteś przygotowana do używania mówiącej tablicy – powtórzyła Phoebe, obserwując Jennifer. Jej twarz straciła cały swój miękki ładny blask.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, nie patrząc na medium. Obawiała się skrzyżować spojrzenie ze swoją oponentką obdarzoną zdolnościami nadprzyrodzonymi.

Phoebe się podniosła, w pełni opanowana. W jej głosie ponownie pojawiła się miękkość.

– Przykro mi, Jennifer. Po prostu nie chcę, żebyś została sprowadzona na manowce. Wirujące tablice, jak ci wspomniałam, często są kontrolowane przez duchy niższego rzędu. – Pochyliła się, żeby podnieść futro Jennifer, która w tym czasie zerknęła na tablicę, kierując myśli ku wskaźnikowi w kształcie serca i zadając swojemu ukrytemu duchowi jedno, ostatnie pytanie: „Kto chce mnie zabić?”

Plastikowy wskaźnik właśnie zaczął się przesuwać po gładkiej powierzchni, kiedy Phoebe skoczyła i straciła go z tablicy, odrzucając na drugą stronę pokoju, gdzie się odbił od kamiennej obudowy kominka i wpadł do ognia, natychmiast zwijając się w płomieniach.

– Nigdy tego nie rób! – Phoebe przyjęła poprzednią pozycję i skupiła się na gościu. Jennifer dostrzegła, że Phoebe drży. Była naprawdę przestraszona.

– Próbuję uratować ci życie, nie widzisz tego?! – krzyknęła.

Jennifer kiwnęła głową, sięgając po okrycie.

– Przepraszam – powtórzyła raz jeszcze. Phoebe wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni.

– Jennifer, przykro mi, że na ciebie krzyczałam. To tylko dlatego, że musisz być ostrożna, kiedy wiążesz się ze światem duchów. – Położyła obie ręce na jej ramionach, patrząc na nią oczami pełnymi miłości. – Będiesz ostrożna, prawda?

– Tak, spróbuję.

– Dobrze! – Szybko pocałowała Jennifer na pożegnanie. – Pamiętaj, kocham cię. Przekonasz się, że jesteś chroniona przed swoimi starożytnymi wcieleniami – powiedziała miękko, ale jej wargi, kiedy dotknęły policzka Jennifer, były zimne.

Rozdział 33

Jennifer złapała taksówkę na Columbus Avenue i powiedziała kierowcy, że chce jechać na La Guardia. Samolot Kirka przylatywał o siódmej, miała więc czas, by pojechać jeszcze do siebie i rozpakować się, nie chciała jednak być tam sama z sobą, zwłaszcza po doświadczeniu z wirującą tablicą, po tym jak widziała wskaźnik, który się poruszał, wyjawiając, litera po literze, jej przeznaczenie. Czego by się dowiedziała, gdyby Phoebe nie zrzuciła wskazówki z planszy? Jennifer wzruszyła ramionami, wspominając gwałtowność medium, nagłą, dziwną reakcję... Uświadomiła sobie, że zachowanie Phoebe zdenerwowało ją w równym stopniu jak to, co się jej przydarzyło na farmie.

Taksówka przecięła Central Park, poruszając się Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą, i zatrzymała na światłach przy Piątej Alei. Jennifer wyjrzała przez okno na Metropolitan Museum of Art. W Skrzydle Sacklera paliły się światła i mogła dostrzec część Świątyni z Dendery. Starożytna egipska świątynia lśniła w miękkim żółtym świetle, rzucając cienie wzdłuż ogromnego skrzydła.

Jennifer przypominała sobie, jak kiedyś, jeszcze jako nastolatka, wybrała się do tego muzeum. Było to na wycieczce w drugiej, może trzeciej klasie szkoły średniej i czuła się źle, chciała tylko wydostać się na zewnątrz. Jennifer starała się przypomnieć sobie, o co jej wówczas chodziło, dlaczego zdenerwowała się tak, przebywając w egipskim skrzydle. Było zupełnie nowe, zbudowano je, aby pomieścić Świątynię z Dendery, niewielką budowlę, którą uratowano w Egipcie przed

zniszczeniem podczas budowy tamy w Asuanie. Świątynia została przeniesiona z dolnej Nubii, kamień po kamieniu, i złożona w Metropolitan Museum. Przed świątynią znajdowała się sadzawka z wodą i ściana wypełniona oknami wychodzącymi na Central Park.

Jennifer przypomniała sobie, że aranżacja całości była piękna, ale kiedy pierwszy raz weszła do tego skrzydła, przestraszyła się, zdenerwowana jakąś nieznaną przyczyną. „Oczywiście – pomyślała nagle. – Oczywiście!” Natychmiast pochyliła się do przodu i zastukała w szybę oddzielającą kierowcę od pasażera i powiedziała taksówkarzowi, że zmieniła zdanie. Nie pojedzie na lotnisko. Wstąpi najpierw do Metropolitan Museum. Wracала do Świątyni z Dendery, żeby się dowiedzieć, jaki to sekret z jej przeszłości skrył się w zakamarkach pamięci. Zamierzała pozwolić, by starożytne kamienie opowiedziały, co się zdarzyło nad brzegami Nilu.

Nowa część budynku znajdowała się na tyłach wielkiego masywu Metropolitan Museum, za długimi galeriami wypełnionymi obiektami sztuki i różnymi egipskimi znaleziskami. Jennifer, nie spiesząc się, wędrowała po wystawie. Szła powoli, czekając, aż te obiekty przywołają jej pamięć, przekonana, że natrafi na jakieś powiązanie ze swoim życiem w Egipcie, z najwcześniejszym okresem jej egzystencji. Mówiąca tablica oznajmiła jej, że była pierwszym człowiekiem. Co to miało znaczyć? Czy wszystkie jej kłopoty zaczęły się za czasów jednej z wielkich dynastii?

Jennifer wolno przechodziła przez sale, poczynając od czasów Nowego Państwa, cofając się do Średniego Państwa i Starego Państwa. Przenosiła spojrzenie z jednego eksponatu na drugi, przeglądając wykopaliska zgromadzone w ogromnej kolekcji. Czekala na jakieś wspomnienie. To właśnie jej się przydarzyło w Muzeum Historii Naturalnej. Widok prymitywnego szałas uświadomił jej, że kiedyś mieszkała w takiej prehistorycznej chacie, spała pod kośćmi mamutów i zwierzęcymi skórąmi.

Pchnęła drzwi i weszła do sali ze szklanymi gablotami i sprzętami grobowymi. Znajdowały się tu mumie, zapieczętowane w szklanych szafach, półki pełne starożytnych płócien i małe kanopy.

Wyciągnęła rękę i przycisnęła palce do gablot z mumiami. Żadnego wrażenia. Czuła tylko zimne szkło. Zrozumiała, że wśród tych rzeczy nie odnajdzie wspomnień z poprzedniego życia.

Poruszała się przez opustoszałe sale. Uświadomiła sobie, że jest już późno. Wkrótce będą zamykać muzeum. Spojrzała na zegarek, żeby sprawdzić, ile czasu jej zostało, potem otworzyła następne drzwi i wkroczyła do obszernego Skrzydła Sacklera ze zrekonstruowaną Świątynią z Dendery.

Teraz poczuła coś, co pobudziło jej czujność. Było to tak, jakby próbowało ją dotrzeć jakieś wspomnienie z wczesnej egzystencji na ziemi. Nagle przestała się bać. Przypomnienie przyniosło ulgę, jak gdyby w końcu rozwiązała swój problem, znalazła brakujący element do układanki swojego życia.

Ruszyła naprzód, bliżej samej świątyni, nie odrywając oczu od masywnej kamiennej konstrukcji.

W skrzydle znajdowało się kilkoro ludzi. Przewodnik wycieczki mówił do grupy kobiet siedzących na kamiennej ławie. Zauważyła także obecność dwóch innych przewodników, stojących razem przy oknie, ale skupiła się na świątyni, koncentrując uwagę i czekając, aż następne skojarzenia wypłyną na powierzchnię jej umysłu.

Wspięła się po stopniach na poziom świątyni, obeszła małą sadzawkę i zbliżyła się do frontu zrekonstruowanej budowli. Na pierwszym planie było łukowe sklepienie, a za nim ściany świątyni. Duch zwany Faraonem powiedział Phoebe, że Kathy Dart, jako Tamit, zabiła Jennifer, kiedy była Rudidit, małżonką Amenhotepa. To były czasy Ramzesa, a Kirk był Amenhotepem, jej mężem.

Jennifer przystanęła w połowie drogi. Myślała o tym, że jeśli Rudidit była jej pierwszym wcieleniem i została zamordowana, to dlaczego po wszystkich następnych istnieniach, które przeżyła, Kathy Dart szukała rewanzu? Przecież gwałt został zadany duchowi Jennifer, a nie Kathy Dart.

To nie mógł być jej pierwszy pobyt na ziemi – zastanawiała się. Przypomniała sobie obrazy, które widziała, kiedy Kathy nakłuła jej trzecie oko. Była wtedy dzikim stworzeniem żyjącym w świecie dżungli. A co ujawnił wskaźnik wirującej tablicy? Że była pierwszym człowiekiem. Jennifer pokręciła głową. Nie, Phoebe się myliła. Skrywała przed nią informacje. Straciła wskazówkę z tablicy. Nie chciała, żeby Jennifer odczytała odpowiedź. Ale czego miała się dowiedzieć?

Weszła do wnętrza świątyni i zamknęła oczy, koncentrując się na budynku, otaczających ją kamieniach.

Kiedy uniosła powieki, ujrzała kobiety, które śpiewały podczas rytuału, potrząsając cytrami. Przebywały w najbardziej wewnętrznym sanktuarium świątyni i nazywano je służkami boga. Wszystkie te dziewczęta były córkami bogatych rodzin, królów i królowych, a ona znajdowała się wśród tych nielicznych wybranek.

Jennifer stała, doskonale nieruchoma. Przyglądała się pozostałym młodym kobietom świątyni. Nosiły koszule pod przejrzystymi, fałdzistymi białymi szatami, które były spięte nad lewą piersią. Prawe ramiona miały odsłonięte. Obserwowała samą siebie idącą w procesji. Nosiła pierścienie z litego złota i zausznice ze złotych paciorków. Loki czarnej peruki spadały jej na plecy i ramiona. Miała diadem z turkusów i złota, zawiązany z tyłu sznurami, a głowa była namaszczona wonną pomadą.

Jennifer zrozumiała, że w tamtym swoim istnieniu była piękną młodą kobietą; zastanawiała się nad tym, skąd właściwie wzięło się przekonanie, że to ona. Była jednak pewna. Przyglądając się twarzom pozostałych dziewczę, rozpoznała także Phoebe Fisher. Rozejrzała się po zespole śpiewaczek. Duch Kathy Dart nie należał do tego boskiego haremu.

Scena zbladła. Sięgnęła ręką, jakby chciała zatrzymać starożytne wspomnienia, ale zobaczyła tylko swoją dłoń, wyciągniętą w przestrzeni ogromnego muzealnego pomieszczenia. Za sobą usłyszała, jak strażnik zwraca uwagę turystom, doleciał ją radosny głos dziecka, odbijający się echem od wysokiego sufitu. Obejrzała się i zauważyła, że obserwuje ją muzealny strażnik. Chcąc zamaskować zmieszanie i ukryć swoje zakłopotanie, podeszła do ściany, gdzie stały krzesła.

Nogi miała jak z waty i nie mogła złapać tchu. Pochyliła się, opuszczając głowę między nogi. Uświadomiła sobie, że jeśli nie będzie ostrożna, zemdleje.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał strażnik, podchodząc do niej.

Jennifer usiadła i odrzuciła włosy na ramiona. Zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, dziękuję. Czuję się tylko trochę zabawnie. – Twarz mężczyzny rozplywała się jej przed oczami.

Strażnik skinął głową i oddalił się mówiąc:

– Tak, wygląda pani trochę dziwnie.

– Teraz już wszystko w porządku, dziękuję. – Jennifer wyjęła chusteczkę z torebki i otarła oczy. Zanim z powrotem spojrzała na świątynię, zaczekała, aż mężczyzna wróci na swoje stanowisko. Nie było młodych dziewic, nie było boskiego haremu. Pomyślała, że wyobraziła sobie to wszystko. Jej widzenie było tylko epizodem parapsychicznym.

Wpatrywała się w Świątynię z Dendery, cichy, szary budynek, kilka antycznych ścian wykopanych z błotnistych brzegów Nilu.

Uspokoiała się, odzyskała panowanie nad sobą. I wiedziała, że jednak ma rację. Nie było żadnego parapsychicznego epizodu. Oglądała siebie jako młodą kobietę w Egipcie. Poślubiła Amenhotepa – Kirka w tym wcieleniu. Widziała Phoebe Fisher, a nie Kathy Dart. Dlaczego w tych egipskich dniach istniała Phoebe, a nie Kathy? Duch Faraona powiedział, że Tamit zabiła Jennifer, kiedy była Rudidit, żoną wojowniczego Amenhotepa.

Strażnik ponownie ruszył w jej kierunku sygnalizując, że już zaczynają zamykać muzeum. Jennifer skinęła głową i wstała, podnosząc swoją torbę. Obejrzała się na świątynię, jakby w oczekiwaniu, że zobaczy głębokie cienie swojego minionego życia, przepływające pod łukowatym sklepieniem, wylaniające się niczym dym z jej pamięci. Niczemu już się nie dziwiła. Tym razem jednak nie było żadnego obrazu, nie zobaczyła niczego prócz pustej galerii i cichych ścian świątyni. Jennifer podążała za ostatnimi turystami, opuszczającymi Skrzydło Sacklera, skierowała się przez drzwi wyjściowe do długich niskich korytarzy i galerii, pełnych obiektów pochodzących ze Starego Państwa Egiptu, z czasów pierwszej dynastii ponad dwa i pół tysiąca lat przed Chrystusem.

W ostatniej galerii Jennifer przystanęła na chwilę, żeby spojrzeć na wielką mapę Egiptu. Chciała sprawdzić, w którym miejscu nad Nilem znajdowała się Świątynia z Dendery, ale jej uwagę przykuły natychmiast wielkie obszary Dolnego Egiptu i nazwy kraju Kusz i Etiopii.

Wielkie cywilizacje rozkwitały nad Nilem także przed starożytnymi Egipcjanami i jeszcze wcześniej ludzie podróżowali na północ z prymitywnych dżungli Afryki. Pamiętała, że Kathy Dart powiedziała w Waszyngtonie, iż jej związek z Habaszą zaczął się od kawałka kryształu znalezionej w Etiopii. Habasza żył wtedy, cztery miliony lat temu, lecz jego duch przebywał na ziemi jeszcze dłużej, od dwudziestu trzech milionów lat.

Jennifer wpatrywała się w starą mapę Dolnego Egiptu, spoglądała na wielki obszar pustyni w Sudanie i wysoki płaskowyż Etiopii. To właśnie tam, głęboko w wąwozach południowej Etiopii, gdzie żył Habasza, człowiek po raz pierwszy się wyprostował i zmienił z leśnej bestii w stworzenie obdarzone duchem, mające duszę, duszę podlegającą wcieleniom, duszę, którą niósł ze sobą poprzez czas i napępiał wspomnieniami wszystkich swoich egzystencji.

Jennifer uświadomiła sobie, że Phoebe Fisher nie powiedziała jej prawdy. Duch Faraona nie wskazał pierwszego jej wcielenia. Jej własny duch, wyższa część jej duszy, która poruszała wskaźnikiem w kształcie serca, istniała przed wielkimi cywilizacjami Egiptu. Ta dusza powiedziała, że była pierwszym człowiekiem!

Była jak Habasza – na tym polegał ich związek! Ona także, jak Kathy Dart, pochodziła z początków rodzaju ludzkiego, z pierwszych chwil człowieczego ducha, miliony lat przed Świątynią z Dendery. Odrodziła się ponownie jako członkini boskiego harem w świątyni, poślubiła Amenhotepa i umarła w Egipcie. Jej ciało, była o tym przekonana, zostało zabalsamowane, przewiezione przez Nil i złożone do grobu. Teraz wiedziała na pewno, że żyła już wcześniej, przed tą wielką cywilizacją Egiptu faraonów. Żyła razem z Habasza. Żyła w tym samym czasie, co pierwsze wcielenie Kathy Dart. Do jej świadomości dotarło również, że była tam także Phoebe Fisher. To dlatego medium nie pozwoliło, aby dowiedziała się więcej od mówiącej tablicy. Oni wszyscy spotkali się w swoich pierwszych wcieleniach na ziemi. I coś się z nimi stało, wtedy, u zarania dziejów.

Jennifer, spłoszona nagle, rozejrzała się w obawie, że Phoebe mogła pójść za nią do muzeum. Jednak sale egipskiej ekspozycji opustoszały. Metropolitan Museum było zamknięte.

Wiedziała, że nie znajdzie odpowiedzi wśród królewskich dynastii Egiptu i w dniach Ramzesa Wielkiego. Tak, cierpiała i umarła, zamordowana przez Tamit, ale to nie było jej pierwsze życie ani pierwsza śmierć. Musi wrócić do prehistorycznej wystawy w Muzeum Historii Naturalnej, gdzie po raz pierwszy przypomniała sobie, że mieszkała kiedyś w prymitywnej chacie z epoki lodowcowej.

Wyszła przez frontowe drzwi budynku i stanęła u szczytu kamiennych stopni, spoglądając z góry na Piątą Aleję, zatłoczoną w godzinach szczytu. Kontur miasta, zarysowany na tle nieba, błyszczał już od świateł i pulsujących sygnałów. Musiała się pospieszyć. Samolot Kirka przylatywał niedługo z Chicago, a ona potrzebowała jego obecności. Najpierw jednak musiała zatelefonować do Kathy Dart i Phoebe Fisher. Chciała, żeby oba media spotkały się z nią w Muzeum Historii Naturalnej. Chciała, żeby razem z nią przeszły przez ekspozycję poświęconą epoce lodowcowej. Jennifer wiedziała teraz, że tam, na tym prehistorycznym cementarzysku, przypomni sobie, co przydarzyło się jej duchowi, kiedy te pierwsze istoty rozwinęły się w ludzi i zeszyły z drzew, żeby chodzić prosto, jak chodzi człowiek.

Jennifer uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od tygodni wiedziała dokładnie, co powinna zrobić. Wiedziała, jak rozwiązać tajemnicę swojej przeszłości, wszystkich swoich poprzednich istnień. Szybko zeszła kamiennymi schodami, spiesząc na spotkanie kochanka – wielkiej miłości swoich egzystencji, co sobie teraz uświadamiała, uśmiechając się na tę myśl – z promienną twarzą, rozjaśnioną nadzieją.

Rozdział 34

Frontowe drzwi mieszkania zostały wymienione, zmieniono także zamki. Jennifer wzięła komplet kluczy, wręczony jej przez dozorcę, i otworzyła drzwi, ale nie przekroczyła progu. Apartament tonął w ciemnościach.

– Co dalej? – zapytał Kirk. Stał obok niej, ciągle jeszcze trzymając bagaż.

– Nie jestem pewna. Myślałam, że może Tom będzie tutaj. Telefonowałam do jego mieszkania, kiedy czekałam na twój samolot, ale połączyłam się tylko z automatyczną sekretarką.

– Jest w pracy? Jennifer pokręciła głową.

– Nie, telefonowałam także do jego biura. – Wkroczyła do pokoju i natychmiast do jej świadomości dotarło, że coś jest nie w porządku. Zapaliła światło przy wejściu i zajrzała do salonu. Meble były porządnie ustawione, a mała kuchnia sprawiała wrażenie nietkniętej. W ciągu tych trzech dni, podczas jej nieobecności, dozorca sprzątnął przedpokój i salon. Nie było żadnych śladów psiej krwi.

– Czy chcesz, żebym się rozejrzał? – spytał Kirk, przeciskając się obok niej, żeby postawić torby.

– Nie – odparła. Przeszła kilka kroków w głąb mieszkania i spojrzała na prawo. – Czujesz coś? – zapytała swojego towarzysza.

Wciągnął nosem powietrze i pokręcił głową.

– Przydałoby się tu trochę świeżego powietrza. Mogę otworzyć jakieś okno? – Stał na rozstawionych nogach, z rękami głęboko w kieszeniach czerwonej kurtki.

– Nie, nic nie rób. Proszę. – Jennifer była zaniepokojona, ale starała się, by jej głos brzmiał stanowczo. Zdjęła płaszcz i położyła go na kanapie w salonie, potem odwróciła się w stronę sypialni.

– Hej, Jen...

– W porządku, Kirk. Wszystko jest w porządku. – Nie patrzyła na niego.

Drzwi sypialni były lekko uchylone. Jennifer podeszła i pchnęła je jednym palcem. Światło z ulicy przesączało się przez zamknięte żaluzje, rzucając na przeciwległą ścianę przyćmione smugi. Widziała bałagan na blacie komody. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, gdy stąd wyjechała. Weszła dalej i spojrzała na łóżko. Było nietknięte.

– Hej, Jen, co się dzieje? – Głos Kirka lekko drżał.

Jennifer nie odpowiedziała mu, tylko podniosła rękę gestem nakazującym ciszę. Ktoś tu jest, wiedziała. Czowała czyjaś obecność. Ale kto? I gdzie?

Wszystko stało się naraz, powiew wiatru odchylił okienne zasłony, rozrzucił luźne kartki papieru na jej biurku. Jennifer uświadomiła sobie, że Tom jest tutaj. Mogła wyczuć jego obecność. Ale dlaczego miałby się przed nią chować? Czy czekał na nią? Czy chciał ją zabić?

– Tom? – zapytała, odwracając się i przeszukując wzrokiem pokój.

Kirk pozostawał w drzwiach sypialni. Domyślała się, że obawia się wejść.

Jennifer otworzyła drzwi łazienki. Pomieszczenie było puste. Ręczniki leżały tak, jak zostawiła je tamtego ranka po ataku pitbulla, rzucone niedbale na podłogę. – Czy on tam jest? – zapytał Kirk.

Jennifer potrząsnęła głową, wyciągnęła rękę i zapaliła lampę stojącą obok łóżka.

– Dobrze się czujesz, Jennifer? – spytał Kirk, wchodząc do pokoju.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Chyba tak. Wyczuwam go, to wszystko.

– Toma?

– Tak. – Usiadła w fotelu i ściągnęła buty. – To było tak silne, myślałam, że jest tutaj.

– Może się schował pod łóżkiem albo w podobnym miejscu – zażartował Kirk, zdejmując kurtkę.

Jennifer wyprostowała się w swoim fotelu z wysokim oparciem.

– Czy mógłbyś sprawdzić? – poprosiła.
– Pod łóżkiem?
– Tak.
– Hej, Jen, przestań się wygłupiać.
– Mówię serio. – Uśmiechała się wbrew sobie. – Czasami się denerwuję... Proszę, wiem, że go tam nie ma, ale nie mogę zajrzeć.

Kirk uśmiechnął się.

– Jasne! – Opadł na kolana i podniósł brzeg narzuty, zerkając pod łóżko. – Musiałby być cholernym karzełkiem.

– Kirk...

– Dobrze! Dobrze! Nie, nie ma go tutaj. – Podniósł się.

– Chcę jeszcze raz zatelefonować do niego do domu. – Wyciągnęła rękę po stojący przy łóżku aparat i szybko wykręciła numer.

– Co powiesz na drinka?

– Wspaniale! – Siedziała uśmiechnięta, słuchając sygnału telefonu Toma. Po trzecim dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka i Jennifer usłyszała pozostawioną przez gospodarza informację. Nie ma go w domu, ale się skontaktuje, kiedy tylko będzie mógł. Poczekala na sygnał, potem zostawiła następną wiadomość, prosząc go, żeby zatelefonował do niej. – Nie ma znaczenia kiedy – powiedziała. – Po prostu zadzwoń.

Jennifer odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni, gdzie Kirk znalazł alkohol.

– Obejmij mnie – poprosiła i otoczyła go w pasie ramionami, przytulając twarz do jego piersi.

Mężczyzna się odwrócił, podniósł ją, chwytając obiema rękami za pośladki, i przycisnął do siebie. Poczula natychmiast jego wzwód.

– Chodźmy do łóżka – powiedziała.

– Bez drinka?

– Chcę ciebie, nie drinka.

Pocałował ją i zaczął odpinać guziki jej bluzki.

– Lepiej zamknijmy drzwi na klucz – poprosiła, lekko zdyszana.

Kiedy Kirk zostawił ją, Jennifer odsunęła suwak dzinsów, ściągnęła je i idąc do sypialni, odrzuciła na oparcie stojącego w salonie fotela. Przechyliła na bok głowę i zdjęła jeden kolczyk, potem drugi, odłożyła je na tackę stojącą na komodzie. Gdy ściągała przez głowę bluzkę, wydawało się jej, że widzi jakiś ruch w odległym kącie pokoju. Z bluzką spletaną na ramionach podeszła do ściany i przycisnęła wyłącznik, zapalając światło. W rogu nic nie było, z wyjątkiem półki z książkami, na której stały znajome lektury do poduszki i kilka fotografii w ramkach.

Usłyszała, jak tenisówki Kirka piszczą na podłodze w hallu, kiedy wracał do sypialni. Jennifer zgasiła światło, odpięła stanik i wśliznęła się do łóżka.

– Drzwi stodoły zaryglowane – oznajmił i stanął w drzwiach, zaskoczony, że Jennifer jest już w pościeli.

– Chodź tutaj – poleciła mu. Tęskniła do ciepła jego ciała, aż do bólu pragnęła się z nim kochać i gdy uśmiechnął się do niej leniwie i odpiął spodnie, słodczyz przewidywanej rozkoszy podnieciła ją jeszcze bardziej. Podniosła ku niemu rękę, a on wsunął się pod kołdrę, biorąc ją w swoje silne ramiona.

Jennifer poczuła się bezpieczna, chroniona przez szerokie ramiona mężczyzny, i zakreśliło się jej w głowie od pożądania, kiedy się poruszył, żeby jej dotknąć. Usta i ręce młodego człowieka były wszędzie, jego gotowość podniecała ją jeszcze bardziej. Nigdy dotąd nie miała tak żarliwego kochanka.

W ciemnej sypialni twarz Kirka jaśniała rozkoszą. Jennifer trzymała ją blisko swojej, wsunęła mu język do ust. Chciała go wchłonąć. Chciała poczuć go wewnątrz siebie. Pragnęła, żeby ich ciała się zlepily. Przez chwilę się bała, że jej namiętność odstraszy go.

Sięgnęła drżącymi rękami, wprowadzając go do swojego ciała. Lubiała decydować o sposobie, sprawiać, by kochanek zaspokajał jej potrzeby. Jennifer przewróciła Kirka plecami na poduszki i dosiadła go okrakiem. Wypełnił ją ciasno, a ona przekreśliła biodra, żeby wywołać większe tarcie.

Zgięła się i polizowała jego pierś, potem polaskotała go po twarzy kosmykiem rozpuszczonych włosów jak miękką szczotką.

– Lubisz to? – szepnęła, posyłając mu uśmiech.

Kirk przytaknął ruchem głowy, wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie, niżej, smakując językiem jej usta. Z nagłym dreszczem wsunęła go w siebie, wbijając się na jego męskość. Serce biło jej dziko, pompując krew do centrum ciała, gdzie mięśnie eksplodowały w pasji. Miała wrażenie, że jakaś wydzielona część umysłu obserwuje, jak ciało się kołysze we własnej, samolubnej ekstazie.

Nagle Jennifer zalała się łzami. Odwróciła twarz do poduszki, a potem czule pocałowała Kirka. Przytuliła się mocniej do niego, pragnąc pozostać tak na wieczność, trzymać go uwięzionego dla jej rozkoszy i złączyła nogi, unieruchamiając jego członek wewnątrz swojego ciała.

Kirk całował ją delikatnie, dotykając jej uszu, zamkniętych powiek, wilgotnego wnętrza ust. Doszedł do szczytu; zdumiała się, czując, jak jego orgazm pulsuje w jej wnętrzu. Jennifer objęła mężczyznę ramionami i ucałowała jego włosy. Jedyne światło wpadało do pokoju z ulicy, przenikając przez zaciągnięte story, ale jej oczy przystosowały się już do ciemności i wyraźnie zobaczyła mglistą figurę, wyłaniającą się z ciemnego kąta sypialni. Postać obserwowała ich, obserwowała ją, a potem podeszła do drzwi i zatrzymała się tam. W jej oczach nie było nienawiści ani gniewu, tylko bezmierny żal, jakby ta istota utraciła wszystko, straciła ją, cały świat.

– Jenny, o co chodzi? – zapytał Kirk, odsuwając się od jej piersi. Jej ciało ochłodziło w jego ramionach. – O co chodzi? – powtórzył pytanie, przestraszony wyrazem twarzy kobiety. Odwrócił się, żeby zobaczyć, w co się wpatruje. Były tam jednak tylko puste drzwi, a za nimi przyćmione światło.

– Co się stało? – nalegał, chwytając ją za ramię.

– On tu jest – szepnęła, nie odrywając oczu od wejścia.

– Kto? O czym ty mówisz?

– Tom jest tutaj.

– Jezu Chryste, Jenny, co ty mówisz? – Kirk poderwał się na kolana.

– Przed chwilą go widziałam. On nie żyje. Był tutaj, obserwował nas, kiedy się kochaliśmy.

– Hej – powiedział Kirk delikatnie. – Nikogo tu nie ma, Jenny, doprowadzasz się do szaleństwa. – Ruszył do drzwi i włączył górne światła. – Nikogo tu nie ma, daję ci

słowo. – Kiedy spojrział na swoje ręce, zobaczył, że drżą. – Chryste, Jenny, diabelnie mnie przestraszyłaś.

– On tu był. Widziałam go. Jego duch był tutaj – powiedziała spokojnie Jennifer. Nie bała się już.

– Sama zobacz! Jesteśmy zupełnie sami – upierał się Kirk.

– Nie rozumiesz – szepnęła Jennifer, wstając z łóżka. Wiedziała, że jest przerażony, ale ona pozbyła się już całego lęku.

– Jenny, daj spokój! Dokąd idziesz? – Patrzył na nią, jak wstaje z łóżka i podchodzi do szafy. Przelknął głośno, obserwując jej wysokie, smukłe ciało. – Wracajmy do łóżka – przymilał się.

Jennifer otworzyła drzwi wbudowanej w ścianę szafy i sięgnęła tam, gdzie zawsze wisiała jej flanelowa koszula nocna. Zanim jej umysł zdążył zareagować, zanim mogła wrzasnąć z przerażenia, koniuszki palców dotknęły miękkiej powierzchni otwartych oczu. Zobaczyła go całego, z jej kuchennym nożem wbitym w serce, ujrzała nabrzmiały, zszarzały język i opuchniętą, białą twarz, zauważyła, że jej sukienki i bluzki zostały odsunięte na bok. Tom wisiał na swoim własnym czarnym pasie, zaczepionym o metalowy pręt. Tym samym pasie, który kupiła mu u Braci Brooks i podarowała na trzydzieste szóste urodziny. Był martwy od kilku dni i cuchnął śmiercią.

A potem wrzasnęła.

Rozdział 35

Jennifer zostawiła Kirka na ulicy, przykazując mu tylko, żeby na nią zaczekał, i weszła do muzeum od strony Zachodniej Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Było po dziesiątej. Spędzili większość nocy i wczesny ranek z policją, w jej mieszkaniu i w biurze Departamentu Sprawiedliwości w śródmieściu, składając zeznania, wyjaśniając, gdzie spędziła ostatnie trzy doby.

Mieli jeszcze wrócić tego dnia do Departamentu Sprawiedliwości, żeby odpowiedzieć na kilka następnych pytań, ale Jennifer wytłumaczyła, że musi spotkać się z kimś w muzeum, że to ważne dla jej pracy. Nie powiedziała Kirkowi, że zaaranżowała spotkanie z Phoebe Fisher i Kathy Dart.

Pojechała windą na trzecie piętro i poszła za strzałkami kierującymi do eksponatów prehistorycznych. O tej wczesnej porze muzeum było właściwie puste. Szybko przemierzała galerie, kierując się do miejsca, gdzie wystawiono jedno z prehistorycznych wykopalisk. Dopiero kiedy zbliżyła się do specjalnej ekspozycji, ogarnął ją strach. Zatrzymując się między dwoma modelami gadów naturalnej wielkości, spróbowała zdecydować, co robić dalej. Uświadomiła sobie, że nie ma żadnego planu konfrontacji. Phoebe Fisher powiedziała jej, że nie może wierzyć swojemu racjonalnemu umysłowi, ale to nie była dobra rada. Słuchała Phoebe i Kathy Dart, pozwoliła emocjom decydować o swoich reakcjach i nie korzystała ze zdrowego rozsądku. Cóż, wymyśli coś, idąc naprzód.

Narzucając sobie spokój, pchnęła szklane drzwi i śmiało wkroczyła do mrocznego pomieszczenia zapełnionego wytworami prehistorycznego człowieka. Powoli mijała szklane gabloty z kośćmi mamutów, powiększone fotografie malunków naskalnych

i prymitywne rzeźby. Powstrzymywała się od rozglądania, aby jakiś starodawny rysunek nie przywołał jej przeszłych istnień. Musiała być czujna. Musiała być gotowa. Nie mogła rozpraszać uwagi.

Dostrzegła innych gości muzeum – pary, matki z dziećmi w spacerowych wózkach, uczniów robiących notatki do szkolnych wypracowań. Trzymała się z dala od środkowego przejścia i posuwała się w kierunku odtworzonej chaty, która dominowała na sali.

To tutaj pierwszy raz doświadczyła dziwnych wibracji, tutaj powiedziała Tomowi, że ukraiński model jest źle zbudowany. Spojrzał na nią, jakby zwariowała. Cóż, pomyślała z przekąsem, nie zwariowała. To było coś gorszego niż szaleństwo. Czuła, że jej mięśnie tężeją, uważniej obserwowała otoczenie, innych ludzi w galerii. Była zwierzęciem na łowach. Szła, przechodząc wolno do następnej galerii, zawierającej pozostałości pierwszej ludzkiej rodziny – szczątki „Lucy” i innych wczesnych australopiteków – znalezione na brzegach rzeki Hadar i w Trójkącie Afar w Etiopii.

W ciemnym przejściu między dwiema salami poczuła jakiś zapach. Przystanęła i wciągnęła głęboko nosem zatechłe powietrze nie wietrzonych pomieszczeń. Tak, upewniła się, że ktoś jest przed nią, być może schowany w następnej galerii, mieszczącej wielką dioramę zbudowaną na kształt afrykańskiej sadzawki. Przez gęste, liściaste podszycie widziała kilka żyraf i garb czarnego nosorożca, taplającego się w błotnistej afrykańskiej wodzie. Za nimi, sięgając w zarośla figowe, stała gromadka samic i samców. Były to modele hominidów zbudowane przez muzeum, żeby pokazać, jak pierwsza rodzina australopiteków współżyła z innymi mieszkańcami afrykańskiej dżungli.

Jennifer podniosła głowę i parsknęła, potem podeszła bliżej, trzymając się ściany i chowając przed spojrzeniem ludzi. Zbliżała się do kałuży z wodą. Była gotowa. Krew mocniej pulsowała w jej ciele. Mięśnie szyi nabrzmiały, sutki stwardniały. Szła dalej.

Najpierw wyczuła oryginalny zapach Kathy Dart, potem spostrzegła ją po przeciwnej stronie dioramy obok trawiastej równiny imitującej horyzont, aby można było mieć wrażenie, że wchodzi się do muzealnej ekspozycji i wędruje po nieskończonych przestrzeniach. Kathy nie patrzyła na nią, śledząc wzrokiem salę. Jennifer wiedziała, że to jej szuka. Stała pod wiatr i Kathy nie mogła czuć jej zapachu, nie mogła wiedzieć, że weszła na wystawę tylnym wejściem.

Jennifer rozpląszczyła się przy ścianie. Obserwowała Kathy Dart czekając, aż wmiesza się Habasza i Kathy uświadomi sobie to, co ona zrozumiała w Świątyni z Dendery, że żyli razem u zarania dziejów.

Wyszła z plamy cienia i podeszła bliżej. Była już mniej niż dwadzieścia jardów od leśnej dziury z wodą, kiedy dostrzegła Phoebe. Stała z daleka od Kathy i także obserwowała główne wejście do galerii. Spodziewały się, że przyjdzie tamtędy. Jennifer uśmiechnęła się zadowolona, iż przechytryła je obie.

Wiedziała, że teraz chce walczyć i ta świadomość zaskoczyła ją. Przedtem czuła lęk przed swoją pierwotną siłą; obecnie, kiedy wpatrywała się w dziwnie znajomą dioramę, poczuła poruszenie pamięci gdzieś w głębi mózgu, który gromadził i przechowywał wspomnienia jej uczuć. Tak, żyła tam. Miała tę pewność. Czuła tę ziemię pod chwytnymi stopami, kiedyś schodziła po tych grubych konarach

i wyciągała swoje krótkie, owłosione palce, żeby zerwać z dolnych gałęzi słodkie figi. Znowu parsknęła i skuliła się, podkradając bliżej do swojego wroga, tego plemienia, które dzieliło z jej rodziną błotnistą kałużę, tutaj, nad brzegiem wielkiego jeziora, u stóp dymiącego wulkanu.

Zauważyła, że jakaś matka z dzieckiem w wózku spogląda na nią i oddala się truchtem, niczym jelen w lesie, przestraszony niewyraźnym widokiem jej i innych, którzy spali razem w drzewach i żywili się słodkimi owocami dżungli.

Jennifer odetchnęła głęboko i pomyślała: „Odciągnę Kathy Dart od Phoebe. Ona zaatakuję, jeśli mnie tropi”.

Porzuciła dającą schronienie bliskość muzealnej ściany, wyszła na środek galerii i zbliżyła się do afrykańskiej dioramy. Potem krzyknęła i zamachała rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę Kathy.

Kobieta zobaczyła ją, uśmiechnęła się, mówiąc coś na powitanie, lecz pozostając za szeroką ekspozycją sadzawki. Kathy nie podbiegła do niej. Jennifer wytrzymała jej spojrzenie; czekała, oddychając teraz głębiej, z ciałem sprężonym i gotowym do obrony.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Kathy.

Jennifer przekrzywiła głowę. Słyszała Kathy i rozumiała, co mówiła, ale przypomniawszy sobie inny poranek, odległy w czasie, kiedy zeszła z drzew, żeby znaleźć partnera wśród samców, którzy przyszli po słodkie, świeże owoce. Pamiętała, jak została zabita. Pisnęła na wspomnienie cierpienia.

Kątem oka dostrzegła czarnoskórego strażnika, który wyglądał na zaniepokojonego i szedł w jej kierunku. Jennifer знаła tego człowieka. Widziała go już kiedyś, na parowcu na rzece James. Ruszyła się natychmiast, przeskoczyła niską barierkę otaczającą dioramę.

– Uwważaj! – krzyknęła do niej Kathy.

Jennifer się wyprostowała. Zauważyła, że strażnik rozmawia przez przenośny telefon. Następni funkcjonariusze biegli w stronę galerii, nadchodzili z innych wystaw. Jennifer jednak była teraz pośrodku afrykańskiej dżungli, stała w krzewach podszycia, otoczona grubymi, czepnymi lianami, olbrzymimi pniami drzew mahoniowych i upozowanymi figurami niskich owłosionych hominidów, którzy patrzyli na nią w milczeniu martwymi oczami.

Zahuczała, żeby zwrócić ich uwagę, odciągnąć od Kathy Dart, by pozwolili jej walczyć z tą kobietą, która także podchodziła bliżej i wkraczała do odtworzonej pradawnej sadzawki.

– Jenny! Jenny, nie rozumiesz! – wołała Kathy. Mówiła miękko, jakby chciała przekonać ją swoim głosem.

Strażnik wodził wzrokiem po obu kobietach.

– Co za cholera – zaklął, stając na skraju ekspozycji. – Co tu się, do diabła, dzieje?

Jennifer przykucnęła w zielonym gąszczu. Czowała, że jest gorący dzień, czowała parne powietrze i przenikliwy odór tropikalnych wiecznie zielonych roślin, butwiejących w wilgotnym cieple równikowej dżungli, słyszała także ustawiczny jazgot ptaków, latających wiewiórek i małp, huśtających się między grubymi festonami pnączy. Widziała hipopotamy tarzające się w głębokiej wodzie i kilkanaście krokodyli, które ześlizgiwały się z błotnistej brzozy i zniknęły z plaśnięciem w pełnej szlamu wodzie.

Jennifer nie bała się krokodyli ani małych stadek włochatych mamutów, przedzierających się wśród drzew w stronę wody. Wyskoczyła z gęstego lasu i biegnąc naprzód, wrzasnęła na Kathy Dart, starając się ją przestraszyć.

– Jenny! Jenny! – krzyczała Kathy, trzymając ręce obrócone dłońmi do dołu, gestykulując, szepcząc i starając się uspokoić Jennifer. – To nie ja. To nie mnie chcesz dostać.

Jennifer obnażyła zęby i zasyczała.

– Jezu Chryste! – Strażnik podszedł do niskiej barierki i wyciągnął rękę do Jennifer.

– Odsuń się! – rozkazała mu Kathy Dart. – Ona nie panuje nad sobą. Nie wie, gdzie się znajduje.

– Ale ja wiem, gdzie ona się wpięprzyła – wymamrotał postawny mężczyzna, podchodząc bliżej.

Jennifer uderzyła strażnika prawym przedramieniem, zbijając go z nóg i przewracając. Upadł na plecy, zaczepiając jedną z figur wczesnego *Australopithecus afarensis* i zwalając gipsowego przedstawiciela hominidów do plastikowego jeziora.

W tym samym momencie Jennifer zobaczyła Phoebe, podchodzącą do niej we mgle wczesnego poranka. Zraniła się podczas upadku z urwiska i teraz używała krótkiej gałęzi, żeby pomóc sobie przy chodzeniu, ciągnąc po ziemi swoją kulawą nogę. Jennifer odwróciła się twarzą do drugiego medium.

– Jennifer, chodź z nami – poleciła Kathy. – Wiemy o Phoebe. Próbowaliśmy ocalić cię przed nią. Habasza był tam. On wie.

„Ona! – pomyślała Jennifer. – Ona!” W tej chwili nie pamiętała, jak się mówi i jej gniew i męka zmanifestowały się piskiem niczym u przerażonego zwierzęcia. Skoczyła do przodu, do brzegu dioramy i zwróciła się w stronę Phoebe Fisher, hucząc i skrzecząc, przerażona i rozwścieczona. Wewnątrz prehistorycznej dioramy, pośrodku gorącej dżungli, Jennifer przypomniała sobie tamten czas w swoim najwcześniejszym życiu. Wiedziała, kim kiedyś była, uświadomiła sobie także, co wydarzyło się przed milionami lat, u zarania dziejów.

Phoebe podniosła nad głowę okutą metalem laskę i ruszyła na Jennifer.

– Nie! – krzyknęła Kathy, rzucając się naprzód i próbując zatrzymać Phoebe. Uniesiona laska, jak prymitywna pałka, z gwizdem przecięła powietrze i ugodziła Kathy. Ostry koniec rozciął jej prawy policzek i zagłębił się w grubych mięśniach gardła. Medium, walcząc o oddech, chwyciło szyję kurczowym uściskiem. Krew z przeciętej żyły szyjnej sączyła się między palcami.

Jakaś kobieta wrzeszczała. Jej krzyk zdawał się trwać bez przerwy. Nappełniał sale, odbijał się echem, rósł w siłę, kiedy biegła w histerycznym, ślepym pędzie, próbując uciec, umknąć z galerii tak, jak mogłoby to robić każde przerażone zwierzę.

Jennifer pamiętała. Wygramoliła się z gałęzi drzew, z wysokiego gniazda dżungli, skuszona potrzebą swojego wezbranego seksu. Przyszła, żeby kopulować na podłożu lasu, a za nią inne kobiety z jej rodziny, razem z matką, która wykarmiła ją płaskimi piersiami, i ze swoim własnym dzieckiem. Wymknęła się pierwszemu samcowi, który za nią podążył, ale oglądała się przez ramię, odbiegając szybko na czterech kończynach. Zachęcał ją, popiskując i machając długimi ramionami. Jennifer uświadomiła sobie, że to Habasza. Habasza w swoim pierwszym wcieleniu. Potem, z szybkością, której się nie spodziewała, wspiął się na nią od tyłu, wszedł w nią

i złożył w niej swoje nasienie.

Potem kopulowali z nią pozostali, walcząc między sobą, który ma być pierwszy. Wrzeszczeli, huczeli i tańczyli wokół, obwąchując jej seks. Owoce figi popadły w zapomnienie, kiedy mężczyźni podążali za nią. Przepychając się i odtrącając jedni drugich, wspinali się na nią ciągle od nowa, aż wyczerpani swoimi wysiłkami, usunęli się w cień drzew i usnęli. Nie było wśród nich strachu. Byli w gronie swoich pobratymców.

Nikt się nie obawiał, że jeden z nich mógłby zaatakować drugiego.

Stara kobieta została wypędzona z ich hordy z powodu bójk z innymi i teraz niespodzianie wróciła. Wrzeszcząc zeskoczyła z gałęzi drzewa, lądując na czterech kończynach. Potem, rozglądając się, chwyciła kość mamuta i zamachnęła się – Jennifer widziała to teraz ponownie – na nią. Kość ześliznęła się po ramieniu i uderzyła ją w twarz. Zawyla z bólu, a inne samice także zahuczały i odbiegły.

Starucha była białowłosa i niższa od niej, miała mniej niż dwie i pół stopy wzrostu, płaską owłosioną twarz i usta zniekształcone uderzeniem pazurów tygrysa szablozębnego. Podążyła za nią, uderzając w ziemię końcem długiej kości, podnosząc ją w obu rękach i machając wściekle. Później, bez ostrzeżenia, kobieta odwróciła się w bok, uderzyła jej matkę, a potem zabiła dziecko.

Jennifer wrzasnęła, kiedy jej dziecko upadło. Z obnażonymi zębami rzuciła się na odtrąconą samicę, a coś w zakamarkach mózgu podpowiadało jej, że ten drapiezca jest bardziej niebezpieczny niż niedźwiedź czy jeleń z rozgałęzionymi rogami.

Phoebe Fisher wzniosła swoją laskę, Jennifer krzyknęła, pochyliła się w bok i zaatakowała z całą swoją pradawną furją. Paznokciami przeorała twarz Phoebe, chwyciła ją za włosy i odchyliła do tyłu głowę drobnej kobiety, odsłaniając jej bladą szyję.

Utracony duch zawładnął nią teraz. Przeżywała swój prehistoryczny odwet. Pisnęła i odsłoniła zęby. Przegryzie szyję Phoebe i zabije tę bestię.

– Jenny, nie! – wrzasnął Kirk.

Nadbiegł z głębi galerii i wpadł na Jennifer, przewracając ją na podłogę. Phoebe Fisher z trudem utrzymała się na nogach, biorąc zamach. Ostry koniec laski niczym brzytwa przeciął szyję czarnego strażnika. Nie zatrzymując się, Phoebe przeszła przez Kathy Dart i ponownie zaatakowała Jennifer, która leżała teraz na podłodze poza krawędzią sztucznego zbiornika wody.

Kathy Dart udało się wstać. Trzymała obiema rękami swoje rozcięte gardło, ale krew ciągle spływała między palcami. Wyciągnęła rękę w kierunku Phoebe, starając się przeszkodzić w zabiciu Jennifer.

– Jenny! – wyszeptała ustami pełnymi krwi.

Phoebe uderzyła raz jeszcze, opuszczając laskę na Jennifer i Kirka, który leżał na pokrytej dywanem podłodze, starając się osłonić Jenny. Metalowe ostrze ugodziło ramię mężczyzny. Krzyknął i odtoczył się na bok, pozostawiając swoją towarzyszkę bezbronną na podłodze galerii.

Oszalała Phoebe, wrzeszcząc, zaatakowała ponownie, celując w twarz kobiety, próbując zagłębić szpikulec w jej oczach.

Odwieczna pamięć Jennifer podsumowała ich dawno minioną bitwę. To przy tym afrykańskim zbiorniku wodnym przebywający pierwszy raz na ziemi duch Phoebe

uderzył Jennifer kością mamuta, strącając ją do głębokiej wody. Spadła, wzbijając fontannę, niezdolna pływać, a potem zaatakował ją krokodyl, chwytając swoją ofiarę za ramię i wciągając w głębię leśnego stawu.

Jennifer się uśmiechnęła. W końcu zrozumiała, kto próbował ją zabić; zanim jeszcze przypomniała sobie wszystko, zanim zebrała wszystkie swoje nadprzyrodzone siły. Jennifer skoczyła na równe nogi, unikając szaleńczego ciosu, i wyrwała łaskę z rąk Phoebe Fisher. Uniosła pręt w górę. Zobaczyła nagle przerażenie w oczach przeciwniczki. Jennifer wiedziała, że jednym szybkim ruchem może zabić swojego odwiecznego wroga.

Stała wychylona, mierząc w swój cel. Stara zaatakowała ją, ponieważ ona łączyła się z Habaszą, zaatakowała ją, gdyż sama została odrażona przez innych mężczyzn. Teraz Jennifer mogła pomścić zabójstwo matki i swojego pierwszego potomka.

– Nie, Jenny – Kirk błagał ją z miejsca, gdzie leżał, przyciskając zranione ramię.

Jennifer wzięła zamach, celując ostrym czubkiem w twarz kobiety, tak jak poprzednio zrobiła to napastniczka. Oblicze Phoebe Fisher zmieniło się w jej oczach. Piękna, porcelanowobiała skóra eksplodowała krwią, drobne ciało zostało odrzucone w bok, z dala od niej. Jennifer straciła z oczu swoją ofiarę, gdy usłyszała odgłos wystrzału z pistoletu strażnika muzeum.

Phoebe Fisher osunęła się po gipsowym modelu, upadła na powierzchnię plastikowego jeziora i zniknęła w gąszczu drzew figowych. Umarła we mgłach prehistorycznego czasu.

Głęboko w sercu Afryki, u początków życia, była wśród hominidów ta, która pierwsza zabiła innego przedstawiciela swojego gatunku. Zeszła z drzew, żeby uśmiercić wcielonego wtedy ducha Jennifer Winters.

Śmierć pierwszego z hominidów była morderstwem.

EPILOG

Jennifer jechała przez New Jersey autostradą na południe. Minał miesiąc od wypadków w muzeum i Kirk był obolały, ale wiedziała, jak rozpaczliwie chce się on wydostać z Nowego Jorku, przynajmniej na jakiś czas. Wiedziała, że nigdy nie zmusi go do życia w tym mieście, lecz co z tego? Nie była także pewna, czy ona tego chce. W każdym razie nie w tym życiu. Coś się skończyło. Phoebe nie żyła. Kathy Dart przebywała w szpitalu. Simon również. Mimo wszystko nie zabiła go. Była z tego powodu zadowolona. Ale biedny Tom. Stał się niewinną ofiarą. Jennifer zrozumiała to teraz. Cokolwiek się działo w tym życiu, było tylko wypełnieniem czyjegoś przeznaczenia.

U zarania dziejów Phoebe zabiła ją, a w innym życiu Jennifer pomściła ten czyn. Kiedyś była biedną czarną dziewczyną na Południu, a Phoebe była białym mężczyzną. W każdym wcieleniu ich duchy powracały, żeby szukać odwetu.

Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę i dotknęła Kirka, pozwalając swojej dłoni ześliznąć się na wewnętrzną powierzchnię jego uda.

– Szczęśliwy? – zapytała. Skinął głową.

– Szczęśliwy, że jesteś ze mną, i szczęśliwy, że uciekam z tamtego miejsca. – Nie odwracając się, wskazał głową miasto.

Jennifer rzuciła okiem we wsteczne lusterko. Nad podmokłymi, przemysłowymi równinami New Jersey widziała niską, zachodnią stronę miasta. Zobaczyła bliźniacze wieże Światowego Centrum Handlowego i Battery Park City, jedno i drugie zatopione w głębokim, pomarańczowym blasku zachodzącego słońca. Za godzinę będzie ciemno, ale do tego czasu będą daleko od Nowego Jorku. Bezpieczni.

Dotknęła go znowu, żeby się upewnić.

– Dziękuję ci – powiedziała miękko.

– Za co? – zapytał.

– Wiesz za co. – Bardzo pragnęła go pocałować, znaleźć się w jego ramionach, i omal nie zaproponowała, żeby się zatrzymali w jakimś motelu tuż obok autostrady, ale wiedziała, że jej towarzysz chciał znaleźć się jak najdalej od Nowego Jorku.

Jennifer głęboko zaczerpnęła powietrza i nie odrywała oczu od drogi, od mknących samochodów i ciężarówek. Po ich prawej stronie znajdowało się lotnisko Newport i samoloty lądowały i startowały, kołowały na odległych pasach, migając kolorowymi światłami pozycyjnymi w blasku zachodzącego słońca. Powietrze było cieplejsze niż poprzednio, kierowali się na południe, pozostawiając za sobą miejsce tragedii.

Wszystko znowu ułoży się dobrze.

Ponownie spojrzała we wsteczne lusterko małego wynajętego wozu i zobaczyła Margit, która spokojnie siedziała na tylnym siedzeniu i rozkoszowała się jazdą. Pochwyciła w lusterku spojrzenie Jennifer i uśmiechnęła się.

– Słucham? – ponowił pytanie Kirk.

Jennifer potrząsnęła głową.

– Nic. Nie rozumiałbyś.

– Hej, daj spokój, nie wciskaj mi takich rzeczy!

– Kocham cię – rzekła w odpowiedzi i płynnie włączyła samochód do ruchu.

– Tak naprawdę to ty nie wierzysz w te bzdury, czyż nie? – zapytał.

– Jasne, że nie wierzę, kochanie, to tylko głupia zabawa, taka jak czytanie horoskopów w gazecie.

Kirk uśmiechnął się i wyglądało na to, że się odprężył.

Jennifer wyciągnęła rękę i delikatnie ścisnęła wewnętrzną stronę jego uda, pozwalając palcom rozkoszować się dotykiem mężczyzny. Nie mogła widzieć jego oczu, ale wiedziała, że były to te same piękne oczy, oczy jej egipskiego księcia, oczy jej brata Danny'ego. Zrozumiała już, że nie musi dzielić się z Kirkiem swoją nową wiedzą. On powrócił do jej życia, a ona zaopiekuje się nim.

Być może pewnego dnia, kiedy będzie starszy, opowie mu o tym, jak żyli razem w Egipcie, a także w pozostałych istnieniach. W niektórych byli kochankami, w innych bratem i siostrą.

Nie było konieczne, żeby natychmiast wtajemniczyła go we wszystko. Są znowu razem i wkrótce, wiedziała to, zostaną mężem i żoną. Margit zniknęła z tylnego siedzenia, ale Jennifer była przekonana, że duch tej kobiety nigdy jej nie opuści. Podobnie jak powrócił Kirk, tak w tym życiu wróciła Margit, jej utracona matka, i będzie także powracać w przyszłych istnieniach.

Jennifer obserwowała ruch na drodze i zapadające ciemności, pozwalając swoim myślom wędrować. W przytulnym cieple samochodu uśmiechnęła się, szczęśliwa i wypełniona spokojem. Ciekawa była swoich innych egzystencji. Jak do tej pory,

przypominała sobie istnienia pełne rewanżu i zemsty, teraz jednak powinny nadejść wcielenia szczęśliwe. Wyprostowała się i mocniej ujęła kierownicę samochodu.

Może kiedyś uosabiała kobietę o dużym znaczeniu, dostojną kapłankę, nawet księżniczkę czy królową. Pewnego dnia przypomni sobie te istnienia, te pełne chwały dni, kiedy nie walczyła z duchem Phoebe Fisher.

Serce Jennifer uderzyło mocniej pod wpływem tych myśli. Jej życie nie minęło, ale dni udręki się skończyły.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytał Kirk, patrząc na nią.

Jennifer obserwowała autostradę. Pokręciła głową i powiedziała:

– Po prostu jestem szczęśliwa, to wszystko, i zakochana. – Koszmar prymitywnej przeszłości zakończył się. Duch Phoebe odszedł z jej życia. Ponieważ medium nie poniosło śmierci z jej rąk, wreszcie zdołała umknąć przed mściwym duchem.

Tak. Jennifer pomyślała, że poprosi o pomoc Kathy Dart. Nawiązując kontakt ze swoją wyższą świadomością, ze swoją nie znającą ograniczeń duszą, użyje mądrości swoich wcieleń, żeby zaprojektować długą i szczęśliwą przyszłość z tym wspaniałym młodym mężczyzną, jej starożytnym kochankiem.

Teraz wszystko było takie oczywiste. Jej życie okazało się doskonale dopasowaną układanką; od zarania dziejów było jej przeznaczone znaleźć się na tej chłodnej drodze w Minnesocie, aby Kirk mógł ją stamtąd zabrać. To był plan boski.

Nie, uświadomiła sobie. Nie ma Boga. Sama odbyła długą podróż. Znalazła swoją własną drogę do zbawienia. Kathy Dart powiedziała jej, że jest bogiem sama z siebie. Wszyscy są bogami w swoim własnym przeznaczeniu. „Każdy pracuje na swoją karmę” – pomyślała Jennifer.

Potem wyciągnęła rękę i włączyła światła samochodu. Reflektory oświetliły autostradę New Jersey, wyznaczając ścieżkę światła w ciemnościach nocy, i w tym momencie, na długiej szosie, Jennifer Winters zrozumiała, że będzie widzieć wiecznie, że jej byt pozostanie bezgraniczny, absolutny.